


Aby rozpocząć lekturę,
kliknij na taki przycisk ,
który da ci pełny dostęp do spisu treści książki.

Jeśli chcesz połączyć się z Portem Wydawniczym
LITERATURA.NET.PL
kliknij na logo poniżej.



JÓZEF IGNACY KRASZEWSKI

Wspomnienia Wołynia, Polesia i Litwy

Nulla dies abeat quin linea ducta supersit

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

Jaśnie Wielmożnemu

Antoniemu Urbanowskiemu

Na pamiątkę chwil w domu jego spędzonych
ofiaruje

Autor

WSTĘP

Cóż począć z sobą , powiedzcie mi, gdy przyjdą długie posępne wieczory zimowe? Kto nie może

Ciągnąć kabały albo plotek słuchać, ani polować, a nie ma co czytać; kto jeszcze ze wszystkim wyrzekł się słodkiego powierzania swych myśli papierowi – ten musi, jeśli nie z przekonania, potrzeby i obowiązku (bo z tego świat prędko wyprowadzi), to przynajmniej dlatego pisać, żeby nie próżnował.

Pozwolicie czy nie – mówić z sobą szczerze moi niełaskawi czytelnicy? – Sto razy dawałem już sobie słowo nie pisać dla was więcej, widząc tak obojętne przyjęcie piszących, tak małą u nas czytelników liczbę; lecz sto razy znowu nieszczęsny popęd czy nałóg wtrącał pióro do ręki i pisać mi kazał.

Patrząc na stosy rękopismów, które księgarze odrzucają, grzecznie się kłaniając, patrząc na tyle chwil, które tym sposobem wyjęte z życia zostały i leżą bez użytku, nieraz myślałem – na cóż pisać? I na pierwszej karcie myśl ta zabijała popęd i ochotę . Dziś, obojętniejszy na los tego pisma, czy go kto czytać będzie, czy nie, biorę pióro jako lekarstwo od długich wieczorów pustych, które moje nowe życie całkiem prawie próżnymi zostawia. Do wszystkiego przywyknąć można, lecz nałóg ciągłego zatrudnienia nie da się przewyciężyć. Kto raz czas cenić umiał, nałogowie potem próżno ulatujące chwile widzi z niepokonaną boleścią. Okolicznościami zamknięty na wsi w miejscu mało znajomym, bez stosunków prawie, dla tysiąca drobnych zatrudnień gospodarskich zmuszony siedzieć i siedzieć d o m a , pozbawiony książek, muszę pisać. Wybaczcież mi ten wielki grzech. A ze poetyczne myśli zabiły gospodarskie kłopoty, że historia potrzebuje materiałów, które trudno mieć zawsze pod ręką, muszę przedmiotu do obrazów szukać Kolo siebie, przed sobą, przekonany, że nie ma rzeczy na świecie niegodnej uwagi i opisu, że przesąd dawny ograniczający tak ściśle przedmioty będące materiałem do pisania jest niesprawiedliwy. Wszystko w swoim sposobie użytecznym być może, gdy się tylko zastanowić zechcemy. Każdy kraj, każdy kątek, każdy człowiek, może być ludzom nauką, artyście wzorem lub pomysłem. Dzikie lasy Ameryki Coopera, stare zameczyska Szkocji Walter Scotta czymże są wyższe od obrazów jakie nastreścić może nasz kraj słowiański? A historie naszych zamków, miast i horodyszcz ileż to poezji ukrywają w sobie! Niestety, zawsze szukamy obrazów daleko za sobą, przed sobą, nigdy koło siebie. Jest urok w obcej stronie , a swoje tak się osłucha, opatrzy, spopolituje, że wreszcie stracim dla niego uczucie podziwienia, jakieśmy mu winni, a nawet poznać się z nim bliżej zaniedbujemy jedynie dlatego, że machinalnie, materialnie znamy je aż do znużenia. Dlatego też cudzoziemiec nowo przybyły żywiej wszystko czuje, więcej u nas zobaczy, lepiej opisze.

Tę skorupę zwyczajnie otaczających nas przedmiotów małe usiłowanie postrzegania łatwo rozbije. Chciejmy tylko zastanowić nad swoim krajem, a znajdziemy w nim tysiąc wdzięków, tysiąc pamiątek, tysiąc godnych zastanowienia przedmiotów.

Prawda, że pierwsze próby poufałych tegoczesnych opisów nie oswojonym z nimi czytelnikom dziko w uchu zabrzmiały; prawda, że niejeden swoich stron opis, znajomych osób wzmiankę z oburzeniem przyjmie, jak odsłonięcie niedostępnego przybytku, w którym się lęka wpuścić oko profanów. Lecz wszędzie początek trudny, a wszystko jednakże zacząć trzeba.

Dawno nawykły nie zważać, co ludzie mówią, byle bym sam nic do wyrzucenia nie miał i teraz przyjmę wrzawę, krzyki, urazę, jak przyjmowałem najczęściej – milczeniem. Wolno je sobie jak chcąc tłumaczyć. Tak samo przyjmę krytyki najniesprawiedliwsze, tak samo jeszcze przyjmę pochwały, których się nie spodziewam i nie żądam.

Zamawiam sobie tylko, aby nikt nie chciał kilka karykatur, jakie się tu znaleźć mogą, brać do siebie. Byłoby to albowiem śmieszością nie przebaczoną już dzisiaj, ludziom ostrzelanym tyłą obrazami fantazyjnymi, że gdyby się w każdym z nich szukać chcieli, całe życie strawiliby na tym dręczącym zatrudnieniu.

Sceny historyczne, wspomnienia i opisy miejsc jak najściślej, jak być mogło, prawdziwie, a nigdy się ich sobie nie pozwalając domyślać. Wszystko można sprawdzić na miejscu i w książkach.

Na koniec, ponieważ u nas jeszcze pisarze z czytelnikami w takich są stosunkach, w jakich byli w literaturze reszty Europy przed stem laty i więcej, potrzeba, żebym do powszechnego stosując się zwyczajowi, przeproszał ich za to, że się pisać odważyłem, prosząc o łaskawe względy, pobłażanie itd. Pozwalam sobie jednak nieco starą formę odmienić i proszę tylko, żeby mnie czytali – nic więcej. Zgadzam się – proszę nawet krzyczeć, hałasować, krytykować, gniewać się, łajać, słowem, daję wszelką a nieograniczoną wolność moim niełaskawym czytelnikom; lecz na miłość Boga! – chciejcież czytać przynajmniej.

JARMARK W JANÓWCE

Zacznijmy po jarmarku, tej gminnej uroczystości tak wesołej, tak charakterystycznej u nas. Na co mamy cyrklować tę książkę wspomnień? Idźmy, gdzie nas oczy poniosą.

Oto jesteśmy w małej mieścinie Polesia Wołyńskiego, Janówce. Mało kto zapewne zna ją, prócz sąsiadów, bo bardzo maleńka, zasuniona w lasy i ustronie, siedzi na piasku cały rok spokojna, a ożywia się dopiero na wielki jarmark w dzień śś. Szymona i Judy w październiku. Należała ona niegdyś podobno do możnej dziś upadłej prawie rodziny Sapiehów. Sławny jej jarmark przynajmniej promieniem sześciu mil dokoła ściąga Żydów, wieśniaków, ekonomów i drobnych właścicieli, z wołami, końmi lub po woły, konie itd. Woły jednakże, zowiące się tu wszędzie t o w - a r e m per excellentiam, w istocie najważniejszą część targu stanowią.

Nie zachwyca wcale położenie zupełnie poleskie Janówki; trudno, aby w nim najbardziej uprzedzone oko znalazło piękność jaką (jakkolwiek piękność w stosunku do smaku jest względną). To pewna, że trzeba by się urodzić w Janówce, żeby się piękną wydała. Kilkanaście chat na piaszczystym polu rozłożonych, jedna karczma pusta, pusty także a dość obszerny kościół z klasztorem Bernardynów, rynek szeroki, który rok cały trawą zarasta nim go w październiku wydepczą, kramiki drewniane raz w rok tylko zajęte, młynek mały nareście – wszystko to nie jest malowniczym na równinie i piasku wśród bajrakowatych i pokrzywionych sosen, lecz dzień jarmarku, dzień wielki i uroczysty dla arendarza, nadaje tej pustyni poleskiej pozór ożywiony i charakterystyczny.

Po wszystkich drogach wiodących do miasteczka ciągną się furmanki liczne, wozy, bryczki kryte i niekryte, jeźdźcy, pieszaki, budy płócienne nadziewane Żydami i rodziny Poleszuków, w których twarzy próżno szukasz śladów pomieszanych plemion, jakie dawniej zajmowały Polesie.

Rynek cały napęlnia się aż pod kościół i wylewa aż za płoty. Liczne wozy ściskają się jedno koło drugich, a te, jak łatwo się domyśleć, stają się ogniskiem jarmarku, mianowicie przy karczmie, gdzie pożądanym spija się m o h o r y c z. Mohorycz jest to gdzieindziej zwany b o r y s z, dodatek do ceny towaru, p o c z a s t k a, bez której wieśniak nie przeda nigdy, a gdy kupujący odmówi, targ nawet zrywa.

Ku południowi coraz zgłęb się powiększa, ze wszystkich stron słychać żywe rozmowy i najrozmaitsze odgłosy. Tam wół ryczy, tu koń rży i wierzga w bok przechodzącym, piszcza wieprze poprzywiązywane na wozach, rzucając się, a wielka liczba kóz, które się tu dobrze płacą, łączy swój głos z tysiącem innych, w których jednak głos pana świata, człowieka, zawsze prawie górę trzyma. Trudno jest odmalować rozmaitość postaci, głosów, rozmów, charakterów, fizjonomij, ubiorów, jaka się tu ściska i kręci. Żydzi z bezmianami na plecach, jak z broną swoją, włóczą się za lnem, grzybami i woskiem; Poleszucy w białych sukmanach z pasami czerwonymi lub z czarnej skóry, z kalitką, krzesiwem, papużą tytoniu i nieodstępna fajką w zębach, kopczą im nieustannie pod nos i gasnącą co chwila, i piliponi w wysokich

kapeluszach i ogromnych butach, wzrostem i strojem w tłumie widoczni, Żydówki brudne, odarte i chciwe, kobiety poleskie w chustkach, z uśmiechem na ustach a kurami na rękę, Holenderki w dziwacznych płaszczkach z paskowatych kolorowych spodnic, Holendrzy ze swoją rodzimą fizjonomią, Cyganie z czarnymi, rozczochranymi włosami itd., itd. Nareszcie nieocenione figury panów ekonomów w czapkach uszaty, w surdutach szarych, z kijami w rękę, z pogardliwą miną. A wszystko to w niepojętym ruchu i ożywieniu wszystkich części ciała; zaczawszy od pierników i obwarzanków aż do wołów i koni wszystko się porusza i żyje. Wszędzie brzęczą pieniądze, na twarzach pali się chęć zysku, nadzieja lub zaspokojona radość.

Pod namiotem nad powózkami zaimprovizowanym wśród rynku ruski kupiec z Łucka rozwiesza swoje kolorowe towary, z daleka mile jaśniejące oczom Poleszanek. Tu ciśnie się ciekawie i chciwie pozerając oczyma chustki i perkale żeńska połowa jarmarku, rozwiązuje starannie węzłki dla kupienia niedrogiego stroju ceną kilku kur lub starej faworyty kozy, którą już Żydek przemysłny zarzął wśród rynku.

Obok przemysłne Żydki w kramikach siedzą, nie odurzeni natłokiem osób, wrzawą i krzykiem, wszystkich wołają, nęcą, proszą, ciągną do siebie, kłócą się, targują, biją nawet i razem zdają jeszcze resztę, uważając, żeby jak najgładsze oddawać złotówki – z zadziwiającą przytomnością wszechstronną i talentem nieocenionym. Między wielomównym Żydem a cichym kupcem ruskim waha się żeńska połowa, bo Żyd ma swoje przyciągnięcia sposoby, zna serce ludzkie tradycyjnie, uczył się go razem z Talmudem od ojca, wie szerokie drogi i kręte ścieżki, którymi do niego wejść można, ma tysiąc środków na pokonanie ludzi tak bezbronnych, gdy im chodzi o zrobienie przyjemności sobie. Przyciągając do kupna, łechce próżność, wabi oczy, pociąga serce i durzy głowę nieboraka. Niejeden sam nie wie, dlaczego i na co kupuje, a nie umie się oprzeć urokowi żydowskich zachęceń.

– Nu! Czy to ty zginiesz, jak kupisz! Aj wej! Tak mała rzecz! Tu wasza ekonomowa kupowała ten sam cyc i drożej zapłaciła, a ja wam taniej oddam po znajomości. Bodajbym zginął, kiedy nie na stratę. Ale to reszta. Albo to ty nie możesz tego mieć, co ekonomowa? A wej! A ty siebie nie poznasz, jak się ubierzesz! Nu! Nu, bierz, już ja odmierzył, na, masz!

– Kiedy nie ma pieniędzy.

– Jak to nie ma? To może ty co masz na sprzedaż, czy to ty nic nie sprzedał? itd. A poduszne przysięgli poczekają, ty jeszcze zbierzesz, a wej!

Nieco dalej kupa sukman, świtek, burek, płaszczów, przy wielkiej skrzyni leżąca, otoczona jest gromadą kupujących, którzy się dziwią, ubrawszy się, i uśmiechając na zwodnicze pochwały sprzedającego.

– A! a! Ty inszy człowiek! To ty dom kupujesz nie suknią, a jaka ciepłość, a jaka to moc, a wej! Nu, co ty targujesz, ja tylko dla ciebie za tę cenę sprzedaję. Ty stary znajomy! Nu, nu, bierz a płąć!

Trochę dalej znowu stoi wóz z kozuchami, gdzie podobna powtarza się scena. Za nim drugi, nad którym wytknięto wysoką tyczkę z parą butów; ten jest sklepem naprędce urządzonym rozmaitego obuwia, gdzie bogatsi Poleszacy długie, czarne, za kolana zachodzące buty kupują.

Tuż druga tyczka nad wozem wywieszona wysoko z roztrzepaną papużą tytuniu wagi wieśniaków do ulubionego im przysmaku.

Wielki sklep czapek rozmaitych, rozwieszony na ścianie karczmy, zachwyca chłopów otwierających przed nimi gęby. Stoją przed nim w swoich obdartych białych czapeczkach sukiennych lub wyszarzanych barankowych, pretendenci do nowych probują, patrzą, zaglądają, uśmiechają się, naradzają, a kupiwszy wreszcie – odchodzą, ciesząc się, poprawując i oglądając się, czy cały jarmark patrzy na ich nową czapkę. To tak samo, jak w Warszawie.

Dalej jeszcze w szynku dymią się ogniska, koło których jesiennym zimnem skośniałe ręce grzeją Poleszuki i fajeczki swoje zapalają i garnki przystawują, śpiewając wesoło. Poleszúk bowiem gdziekolwiek stanie, cokolwiek robi, tak lubi ogień i dym, że w lipcu nawet zapala ognisko przez nałóg, a razem dla ulubionej swojej fajki, która mu ciągle gaśnie. Pod ściśnionymi w rynku wozami leżą długie trąby drewniane osikowe, których przeznaczenia trudno obcemu na pierwszy rzut oka odgadnąć. Są to dymniki czyli kominy chat poleskich, które pijani, śmiejąc się, a r m a t a m i nazywają. W wozach same gospodynie na workach siedząc, czekają kupców, a gospodarze najczęściej w karczmie siedzą lub za pokupką się włóczą. Niemalym towarem są tu koła obodne, łyka na postoły, łapcie czyli kurpie, które pękami powiązane, wiszą na wozach.

U płotów stoi większa część wołów przeznaczonych na sprzedaż, żując chciwie zarzuconą im garść słomy; koło nich kręcą się Żydki i panowie wolarze. Droga idąca do młynku od klasztoru zowie się uliczką końską, przez nią nieustannie chłopci ze swojemi chmyzami, ekonomowie z odpasionymi kalekami, Żydzi z wypracowanymi szkapami przejeżdżają się klaskając z bicia. Kiedy niekiedy targ ich zatrzymuje, znawca opatruje, maca gruczołków pod gardłem, ogląda nogi, zęby, uśmiecha się i targuje.

A w targu jest sztuka i wielka sztuka. Kto nie umie kupować, ten i przepłaciwszy, nie kupi, trzeba mieć doświadczenie i zimną krew kupca z profesji, żeby dobrze kupić, a nade wszystko potrzeba cierpliwości. Nawet strój właściwy przykłada się do dobrego kupna, bo kupiec powinien być dosyć obszarpany, w baraniej czapce, z kijem w ręku i minę mieć zbiednioną. Zwyczajny targ od trzeciej części ceny się zaczyna i zarywa na kłótnię, która powoli potem się uśmierza, aż do ugody przyjdzie.

Ku południu zwiększa się liczba ichmościów, którzy z fajkami w ustach, z laskami w ręku, najpoważniejszą część jarmarku stanowią, pań także i panienek kapelusowo-szlafrkowych, które się niespokojnie oglądają, czy kto młody, przystojny, na nie nie patrzy. Niektóre fizjonomie dobrze dokonana sprzedaż ożywia, inne dobre kupno, inne jeszcze dobry trunek, smutnie tylko ziewają ci, którym na wyjeźdźnym z domu stara baba z próżnym wiadrem przeszła drogę, i którzy dlatego nic zarobić na jarmarku nie mogli.

Na końskiej uliczce koło wołów ku wieczorowi dopiero brzęczą pieniądze, bo każdy kupujący w nadziei, że sprzedający spuści z ceny, czeka z kupnem do wieczora. Wieczorem obraz jarmarku całkiem się odmienia.

Jak wszystko, co się kończy, jak bał, gdy świece gasną, jak gra, gdy stolik odstawują, jak wszelki szal, gdy po nim tylko usta spalone zostaną, tak i jarmark smutny jest przy końcu. Niestety! Wszystko się kończyć musi.

Tam pijani, pokrwawieni trochę lub tylko pobłoceni, taczają się z babami za ręce trzymając i śpiewając chrypliwie, powoli i cicho. Żydzi śpiesznie pakują resztę towarów, zmierzch pada. W karczmie rozbite kieliszki i szklanki, pobluzgane stoły, błota pełno, pijacy śpią pod ławami. Na rynku drzemią przygasłe ogniska, walają się szczątki jadła, stare łapcie i szmaty, tam i ówdzie krew zabitych baranów psy liżą spokojnie. Koło płotów znać po śladach woły, których już nie ma, kołki z nich powyrywane, gdzieniegdzie wytratowana ziemia, tam coś rozsypanego, tam rozlanego. Po drodze wozy różnie sprzężone końmi, wołami, wracają. Wszyscy weseli, bo wszyscy prawie pijani, prócz Żydów. Cygan z żoną i synową, czarny, zasmalony, odarty, któremu koszula przez kozuch z boku wygląda, gada jeszcze w kącie z chłopem, tajemnie i po cichu. Ten czapkę nową nasunawszy na uszy, z fajką zagasłą w zębach, z krzesiwem w ręku, które z kalitki dobył, krzesze ogień po palcach i skrzesać nie może. Dwie Cyganki z czarnymi włosami a białymi zębami otaczają go ze dwóch stron i gładząc pod brodę, starają się przekonać.

Wszystko się pakuje, wyjeżdża i śpieszy do domu, przed chatami mieszczan żegnają się z nimi ich krewni, powinowaci, kumy, swaty i znajomi ze wsi sąsiednich, całują się i rozchodzą. Ta scena jest najczystsza i najczulsza ze wszystkich obrazów jarmarkowych.

- Dziękujęm za wszystko – wołają odchodząc.
- Wybaczajcie to – odpowiadają gospodarze.
- D o b r z e w y b a c z y ć n a j a d ł s z y s i ę .

Jest to dosłowna forma dowcipnej odpowiedzi, którą sto razy śmiechem naiwnym i prostym przyjmują i zawsze jak gdyby nową. Po czym gospodarze ukłony jeszcze z daleka przesyłają, zwracając do chaty. A może ciekawi jesteście jak siedziba Poleszuka zamożnego wygląda?

Podwórko otoczone jest chlewkami różnego kształtu i wielkości, błotniste, ścieżką wydeptaną przedzielone, prowadzącą do sieni, w których duży wieprz karmny poufale chodzi i mruczy, znając, że jest faworytem domu. Kilka kur sadowi się na belce do snu i trzepiocze układając skrzydła. Przez wysoki próg wchodzi się do białej izby, izby paradnej, gdzie jest piec, na którego przodzie palą się skałki smolne, koło pieca ława, w głębi poczęte krośna, kołyska dziecka i stół także otoczony ławami. Ściany dokoła opasują ławy. Ku drzwiom stoi ceber, rażka, garnki na półkach i kwarta stara. W głębi, w kątku pod obrazem dzieża chlebna szanowna, poważna zajmuje miejsce pod opieką błyszczącej N. Panny, roztaczającej nad nią swój płaszcz gwiazdzisty.

Nade drzwiami i oknami krzyże i symboliczne słowiańskie charaktery wejścia wszelkiemu złemu bronią, wycięte pobożną ręką dziaka, który dla wiecznej pamiątki dodał na średniej belce rok 1790.

Próżno by tu kto szukał śladu podłogi, nie ma jej, tylko ubita ziemia. Okna maleńkie, w części z okrągłych szybek złożone, a przemyślny gospodarz ściany swoje, czysto wybielone, gliną żółtą do połowy od spodu, żeby mu nowej świty nie bielily, pociągnął.

Na ławie pod piecem siedzi stara kobieta z fajeczką w zębach, z oczyma wlepionymi w garnki, koło drzwi szczepie drewna wysoki parobek, z fajką także, młoda kobieta kołysze dziecko, drzemie i śpiewa.

Takie jest wnętrze chaty janowskiej.

Tymczasem na drodze wiodącej ku młynkowi rozmijają się bryczki, wózki, konni i wszystko opuszcza miejsce jarmarku, na cały rok puste znowu jak przedtem, aż do śś. Szymona i Judy.

STYR I HORYŃ¹

Jedną z rzek Polesia najznaczniejszych, po Styrze, jest Horyń, którego brzegi nie bez przyczyny z piękności są sławne. Nad Styrem, równie jak nad Horyniem, wiele jest osad i śladów bardzo wielu zamczysk obronnych, dawniej zawsze prawie u zbiegu rzek lub przynajmniej nad ich brzegami stawianych.

Styr, rzeka spławna, wypływa z góry niedaleko sławnego w historii Wołynia zamku Oleska, a wpada w Prypeć na Polesiu. Wylewy jego zapewniają zbiory obfite siana lub jarzyny na łęgach nadstyrowych, byle tylko zbyt długo nie trwały i powtórzyły się późną wiosną; a wody ułatwiają handel drzewny, wiele dawniej znaczący dla Polesia, bogatego w lasy towarne.

Tutejszym mieszkańcom Styr jest tym czym Nil dla Egiptu. Bogaty w ryby, jako bieluszę, czasem trzyłokciową, głowacza (hołowel), płocice, mareny, kielby, wierzuby itd., płynie ciągle prawie lasami i łęgami, rzadko bardzo brzegi ma dostępne i suche. Nad nim, prócz bardzo wielu innych, stoją zamki łuckie i czartoryjskie.

Horyń poczyna się koło Usteczka na Wołyniu, obfituje w ryby, brak mu tylko niezdrowych a tak smacznych węgorzy. Znaczniejsze stawy na tej rzece, które jeszcze nasz Rzączyński wspomina², są w Butynie, Młynowie, Muszkowicach, Wiśniowcu, Łozach, Predmirkach, Pańkowcach, Jampolu, Lachowcach, Zasławiu.

Oprócz połowu wierzuby,³ wspólnego Horyniowi ze Styrem, Słuczą i Strumieniem, oprócz czeczugi (sturio minor vel oxyrinchos), bają nam nasi dawni naturaliści o perłach nawet w Horyniu pod Ostrogiem, które raz na wiarę obcych wzmiankuje Rzączyński,⁴ drugi raz już jako naocznie widziane, niewielkie.⁵ Lecz to najmniejsza dziś osobliwość Horynia. Tenże naturalista wspomina róg jednorożca jakiś wykopany pod Bahurynem, pod Zalinem i gajem Chodaki⁶ nad Horyniem, któremu osobliwsze własności lekarskie przypisywali empirycy.⁷

Jadąc brzegami Horynia od wsi Cepcewicz niedaleko miasteczka Bereźnicy, odkrywają się piękne, wśród których ta rzeka wstęga płynie. Cepcewicze, wielka osada, dziś na wielu drobnych podzielona właścicielami, ma jeszcze ruiny wielkiego i pięknego pałacu i pusty ogród. Żaden z tych, którzy po części rozerwali za długi tę piękną osadę, nie chciał wziąć na siebie ciężaru, jaki by na niego spadł z objęcia ruin pałacu, i tak budowa tak, jeszcze nie stara,

¹ G.Rzączyński, *Auct[uarium historiae naturalis]*. B.m.d] 1742, s.200

² *Auctuarium [historiae naturalis...]*, s.197

³ [G.Rzączyński], *Historia naturalis curiosa*[Regni Poloniae,Magni Ducatus Lithuaniae annexarumque provinciarum in tractatus XX divisa.Sandomierz 1721 s.136

⁴ *Historia naturalis curiosa* s.32

⁵ *Auctuarium [historiae naturalis...]*,s.67

⁶ *Auctuarium [historiae naturalis...]*,s.14-15

⁷ „...vires praecipitantes, diaphoretices et alexi pharmacas”, id[em], ib[idem].(działanie przeczyszczające, moczopędne i moc zapobiegania truciznom”)

opuszczeniem niszczała. Stare drzewa, widok na łęgi dalekie, ruiny pałacu na wzgórzu zdobią bardzo Cepcewicz. Od tej wsi jadący brzegiem Horynia zaczyna spotkać kurhany czyli mogiły, zabytki wojny jakiejś i rzezi, skupione koło osad po kilka i kilkanaście. Miejscowe podania nic o nich stanowczego nie mówią, wiek ich jednak pokazują jawnie porosłe na nich ogromne już sosny. Koło samych Cepcewicz a wjazdu od strony Bereźnicy jest gromada takich kurhanów, wśród której wywrócony krzyż leży, a dalej jadąc, spotyka się ich rozsypanych mnóstwo.

Mimo sprzecznych podań o Szwedach i Tatarach, zdaje się być niewątpliwym, że to są zabytki rzezi kozackich za Jana Kazimierza. Wiemy, że w jednym zawieszeniu broni Kozacy po Horyń – rzekę obowiązani byli trzymać się spokojnie; to więc być muszą mogiły z rzezi pierwszych po przejściu nieprzyjacielskim Horynia. Wszystkie kurhany w tej części kraju do tej epoki, zdaje się, odnieść należy. W różnych stronach Polesia Wołyńskiego z tejże epoki znajdują się mogiły niedaleko osad, zamczysk i horodyszcz starych. Inne, po których rozkopywaniu nic się nie pokazało, mogą być kopcami, którymi Tatarzy, pędząc w głąb kraju zagony, znaczyli drogę, którą szli, aby nazad, splądrowawszy kraj, po nich z łupami na stepy trafili. Gdzie ich jest kilka lub więcej, kurhany tutejsze są zabytkiem wojny a może śladem dawnego smętarza, pojedyncze zaś po lasach, jeśli się jakim podaniem miejscowym nie tłumaczą i nazwisk osobnych nie mają, mogą być wspomnianymi kopcami drożnymi Tatarów. W ogólności Polesie Wołyńskie nosi w gruzach zamczysk starych, w mogiłach i wałach, ślady wielu wojen i klęsk przeszłych, które przeżyło. Na wielkiej liczbie trafiających się horodyszcz, często bardzo od teraźniejszych siedzib oddalonych, odkopują kamienne siekierki i inne pamiątki.

Jadąc dalej brzegami Horynia, który się często z głębokich parowów okazuje i chowa, najeżdżamy na uroczysko zwane Skoczyszczem. Prześliczne miejsce do malowania, do dumania. Horyń ściśniony płynie w dole, a nad nim wiszą poplecione drzewa sosny, dęby, brzozy i gęsta leszczyna; wody jego otaczają dokoła wyspę zieloną w dole, u stóp patrzącego położoną, dębami starymi okrytą, na której jeśli się jeszcze bydło pasie – prawdziwa sielanka! Na dobitkę wiąże się jeszcze z tym miejscem podanie, jedno z tych, jakie tylko na Wołyniu lud umie tworzyć i opowiadać wśród długich wieczorów zimowych.

Kozak, który mnie wiozł wielkim galopem, kiedym go naumyślnie o to miejsce spytał, kiwnął głową i z poetyczną prostotą właściwą Ukraincom (był bowiem z Ukrainy rodem) zaczął mi opowiadać.

– O panie – mówił mi swoim językiem – alboż nie wiecie, czemu się to Skoczyszczem nazywa?

– Nie wiem.

– Ja wam powiem. Straszna tu się dawniej rzecz stała. Bo była jedna dziewczyna bardzo piękna (harna), a dwóch parobków w niej się kochało i chodzili za nią, i dawali jej dary, i posyłali do niej w swaty. Ale jej czy zły duch serce zaklął, czy złe oczy zamówiły, nie mogła kochać żadnego, a obu obronić się nie mogła. Rodzice co dzień mówili: trzeba pójść za mąż. Jej się nie chciało. Bo w chacie ciężkie życie młodycy, pańszczyzna, dom, a jak Bóg da dzieci, to nie ma czasu i głowy przyłożyć. Jeszcze to kiedy dusza do duszy przystanie, a ludzie się pokochają, mogą znieść takie życie; a tu dziewczyna nie kochała z nich żadnego i nikogo jeszcze. Oddalała więc ich różnymi sposobami, to aż skończy krośna, to jak pas wytcze, to jak siostra dorośnie. Aż się w końcu przebrało wszystkiego i rodzice naglili – trzeba było kończyć z nimi. Wzięła się więc biedna na zły sposób. I jak szli z prązniku koło tego miejsca, gdzie rzeka między parowami, jak widzicie, płynie szeroko na staje, powiedziała im pół żartem, pół doprawdy: – Który z was rzekę przeskoczy, za tego pójdę. Bo myślała może, że oni ją porzuca, gdy im tak powie. Ale oni szli do cerkwi i wzięli błogosławieństwo, nic nie mówiąc, od popa, i całowali krzyż i Ewangelię, a potem szli nad brzeg rzeki, a przeżegnawszy

się, skakali jeden po drugim, i oba potonęli dla dziewczyny. Co zobaczywszy ona – sumienie ją ruszyło i żal wziął za nimi.

– D w i d u s z y z h u b i ł a, n e c h a j i j a h y n u! – zawołała i trzecia skoczyła w Horyń, a odtąd to miejsce Skoczyszczem się zowie.

Już mnie konie daleko odniosły od Skoczyszczu, a jeszcze myślałem o tym osobliwym podaniu, tak poetycznym, tak smutnym, jak narodowym. Uważcie, że dwaj parobcy szli do cerkwi przed fatalnym skokiem, że się żegnali i ufali w Bogu, że biedna dziewczyna nie zniosła ich śmierci i poszła za nimi. Cały poemat, a przynajmniej piękny śpiew by uszyć można z tego podania; lecz żeby był zupełnie pięknym, trzeba by go pisać językiem tutejszym, gminnym.

Podjechawszy dalej, ukazał mi się krzyżyk nad drogą na mogile. A mogiła zarzucona była gałęzmi; poznałem, że to było miejsce pogrzebu samobójcy lub przypadkiem zabitego człowieka. Zwykle takich nagle zmarłych chowają na rozstajach lub przy drogach, a każdy przechodzień rzuca tu modlitwę za jego duszę i gałąź na grób. Stąd formują się stosy gałęzi nad drogami, które są oznakami mogił nagle zmarłych ludzi. Krzyżyk, któryśmy mijali nad samym brzegiem Horynia, postawiony był biednemu flisakowi, który w rzece utonął, i tu został pochowany. Wieczny spoczynek biednemu! Pewnie płynął najęty za pieniądze, które jego panu zapłacono za niego jak za konia najętego do pracy; a płynąc, oglądał się na rodzinną chatę, na żonę, dzieci stojące u brzegu, płynął posłuszny i utonął. A pan żałował pańszczyzny i chaty, nie człowieka, schował pieniądze, wdowę puścił o żebranym chlebie.

„Cóż to za poetyczny kraj! – myślałem, jadąc dalej. – Ile tu myśli można po drodze zebrać, ile przedmiotów do dumania. Ruiny pałaców, mogiły, podania!. Obrazy tak piękne”.

Im bliżej Horodźca, tym weselej było, bo lud zamożniejszy, lasy calsze i powietrze nawet miłsze; a choć Horyń z dala na lewo się został, nie żał mi go było wcale, bo widziałem już przed sobą horodeckie topole, bielący pałac i zabudowania, długą wieś na prawo; powitałem krzyż znajomy nad drogą, znajome ścieżki przechadzek – tyle pamiątek drogich, choć nie historycznych.

OSSOWA FELIŃSKIEGO

Parva, sed apta mihi, sed nulli obnoxia.

Ariosto

Przebywszy⁸ długie i szerokie lasy, trochę piasku, trochę błota, napatrzywszy się sosen, którymi się tak brzydzę jak czerotem i piaskiem, zbliżałem się wreszcie do Ossowej. Po drodze mijałem Stepanhorod, osadę wśród najdzikszego Polesia leżącą, prawdziwie nie piękną, lub tak przynajmniej dziwnie piękną, że jej wdzięku dopatrzeć się trudno, cały bowiem ten obraz składa się tylko z głównych pierwiastków piasku, błota i sosen. Z tego materiału żaden geniusz w świecie nic prócz pustynie nie utworzy. Ożyw ją, czym chcesz, budowami, ludźmi, zwierzęty, będzie to zawsze smutna tylko pustynia. Ale daj mi brzozy, dęby, doliny, wzgórza, traw lub rzeczulkę czystą, choćby tam ludzi, choćby tam muchy nie było, już to pustynia nie będzie. Na nieszczęście w głuchym Polesiu rzadko ujrzeć innego składu obraz, wszędzie piasek, błoto i sosny zajmują na przemian przestrzenie i szpecą.

Często dzień cały podróżny nie ma gdzie okiem spocząć na czym weselszym. To czyni podróż niektórymi stronami Polesia bardzo nudną. Spojrzysz w dół, pod twymi nogami obsuwa się piasek żółty, nagi, nie pokryty żadną roślinką, posypany tylko z wierzchu żółtymi igłami i szyszkami sosen. Przed tobą wyciągają się długie groble i tak zwane nakoty, a po obu ich stronach kępiaste puste błoto, na którym stożyska lub stogi pojedynczo stoją i trawa gruba, szorstka kołysze się powoli od wiatru. Gdzieś tam przez rów pluszcze się wąż lub piskorz, a nad nim ulatuje sroka, wrona, krzykliwy bekas lub żałobliwie piszcząca czajka. Sosny, które otaczają błoto, nie są to owe piękne drzewa proste, bez gałęzi od spodu, z wierzchu uwieńczone koroną gęsto splecionych gałęzi, lecz krzywe, chore, mdłe, najczęściej podsmalone pożarem od spodu, pół czarne, pół blade zielone, wynędzniałe jak ludzie na złym karmie i w złej doli. Zważcie tedy, czy te strony Polesia, w których pejzaż składa się z tych tylko jednostajnych pierwiastków, mogą być piękne? Lecz razem nie myślcie, żeby całe Polesie takim było. Są w nim i bardzo piękne miejsca, pierwsza Ossowa, do której już jedziem, wcale jest niepodobna do poprzedzającego opisu okolic Stepanhoroda.

Dla profanów, którzy lubej Ossowej znać wewnątrz i kochać nie mogą, jak ja ją kocham dla jej mieszkańców, muszę powiedzieć, aby wzbudzić zajęcie, że była dawniej własnością Alojzego Felińskiego, autora *Barbary*. Stoi tu jeszcze jego domek i jest jego pokój, w którym swoje arcydzieło urodził.

Ossowa położona jest piękniej nad inne okolice poleskie, dwór stoi na wzgórku nad przepływającą w dolinie rzeczką Bereżanką, nad którą rozrzucone są stare olchy. Na lewo gaj z dębów, klonów i lip starych cudnie zasłania niemiły widok na sosnowe lasy. Na prawo wieś się długo rozciąga, aż do młyna i stawu, wśród której stara cerkiewka, ocieniona drzewami,

⁸ Czytelnicy zechcą uważać, że rozdziały pojedyncze nie mają między sobą koniecznego związku podróży jednym ciągiem odbytej.

się wychyla. Wszystko to opiera się na tle oddalonym lasów. W tyle domu widać także wśród trzebieży wieś Kidry, wzgórze, lasy, pola, a wreszcie las opasujący każdy widok poleski.

Któż nie słyszał o Felińskim, kto nie czytał jego patetycznej *Barbary*, jego gładkich, bo niestety, gładkich tylko gładkiego Delille'a przekładów? Ale mało kto zna jego życie i jego Ossowę. Wybór Delille'a i Alfieriego dość charakterystycznie pokazuje smak jego i teorią literacką. Feliński nie był to jeniusz ani nawet wielki poeta, ale w wysokim stopniu odgadł i wyuczył się mechanizmu języka, miał wielką wprawę we władaniu nim i wiele cierpliwości w obrabianiu i szlifowaniu swoich robót. Zbyt zimny na poetę, nawet w swojej oryginalnej *Barbarze*, jakże jest przejęty manierą Alfieriego, jak mało dał jej ruchu, a jak wiele słów!

W jego gabinecie, nad kominkiem, jest jakby wydarty ze stereotypowej edycji Didota portret czyli biust uwieńczony, a raczej tłusta karykatura Wirgiliusza. Pokój ten, w którym pracował, ma jedno okno, drzwi szklane na ogród, jest zimny, długi i smutny, trochę go tylko ożywia kominek.

Feliński dostał Ossowę w spadku, miał na niej nadzieję wielkich spekulacji. Położona w ogromnych lasach, naówczas jeszcze nie tkniętych, które większą część dwóchset kilkudziesiąt włók obszarności majątku tego zajmowały, zdawała mu się nie bez przyczyny zdatną do zasilenia długiego handlu drzewnego, który w owym czasie właśnie się ożywił. Jakoż zaniedbawszy zwyczajne gospodarstwo, wziął się Feliński szczerze do wyrabiania lasu, balów, klepek, potaszu, najmował ludzi, kupował charcz, zaciągnął długi, a że wszystkiemu chciał sam podołać razem, i pisał *Barbarę*, ciął las, robił klepkę i tłumaczył Delille'a, nie bardzo dobrze poszły spekulacje. Dodajmy do tego, że zły obrót użytych do sprzedaży komisantów, złe lata, słowem – fatum zrządziło, że kilkakrotne kilkoletnie próby nic mu prócz coraz rzeczywistszych strat nie przyniosły. Zrażony naówczas, porzuciwszy spekulatorstwo, przyjąć musiał posadę naukową w Liceum Krzemienieckim, daleko dla niego korzystniejszą od wyrabiania lasu. Feliński miał syna, ale ten kąpiąc się w rzece utonął, miał dwóch braci i rodzina jego żyje jeszcze.

Dowiedziawszy się niektórych szczegółów jego życia, ze smutkiem myślałem o nim. Był on lubiany w sąsiedztwie, które bardzo umiało cenić jego talenta, litując się jak nad słabością, nad szczególną manią spekulacji, której złe skutki przewidywali wszyscy. Nieszczęściem jeden talent zawsze prawie daje człowiekowi mniemanie, że może być zdatnym do wszystkiego, gdy tymczasem nic prawdziwszego nad to, że podział talentów prowadzi za sobą podział pracy. Niezmierne mało jest ludzi, których można uważać za zdatnych do wszystkiego, a i ci albo w czymś jednym są najznamienitsi, albo we wszystkim, co czynią znośnie, tylko mierni. Nie pojmuję, jak Feliński spodziewał się pogodzić skutecznie zatrudnienie spekulatora i poety; te dwa stany umysłu tak sobie przeciwne, jak dwa bieguny. Spekulacje zostawione są tym ludziom z niskim czołem, o świecących oczach, o chudej twarzy i skrzywionym ciele, którzy do niczego więcej za to nie są zdatni, prócz do robienia pieniędzy. Tacy ludzie są czasem potrzebni raz w kilkaset lat na podkrzepienie upadającej fortuny lub wzniesienie jakiej nieznanej rodziny, mającej zająć miejsce innej znikłej. Lecz poeta mógłżeby kiedy zniżyć się aż do spekulacji, aż do drobnostkowych rachub zysku, którym poddać się tylko może głowa, rozum i oczy takie, dla których świat cały i niebo zakryte są holenderskim dukatem? Spójrzcie na tych, co się dorobili lub dorabiają majątku – któż oni są? Pewnie nie poeci. W ich żyłach płynie krew zimna, skrzepla, gęsta, serce bije powoli, oczy się tylko i to czasem iskrzą. W ich przodkach naliczysz dawnych przerodzonych wychodźców Judei, szczątki krwi germańskiej, kroplę wędrowną z żył John Bulla lub gałąz szczepu włoskiego skarłałego od lat kilkuset. Spekulator żyje w pieniądzu, jego oko widzi grosz pod ziemią, w wodzie, w drzewie, w niebie i na każdym miejscu, widzi go we krwi własnych dzieci, w uśmiechu własnej żony; gdyby mógł go z siebie wyciągnąć dla siebie, sam by wlał w alembik. I takim to się udaje, przytomność umysłu zwróconego przez całe życie w jeden punkt, wprawa, szalbierstwo, instynkt, wszystko im pomaga. Ale człowiek

porosty, pocciwy, człowiek – poeta jeszcze bardziej niż kto inny nie wyjdzie na spekulacjach, chyba osobliwszym przypadkiem. Jeśli sobie przyswoi za prawą rękę spekulatora jakiego, spekulator go odrze, oszuka, ukłoni się i pójdzie. Biedny Feliński!

Jeśli w jego dziełach niezbyt popularnych nie ma on dość upowszechnionej pamięci u świata, została przynajmniej po nim językowi w puściźnie „jota”; którą on wskrzesił, za którą krzyczano na niego wniebogłosy, którą nareście przyjęto powszechnie. Zdaje mi się, że pierwszy „Tygodnik Warszawski” ośmielił się jej użyć. A z jakąż zgrozą patrzała Warszawa, sarkano Wilno na ten ogon! Wydobyto zapyłone *Biblie* XVI wieku, szukając tam joty, zapisano tyle papieru, zmarnowano tyle czasu, a na koniec przyjęto. Czy nie lepiej było zacząć od tego, na czym miano skończyć? Prawda, że wszystko na świecie nim wejdzie w upowszechnienie, musi przechodzić krwawo jak ta jota, bo człek jest schylony pod panowaniem nałogu, pod ciężarem przesądu, pod brzemieniem uporu; a to wszystko czas tylko leczy.

Kilka listów Felińskiego, które mi się zdarzyło czytać, okazywać się zdają wielką żywość charakteru, pisane prędko, wprawnie, niedbale; płynęły jak myśl. Znać w nich człowieka, który się śpieszy i ceni swój czas. Wielkie litery, ręka wprawna, frazesa pospolite, ale żywe. Jest w nich wesołość i życie; łatwo uwierzyć tym, którzy powiadają, znając go, iż był żywy, wesół, poruszający łatwo towarzystwo, czuły i dość wielomówny.

W listach, których wyjątki dała nam p. Tańska, często o swojej Ossowie wspomina i o projektach, jakie miał na nią, wynurza się nawet z upodobaniem, jakie miał dla niej.⁹

W r. 1796 tak pisze o niej: „Oprócz tego wypuszcza mi matka i nieintratną wioseczkę w Polesiu Ossowę, z której ja jednak bardzo kontent jestem. Będę w niej gospodarował à la dziedzic, to jest mając wzgląd nadal i spodziewam się znaleźć tam dość zatrudnienia przyjemnego i nieprzyjemnego, dosyć wygodny i zupełną spokojność. Tak dzieląc mój czas na mieszkanie w Klepaczach, w Ossowie i w Wojutynie, na przejażdżki czasem do Lwowa, do Zasławia, nie rozumiem, żebym się nudził, a jeśli się to zdarzy, to będzie moja wina”.

Tegoż roku w grudniu tak swoją Ossowę opisywał: „Postawiłem tego lata domek tu w Ossowie i mam już jeden pokój skończony, w którym mieszkam. Domek nie tak wielki, jak w Wojutynie, ale zdaje mi się, że wygodniejszy, może dlatego, że go sam stawiałem. Chcę na nim napisać, co Ariost napisał na swoim: *P a r v a , s e d a p t a m i h i , s e d n u l l i o b n o x i a , s e d n o n s o r d i d a*, ale nie śmiem dodawać *p a r t a m e o s i t t a m e n s e r a d o m u s*, bo mi matka na niego daje pieniędzy.

Z Klepacz niewiele jeszcze uzbierałem, bo choć mam dosyć zboża, ale teraz nie płaci, a Ossowa, wiesz, że nie bardzo intratna. Pisząc ci tak wiele o tej Ossowie, która podobno ma odtąd zostać moją wsią rezydencjonalną, kiedy mam w niej domek, ogródek i książki, muszę ci dać o niej jakiegokolwiek wyobrażenie. Jest to wioseczka mająca tylko 8 dusz męskich, ma rzeczki, gaiki i wiele położeń romansowych, ale chleba dosyć mało, leży o dwie mile od Dąbrowicy, miasteczka położonego nad Horyniem”.

W r. 1800 już pokończył był ulepszenia w Ossowie i tak o niej pisał: „Wioseczkę dziedziczną Ossowę, na którą mam dymisję od matki, oporządam, jak mogę. Skończyłem domek, założyłem ogródek, poprzyrabiałem łąnow, pobiłem rowy w miejscach mokrych, poprostowałem drogi i w przeszłym roku odgraniczyłem się i okopczyłem, skończywszy szczęśliwie sprawę w trybunale graniczną, przez lat kilkanaście od mego ojca popieraną. To jest wszystko dobrze”.

Prawda, że dobrze, bo Feliński na wioseczkę, która w r. 1796 miała 8 dusz męskich,¹⁰ dostał powierzchni ziemi 200 kilkadziesiąt włók, w większej części pod najpiękniejszym lasem towarowym. W roku 1805 otworzyły się projekta handlowe: „Tej jesieni – pisze – skończyłem dział z bracią (miał ich dwóch). Na mnie wypadła Ossowa. Mam tedy teraz dwa

⁹ [K.z Tańskich Hoffmanowa, O A.Felińskim] „Rozrywki[dla Dzieci”] 1826 t.6 nr35 s.233 i dalsze.

¹⁰ Dziś ma ich półtorasta; co za różnica ludności!

dziedzictwa o 30 mil od siebie odległe i Ossowę, i część Wołosowa (po żonie), wypada więc jedno sprzedać albo puścić dzierżawą. Tak wypadnie zapewne, że będziemy mieszkać w Ossowie, gdzie już przywykłem i trochę udoskonaliłem. Potem, że lepsza wioska odrębna i spokojna, niż część we wsi z sąsiadami. Będę też miał fabryczkę balów i klepek, które tam popłacają. Może dla ich przedania pojedę do Gdańska i wstąpię do was”.

W r. 1809 w marcu przyjmował w Ossowie Feliński autora Ludgardy, ks. Antonowicza i hrabię Tarnowskiego. Tak czas jego w pracy podwójnej, korespondencji i zajęciu ciągłym upływał. W roku 1811 posłał Feliński *Barbarę*, napisaną w Ossowie, w pokoiku swoim, przyjaciółom i wyprawił ją stąd na świat.

W r. 1814 puścił Ossowę Józefowi Stachowskiemu, późniejszemu jej nabywcy, w posesję, lecz nie bez żalu, który w liście jego w grudniu z Ossowej jeszcze pisanym wydaje się: „Interesa po śmierci stryja i brata mojej żony na mnie spadłe przymuszają mnie opuścić na czas jakiś Ossowę. Zadzierżawiłem ją na trzy lata, a sam z rodziną przenoszę się do drugiego małego dziedzictwa o dwie mile od Żytomierza. Żegnając te łube miejsce, ten ogród, który sam zaszczerpiłem, ten dom, który zbudowałem i gdzie lat 18 przyjemnie spędziłem, żegnając moich szczęśliwych sąsiadów, żegnam i ciebie”.

W r. 1817 już Ossowa była sprzedana: „Przedałem – pisze – Ossowę dla spłacenia posagu siostrze i dla uniknięcia szkód nieuchronnych, jakich przez zadzierżawienie albo przez odległe gospodarstwo ciągle doznawałem”. Niestety, straty te winien był Feliński swoim nieszczęsnym widokom handlowym, które go w długi wypędziły. Otóż i cała historia Ossowej Felińskiego.

Znajomi Felińskiego żyją tu jeszcze i mile go wspominają. Powiadają, że miał coś w sobie okazującego wyższość umysłową, jaka tylko ludziom niepospolitym jest dana. Swoje poezje niegodziwie czytał. Mówią, że gdy swoją *Barbarę* przed starą matką deklamował, tej ku końcowi tak się żal losu młodej królowej zrobiło, że zaczęła go najmocniej prosić, aby inny, szczęśliwszy jej dał koniec.

„Wszak to od ciebie zależy – rzekła – zróbże ją szczęśliwą!”.

Co za naiwny dowód uczucia i przejęcia się stworzonym przez poetę światem! Feliński czytywał zwykle wieczorami swojej starej matce książki pospolicie francuskie, a że staruszka nie umiała tego języka, z największą cierpliwością czytając tłumaczył. To dowodzi jak patriarchalnie był to niej przywiązany.

STEPAŃ¹¹

Stepań jest to małe, lecz starożytne bardzo miasteczko nad Horyniem w dość pięknym położeniu u samego brzegu rzeki, otoczone wielkimi ciągami lasów dokoła, w których niegdyś, jak wspomina Rzączyński, znajdowało się mnóstwo łośiów. Należało ono do niezmiernych dóbr książąt Ostrogskich, potem do ordynacji tegoż imienia. W XIV już wieku jako znaczniejsze miasto wspomina je jegograf ruski.¹² Był to klucz potem, który dostarczał 63 konnych żołnierzy na potrzeby wojenne, wedle wyznaczenia. Z podziału ordynacji dostał się ów księciu Józefowi Lubomirskiemu podstolemu litewskiemu, a później przeszedł w ręce hrabiów Worcellów.

Świadczą u brzegu rzeki położone starożytne wały zamczyska i reszta gruzów, a mogiły w okolicy, że ten zakąt poleski był także niegdyś wojny teatrem. W r. 1649 Czarniecki ze Smoguleckim, upędzając tłuszcę kozacką plądrującą te kraje, pobił ich pod Stepaniem, jak wzmiankuje prócz innych Twardowski Samuel.

*Jako niemniej Czarniecki, znamienitą drogą
Swoją się pod Stepaniem zalecił przysługą,
Z Smoguleckim pospołu i lekcejszych kilką
Kornetów Dragoniej. Lubo to nie tylko
Jakiej się spodziewali, korzyść stąd odnieśli.
Gdy po błotach, po lasach chłopci się rozešli.*

Dziś Stepań więcej dla żyjących swoich mieszkańców, niż dla szczupłych pamiątek historycznych godzien jest tutaj wspomnienia. Starodawna synagoga murowana w stylu gotyckim, kilka cerkwi, jeden kościół parafialny katolicki, smętarz z grobem Worcellów na kształt piramidy – oto wszystkie nieżywe Stepania osobliwości. Struktura synagogi ponad samym brzegiem Horynia postawionej zdaje się wielką dawność okazywać. Żydzi tutejsi mają tu swego magida, rabina rabinów, który się biało ubiera, który ma być arcymądrym i którego oni wielce szanują. Z daleka nawet, jak wieść niesie, cięższe do rozstrzygnięcia sprawy do jego sądu aż tu przynoszą. Magid nie umie po polsku, ani po rusku, tylko po hebrajsku i zepsutym językiem niemieckim, jeździ koczem i musi siebie liczyć do siedmiudziesiąciu dwóch mędrców,¹³ na których świat żydowski stoi.

¹¹ [G.Rzączyński], Auctuarium [historiae naturalis...], s.305

¹² U Schloezer [A.L.Schloezer, Geschichte von Littauen, kurland und liefland. Halle 1785]

¹³ [S.Twardowski], Wojna Domowa [zKozaki i Tatary, Moskwą...przez lat dwanaście tocząca się dotąd. Kraków 1660] s.49

Dzisiejszy stan Żydów, ujętych po większej części w prawa ogólne, znany jest dobrze. Dawniej jurysdykcja zwierzchnia nad nimi do zarządu duchownego, nie wiem dlaczego, należała. Synody diecezjalne stanowiły przepisy zachowania się, życia i zewnętrznych stosunków otaczających ich ludźmi innych wyznań, mianowicie katolickiego. Nadzwyczajna nietolerancja, okazuje się w tych wszystkich ustawach. Tak na przykład synod łucki 1726¹⁴ roku załedwie im dozwala stare synagogi naprawiać, a nowych wznosić, mianowicie murowanych, wyższych i obszerniejszych, surowie zabrania. W jednym mieście jedną tylko bożnicę przepisuje, nakazuje dla rozróżnienia odrębny ubiór od chrześcijan (żółte czapki i strój ogołocony z ozdób i klejnotów), zabrania pokazywać się na ulicach w czasie Wielkiego Tygodnia; procesji; drzwi i okna domów, gdy katolicy uroczyste z Najświętszym Sakramentem przechodzą, przykazuje zamykać; na odgłos dzwonka do domów uciekać i kryć się. Zabrania wreszcie Żydów poborcami stanowić, jak się często zdarzało, do czynszów i danin, które dzierżawili od panów na Wołyniu, a w tym daje za przyczynę ich nieprzyjaźń i nienawiść dla chrześcijan,¹⁵ zabrania dzierżawić ceł, poborów, majątków i te ostatnie na dziedzictwo nabywać. Co dziwniej, postanawia tenże synod łucki, albo Żydzi, za to, iż zajmują miejsca, na których chrześcijanie mieszkali, płacili na lampy do kościołów jaki podatek. Przykład tego rodzaju zapisu znalazłem w nadaniach kościoła sapieżyńskiego w Kodniu, gdzie jeden z fundatorów sumę pewną na Żydach na utrzymanie lampy w kościele przeznaczył i do tego ich zobowiązał. Tenże jeszcze synod, o którymśmy mówili, zabrania obcować i mieszkali chrześcijanom z Żydami, jeść z nimi, najmować się im za stróżów do mogiłek, w święta, jak jest zwyczaj, świece im ucierać i zapalać, za hamana im służyć, jeść ich azyma, do łaźni z nimi uczęszczać itd. Tenże synod nadal karczem w bliskości kościołów stawiać zakazał, a w pozostałych w czasie nabożeństwa pić, śpiewać i tym podobnie znieważać chwilę uroczystą modlitwy.

Tak srogi były ustawy na papierze, czytamy je nie tylko tu, lecz wszędzie, jednakże nie wszystkie one przychodziły do skutku i choć gdzieś uciskano Żydów, nigdzie się oni uskarżać nie mogli na zupełnie ściśle wykonanie urzędów dla nich postanowionych. Ponieważ ten kraj zwano ich rajem i ziemią obiecaną, a gdyby kiedykolwiek na nich cała srogość praw się złała, byłiby, zabrawszy kości ojców z okopisk swoich, poszli, otrząsając pył z nóg, do przyjaźniejszego kraju. Jednakże musiało im być tu najlepiej, kiedy tu najdłużej, najliczniej, najmniej zdenaturalizowani od przyjścia swego pozostali. Drukarnie, synagogi, szkoły, sądy, wszystko mieli, a pieniądź wydarty chłopu opłacał panów i możnych i kupował im swobody, których prawo dać nie mogło. Tylko za Jana Kazimierza i buntów kozackich wielka ich liczba poległa po miasteczkach. Mogiły niedalekie okopisk po większej części są pamiątką tych okropnych rzezi kozackich.

Nad jeden kościół parafialny katolicki¹⁶ nigdy w Stepaniu więcej nie było. Cerkwi jest kilka. Znać po szczątkach budowli, że niedawno jeszcze możni właściciele dokładali starania, aby miasteczko podnieść.

Tu w domku małym żyje teraz familia, która niegdyś posiadała ogromne dobra okoliczne i sam Stepań, z których ją okoliczności ciężkie wyzuły. Ta ruina smutna dla patrzących, więcej interesu wzbudza w sercu niż gruzы zamczyska. Starzec, któremu los odebrał majątek i dzieci¹⁷, żona jego wychowana na wielkim świecie, w wyższych towarzystwach, która przeżyła wszystkich swoich, prócz męża, która nie ruszając się z kanapy, chwili nie próżnuje,

¹⁴ [Constitutiones Synodales Diaecesis Luceoriensis...anno 1726. Warszawa 1726]. Cap. V De Judaeis.

¹⁵ „Indignum et juri divino contrarium censentes eius generis homines aliquibus honoribus et officiis inetr christianos fungi posse”[id.ibid].

(,...[ponieważ]sądzimy, że jest rzeczą haniebną i sprzeczną z prawem boskim, by ludzie tego rodzaju mogli wśród chrześcijan pełnić jakiejkolwiek obowiązki lub sprawować urzędy”).

¹⁶ Synod łucki 1726 [constitutiones Synodales...Warszawa 1726.Cap.: De paroch. Divisione]

¹⁷ Od tego czasu, kiedy to było pisanym, zaszły odmiany smutne, które nie wszystko, co tu napisano, czynia stosownym, lecz zostawiłem dla pamiątki, jak było.

której humor nie ucierpiał od straty tylu najdroższych przedmiotów, dzieci, majątku, znaczenia, której dowcipu i wesołość wiek nie przytłumił, kobieta, która oderwana od świata żywego, stworzyła sobie sama życie w pracy ręcznej i książkach; druga jeszcze kobieta, która nie będąc ani krewną, ani obowiązana tej rodzinie, poświęciła jej życie, swoją swobodę, wszystkie godziny, która się stała dobrowolną ofiarą litości i podjęła się słodzić tak gorzkie ostatki dni tej nieszczęśliwej rodziny – oto najsmutniejsza i najpiękniejsza pamiątka, najinteresowniejszy dziś obraz w Stepaniu.

W środku tego małego domku, w którym się mieszczą same pamiątki ich przeszłości, wszystko w nim pokazuje, że tu tylko wczorajszym dniem żyją, bez dzisiaj i bez jutra. Na ścianach portrety dzieci, przyjaciół niegdyś, znajomych – jedyne szczątki dawnych bogactw, stare meble, stare wspomnienia drobnostki, zbyt mało warte dla ludzi, aby je sprzedawać, zbyt wiele dla nich, aby się odważyli ich pozbywać. Dawny pan, a dziś tylko mieszkaniec Stepania, do swoich smutków nie ma przynajmniej najboleśniejszego opuszczenia od dawnych przyjaciół. Przed jego skromnym domkiem często się zatrzymują karety, koczki, powozy, posłańcy przyjaciół, których nie oddaliła przeciwność. Szczęśliwy, kto ich jeszcze w takim położeniu mieć może! Książki i desenie, które stanowią życie gospodyni domu, przychodzą jej jeszcze z rąk dawno znajomych i przypominają zapewne ten czas, kiedy ona sama podobne przysługi przyjaciołom robiła. Dla tych, którzy z sobą i wewnątrz siebie żyć umieją, niewiele do materialnego życia potrzeba, i gdyby nie straty daleko boleśniejsze od majątku, uśmiech jej byłby ten sam, co dawniej, a rozmowa i dowcip jeszcze interesowniejsze. Mimo siebie bowiem człowiek kształci się i hartuje przeciwnościami.

Niedaleko tego domku drugi domek. Izdebka ciasna, zimna, nieporządną, a w niej drugi starzec, druga ruina dogorywająca jasnym i wesołym płomieniem. Widzisz tego człowieka, któremu spod zapadłych powiek błyszczą czarne oczy, ogniste jeszcze, którego usta ściśnięte, nos burboński, wielkie czoło i większa jeszcze łysina oryginalną całkiem składają fizjognomią? Patrząc na uśmiech sarkastyczny, na jego obojętność, z trudnością uwierzysz ubóstwu. Słyszysz, jak się szczerze, jak długo śmieje, jak rozmawia poufale? Uwierzyszże potem, iż jego frak, jego bielizna, jego kątek zimny, kilka książek, dużo rękopismów, stara lornetka na żelaznym łańcuszku stanowią cały a cały majątek! Ten człowiek z drugiej połowy Europy rodem, niegdyś krewny Montmorency, sam dobry, jak powiada, szlachcic, de Gall, de Courbon, de Courtenay, przyjaciel Ducisa, współczesny i znajomy Napoleona, który zwiedził Egipt jako inżynier za imperium, który latał balonem, który znał Cagliostro i widział go robiącego złoto z merkuriusza w tyglu o dwóch dnach u Denona w Neapolu; ten człowiek, przebiegłszy Europę, Afrykę i nadpowietrzne kraje, tyle ludzi, tyle wypadków przeżywszy – siadł w Stepaniu umierać?

Życie jego, jak on sam opowiada, dziwnym jest połączeniem zdarzeń osobliwych. Dobry, lecz zapewne nie majątny szlachcic, sposobił się na inżyniera, i w tej, jakeśmy powiedzieli, funkcji jeździł do Egiptu. Po powrocie swoim do kraju, zastawszy żonę kochanką Lucjana Bonaparte, zgryziony, rozwiódł się z nią szlachetnie, ofiary jej odrzucił i wyjechał z kraju z księciem de Nassau, swoim, jak powiada, krewnym. Gdyż potrzeba wiedzieć, że z całym światem ma pokrewieństwa, z Burbonami nawet. Tu w Rosji przez jakiś czas protegowany przez p. Markowa, rwał się na różne sposoby życia, lecz zawsze nieugięty jego charakter nie dozwolił mu długo wytrzymać. Nareszcie zostawał przy dzieciach hrabiów Worcellów i tu osiadł, nie chcąc się już nigdzie dalej posuwać.

Z prawdziwą filozofią, w zimnej izdebce, bez grosza, bez rodziny, bez sławy nawet, której jako pisarz ma prawo pożądać, wśród kraju, którego języka nie umie, ten starzec w wytartym fraku żyje ze swoim psem i kotem, robi sobie rum do czarnej kawy, pigułki z ziarenek akacji – panaceum misjonarzy japońskich – i pisze – satyry! Tak, satyry! Zawsze z uśmiechem, zawsze z żartem na ustach, prawdziwy Francuz XVIII wieku, polihistor w dawnym sposobie, alchemik, religiant, monarchista, śmiejąc się, kończy życie na obcej ziemi nieznany; nie

tęskni, jak Szwajcarzy, nie spekuluje jak Niemiec, nie zebrze jak Włoch, lecz śmieje się jak kosmopolita i Francuz – a zresztą pisze i pisze satyry!

Nowa literatura, nowi pisarze są jego osobistymi nieprzyjaciółmi; on, co wyssał życie swoje duchowne z Racine’a. Corneille’a. Delille’a. itp., miałbyby ścierpieć Hugo, Dumasa, Delavigne nawet i Lamartina? Nienawidzi więc ich, pisze na nich satyry i zdaje mu się, że jego dzieła są daleko od ich sławnych wyższe. Dzieła, które, niestety, zaginą pewnie z nim razem. Jego wiersze, jak są pisane, można miarkować ze zwyczajnego mu aksjomatu, że się szyją, jak buty, a każdy się ich robić nauczy!

Z całego języka polskiego jako istny Francuz nic więcej nie umie, prócz charakterystycznego: k o k a m c i e b i e. Osobliwszy filozof!

Prócz tych wszystkich osób, których tu przelotne rysy skreśliłem, jest jeszcze jedna, najmocniej zasługująca na uwagę, na wzmiankę, na uwielbienie ludzi, którego okolica szanuje i kocha – ojciec ubogich, chorych i biednych, sługa Chrystusa, prawdziwy ewangeliczny kapłan, który życie na nauce dzieci, u łóża chorych i konających, po chatkach mieszczańskich, po budach biednych lasa wyrobników trawi – proboszcz tutejszy, ks. Ch. Ten zacny, świętobliwy i nie spracowany w winnicy bożej robotnik, godzien jest stanąć na świeczniku i przykładem świecić swoim współbraciom duchownym. Kto swoje życie dobru bliźnich poświęcił, kto z nauką, z wyższym usposobieniem, z całymi siłami fizycznymi oddał się na ofiarę ludziom w imię miłości Chrystusowej, nie szukając z tego ani pożytku, ani sławy, ten wart jest pochwał i pamięci. Im trudniej, im rzadziej widzieć podobne przykłady, tym wyżej się one cenia.

Ks. Ch. równie przebywa w pałacach i chatkach, tu i tam wnosi pociechę, a częściej obcuje z ubogimi, bo ci więcej pociechy potrzebują. widziałem go zmęczonego bezsennością, kiedy mu jego prace nie dały czasu odmówić pacierzy, widziałem go i wszyscy widzieli liczącego chwile drogie, które nie za swoje, lecz za biednych braci własność uważa – i mamże zamilczeć? – To, co piszę, nie jest pochlebstwem, jest to odbicie powszechnego głosu; gdy się znalazł zły człowiek, co by mu chciał uwłóczyć, nie wiem nawet, z której by go strony zaczął.

Dom jego, przytułek biednych – skromny i czysty, on sam pokorny, cichy, milczący jak gdyby był ostatnim, lecz słowa Ewangelii brzmią nad jego głową: „Kto się poniża podwyższon będzie, błogosławieni cisi i pokornego serca, albowiem ich jest królestwo niebieskie”.

Tacy to są mieszkańcy Stepania. Któż by się po tej mieścinie spodziewał znaleźć w niej tyle osób zasługujących na podziwienie, politowanie, pochwały? Tę familią patrzącą przez okna małego domku na swoją niegdyś posiadłość, tego przybylca z Francji w chłodnej izbie ze psem, kotem, pigułkami i satyrkami, tego kapłana nareszcie? A jednak w Stepaniu wszystko się to znajduje. Te wszystkie osoby połączone przyjaźnią, współczuciem, żyją razem, wzajemnie się pocieszają; wspólnym życie oddychają i gdyby tylko jedno ogniwo tego łańcucha rozerwało się, wszystkie by się rozsypały. Dodać jeszcze potrzeba do całości obrazu postać suchą, bladą, na której ustach krąży uśmiech szyderski, która śmieje się sucho i zimno, a patrzy na świat jak na owoc zakazany. Ten człowiek jakby skończył życie, chociaż nie jest jeszcze w jego połowie, bez nadziei, bez przyszłości, wszystko widzi czarno i smutno. Czemuż nikt z przyjaciół nie powie mu, że najmocniej odczarowane życie jeszcze znajduje w ciągłej pracy i nieustannym zajęciu lekarstwa, pociechę, nadzieję?

Co tu uwag nastreczyć by się jeszcze mogło? Jaki obraz dla malarza charakterów w życiu spokojnym, dogorywającym, skończonym tych istot, które stanęły i nie idą dalej, patrzą w grób i stoją nad nim spokojnie, czekając aż weń wpadną. Człowiek, póki ma przed sobą świat i nadzieje, póki jeszcze nie wie, czym jest i czym być może, jest ciekawą zagadką sobie i braciom, lecz gdy się ta zagadka ze wszystkim rozwiąże za wcześnie, jakże smutna reszta życia, gdyż przeżył siebie, nic mu już nie przybędzie, a całą odmianą spodziewaną jest ubytek

tylko. Dni unoszą z sobą przyjaciół, resztę wspomnień, żyjących towarzyszków, wesołość, grób się coraz szerzej otwiera, coraz czarniej, coraz tam za nim czeka więcej swoich, ale na dnie jego widać cnotliwym – niebo i aniołów! Szczęśliwi, co tę pociechę czują przynajmniej!

OSADA SERNICKA

Ku wieczorowi się miało, gdym przybył do miejsca osobliwego, które wam tu opisywać będę; a wieczór dnia siódmego kwietnia był już niby wiosennym. Niby, bo jeszcze ledwie niektóre wierzb gatunki puściły kotki, na polach ledwie gdzieś drobne listki zielenieć zaczynały, trawa brzegiem wód puszczała, a bydło wyzwolone na paszę szukało z trudnością większych nieco liści, aby je wargami zająć mogło. Kozy ogryzały gałązki, muflony wszelkiej barwy białe, srokaty, rude, czarne, plamiste, po kolana w wodzie zjadały smaczno paszę, która by nasze drogie merynosy potruła. Dojeżdżaliśmy groblą, potem częścią wsi p. Skirmunta do osady sernickiej szlachty, którą chociaż już przedtem widziałem, nigdy mi się jednak tak dziwnie oryginalną nie wydawała, jak teraz. Leży ona wśród błot pińskich nad rzeczką Stublęm, latem tak wysychającą, że ją kury przejść mogą, lecz na wiosnę niosącą obijaniki, a nawet barki na sobie.

Osada ta licząca do 240 dymów szlachty zatrudniającej się rolnictwem, najmem do robót gospodarskich itd., siedzi u samego brzegu rzeczki. Wioska p. Skirmunta za mostem, przedzielona od niej rzeką, jest porządnie pod sznur zbudowana, a nawet nieco wykwinie; osada zaś szlachecka nie ma prawie ulic, każdy w niej mieszka i buduje się, gdzie chce, na swoim zagonie, każda obórka w inną się stronę obraca, każdy dom gdzie indziej patrzy, każdy dziedziniec w inny bok się otwiera, prawdziwy obraz nieładu i swobody szlacheckiej. Wśród tego kafarnaum budowli włóczą się postacie podobne wieśniakom z ubioru a czasem i twarzy, kobiety bose, żółte, chude, dzieci pół nagie – to są wszystko panowie szlachta!

Tam i sam wyglądają spomiędzy chat karczmy, a naprzód dwie najślawniejsze: Łachmana i Chiela, inne wałęsają się ze starości lub ciężko na podporach jak na kulach soją. Te karczmy są tu dla szlachty, czym dawniej były w miastach ratusze i rady, a arendarze mogą się nazwać wielkorożnikami tej osady, bo bez nich nic się nie dzieje.

Kiedyś przybywszy potrzebowali najać czółno, żeby nas stąd dalej przeniosło na Styr, radziłem śpiesznie z tym żądaniem udać się do szlachty, ale mój towarzysz podróży, znający miejscowość, odpowiedział mi:

– Szlachta sama nie najmuje czółen swoich i siebie bez arendarza wszechwładnego Łachmana. On ich godzi, klóci, najmuje i połowę najmu sobie bierze. Żaden szlachcic nie ma obijanika, a gdyby go miał, Żydzi, którzy przy sobie utrzymują monopolium żeglugi, zaraz by go odkupili. Żyd tutaj jest to osoba wszystko mogąca, wszystko znacząca, a panowie szlachta, mimo całej swej dumy, słuchają go jak pana. Łachman każe iść, idą, każe nie iść, nie pójdą, swata ich, żeni, godzi, klóci, bogaci i obdziera – słowem jego to kraj i zawojowana prowincja, on z tej strony Stubla, z drugiej p. Skirmunt jednakowo panują.

Ruszyłem ramionami, myśląc o władzy, jaką oni ruchliwym umysłem, kwaterką i pochlebstwem wyrobić sobie umieją. Tymczasem z łaski i namowy p. Łachmana ruszyła szlachta, napiwszy się wódki, gotować nam czółno, z którego wylewano wodę, zaściewano słomą i wiszarem we środku. Reszta próżnujących a ciekawych otaczała nas, prowadząc żywą rozmowę.

Na samym przedzie kolumny stał p. Hor..., mający, jak było widać, reputację dowcipu i rozumu; nieco podpity i bardzo wesoły. Jego oczki świecące i zęby ciągle wystawione na jaw dowodziły, że humoru nie brak mu było. Cały w koncepcjach, śpieszył się z gadaniem, chcąc, jak widać, wysypać przed nami wszystko, co miał w głowie.

– Wszystko prędko będzie – niech się panowie obywatele nie turbują. Szlachta sernicka nie odmówi przysługi dla swojego sąsiada. Żwawo chłopcze – zawołał na wylewającego wodę z czółna. – To dobry chłopiec – odwrócił się do nas – o, będziecie z niego pp. obywatele kontenci – to krew moja! To krew moja, a familia Hor... nie zawodzi.

Uśmiechnąłem się na te słowa, które mi przypominały słyszane niedawno od jednego wołyńskiego magnata, z równą dumą jak z ust sernickiego szlachcica wyszłe, podobne wyrazy zupełnie jednej myśli z tymi

Potem p. Hor... ciekawy o mnie, kto jestem, bo mnie nigdy nie widział, póty chodził, póki się nie dowiedział nazwiska i znajomości nie zabrał. Nareszcie przymówił się niezgrabnie do garstki tureckiego tytoniu i zaczął narzekać na zerwaną groblę na części gościńca pocztowego należącej do Sernik pod Lubiaziem.

– Ach, panie, co za czasy! Co za czasy! Kiedyś to i ja tamtędy wodziłem p. generała Beningsena, a nie kazali grobli reperować, choć dla tak wielkiej figury; tylko kołkami wytknięta była droga. Między nimi trzeba było jechać, a krok w bok, to i zginiesz. No – a ja przeprowadził.

Potem poprawiwszy pasa, utarłszy nosa po szlachecku, tak dalej prowadził, nie mogąc zamilknąć.

– Nie ma czym pp. obywateli przyjąć szlachta sernicka, dla pp. obywateli to wiele potrzeba.

– Ot – odezwaliśmy się – dobrym sercem i gawędką przyjmujesz.

– A może – odezwał się drugi z tyłu – panów to gadanie napiłych obraża.

– Bynajmniej, owszem, bawi.

– Nie, nie może obrażać!

– I pewno nie – zawołał Hor... – czemu by obrażać miało. Szlachcic na zagrodzie, równy wojewodzie, mosanie. Szlachcic w łapciach a człowiek! (co do słowa).

Mój towarzysz, chcąc zażartować, odezwał się.

– Ależ żartujesz p. Hor..., że nie masz czym przyjąć, macie takie piękne szlachcianki.

– O! o! o! Co tego, to nie ma! Dalbóg, nie ma. O nie! – rzekł nadstawiając się dumnie, a reszta szlachty potakując roześmiała się.

– Waść się śmiesz – odparł Hor... do jednego, który miał dwie łysiny z dwóch stron nie ogolonej brody – aleć to wiadomo, choćby WPana żonka była jak ładna, kiedy sampana, to jej nie ma dla nikogo.

Wszyscy kiwali głowami, p. Hor... się uśmiechnął i napędził do gotowania czółna.

Gdyśmy tak rozprawiali, przyrządzono do drogi obijanik i żegnając szlachtę, siedliśmy do niego.

Powoli odbito od brzegu. Mijając chaty szlacheckie i karczmy nadbrzeżne, płynęliśmy Stubłem ku Styrowi, a na brzegu widzieliśmy jeszcze stojącą szlachtę nad wielką barką naładowaną garnkami.

Myślałem wtedy o tej dziwnej osadzie, o jej obyczajach i życiu tak nędznym, które łatwo poznać z samego ich ubrania. Najbogatsi Machnowicze, z których jeden piastował dostojny urząd kluczwójta, a spadek po nim niedawno żwawo obudził spory, reszta, mnogie rodziny Sernickich, Poluchowiczów, Dubinów, Szołomyckich, Szuszków, Boryczewskich, Kudernickich itd. żyją ze swoich zagonów, z najmu na czółna, do kośby i żniwa w okolicy. Przy całym tym ubóstwie jest w nich jednakże rodzaj dumy, który ich od chłopów odróżnia. Krój nawet ubioru mają odmienny. Wprawdzie siermięgi Sernickie są białe, jak u chłopów, ale mają niby kształt kapot, kołnierze małe innym krojem, pasy nie czerwone, ale czarne, na

nogach łapie także, jak noszą wieśniacy, lecz przy nich często rzemyki zastępują sznury. Szlachcianki chyba w wielkie święta gorset i trzewiki kładną i to nie wszystkie, zresztą ich ubiór niczym od chłopianek się nie różni.

Charakter płci obojej, a nawet rysy twarzy znamionują ich i oddzielają, niektórych miny poważne, włosy siwe i bez kołtuna, prześliczne łysiny, spod których wygląda guz dumy bardzo wyraźny, jakim to miał zręczność na głowie jednego z Machnowiczów opatrzyć.

Wszyscy są dziś wyznania greckiego, zabobony ich wspólne z chłopami, o których ocierając się, mimo dumy wrodzonej, przejąć musieli od nich wiele mniemań i zwyczajów. Słyszałem, jak jeden z wiozących nas Hor... rozповідаł o młodym chłopcu, po którym właśnie dzwoniło w cerkwi, a dźwięk ten, towarzyszący powieści, miał w sobie coś nadzwyczaj poetycznego, bo i księżyc świecił, i wody szumiały, i dzwon pogrzebny z wolna się odzywał.

– Ten chłopiec – mówił – swatał się do jednej szlachcianki i jakoś się sobie nie podobali, on wkrótce potem zachorzał i zaraz umarł z t e g o.

Stary, łysy Machnowicz rozśmiał się i rzekł.

– Zabobony!

Szlachta mówi językiem ruskim chłopów wołyńskich, mieszając weń słowa polskie, a czasem i przysłowie stare, zabytek ich pochodzenia i ślad cywilizacji. Ich spory i kłótnie zażarte są także piętnem właściwym dowodzącym pochodzenia, zachowali w nich upór i zajadłość taką, że czasem zabicie kaczki lub kury bywa przyczyną niewygasłej kłótni między rodzinami całymi.

Gdyśmy się coraz, płynąc, oddalali od Sernik, prowadził nas bieg wody między z rzadka stojące po brzegach krzaki karłowate olszyny. Jedni z drugich śmieli się przewoźnicy, że to ich puszcza, a wskazując na pniaki stare, od których chude puszczały latorośle, wmawiali sobie dumnie:

– I to olcha, sampanie.

– A cóż, panie Antoni, alboż nie puszcza, wszak tędy niedawno szedł łoś od Mikołajewa.

– A tak, panie Janie, łoś!

Widok tych ludzi zajął mię i zasmucił razem. Stan ich barbarzyńskiej ciemnoty, a przy tym pomieszane jakieś wspomnienia arystokratyczne lepszego rodu, duma w każdym ruszeniu i słowie smutno od siebie i od ubóstwa ich odbijały. Przez jakież to koleje ci ludzie doszli do takiego, stanu, takiej ślepoty!

Powieść miejskowa, nie wiem o ile prawdziwa, niesie, że serniccy szlachta noszą jeden herb i mają go nadany od królowej Bony. O co chcesz, spytał u nas o zamek, o nadanie, kościół, lud ci zawsze tę Bonę przypomni. Smutny to dowód, jak sławę często niesłusznie świat daje, jak imiona często najmniej pamięci godne wyżej siedzą od najgodniejszych wspomnienia.

Wszystko jej teraz przyznają, czego ona nie zrobiła; królowa Bona z całego szeregu królów Polski jest niezawodnie najpopularniejszą, a tę sławę pozyskała jej kilku zamków i kościołów budowa i nadanie prawa magdeburskiego miasteczkom, które do niej docześnie należały.

Herbu Sernickich nie znajdziesz w Niesieckim. Pomiedzy szlachtą mieści się i nieszlachta, wyzwolenicy, którzy od panów uwolnieni, tu zagony kupują – i takich liberowanych jest kilka rodzin. W okolicach Sernik kilka jest jeszcze podobnych osad szlacheckich, że innych nie wspomnę. Dzikowicka wśród niedostępnych błot bliżej Pińska położona, ale zdaje się, że szlachta tamtejsza straciła więcej charakterystycznej dumy. Kto wie, jaki jest ich ród i pochodzenie? Jest-li to tylko rozrodzona rodzina szlachecka czy resztki jakiego ludu rozsypanego, przychodniego, któremu nadano swobody, jak się to często zdarzało. Zostawiamy do dalszym badaniom.

CZARTORYSK, OKOŃSK ITD¹⁸.

Historii starodawnego Czartoryska trudno się teraz dobrać, gnie ona w odległej a nie rozświetlonej pomnikami starożytności naszej. Około 1458 r. imię kniaziów od Czartoryska wzięte pospolitszym się staje, stąd wnosić wypada, że już naówczas miasteczko a nade wszystko zamczysko egzystować musiało od znacznego przeciągu czasu. Cytuje Niesiecki dokument jeden dany w Czartorysku r. 1537. W podziale majątków w r. 1547 d. 19 lip. Iwan książę – Klewań i Bilhorod, a Aleksander – Czartorysk wziął i Litowież.

Zamek, z którego dziś zostały tylko gołe mury z orłami na szczytach, wał wysoki i głębokie fosy – zbudowany był wedle zwyczaju u samego Styru na wysokiej górze, którą o milę blisko ze wszystkich stron widać. Architektura ruin zamkowych dzisiejszych wiek XVII pokazywać się zdaje. Toteż i niesmaczna budowa blisko stojącego byłego klasztoru i kościoła Dominikanów, daleko widnego w okolicy, bo jeszcze wyżej od zamku wznoszącego się. Mieścina otaczająca to jądro jest mała i nikczemna, lecz zachwycające jej położenie. Wśród pagórków, po których wielka liczba grusz rozsypana dokoła, parowy, mogiły, Styr płynący w dole przez zielone łągi, oddalone lasy czerniejące w dali – wszystko to piękny obraz składa uwieńczony kościołem i zamczyskiem na górze.

Góra, na której się miasteczko wznosi, nie jest przykra, nieznacznie wjeżdża się na nią i dziwić się prawie potrzeba, wjechawszy, dlaczego tak z daleka widać ją było. Zważmy jak to położenie nad okolicą panujące, rzeka u stóp góry i łągi często zalane bronić musiały przystępu i umacniać zamek.

Dawny kościół czartoryski tym był osobliwy, że go stawiał i nadał akatolik, a to przez miłość dla zmarłej żony. Taka jest bowiem fundacja Jędrzeja Leszczyńskiego, wojewody derpskiego, starosty dubińskiego, który po śmierci żony Anny, księżniczki koreckiej, Samuela sławnego córki, około 1630 r. wystawił ten kościół i nadał mu 10000 zł funduszu.¹⁹ Architektura kościelna i fronton wkleśły wcale niepiękne.

¹⁸ K.Niesiecki,[Korona polska przy złotej wolności starożytnymi wszystkich katedr, prowincji i rycerstwa klejnotami(...)ozdobiona, Lwów 1728-1743] t.I,s.368

¹⁹ Sz.Okolski,[Orbis Polonus...Kraków 1641]t.I,s.550;K.Niesiecki,[Korona polska],t.III s.93;Sz.Starowski[w:]Monumenta[Sarmatarum.Kraków 1655]s.325 taki cytuje nagrobek na blasze srebrnej tej Annie, księżniczce koreckiej położony przez męża:

D.O.M.S
Adsta viator et dole
Dilapsam in cirenes facem
Magnorum Lithuaniae Ducum
De paterna stripe
De materna
Principium Moldaviae
prolis
Samuelis Korecij

Jako osobliwość, cytuje nasz Rzączyński²⁰ urodzonych razem w Czartorysku dwóch synów i córkę, dowód anormalnej płodności. Tenże w księstwie czartoryskim wspomina jezioro jakieś okrągłe wyrzucające z siebie wszystko, co weń wrzuca,²¹ ale teraz trudno dociec, o jakim chciał mówić.

Dzisiejsze opuszczenie miasteczka boleśnym jest dla podróżnego, im bardziej bowiem przez swoją starożytność i położenie zasługuje na uwagę, tym dziwniej patrzeć na teraźniejszą jego nędzę.

Turcarum terroris
Filiae
Andreae Comititis de Leszno
Palatinidae Belzensis
Coniugis
Annae.
Quicquid mortale fuit
Hoc clauditur mausoleo.
Unico relicto filio cum altero post partum XXX Maii
Anno domini MDCXXXIX
Cum vixisset annos XXI heu duos et trimestre tantum
Cum marito
Olim felicissimo, nunc moestissimo
Fatis concessit
Abiit tamen illa non obiit
Quicquid enim decoris, quicquid miri, quicquid fausti coelun
naturaque habuere, in hanc contulere omnia
hoc
Aeterna memoria mori non sinet
Uno verbo
non
Tumulum
sed
Virtutum cumulum
vides.
Vale viator,
nec dole
Dilapsam in cineres facem,
felicissimae uxori
Infelix maritus
posuit.
Tristis ut fleret, tantum ipsi Parca dolorum
Ostendit potius perfida, quam tribuit.
Obiit Czartorysci, ibidemque sepulta. Anno MDCXL
mense Feb

Poswięcine Bogu Najlepszemu Najwyzszemu.

Przystań wędrowcze i zasmuć się nad obróconą w popiół pochodnię. Ze strony ojca wielkich książąt litewskich, po matce zaś gospodarów Mołdawii była potomkiem. Córka Samuela Koreckiego, pogromcy Turków, żona Andrzeja hrabiego z Leszna, wojewodzica bełskiego, Anna. Cokolwiek w niej było śmiertelne, zamknięte jest w tym grobowcu. Pozostawiwszy jedyne go syna, wraz z drugim zmarła po porodzie 30 maja roku pańskiego 1639.

Żyła lat dwadzieścia jeden, atylko dwa lata i trzy miesiące z mężem – niegdyś najszczęśliwszym z ludzi. Odeszła, lecz nie umarła. Cokolwiek bowiem pięknego, godnego podziwu i pomyślnego miały niebo i natura, w to wszystko ją wyposażyły. Temu pamięć wieczna umrzeć nie pozwoli. Słowem – nie grobowiec, lecz pomnik cnót tu widzisz. Żegnaj wędrowcze i nie smuć się nad obróconą w popiół pochodnię. Najszczęśliwszej żonie mąż nieszczęśliwy napis ten wystawił. Pokazała mu ją raczej, niż dała zdradliwa Parka, tak wielkie przynosząca cierpienia, by płakał pogrążony w smutku. Zmarła w Czartorysku i tam została pogrzebana. W roku 1640, w

miesiącu lutym [napis ten umieszczono].

²⁰ [G. Rzączyński] His[oria] nat[uralis curiosa...], 309

²¹ Ib[idem], s. 225.

Przebywszy trochę lasów i piasku dostaliśmy się do Kołków, miasteczka dóbr książąt Radziwiłłów nad Styrem leżącego. Ta familia rozległe majątki posiadała w okolicy, z których wiele już przeszło w obce ręce. Miejscowe przysłowie tłumaczy pociesznie nadanie trzech wsi, które także podobno wyszły z rąk Radziwiłłowskich. Powiada ono, że dano:

*Jaroml
Darom
Łyczki,
Na czerewyczki,
Trosteneć
Na taneć.*

Tenże sam Trostaniec wedle drugiego przysłowia zowie się końcem Polesia:

*Trostenieć
Polisia koneć.*

Aczkolwiek jeszcze się wkoło dalej Polesie rozciąga.

Kołki zwały się dawniej Romanowem, dopiero po jakimś pożarze W XVIII podobno wieku Kołkami się zwać poczęły, bo kołki tylko wówczas zostały. Koło cerkwi murowanej zastanowił mię na słupie posąg rycerza z kamienia, w całej zbroi z chorągwią, uszkodzony nieco, ale nikt nie mógł mi wytłumaczyć, co znaczy. Zdaje się, że to jest ś. Florian, patron od ognia, postawiony po pożarach, którym to miasteczko uległo kilkakrotnie. Kołki miały dawniej dosyć jarmarków, a mianowicie na ś. Piotr. Ten ostatni za dobrych czasów trwał aż do dwóch tygodni, i tu z Litwy przyjeżdżano w sól się zasposabiać, którą Wołyń przywoził. Kupcy z towarami ciągnęli się aż z Berdyczewa. Lecz teraz ustał ten handel i jarmark na Petra podobny jest innym małym miasteczek.

Za napadów kozackich Żydów tu taką ilość wyrznęli, że dziś jeszcze trwa pamięć grobli, którą ich trupem usłano. Jest także podanie o dawnej posadzie miasteczka i cerkwi, które się w ziemię zapaść miały; nie wiem, za co ta kara. Mieszczanom zdaje się, że jeszcze dziś słyszą dzwonicie w zapadłej cerkwi i śpiewy obchodzonego tam nabożeństwa, gdyż u nich zawsze co zapadnie, składa drugi świat podziemny. Było tu zamczysko, jak w wielu innych miejscach, którego dziś ani śladu.

Z Kołków dążyłem do sławnego Okońska, sławnego ze źródła swego. Położenie jego zupełnie poleskie, w lesie, piasku i błocie. Niedaleko pocztowego gościńca w ocembrowaniu niewielkim znajduje się tu niezgłębione okno, z którego wychodząca woda młyn przez cały rok obraca i zawsze na jednej utrzymuje się wysokości. W lecie zimna, w zimnie ciepła, co głębią jej pochodzenia dowodzi. Okno to wśród błota na dnie piaszczystym niewielkiej średnicy wedle wieści i próby dna nie ma. Boki jego spuszciste, lejkowate okrywa rodzaj porostu, algi, która przy świetle dziwnie się mieni jak opal lub piersi modre gołębia, z niebieskiego w zielonawy papuzi kolor. To okońskie źródło jest osobliwością okolicy, a wielkim skarbem dla właściciela majątku. Ciągłe i nieustanne dostarczanie wody, której siłę przez podniesienie jeszcze by powiększyć można, dałoby tu nie jedyną fabrykę pożyteczniejszą od młynu zastosować. Na rzeczulce, która się zaraz z tego źródła osobliwego formuje, stoi w niewielkiej odległości znaczna ilość młynów wodnych. Siła wody z tego okna płynącej jest tak wielka, że kiedy młyn nie miele, wodę spuszcza, boby jej dla ciągłego przybywania zatrzymać nie można. Gdyśmy ciekawie opatrując źródło pili wodę, wyszedł

młynarz i zaczął z nami rozmowę. Pytaliśmy go, czy w bliskości nie ma więcej źródeł podobnych.

– Było wprzód okno takie gdzie indziej – odpowiedział – ale już temu dawno. Po tamtej stronie drogi o kilka staj jest woda, głęboka, lecz sucha. A powiadają, że dawniej stamtąd szła woda. I raz podobno biegały krowy z buhajami, przyszły się napić wody z okna, powpadały, a buhaje za nimi. I odtąd zaraz sprzeciwiła się woda, wyschła jama, a tu otworzyło się okno.

Bardzo byłem rad temu doskonałemu tłumaczeniu i tradycji, chciałem nawet oglądać tamto miejsce wyschłe, gdzie miało być wprzód okno, ale czas mi nie pozwolił. Nie wiem czy nie o Okońsku to wspomina Rzączyński, gdy pisze, że w księstwie czartoryskim jest jeziorko małe, które wszystko, co by weń wpadło, z siebie wyrzuca. Inna jeszcze popularna wieść, iż woda tak silnie się dobywa, że na środku wypukłą się zdaje, nie jest prawdziwa.

Szukałem w Rzączyńskim wzmianki o Okońsku, na którą to źródło przed innymi zasługiwać się zdaje; i nie wiem czy nie o nim to mówi, zowiąc go Bezodnia,²² Oknicensis. Nie zgadza się tylko opis Rzączyńskiego z rzeczywistością w tym, iż dziś tu ryb nie ma.

²² [G.Rzączyński], *Auctuarium (historiae naturalis....)*, s.225 „Lacus ad Ecclesiam ruthenicam okninensem spectatur parvus, rotundus, profundissimus, ideoque vulgo bezodnia vocatus, id est fundum non habens, ex illo profluit rivus lapidem molarem circumagens stagnum intrans, saepe tam copiosam aquam effundens, ut molendium tollat. In eo lacu piscoissimo, Carpione allectus, captus est hamo lucius trium cubitorum et medii missuque Cremencum”.

„W pobliżu gminy ruskiej, gdzie leży Okońsk, znajduje się małe okrągłe jezioro, nadzwyczaj głębokie i dlatego pospolicie zwane „Bezodnia”, czyli „nie mające dna”. Wypływa zeń, wprawiający w ruch kamień młyński, strumień, który wpada do stawu i często niesie dość wiele wody, by zniszczyć młyn. W tym jeziorze, szczególnie obfitującym w ryby, zwabiony przez karpia, złapany został na hak szczupak długi na trzy i pół łokcia i odesłany do Krzemieńca”.

LASY POLESKIE

Stosunek ziemi zarosłej lasem, chrustami, łozami itd. do oromej w Polesiu jest taki, że ledwie trzecia część jej dotąd wyrobioną została. Wprawdzie dla małej ilości rąk trudno by pola rozpostrześć, gdy nic jeszcze nie znamionuje, ażeby je machinami gospodarskimi zastąpić miano; przy tym rodzaj ziemi piaskowej i nieurodzajnej niewiele obiecuje.

Większą część lasów poleskich składają sosny i choiny bajrakowate; jedne proste, wysmukłe i zdadne do wyrobu i handlu, drugie pochyłe, skrzywione, skurczone i na nic oprócz opału nie zdadne. Puszcze poleskie, w których głębinach kryje się jeszcze wiele zwierza, są już jednak dziś z lepszego drzewa wyniszczone prawie zupełnie przez ciągłe wyrabianie balów i potaszu. Oprócz sosen, rośnie tu jodła i świerk nad wodami, brzozy w wielkiej ilości, osina, dąb po lepszych gruntach itd. Ku Wołyniowi tarnina i szypszyna lasy podszywa.

Ponad drogami smutny jest pozór lasów, gdyż bliżej ludzi są zniszczone i niegodziwie popsute, większa część sosen popodcinana, inne powalone przez podpalenie, pokaleczone niemilosierdzie.

Smutno jest patrzeć na mnóstwo niezliczone leżących i gnijących kłoców, których nikt nie bierze na opał nawet, bo wieśniacy zawsze z pnia rąbią. Często spotkasz wielkie przestrzenie lasu przez niedozór i niedbalstwo wygorzałe i żółkłe, bo podłożony w suchej porze przez pastuchów ogień straszliwie się roznosi i niczym potem ugasić nie daje. Ta jedna klęska wiele lasów poniszczyła.

W głębi, gdzie lasy lepiej są poszyte, piękniejsza ich fizjognomia, wznoszące się ponad gęstymi zaroślami drzewa żywszy pozór mają, otoczone krzakami i kwiaty dzikimi. Czasem zdarzające się łąki wśród lasów przypominają kawałek parku. Lecz wśród sosnowych zarośli, gdy napadniesz na kępiaste błoto, trzeba oczy zamykać!

Pomyślawszy, jak dawno zaczęto już tu bez ładu lasy niszczyć, gdy się Jan Kochanowski na to w *Satyrze* skarżał, dziwno, że dotąd tyle ich zostało. Rzączyński wspomina o wyrobie klepki (segmenta querculum), wańczosów (assamenta, Gichenebolen, Planken) i potaszu (cineris clavellati); nie jednak o sosnowych balkach, dziś tu najwięcej wyrabianych, nie pisze.

Zwierza wielka się tu ilość znajduje, nawet łosie, niedźwiedzie, dziki, bobry i rysie spotkać można, lecz coraz rzadziej, bo liczba myśliwych się powiększa, a lasy przetrzebiają. Z chartami trudno a prawie niepodobna w kraju tak błotami i lasami poprzeryzanym polować. Za to gończe i obławy czyli huczki dopomagają strzelcom. Ten rodzaj polowania najużywańszy na zwierza grubego. W zimie na sarny polują z sankami objeżdżając, z wyżłem szlachetne polowanie na ptactwo tu mało znajome.

Polowanie z obławą czyli huczkami, jakiego tu używają, jest dość nudne dla tych, którzy albo myśleć nie umieją, albo nie dość są myśliwi, żeby dzień cały trudu i oczekiwania jednej przyjemności wystrzelenia poświęcić.

Od rana zaraz budzi śpiącego gwar schodzących się ludzi, strzelców, budników, Mazurów i psów, które się gryzą, włócząc ze sforami po dziedzińcu. Zbierają się myśliwi w borsucznych torbach, w nowych łapciach, z fuzjami osobliwszych kalibrów, których panewki zajęczymi ogonami formalnie są pozatykane. Naturalnie o czym rozmowa między nimi, jeśli nie o myślistwie. Tu pole dla zręcznych łgarzy.

– O mosanie! – (anegdota historyczna). – Jak to ja przeszłego roku polowałem na sarny. Tam w lasku nad rzeczką na przesmyku stałem sam jeden. Słyszę, psy gonią, szeleszczą liście i gałęzie, idzie kozioł! Ja do fuzji mierzę się, przypuszczam, mierzę jeszcze, strzelam nareście. Buch! Pada. Ja do niego i z radości, panie, moją czapkę kładnę mu na rogi. Schodzą się myśliwcy pogrzebowego zapić. Aż tu mój kozioł, diabli nadali, nie wiedzieć skąd, zrywa się na nogi, prostuje i bieży w las z moją czapką. Wszak prawda, panie Janie?

– A prawda, panie! – odpowiada z zimną krwią zapytany. – Jeszcze odbiegłszy na staję, zdjął czapkę, uklonił się i rzekł: „Adje, do zobaczyska!”

Takie to są rozmowy przed polowaniem. Tymczasem strzelcy piją wódkę, panowie jedzą śniadanie, psy chodząc wachają, wozy zapręgają, huczków wyprawują, rozdzielają proch, szrot, luftki czyli pieńki. Nadzieja ożywia wszystkie twarze, konie rżą – jedziemy.

Z nami wszyscy się zbierają w lesie; konie zostawują, rozkładają ogniska i radzą długo, radzą poważnie, gdzie waga lasu, skąd psy zapuścić, jak huczków postawić. Sprzeczki żwawe między promotorami i znawcami, ten stąd, ten zowąd chce zachodzić, ten od wiatru, ten za wagą kniei, ten tam to widział, ten nie zobaczył.

Kończy się na zwycięstwie jednego, na nieukontentowaniu drugich i w cichości psy i huczki się rozchodzą, a tymczasem stary strzelec rozstawia myśliwych.

Jak się tu ubijają o miejsca, jak strzegą, żeby nie stanąć przy strzelcu, który by mógł postrzelić myśliwego zamiast zwierza! Nareście w cichości wszyscy stają, ten na kłodzie spiera fuzję, nabija, czyści, ów obiera miejsce ukryte między gałęziami, żeby go nie widać było, inny po prostu do spoczynku się zabiera, inny jeszcze brusznice, czernice i inne jagódki zbiera, nim psy gonić zaczną; jeśli nie na ostrowężego zwierza polują, a wiatery od kniei na strzelców, zapalają się fajki.

Cicho! wszyscy stoją w milczeniu. Ta chwila oczekiwania, często bardzo długa, jeśli daleko psami zakładać trzeba, najnudniejszą jest z całego polowania. Niejeden w braku sąsiadów do gawędy usypia na pieńku, nie troszcząc się o zwierza, wypiwszy zawczasu pogrzebowe przed pogrzebem. Nareście z daleka odzywają się huczki, każdy bieży na miejsce, opatruje strzelbę, staje. Cicho! Cicho! Tylko czasem pies się zjawia, ptak przeleci nad głową lub dzieciół przerwie ciszę pukając do drzewa. Kogo los pod barcią lub na mrowisku postawił, ten się opędza pszczołom i mrówkom, jak może, nie śmiejąc zejść z miejsca, aby go nie postrzelono.

Inni, gorliwsi, zapomniawszy o wszystkim, z okiem wlepionym w oddalone knieje, stoją i czekają gonu psów.

Otóż już gonią! Jak ten dźwięk różnogłosny mile brzmi w uchu myśliwych; niepamiętni na nic, na przyrzeczenia, na niebezpieczeństwo, na znój, niektórzy wylatują przed psy. Oto już jeden strzał, drugi, trzeci, zwierz idzie, przeszedł, poległ. Rozpytują się, kto zabił? Kto chybił? Śmieją się, schodzą.

Tu dopiero kto chybił, zrzuca winę na strzelbę, na daleką metę, na tysiąc okoliczności, wmawia, że postrzelił, że zwierz po strzale farbował, że kulał, że się przewracał itp. Tryumfujący zabierają się do pogrzebowego, nim do drugiej kniei pójdą, siadają na trawie, dobywają flasz, zaczyna się pogrzebowe! Rozmowy coraz żywsze, anegdoty coraz śmielsze, nareście wyzywanie, strzelanie do nieszczęśliwych czapek, czasem kłótnie.

Czasem jaki traiczny wypadek przerywa wesołość, temu rozerwała fuzja, ten został postrzelony, czasem pan lasów wmięsza się nieprzyzwoicie, psy polowi, fuzje zagrabi i smutne myślistwo wraca do domu z nosem spuszczone. Ale gdy się polowanie dobrze uda,

gdy się dobrze napiją, dobrze najedzą – o, jakże na długo zostaje pamiątka wesołej chwili. Jak się to smaczno zajada i zasypia po polowaniu!

Na cietrzewie w jesieni polują z cieniakiem, to znaczy, że na uludzenie biednego ptaka sadzą mu wypchanego niby-ptaka lub prosto kawał sukna, koło którego on siada w dobrej wierze i zabijać się daje. Mnóstwo także jarząbków i innego ptactwa łowią na sidła przynętą z kaliny lub jarzębiny.

Na zakończenie przytoczę tu jeszcze jedną anegdotę myśliwską, która mi się zdała charakterystyczną. W jednym miejscu Polesia graniczył pan ze szlachcicem. Oba byli myśliwi, oba lasów swoich zazdrośni, lecz pan nie polował w lasach szlachcica, a szlachcic często w pańskie zaglądał knieje. Gdy zaś nie mógł ich spolować, to przynajmniej wypłaszał z nich umyślnie wysłanymi ludźmi po nocy z latarniami zwierzynę do swego lasu. Znudziło się to panu i złapawszy raz parę ogarów szlachcica w swoim lesie zagonionych, kazał je powiesić na drzewie.

Co to tam był za gniew! Jakie odgróзки! Tego nie opowiem. Najulubieńsze dwa ogary na sośnie! Tak haniebna śmierć tyle zasłużonym stworzeniom! Przysiągł szlachcic zemścić się i czekał tylko pory.

Jedzie raz, spotyka chłopą, który drwa rąbie w jego lesie.

– Skąd ty?

– Z D... Właśnie ze wsi pana grafa.

Szlachcic podskoczył.

– I ty śmiesz w moim lesie rąbać drwa! A wiesz ty, jak twój pan z moimi psami postąpił?

– Ach, dobrodzieju! – zawołał chłop, padając na kolana. I zaczął prosić, zaklinać.

Szlachcic z zimną krwią zwołał swoich ludzi i odprzągłszy parę wołów z wozu, powiesił woły na drzewie.

– Idź, powiedz panu swemu o tym, a on ci zapłaci. I tak zemścił się szlachcic, a pan pewnie nigdy więcej psów wieszać nie miał ochoty, bo za woły zapłacił.

Jest jeszcze jedno polowanie na wilki, kiedy one stadami się włóczą w zimie. Do wozu uzbrojonego wokoło w kosy siadają myśliwi ze strzelbami, biorą między siebie prosię; a na sznurze fac-similé prosięcia – z grochowin wiązkę wloką za sobą. Gdy wjadą w miejsca, gdzie się wilcy zwyczajnie pokazują, zaczynają prosię męczyć, ażeby krzyczało; jego głos zwabia stado głodnych wilków, które, gdy się zbliża, strzelają. Takie polowanie odbywa się w czasie widnych nocy, a do wozu zaprzęgają jak najgorsze konie, bo żwawsze na głos i widok wilków ponosiłyby, a wówczas i od kos kalestwo i od wilczych zębów – wara! – gdyby ktoś spadł z wozu. Często wystrzelawszy próżno naboje, uciekać muszą, a wilcy rozjuszeni gonią ich aż pod wieś, a czasem aż na podwórzec. Jest to dość niebezpieczne polowanie i rzadko się udaje. Bezpieczniejsza zasadzka i przynęta, do której zwierz w zimie głodny, zwabiony wonią z daleka, przychodzi. Tak wilcy do padła, zające do owsa często się dają sprowadzić. Słyszałem o dziwnym wypadku. Przy ścierwie konia zasiadł strzelec – było to niedaleko miasteczka. Długo czekał a nic nie przychodziło, nareście znudził się i usnął. Budzi się na szelest jakiś, pogląda i widzi, że się coś rusza w padle. Wymierza, strzela i słyszy krzyk.

– Jezus Maria!

Przestraszony, leci ku ścierwu i widzi babę starą z nożem w ręku, która w chwili gdy okrawała piękne mięsko końskie, padła postrzelona. Dowiedziano się później z prawnego scrutiny sprawy, że utrzymująca garkuchnię w miasteczku stara jejmość tym sposobem tanio mięsa się sobie starać była zwykła, aż nareście ciężko za to ukarana została przypadkiem.

Wielki dochód dla wieśniaków w Polesiu stanowią barcie rozsypane po lasach, z których dań lub oczkowe płacą dziedzicom.

Godna uwagi, że podebrawszy miód, częstują nim wszystkich, kogo spotkają, niosą go do dworu, do karczmy itd., uważając, że ten udział daru bożego na dobre im wychodzi. W opisie

Litwy Aeneasza Sylwiusa już o podobnym zwyczaju jest wzmianka. Wieśniacy, którzy z bydła skóry zdejmują, nigdy już pszczoł się nie tkną, boby się im, jak mówią, nie wiodły. Mierzą miód szczególną miarę pięciokwartową, zwaną wiazowica, ale to nie wszędzie. Składają się z barci do cerkwi, a ten miód przerabia się na pitny i w dzień prazniku cerkwi szynkuje na korzyść skarbony, co się zowie kanonem. Wosk idzie na świece. Zwyczaj ten powszechny jest na Polesiu Wołyńskim. Starosta cerkiewny z przybranymi pomocnikami szynkuje, a arendarz ten swój ubytek kilkodniowy cierpliwie znosić musi.

Mnóstwo wszelkiego rodzaju jagód i grzybów zbiera się po lasach poleskich. Z pierwszych – żórawiny, czernice, maliny, łochacze, brusznicę, ożyny wrześnie jesienne są najpospolitsze. Gdziekolwiek są nawet daniny jagód i orzechów. Ku Wołyniowi zbierają mało użyteczną tarninę, której owoc cierpki jest i niesmaczny.

Czym dla mężczyzn jest polowanie na zwierza, tym dla kobiet jagody i grzyby. Całe lato zmieniają się cele tej przechadzki, lecz ona zawsze trwa dla amatorów. O, ileż to pociesznych przygód, na tych poobiednich ekskursjach, na których często wcale się co innego zbiera, nie grzyby i jagody!

Na Polesiu w lasach są osady, tak zwane majdany biednych Mazurów, rozrzucone tam i sam. Ci budnicy trudnią się wyrobkiem lasów i niszczą je niezmiernie. Stan tej klasy jest bardzo nędzny; sama wędrówka tak daleka okazuje, jak są biedni. I tu niewiele zyskują. Muszą sobie trzebić pola i całe lata często mieszkać w szałasach ledwie od słoty ulewnej zasłaniających, razem z niewielkim swoim dobytkiem, który zimą i latem włóczy się, szukając paszy po lesie. Ubiór ich: z grubego sukna kapota, czapka barania, pas czerwony, budniczki noszą coś na kształt szlafroczków, lecz twarze ich żółte, nawet przy świątecznym stroju źle odbijają. Gdziekolwiek są podobne osady Holendrów.

GOSPODARSTWO

W całej przestrzeni Polesia gospodarstwo wiejskie jest zaniedbane – wielka ilość ziemi, łatwy przychód z lasu, po części lenistwo i rzadkie z cywilizowańszym światem stosunki są temu przyczyną. Ku Pińskowi nieco się podniosło teraz dzisiejsze spekulacyjne gospodarstwo, zaprowadzono fabryki sukna, cukru z buraków, poprawę owiec. Dalej ku Wołyniowi cała spekulacja zależy na wyrobie lasów, klepki, balów i potaszu, a uprawa roli, chów bydła przynajmniej po większej części zaniedbany.

Wszakże więcej jest miłośników koni i bydła, niż owiec, z których korzyści ledwie zaczynają tchórzliwie przewidywać. Płodozmienne gospodarstwo jeszcze tu jest nieznajome: owce lepsze bardzo rzadkie, gorzelnie ulepszone pospolitsze.

Najprostszy sposób gospodarowania jest w trzypolowym zasiewie, w wydarciu niekiedy nowin, aby na zgłiszczu posiać proso a potem niwkę wyrobioną zapuścić, w oczyszczaniu sianożęci, ubiciu rowów dla osuszenia, zasianiu w porze i przepędzeniu nareście ziarna na wódkę, która już nie płaci.

Oprócz korzyści, jakie tu zamiana ziarna na wódkę w dłuższym przetrzymaniu produktu i cenie przynosi, braha jeszcze, którą się karmią woły lub stado, bardzo jest użyteczną gospodarzowi. Kartofli, lnu, roślin olejnych mało tu bardzo sieją, pszenicę rzadko. Jako osobliwość ujrzysz tu młócznie drewniane. Przeciw wprowadzeniu gospodarstwa płodoziemnego dają tu za przyczynę proporcją rąk zbyt małą na przestrzeń pól, gdzie z lasami czasem na 100 dusz męskich bywa 200 włók obwołu majątku. Próżno byś wmawiał, że maszyny gospodarskie rąk oszczędzają, mało kto pewny jest i potrafi wyrachować ich oczewiste korzyści. Pożytki tego pilniejszego, rozumowanego gospodarstwa nadto są oczewiste, żeby wkrótce z sąsiednich stron przez przykład bijący w oczy i tu nie wpływały. Jest nadzieja, bo kiedy niekiedy mówią już o tym.

W wielu miejscach osiedli ubodzy Holendrzy prowadzą małe fabryki sukien, lecz z prostych tylko owiec wełnę przerabiają, mało bardzo większych fabryk lepszą spożywa w kraju, większa jej część surowa za granicę wychodzi. Co dzień bowiem korzyści chowu hiszpańskich owiec stają się oczewistsze i bardziej zachęcające, co dzień wokoło mnożą się stada zapowiadające, że kiedyś tannością wełny zabijem niemiecką, jeśli z czasem i u nas koszt utrzymania nie podniosą się z wartością innych płodów, handlem i przemysłem.

Nic tak widocznie nie wyniszcza Polesia, jak wyrob lasów, oprócz szkody wyrządzonej przez to samym-że lasom, oprócz rąk, które się do tego w wielkiej ilości od roli odwracają, dodajmy jeszcze, że cena materiałów drzewnych jest w proporcją kosztów ściśle obliczonych bardzo mała. Ten handel prowadzący Żydzi zyskują, jak chcą i wiele chcą. Obywatele najmuja jeszcze na frocht, to jest pod transport drzewa, swoich parobków, czasem na pół drogi, czasem aż do portów.

Ten najem, którego korzyści wpływają do kieszeni właściciela, jest ze szkodą włościan którzy na tym tracą czas, bo jeśli za nich z tego podatek opłacą, to dobrze, a najęty parobek nie uwalnia chaty od pańszczyzny, danin itp. posług.

Wprawdzie dobrze utrzymeni parobcy wracają do domu rumiani i zdrowi, ale ta podróż ich demoralizuje, często nędza w drodze nauczy występku lub podlej żebraniiny, tymczasem w chacie mniej jednym człowiekiem do pracy, a pan dziedzic nie wie gdzie za co bierze pieniądze. Są wprawdzie sprawiedliwsi, którzy najmując ludzi, nic sobie nie biorą, lecz wszystko chłopu oddają, ale mówiąc szczerze – to bardzo a bardzo rzadko. Jednakże trzeba być sprawiedliwym we wszystkim i ze wszystkimi.

Kupno wołów na stajnię, które potem na brazierze i osypce ukarmione na mięso się sprzedają, najczęściej ma miejsce w Berdyczowie, gdzie są sławne wołowe jarmarki. Tam kupują się tak zwane górne woły, bojki, ukraińskie, siwe, wielkie, na których spekulatorowie największy zarobek miewają. Inni stawiają na stajni pospolite poleskie mniejsze, które się w kraju konsumują. Tamte zaś górne idą do Warszawy, a nawet czasem aż do Wiednia. Wolarz zna doskonale, kupując, jak się prędko ukarmią i jak ich sprzeda; ten handel dawniej żydowski wyłącznie, dziś objęli obywatele, którzy nawet często sami idą z wołami za granicę.

Małe woły mniejszej ceny, których wartość, powiększona cłem na granicy, przenosiłaby istotną ich cenę, muszą się w kraju zbywać, najdalej w Wilnie.

W ogólności chociaż wiele rzek spławnych ułatwia transporta, mało tutejszych produktów wychodzi za granicę – to tylko chyba, co na frocht dla utrzymania ludzi pędzących drzewo potrzebują.

W wielu miejscach, obfitych w lasy, stanowi także dochód przez najem Żydom pędzenie dziegciu i smoły, które, równie jak potasz, wiele lasu psują, bo drzewo odarte z kory, oczewiście marnieje. Równie niszczącym jest darcie łubu z lip, którego używają na wyszywanie wozów, na okrycie jarzma wołów, na robienie króbek itd. Z kory brzozonej robią kobiałki, zwane nawiski; prócz tego odarte łyka służą na rodzaj obuwia łapciami zwanego. Są to gdzie indziej znajome k u r p i e i p o s t o ł y. Nie żartujmy z łyk, bo choć mała ich wartość poszła w przysłowie, jednakże na wielu jarmarczkach poleskich stanowią ważny artykuł. Jest nawet przysłowie o tym na Polesiu, które powiada, że D e r a ż n a n a g a r n k i, K l e w a n n a d z i a d y, O ł y k a n a ł y k a. I prawda, bo do Ołyki z Polesia stosy łyk i łapciów zwożą i kupują na Wołyń, gdzie o nie trudno, a zawsze to obuwiu mniej od skórzanego kosztuje.

Lecz wróćmy do gospodarstwa i dochodów gospodarzy. Stan włościan, o jakim Twardowski w *Wojnie domowej* jako o jednej z przyczyn buntu wspomina, trwa tu jeszcze prawie takim, jak był. Oprócz trzech dni pańszczyzny na tydzień, dają oni czynsz w pieniądzu, daninę z grzybów, orzechów, jagód, chmielu, jaj, kur, osyp owsa i żyta. Przędą motki, wybijają darmo len, konopie itd. i wiele innych robót obowiązani są robić bez wynagrodzenia, co się zowie daremszczyzną. Trudno, aby wieśniak przy tylu ciężarach miał się dobrze; jednakże baczniejsi właściciele zmniejszyli sami opłaty i powinności. Lecz o tym szerzej jeszcze mówić będziemy, a teraz wróćmy jeszcze do gospodarzy i rozgatunkujmy ich na następne klasy:

1. Na Polesiu i wszędzie u nas tak się oni dadzą rozdzielić. Pierwszy jest gospodarz starozakonny. Ten trzyma się rutyny starej ślepo i powtarza jak jego przodkowie i jego poddani: „Tak dziad robił a dobrze mu z tym było, na co mam robić inaczej”. Nie przyjmuje on żadnych ulepszeń, żadnych nowości, żadnej ryzyki, żadnego wykładu kapitałów, najwięcej jeśli się waży wybić gdzie rów i pomorgować łąn. Przedaje po staremu, gorzelnią ma prostą, starą, koszlawą, woły rzadko stawione trzy razy, łąkami się na drobne zyski, śmieje się z tych, co lepsze owce trzymają, w szarej chodzi kapocie, pije wódkę kotłówkę spod trąby, barszcz i kapustę zajada, rujnuje się, rad sobie i swemu rozumowi. Jego dom jest taki, jak on sam. Piekarnia vis à vis salonu, a w salonie ławka okryta kilimkiem, klucze od stodoły na kołku, na

stoliku kalendarz berdyczewski, kałamarz i talia kart brudna, bizun u drzwi, skrzypce nad łóżkiem, szkatułka dębowa pod głowami itd. Do tego zawsze gorejący kominek z suchymi olchowymi drewkami. Tu per occasionem dodajmy, że w każdym domu na Polesiu jest jeden Znicz, to jest nigdy nie gasnący komin, na którym pali się wielka kłoda sucha, jak owa na Boże Narodzenie w starych domach angielskich. Bo ogień lubią wszystkie klasy na Polesiu od chłopca aż do pana – i trudno im się bez niego obejść.

Starozakonny gospodarz śmieje się z nowych, wierzy we dni, w które się koniecznie potrzeba, i wszystkie zabobony gospodarskie, zna pogodę po znakach i cały rok certuje z kalendarzem berdyczewskim, którego wyrocznie tak go zajmują, że o nich ciągle mówi. Tu zgadł, tu nie itd., itd. Kalendarz berdyczewski jest dla niego całą literaturą, całą encyklopedią. Samo z siebie, że starozakonny gospodarz chodzi całe życie w starym fraku, bo i nowy na nim się jak stary wydaje, nie umie się znaleźć w towarzystwie, do którego musi się ubierać, a dzieci swoje uczy tylko tego, co sam umie, i strzeże się, żeby broń Boże od niego rozumiejsze nie były, bo o sobie i zasadach swoich ma wyobrażenie, że nad nie – nec plus ultra. A ile razy syn się z czym przeciwnym zdaniu jego odezwie, przypomina i powtarza: – Nie będzie mędrsze jaje od kury!

2. Gospodarz na dwóch krzesłach. Tak zowie tego, który przeczuciem więcej niż rozumem dzisiejsze ulepszenia przyjmuje, choć nie spełnia je, rozumie i waha się z zupełnym nachyleniem na tę lub drugą stronę. Ze starymi gospodarzami udaje starego, z nowymi przysłuchuje się i potakuje nowościom. Dom jego jak głowa: pół stary, pół nowy. Są tam nowe, niesmaczne meble i stare po śp. ojcu kantorki, fortepian warszawski i teorban kozacki itp. Między k o p e r s z t y c h a m i na ścianie wiszą Święci Pańscy, historia Wilhelma Tella i różne jaskrawe wizerunki, które on pozawieszał, widząc, że wieszają coś podobnego gdzie indziej.

W tym sposobie jak z obrazami postępuje on sam ze wszystkim, naśladuje nieśmiało, małpowato, waha się i nie wie, co czyni. Świat też powinien mu przebaczyć, pamiętając, że nie wiedzą co czynią! – całe swoje życie. Najczęściej taki człowiek żeni się niebogato, a z wyższą nieco łącząc się klasą dla odznaczenia. Żony ich doskonale za nos wodzą.

3. Neo-gospodarz. Przysięga na Thaera i Kurowskiego, uwielbia Oczapowskiego, wierzy w płodozmian jak w credo, w merynosy jak w *Ewangelię*, w paszę sztuczną, jak w zbawienie. Sieje koniczynę, wykę, sporek itd. i czy się uda, czy nie, powtarza nie zrażony. Na pierwszym zejściu się ze starozakonnym gospodarzem kłóci się, pluje, dąsa i łaje, lituje się i rusza ramionami. Nie jego to rzecz zastosować się do kraju, w którym żyje, pomyśleć, porozumować, on słucha ojców płodozmianu, patriarchów nowego gospodarstwa, jakby na to poprzysiągł, resztę zaś, to jest skutek, na ich ręce zwierza.

U neo-gospodarza cały dom nowy – meble z Petersburga, książki od Bellizarda i od Gräffa, suknie z Warszawy, wszystko najnowsze, ale nie przeto najlepsze, byle tylko najświeższe. Wielu rzeczy nie rozumie i użyć nie potrafi, ale dość, że je ma i chwali. Jeśli się co ukaże, nie pyta, czy tego potrzebuje, czy nie, czy użyć może, czy mu na to wystarcza, kupuje, chwali się, odurza nazwiskami dzikimi, które przewraca najdziwniej.

N o t a b e n e takiego gospodarza jeszcze w Polesiu nie widziałem, dodaję go tylko jako p e n d a n t do poprzedzających. Średnich między nimi odcieni nie opisuję. Śmieszności trzeba poprawiać (jeśli można), a tego, co jest dobre, chwalić nie trzeba – obejdzie się ono bez pochwał.

KAWALEK DROGI PRZEZ POLESIE NA WOŁYŃ²³

Ze Stepania do Kazimirki nudna droga lasem sosnowym; dzikie Polesie! Smutne! Tyle już razy opisywałem i zmuszony będę opisywać jeszcze sosny, piasek i błoto, że na ten raz pozwolicie mi je ominąć. Widoki z tych trzech pierwiastków złożone tak są zawsze sobie podobne, że trudno długo się nad nimi zastanawiać.

Kazimirka sama, jakkolwiek w położeniu poleskim, już jest nieco znośniejsza, otaczając ją las dokoła nie piękny, ale wśród niego ustronny kościółek mile zadziwia podróżnego po nużącym widoku gołych sosen i błota. Kazimirka dawniej zwana Kazimirowem, była miasteczkiem.²⁴ dwanaście wsi przed stu laty należało do parafii, a probostwo, jak dziś, zależy od infuacji ołyckiej, z którą razem fundowane było. Przedzielone groblą, stoją tu przeciw siebie dwie rywalizujące karczmy, jak dwaj rycerze gotowi do boju. Na prawo miły, czysty kościółek wygląda zza drzew. Jest w nim cudowny obraz Bogarodzicy, uczęszczany przez pobożnych pielgrzymów z daleka. Wkoło niego i plebanii rozciąga się smętaryk i ogródek. To wszystko i otaczająca cichość zdaje się wzywać do modlitwy, daleko bardziej niż wiele kościołów szumnych, gdzie za błyskotkami próżnymi pana Boga nie widać. Spokojność, ustron, cichość, oddalenie od świata, tłumaczą bardzo dobrze egzaltacją religijną, rozmowy duszy z Bogiem i przejęcie się duchem niebieskim. Świat tył i tak mocnymi węzłami do nas się przywiązuje, że chcąc się od niego oderwać, trzeba się ciałem wprzód niż myślą od ludzi i przedmiotów – pokusy myślanej – oddalić. Nabożeństwo więcej ciszy i samotności, niż wystawy i zgiewku potrzebuje; przynajmniej tak czuje go moja dusza.

Z Kazimirki do Bereźnego niczym nie zajmująca droga, wolę o niej zupełnie zamilczeć. Niedaleko Bereźnego zaczynają się długie wsi do niego należące, nareście wjeżdża się w miasteczko, które można minąć, spojrzawszy tylko na kościół. Ten stanął już po r. 1726, bo w synodzie łuckim tegoż roku pisze, że kościół całkiem był zrujnowany, bez probostwa i funduszu. Wznosi się także kosztem dziedzica synagoga nowa. Jest tu mała fabryczka sukienna, kilku garbarzy i apteka. Położenie miasteczka nad Słuczą handlem drzewnym je ożywia.

Ciągle Polesiem i piaskiem ciągnąłem na nocleg do Mokwina, do którego mnie powierzchowność murowanej karczmy wabiła. Ale, niestety – o nędzo ludzkich nadziei! – i na tym się omyliłem. Było w niej 20 koni pocztowych i kilku pijanych pocztylionów, którzy tu z tryngieltem nocowali odwiózłszy jakąś nową panią do nowo kupionej posiadłości. Dodajmy do tego dziurę w oknie, zimną izbę i brak herbaty, a będzie to najokropniejszy nocleg w mojej biografii po najsławniejszym kałuszyńskim, o którym wam kiedyś powiem. Przecież noc ta straszna przeszła, jak wszystko przechodzi, ranek zaświtał, pocztylioni

²³ Obacz: Stepań

²⁴ Synod łucki r. 1726 [Constitutiones Synodales...Warszawa 1726].

wyruszyli, a ja wyszedłem pobłogosławić ich odjazd na próg karczmy. Tu mała trzynastoletnia dziewczynka z wiadrami na ramionach, bosa i zziębła, spotkała mnie prostym przywitaniem, za które dotąd wdzięczny jej jestem.

– Dobry dzień!

Chociaż owa para próżnych wiader, z którymi drogę mi przeszła, nie bardzo dobrym była znakiem wedle gminnego przesądu, jednak dla miłego – Dobry dzień! – biednej, bosej dziewczynki i tego nie uważałem.

Po niej przyszedł mi także oddać dzień dobry wielki cap, faworyt gospodarza, poważny, żółty, brodaty, śmierzący, a piękny tak, żeby go żywcem na sławny obraz Bacchusa i Sylenów Rubensa włożyć można było. Potem witały mię, po jednemu przechodząc, konie pocztarskie, potem pocztylioni z fajkami i przekleństwem w zębach. Potem pokazało się słońce – i pojechałem.

Po drodze wspomnieć jeszcze potrzeba miasteczko Siedliszcze nad Słuczą w dzikim Polesiu. Jest tu papiernia, a raczej bibularnia, młyny itd. Niedaleko stąd na górze za Słuczą znajdują się gruzy starego zamczyska zwanego Hubkowem, w bardzo, jak mówią, pięknym położeniu u samego brzegu rzeki. Była to niegdyś własność i rezydencja Siemaszków. Na jednej górze wedle tradycji był zamek obronny, na drugim pałac, łączyły się te dwie góry mostem zwodzonym. W jednej z nich są jeszcze zarzucone podziemia. Dom Siemaszków, herbu Łabędź czy Krzyż na Trzech Górach, dawny jest na Wołyniu i Polesiu Wołyńskim. Wspominają ich metryki wołyńskie w r. 1528. Kilku było starostami łuckimi, spokrewnieni z Bohowitynami, Czetwertyńskimi, Puciatymi, Ledóchowskimi, księciami Poryckimi, księciami Woronieckimi, Ogińskimi itd. Około 1596 pierwszy z tej rodziny Aleksander, podkomorzy włodzimirski, z greckiego na katolickie wyznanie przeszedł za sprawą ks. Herbasta S.J. Ten to, co Dubna bronił od Tatarów w r. 1577. Nigdzie jednak nie czytamy, żeby się pisali z tego Hubkowa.

W wiosce Rzeczkach kończy się Polesie, a Wołyń zaczyna. Wjeżdżamy w stepy i z dala widzimy koreckich cerkwi zielone dachy i wieże. Tu ziemia czarna tętni pod kopytami, tumany pyłu wzlatują, oko nie spostrzega już nudnych sosen co chwila i swobodnie pobujać może.

Korzec leży poważnie na wzgórzystym miejscu. Od strony Międzyrzecza Koreckiego dostawać się potrzeba do miasta stromą i najeżoną skałami górą. Brzeg rzeki, nad którą stoi, pierwsze w życiu skały mi pokazał. O, jakżem się ucieszył! Skały! Skały! Ten wyraz poetyczny, który znaleźć można w każdej elegii, w każdej tragedii, w każdym poetycznym romansie, skały, które tak dobrze rymują z tylu wyrazami, o których tylu pisze, nie wiedząc co czyni, dla rymu tylko lub brzmienia – skały szare, sterczące z ziemi, jak kości z podartego ciała.

Korzec, ostatnimi czasy własność książąt Czartoryskich, dziś podzielony, miał dość dobrą fabrykę porcelany, teraz upadłą, którą tu towarzystwo akcjonariuszów utrzymywało. Na wysokiej górze stoją gruzy pałacu, nie bardzo dawnego, jak łatwo poznać po architekturze.

Za księcia Józefa Czartoryskiego, ostatniego posiadacza z tego imienia, stolnika W. Ks. L. i starosty grodzkiego łuckiego, Korzec bardzo się był obudował, miał prócz fabryki porcelany i fajansu, fabryki sukien, kapeluszy, pasów litych i płócien różnych. Na górze zamkowej (gdzie, jak tradycja niesie, był klasztor i cerkiew bazylikańska), której góry podnoże, pochyło ku stawowi i rzece schodzące, pokryte było drzewami, grotami, murami i różnego rodzaju ozdobami, ogromne gmachy stały z bramą i wieżą nad nią wedle zwyczaju. Pałac ten spalił się dopiero w r. 1831. Za księcia Józefa, który Korzec podniósł znacznie, dobrze się mieli tutejsi mieszczanie; a z tego, co o nim podania mówią, znać dobroczynny i prawy charakter. Toż samo przebija się w jego portrecie zawieszonym w kościele koreckim. Dozwalał się on pozywać mieszczanom przed magistrat, przegrywał z nimi sprawy i dla sprawiedliwości, którą kochał, chętnie powagę swoją poświęcał. Cerkiew, dziś blisko zamku będąca,

początkowo miała wyznaczony fundusz na budowę przez księcia stolnika na 50 000 zł. Plan jej nawet podpisany przez niego wyrażał, że frontonem miała być obrócona ku pałacowi. Potoccy, Czartoryskich dziedzice, na jej wystawienie wydali przeszło 100 000 zł.

Rozłożenie miasteczka po górach, ukazujące się na nich dachy cerkiew i kościołów, mury, ruiny wspaniałe pałacu, staw i wody Słuczy zdobią bardzo to miejsce, które najpiękniej z dołu od wjazdu międzyrzeckiego się wydaje. Na jednej z gór stoi kościół farny. W drugim końcu miasta byli franciszkanie, których kościół piękny, lecz nie dokończony, gdyż jedna nawa jest tylko pokryta, a reszta wali się w ruinach. Tu były nagrobki przywiedzione w Starowolskim.²⁵

²⁵ Sz. Starowolski, Monumenta [Sarmatarum...] s.503;

D.O.M.

Clara ducum soboles Olgerdii sanguine cretus,
Princeps militia et dum vixit gloria gentis
Lechiacae, Moschi terror terrorque fugacis
Tartariae, aequales tantum virtute feroci
Exuperans, quantum te cynthia vincit Apollo
Lumine, vel quantum magno concessit Achilii,
Hector Dardanius, vel quis de gente Pelasga.
Praesidium patriae magnum magnum et incrementum
Victor Moldavi, Tomssae, Brusidis atri
Korecki Samuel, quen Turcis jussu tyranni
Sanguine conspersum inde heu funere mersit acerbo.
Germani Caroli cura ast avectus ab oris
Turci, hac exigua exuvias heu ponit in urna

Bogu Najlepszemu Najwyższemu

Sławny książąt potomek zrodzony z krwi Olgerda. Pierwszy na wojnie.

Póki żył, był chlubą Lechowego szczepu, postrachem Moskwy i zwinnych w ucieczce Tatarów. Odwagą tak przewyższał współczesnych, jak ciebie Diano przewyższa swym blaskiem Apollo, jak wielki Achilles, przewyższył Trojańczyka Hektora i każdego z Greków. Wielki syn, wielka podpora ojczyzny. Zwycięzca Tomży, złowrogiego mołdawskiego Buzyrysa, Samuel Korecki, który poniósł śmierć okrutną z rozkazu sultana. Brat jego Karol przywiózł ciało aż z tureckich brzegów i złożył w tym, jakże skromnym grobowcu.

D.O.M

Atavis editus regibus.
Clarus Dux in Korec,
Major suis majoribus.
Primum ob. Susceptam a se orthodoxam religionem
Cujus ubique accerimus propugnator vindex et parens
Metropoli in suo Ducatu Catholici templi fundator.
Cujus invictissimum herois animum
Non carcer quinquennalis Suecorum immanium infregit
Non illecebrae exterarum nationum abduxerunt
Non charissima patria, civem mortuum expectavit
Profuit egenti sago et toga.
Volhyniae maturo consilio prudentissimus Castellanus
Contra Osmanum terra minitantem
Aluit plurima centena veteranorum militum
Hujus
Illustrissima prosapia Samuel et Eufrosina
ut
Mortalibus immortalibusque sidus Corecianeum luceret
Hoc trpohaeum virtuti et gloriae defixerunt.

Bogu Najlepszemu Najwyższemu

Dawnych książąt potomek. Sławna latorośl rodu Olgerda, sławny książę na Korcu. Większy od swych przodków. Po powrocie do religii katolickiej, której stał się najzarliwszym obrońcą, opiekunem i wyznawcą, w

Książęta Koreccy,²⁶ których to miejsce było kolebką, nosili w herbie Pogoń, a ród swój wiedli od Olgerda, jak dowodzi Niesiecki, potem zaś od Dymitra Buttawa Olgerdowicza, który tu wzięwszy działem dobra na Wołyniu, zbudował zamek na skale nad rzeką Korzec, tam gdzie ona do Słuczy wpada, otoczony dokoła wodą. Nazwał go Korcem, a od niego wedle zwyczaju poszło potem i książęce ich nazwisko. Poległ on w r. 1399. Jego następcy wsławili się prawie wszyscy wojennymi czyny, dla których najlepszym naówczas teatrem był Wołyń, ciągle wystawiony na napady Tatarów, Turków i Rusi. Takimi byli Lew i Aleksander, książęta koreccy, bezpotomni, których ciała leżą w pieczarach kijewskich; także Iwan, ich brat. Bohusz Fiedorowicz, wojewoda wołyński, starosta łucki, winnicki, braclawski, żytomirski, za zezwoleniem króla fundował zamek w Winnicy 1572 i w Braclawiu 1550 r. i oba umocnił. Przed śmiercią swoją posłał królowi swój łuk i konia, których do wojny używał. Nasi kronikarze kilka podobnych darów przedśmiertnych wspominają. Bohusza ciało spoczywa u P. Marii Pieczerskiej w Kijewie.

Joachim, syn jego, miał za sobą Chodkiewiczównę, pochowany w kaplicy zamkowej koreckiej, której dziś ani śladu.

Ale najślawniejsi pewno z książąt koreckich byli Samuel i Karol, bracia, obaj wojownicy wielcy. Samuel był zięciem hospodara multańskiego, co go po części do wojen własnym kosztem z Turkami zmusiło. Piszą, że po dziewiętnastu wygranych bitwach we dwudziestą dopiero w r. 1617 stoczonej w niewolę został wzięty. Z największą trudnością przyszło mu się wydobyć z więzienia. W tym niebezpieczeństwie uczynił ślub wystawić w Korcu kościół franciszkanom, jeśliby mu się z niego wyrwać udało, a nadto odbyć jeszcze pielgrzymkę do Loretu.

W tej niewoli został Samuel katolikiem, prawie jednocześnie z bratem swoim Karolem. Sława jego wojenna sprawiła, że sułtan, chociaż niewolnika, ze czcią go przyjął, a nawet wedle zwyczaju próbował namowy, chcąc go nakłonić, aby się zbisurmanił. Lecz jakkolwiek nagliło go niebezpieczeństwo, Korecki takiej zmiany wiary, stanu i życia nie mógł wymóc na sobie. W owych wiekach było to daleko niepodobniejszym niż dziś, zważywszy jeszcze pochodzenie Samuela. Tymczasem żona jego i Sieniawski, podczas korony, myśląc o jego oswobodzeniu, nadesłali mu pieniędzy, a Greczyn, który mu w niewoli posługiwał, we flaszy wina podniósł ukryty powróż i piłkę.

Miał tedy czym straż przekupić, upoił ją, trzy razy żelazne w oknie przepiłował, a z wieży po murze się spuścił. Szczęśliwie dostawszy się do Raguzu, stamtąd popłynął do Sycylii,

głównym mieście swego księstwa ufundował kościół katolicki. Jego niezwykłej bohaterskiej duszy nie złamało pięcioletnie więzienie groźnych Szwedów ani nie zwiodły pokusy obcych krajów. Najdroższa ojczyzna nie czekając na śmierć swego obywatela przysłała z pomocą pozbawionemu płaszcza i togi.

Gdy Osman krajowi zagroził, kasztelan wołyński przewidujący i rozważny wielką wystawił liczbę doświadczonych żołnierzy. Ten pomnik dzielności i sławy ustawili sławni jego potomkowie Samuel i Eufrozyna, by gwiazda rodu Koreckich świeciła śmiertelnym i nieśmiertelnym.

Napis na srebrnej bkasze złotymi literami:

Carolus Olgerdowicz Korecki
Castellhanus Volhinae

Deposuit hic quod mortalitatis erat. Anna de Potok
Potocka, perpetuum monumentum sibi et posteris. Dux at maritus reliquit et esse voluit.
Obiit aetat. 30 christi 1623 4 Majj.
Requiescat in sancta pace.

Karol Olgierdowicz Korecki, kasztelan wołyński, złożył tu co było śmiertelne. Anna z Potoka Potocka. Wieczną pamiatkę dla siebie i potomnych zostawił książę i mąż, aby trwała. Zmarła mając lat trzydzieści, w roku 1623, 4 maja. Niech spoczywa w świętym spokoju.

²⁶ K.Niesiecki, [Korona polska...], t.II s.606 i nast

udając kupca. Lecz w drodze o mało ich nie pochwytał okręt korsarzy tureckich, których z trudnością uniknąć potrafili. Z Sycylii wręście dostał się Samuel do Neapolu, a stąd do Rzymu w roku 1618. Dopelniając ślubu uczynionego w niewoli, pielgrzymował do Loretu i dopiero do kraju powrócił.

Los jego nowe mu niebezpieczeństwa gotował. Z hetmanem Żółkiewskim udał się znów na wyprawę przeciw Turkom i tam drugi raz w niewolę wzięty został. Zaprowadzony do Konstantynopola, już się męczeńskiej nie wywinął śmierci, którą mu nagotowała zemsta sułtana jako niebezpiecznemu wrogowi. Bity łokciowymi pręty żelaznymi aż do śmierci, zrzucony został z tej wieży, z której wprzód tak cudownie był uciekł. Ciało jego wykupił potem brat Karol i w kościele Franciszkanów w Korcu złożył. Stało się to w r. 1622.

Brat jego, Jan Karol, kasztelan wołyński, równie z nim nieszczęśliwy był i sławny. Za granicą będąc w Amsterdamie, został pochwycony w niewolą od Szwedów. Jak brat, w niewoli w Sztokholmie uczynił ślub powrotu do religii katolickiej, wymieniony za jeńca szwedzkiego, powróciwszy do kraju, kościół Franciszkanów budował i wspomagał; umarł w r. 1633.

Samuel Karol, syn jego, sławny także wojownik, umarł w sam dzień ślubu swego powtórnego, zachorowawszy w r. 1651. Na nim linia męska książąt Koreckich zgasła.

HORODEC

Nie śmiem szerokim opisem profanować miejsca tak dla mnie drogiego, jak Horodec. Nie wszystkim wolno tam patrzeć z podróżnym, gdzie go serce, nie ciekawość lub chęć nauczania się czegoś prowadzi. Wszakże opisywać Polesie, a nie wspomnieć o Horodcu byłoby znowu nie darowanym grzechem. Więc nic nie mówiąc, przez samo uszanowanie, o jego mieszkańcach, będę tylko mówił o niektórych ciekawościach.

Położenie Horodca, choć na płaszczyźnie i wśród Polesia, jest bardzo piękne. Pałac obszerny stoi prawie nad samym ogromnym stawem, od którego droga go tylko przedziela. W oddaleniu widać z okien przez całą szerokość stawu rzucony most, wieś ponad jego brzegami daleko rozrzuconą i lasy w głębi, jak wszędzie na Polesiu. Ogród pracowicie wyrobiony na dość niewdzięcznym miejscu rozciąga się poza domem, z niego widok na płynący w oddaleniu Horyń i łęgi.

Biblioteka, pierwsza rzecz godna uwagi i zastanowienia w Horodcu, wielkim kosztem czasu, pieniędzy i pracy zgromadzona, umieszczona jest w osobnym na to zbudowanym lokalu, smakownie zrysowanym. Prócz wielu rzadkości bibliograficznych drukowanych, znajdują się tu i ciekawe rękopisma, między którymi uderza pięknnością i sztuką kaligrafa rękopism Waleriusza Maxyma po francusku z XIV wieku, na pergaminie in folio, z miniaturami, złoceń, ozdobami, niezmiernie kosztowny i ślicznie dochowany. Z tegoż wieku rękopisma matematyczne, dawniejsza jeszcze jedna księga akt kaplicy arcybiskupiej tulubańskiej, jeden rękopism książki do nabożeństwa arabskiej, o który starał się Wacław Rzewuski; i wiele innych łacińskich i polskich.

Z rzadkich druków uderzają: prześliczny egzemplarz na pergaminie *Horae* 13. M. V. z ozdobami ksylograficznymi, *Biblia* norymberska na kształt rękopismu z XV wieku, *Catholicon* Jana Balbi, druku Fausta. Wiele także polskich inkunabułów, *Życie ś. Stanisława* Długosza, *Opuscula* Tucholczyka, *Statut* Łaskiego, *Statuta wrocławskie* Hallera, *Żółtarz* Wróbla, itd. Z rzadkości *Victoria deorum* Klonowicza, dzieła Bielskiego, Paprockiego, Reja *Zwierciadło* i inne, a nawet niektóre bibliografom nieznajome. Prócz tego piękne i rzadkie a tak cenione za granicą druki Elzevirów i Aldów, wielkie edycje klasyków, *Biblie* w wielkim komplecie, mnóstwo podróży. Na niektórych książkach napisy własnoręczne sławnych ludzi cenę ich wysoko podnoszą, takimi są Grochowskiego Stanisława, Orzechowskiego, Komeniusza i dedykacja Aleks. Sanuta Batoremu.

We francuskim zbiorze jest cała *Encyklopedia metodyczna*, historyków bardzo wielu, piękne wydanie dzieł ornitologicznych Levaillanta, monografie niemieckie muszli, roślin, motylów itd. Co do sztuk pięknych wspomnieć potrzeba galerie: orleańską, drezdeńską, luksemburską, düsseldorfską, napoleońską, część wiedeńską, Hermitażu, *Herkulanum* Piranesich i Davida, historia malarstwa włoskiego itd., itd. Nie mogąc się rozszerzać nad

mnóstwem rzadkich i kosztownych dzieł, musimy się ograniczyć wspomnieniem tych tylko, które nam na pamięć przychodzą.

Zbiór znaczny numizmatów umieszczony jest w sali bibliotecznej we dwóch szafach, kupionych za kilkaset czerwonych złotych z licytacji po Potockich. Te szafy należały niegdyś do króla Leszczyńskiego, a jak medaliony na nich będące okazują – przeznaczone były także na zbiór numizmatów. Zdaje się, że to był dar Ludwika XV teściowi uczyniony, co potwierdzają także medaliony i kosztowna ich robota. Szafy te, ozdobione stosownymi brązami, nakryte marmurem, są razem piękne, szacowne pamiątką, wygodne i tak stosowne, iż nigdzie tak dobrze użytej starożytności widzieć nie można. Robota ta i dziś jeszcze piękną się wydaje, choć tyle już lat i odmian smaku nad nimi przepłynęło.

W zbiorze numizmatów celuje oddział monet – medalów greckich i rzymskich, cesarzów, rodziny i miast; wielki zbiór polski odznacza się panowaniem Zygmunta Augusta. Tu widzieć można jedyny i dotąd nie opisany portugał litewski dziesięciodukатовy (aureus), bity w r. 1562, prześlicznie dochowany. Z jednej strony popiersie Zygmunta Augusta, z drugiej – herb Litwy w kwiecistych obwódkach.

Z obrazów, w pięknych salonach Horodca zawieszonych, celuje *Ś. Jan* Leonarda da Vinci, nie zaprzeczony oryginał, noszący datę 1495 roku, w starożytnych prześlicznych ramach. Wyraz twarzy *ś. Jana*, uśmiech jej, łagodność, są zachwycające. Szkoda, że długim czasu przeciągiem farby mocno ściemniały, a przez to cienie zbyt ostre się wydają, co jednak w oczach znawcy najmniej mu wartości nie ujemuje. Dwa obrazy Rubensa, jeden kobietę nagą w futrze wyobrażający, drugi zaślubiny *N. Panny*. Roelandta Savery obraz z r. 1619 wyobrażający wyjście z arki zwierząt, dziwnie wykończony we wszystkich szczegółach, tym cenniejszy, że sławny ten malarz, bardzo niewiele obrazów zostawił (Descamp). Van der Wersa *Ś. Cecylia* maleńka, skończona jak miniatura. Z Rafaela obrazek mały na blasze, *Ś. Familia*, któremu podobny widzieć można w przerysach galerii orleańskiej. Tu mianowicie *ś. Jan i P. Jezus* odmiennym charakterem twarzy i ciała zastanawiają, dowodzącym myśl głęboką.

Dominichina *Zwiastowanie*, w którym nie tak dwie główne figury, jak raczej chmura aniołów spuszczaająca się za zwiastującym zastanowienia godna. Sposób rozrzucenia aniołów w obłoku, śmiało powiedzieć można, jest nie do naśladowania. Wielki obraz wystawujący rodziną Dariusza nowej szkoły, jednego z Carachów *Ś. Franciszek seraficki*, ulubiony pana domu obraz, Gwido Reniego *N. Panna*, na której odwrocie następujące wiersze polskie:

*Cnego mi Gwido Reni ręka życie dała,
A ciekawość dowcipu w Rzymie wychowała.
Potem ze Włoch do Polski za prezent oddany
Z podłej ręki do zacnej widzę me przemiany.
Oh, dziwne jakieś ze mną fortuny odmiany!
Pierwszym był wizerunkiem malarskiej dzielności
Potem usług ofiarą, asz celem godności.*

Te dwa ostatnie wiersze dla niewiadomych okoliczności, które do nich powód dały, są niezrozumiałe. Nie wspomnieliśmy jeszcze *Karnawału rzymskiego na Piazza Navonna*, *Samarytanki* kilku szkoły holenderskiej oryginałów itd., ale też trudno by wszystko opisać. Zbiór ten obrazów ogólnie wspomniał opisujący galerię Mniszchowską w Wiśniowcu (w „Wizerunkach Nauk”).

Oto są dla obcych godne widzenia rzeczy w Horodcu, zaś ci, którym los szczęśliwy dozwolił poznać jego mieszkańców, dla nich zapomnieć mogą o wszystkich arcydziełach i osobliwościach.

Uderzony nazwiskiem Horodca, szukałem tu horodyszczu i znalazłem je niedaleko od dzisiejszej osady, nad Horyniem. Znajdowano tam siekierki kamienne.

PIŃSK I POLESIE PIŃSKIE²⁷

1

Gdy gdzie indziej potrzeba dla odkrycia nowych i nie opisanych krain płynąć jak Ross przez lody lub iść do źródeł Nilu, gdzie już tylu zginęło; kiedy gdzie indziej podróżni zmuszeni są bardzo dawno wiadome, widziane, opisane, oklepiane rzeczy powtarzać coraz na inszy sposób, kiedy już aż do znużenia wymalowane są, objaśnione, upoetyzowane i brzegi Renu, i góry Szkocji, i biedne chaty wieśniaków Irlandii (gorsze daleko od naszych); kiedy nowych zwierząt naturaliści muszą szukać w głębi ziemi (mamuty), nowych roślin na dnie morza (algi) – u nas, w krajach słowiańskich, wszystko jest jeszcze w stanie dziewiczym, do opisu, do wynalezienia i odkrycia przed światem. Stern czy Pallas, Humboldt czy miss Trollope, Basil Hall i książę Pückler-Muskau, każdy by tu swój rodzaj podróży mógł z korzyścią przedsięwziąć, do każdej z nich znajdują się jeszcze nie tknięte materiały. Proszę, na przykład kto opisał Pińsk i Pińszczyznę choćby tylko pod względem malowniczym? Kto ocenił także wartość handlową tego zakątka? Dotąd nikt podobno, a nasz opis jest tak lekką próbką, że i po nas można będzie odpowiedzieć: n i k t j e s z c z e.

Nie mogę opisywać podróży mojej z Prużanej do Pińska, boby to była najnudniejsza frazomachia, jakąście w życiu czytali, a ja pisałem. Cóż – kraj lasu, piasków, błota, ubogiego ludu; Żydzi brudni, odarci i odzierający, karczmy śmierdzące, mosty drżące i pogruchotane, groble, po których jadąc trzeba zębami dzwonić ze strachu, żeby się wszystkie kości nie potrzaskały, lasy smutne sosnowe, sosny nawet rachityczne, garbate, kulawe, pełno korzeni na drodze, czasem krzyż na rozstaju, cerkiewka stara, podparta na kulach. A wsi! Chaty do pół w ziemi, psy chude, lud chudy i pół nagi, uwędzony w dymie, żółty; dzieci z rozczochranymi włosami nareście – nic doprawdy ciekawego. W miasteczku tylko Chomsku nowy kościół, podobny zupełnie do rondelka z pokrywką, któremu rękojeści braknie, a mógłby się wybornie przydać do odsmażenia podwieczorka Gargantui. Koło Bezdzieża pomnik zabitemu wojownikowi.

Nareście zbliżamy się do Pińska, gwiazdy swoich okolic, miasta, które z Białym i Czarnym Morzem ma związki, siedzące jak Żyd bankier na wielkim gościńcu, po kolana w błocie, na worku soli, z trzosem rubli. Z daleka naprzód pokazuje się wieża eks-jezuickiego kościoła. Jedziesz po piasku, oglądasz się; sterty, karczmy, topole, z daleka nad drogą niby wiatraki uwiązane na pokucie, niby domy z pięćdziesięcią kominami, na koniec wielki słup w

²⁷ Ten rozdział, naprzód drukowany w „Tygodniku Petersburskim” [1837 nr 49] powtórzyło wiele pism, a mianowicie „Muzeum [Domowe]” Dmochowskiego [1837 nr 27/28] i „Przyjaciół Ludu” [1837/1838 nr 18-19]. To ostanie pismo z rysunkiem Mielcarzewicza

prawo z rzeźbami P. Jezusa, N. Panny i ś. Jana. Chcę wyczytać napis chorągiewki, datę pamiątki, na próżno – hieroglify jakieś.

Zbliżamy się do rogatek: Stój. – Przychodzi Izraelita z wielkim rożnem, pakuje go pod brzuch tobie, twojej bryce, tłomokowi, szuka i wacha wódki. Nie wolno jej bowiem wwieźć, chyba w żołądku. Obejrzany, wjeżdżasz nareście w ulicę szeroką, błotnistą, między dwoma rzędami domów. Gdzieniegdzie murowany, gdzieniegdzie nowy drewniany, reszta schylone, stare, koszlawe. A wkoło idą procesje długie czumackich furmanek, furmanek spod Kobrynia, Prużanej, z całej okolicy na kilkadziesiąt mil wokoło, które tu zboże wiozą, a sól, dziegieć itp. stąd nazad transportują, koło nich handlu tutejszego przewodnicy Żydzi płaczą się i kręcą w lisach, szopach, popielicach, baranach, z brodami żółtymi, krwawymi, szarymi, czarnymi, białymi, bez bród, w czapkach, kapeluszach, pończochach etc. Jedziesz dalej przez rynek ożywiony, a na prawo od ciebie wznosi się facjata eks-jezuickiego kościoła i wały niegdyś zameczyska. To nam przypomina, że powinniśmy choć kilka rysów historii miasta i okolicy rzucić tutaj.

2

Obszerniejsze jest daleko Polesie, niżeli ta część kraju, którą pod jego imieniem opisujemy. Jest raczej kilka jeśli nie więcej Polesiów, a historia śledząc w nich dawnej posady Jaćwieżów, Jazygów, Metanastów, Getów, nie wie nawet dla rozciągłości kraju zwanego Polesiem, gdzie ich właściwie szukać. Kraj pod imieniem Polesia zwany rozciągał się od Rusi i Wołynia ku Prusom, Mazowszu i Litwie, zajmując dawne województwa podlaskie, brzeskie, nowogródzkie i ziemię chełmską. Część województwa brzeskiego zwała się długo Polesiem.²⁸ Tymże imieniem zowie Kromer Podlasie dzisiejsze, a Strykowski mieszając Podlasie i Polesie, Wołyńskie już Polesie Podlasiem nazywa. Ziemia chełmska ma swoje Polesie od Chełma idąc ku Ratnowi. Jest także Polesie Nowogródzkie, sąsiednie Pińszczyźnie i Mozyrowi. Pińszczyzna sama zwała się Polesiem Litewskim. Naruszewicz wnosi dla tego tylko imienia, że w całej rozciągłości Polesia siedzieli Jaćwieże. Jednakże dla imienia pochodzącego z położenia naturalnego nie zdaje się być podobna siedziby ich tak daleko rozciągać. Gdy skądinąd znajdujem na brzegach Polesia Wołyńskiego i Litewskiego Krywiczany i Drewlan.

Znaczną jedną część Polesiów zajmowali niechybnie Jaćwieże, później tak zniszczeni, że ich śladu już na tej ziemi nie zostało, ani języka, który musiał być całę różny od słowiańskich, a więcej litewskim podobny, ani obyczajów, które całę obce będąc, mogłyby się odznaczać jeszcze.

Jaćwieże Poleszuki napastowani od Polaków i Rusi, dwoma wiekami przed Kazimierzem W. ścieśniać się podbojami sąsiadów zaczęli. Włodzimierz Swentosławowicz w X wieku wziął od nich część Polesia Wołyńskiego i odtąd, jak się zdaje, poczęło tu wchodzić wyznanie greckie. Bolesław Chrobry szarpał ich od Prus, tenże idąc na Kijew i dobywając go, zabrał u Rusi podbite przez nich Polesie. Jarosław, książę kijewski, który ku Mazowszu ciągnął za Mieczysława II, część podlaskiego Polesia osadził Rusinami. I to ma być początkiem Rusi na Podlasiu.

Kazimierz I, mnich, zbiwszy Poleszuków z Masławem sprzymierzonych, przywrócił Polsce dawne polskie Polesie. Później Swentopełek kijewski znowu się przyłożył do zniszczenia Poleszuków. Zajął on Polesie Wołyńskie. Nareście Polesie przeszło całkiem do

²⁸ M.Kromer, *Polonia [sive, de situ, populis, moribus, magistratibus et epublica regni Polonici libri duo. Kolonia 1577]. Tractatus poliesiensis.*

Polski. Lecz do roku 1520²⁹ Polesie Litewskie, nie rozdzielone, należało do jurysdykcji wojewody trockiego. Dopiero o tym czasie Zygmunt I w Toruniu stworzył województwo podlaskie i w nim część Polesia zamknął. Inne Polesia do Wołynia, a z Wołyniem do Korony należały.

We XII wieku sławna była wyprawa Kazimierza Sprawiedliwego, na Jaćwieżów – Poleszuków w r. 1192. Wtargnął on z wojskami w część Polesia Podlaskiego, mimo oporu, jaki mu stawiały niedostępne błota i puszcze. Wypadek i szczegóły tej wyprawy ducha i charakter Jaćwieżów pokazują. Gdy mszcząc się pustoszeń na Mazowszu, szedł już do Drohiczyna Kazimierz, zlekli się na pozór Jaćwieże o swoje głowy i bożnice. Wyszli, ofiarując mu pokój, poddaństwo, a dla pewności zakładników.

Uspokojony, przyjął ich Kazimierz, wojsko się rozłożyło nieostrożnie, a czas upływał. Tymczasem Jaćwieże, korzystając z przewłoki, porobili w miejscach niektórych zasadzki, na jakie zdobyć się mogli, popodcinali drzewa, pozwalali drogi, i lekceważąc życie zakładników, gdyż wierzyli w nieśmiertelność,³⁰ wpadli na Polaków. Trzeba się było ratować ucieczką, a ta ze wszech stron była zamknięta, zewsząd stali Poleszucy, broniąc przejścia, wycinając w pień wojsko. Tym do ostateczności przywieźli Polacy, rzucili się na tłumy barbarzyńców, co tak dzielnie swego kraju broniły – i pobili ich. Królik ich złożył podarunki i przysiągł na wierność.

Nieustanne wojny, a potem najazdy zniszczyły Jaćwieżów do szczytu i kraj ten wyludniły. Sąsiednia Ruś osiedliła się w nim.

Następnie jednak imię Polesia z wycięciem lasów i większym zaludnieniem kraju, nowymi jego podziałami, do większej już części ziemi stosować się zaczęło. To Polesie, którego tu niektóre rysy skreślamy, przejrzelśmy od Pińska do Łucka i Ołyki.

Nazwisko ogólne kraju samo w sobie ma łatwą etymologią naturalną, i nie wiem skąd się mogło wymarzyć cudzoziemcowi Malte-Brun,³¹ albo skąd wziął pomyłkę, którą w swoim obrazie ziem niegdyś polskich popełnił pisząc: „Błota, którymi jest zalane, podobne do morza dały mu imię Polesia”³².

3

Otoczające Pińsk błota nad Piną i Jasiołdą, mnóstwo rzek i rzeczulek przerywających je, dały powód jednej z najosobliwszych bajek, jakie kiedy stworzyć mogły domyślność ludzka i niespokojna ciekawość. Bajka ta urosła z położenia kraju i z pozoru jego w czasie niezmiernych wylewów wiosennych, zatapiających ogromne przestrzenie błot i łągów. Podanie to głosi, iż kiedyś bardzo dawno Morze Czarne (Pontus Euxinus) aż pod Pińsk podchodziło, lecz kiedyś, jakiś potężny monarcha kijewski rozciął góry, spuścił zatrzymane wody, i zostały się tylko błota. Lepiejże już było morze zostawić niż błota! Na dowód tego cytują kotwice pługiem wyorywane po polach, ale gdzie, kiedy, przez kogo – tego nie piszą.³³

Pierwsze wspomnienie Pińczuków u Nestora znajduje się około r. 1097, gdy ich z Brześcianami Mściśław, syn Swentopełka, do obrony Włodzimierza od Dawida wezwał i z nimi się złączył. Kto by zaś był założycielem Pińska, jaka to była pierwotna osada – nie piszą.

²⁹ A. Naruszewicz, [Historia narodu polskiego od początku chrześcijaństwa. Lipsk 1836-1837?]

³⁰ Herodot, *Getae*.

³¹ K. Malte Brun, [*Tableau de la Pologne...*] Paris 1830.

³² „Les marais dont elle est inondee, ressemblent a une mer; et c'est ce qui lui a fait donner de nom de Polesie”.

Cytuje Olivarius, 2 Calv. p.154

³³ G. Rzączyński *H[istoria n[aturalis curiosa...]*, s.164.

Trzeba wyznać, że cudownym instynktem u zbiegu tyłu rzek, w miejscu na przyszłość dla handlu tak mogącym być ważnym położyła się.

W XIII wieku Pińsk był schronieniem Wolstynika i zabójców Towciwiłła, Wolstynika, którego tak okropna śmierć czekała wkrótce we Włodzimierzu z ręki księcia Leona (1267). W tym czasie mowa jest u kronikarzy o monasterze greckim pińskim, nie wiadomo czyli tak nazwanym dlatego, że był w samym Pińsku, czy tylko w okolicach. Wnosim, że już tu także obronne być musiało zamczysko, które wody więcej od wszystkiego bronić mogły. W połowie blisko XIV wieku stolica małego księstweczka, składającego się z Mozyra, Pińszczyzny właściwej i Polesia Wołyńskiego, dostaje się w działo Narymundowi, synowi Gedymina, urodzonemu z Widy w r. 1277. Ten Narymund, książę piński, wedle ruskich kronik w bitwie z Tatarami wzięty, wykupiony przez Iwana, księcia moskiewskiego, chrzci się pod imieniem Hleba, zdaje się, że około Nowogrodu przesiedlają i umiera około 1340 r. Synem jego zapewne jest Jerzy Narymundowicz, książę bełski.

Drugi Narymund, książę piński także, pokazuje się synem Olgerda, a bratem Jagiełły; powieszony pod Wilnem i rozstrzelany przez Krzyżaków. Miał na chrzcie imię Wasil. Tak się podpisał na przysiędze posłuszeństwa i wierności Władysławowi Jagielle w r. 1387 w Łucku. On też oddawał Halicz królowi Jagielle w r. 1387. Wszędzie pisał się: Dux de Pińsko. Po nim, chociaż z tym tytułem znajdziemy jeszcze kilku książąt, wkrótce księstwo do województwa brzeskiego z całą niegdyś dzielnicą, a z nim do Wołynia przechodzi.

Pod Pińskiem, a przynajmniej w bliskości jego, w r. 1527 książę Konstanty Ostrogski pobił dwadzieścia kilka tysięcy Tatarów, którzy wprzód okolice Pińska i samo podobno miasto splądrowali i zniszczyli.

Za buntów kozackich ciężkiego losu doznało miasto, a mianowicie w r. 1648 na przeniewierstwo i utrzymywanie strony buntowniczej spalono.³⁴

Późniejsi dają mu 4000 ludności i wspominają tu o kupcach handel z Moskwą i z Niemcami wiodących, Rusinach. Starowolski mianowicie handel nawet zbożowy, dziś tak ważny dla Pińska, wzmiankuje.³⁵

Starodawna tutejsza katedra grecka nie dość ma wyjaśnioną historią. Kronika Mitrofanusza, czernca pińskiego, bardzo dawna, już tu się monasteru domyślać każe, popierając niejako wspomnienie kronikarzy o nim, za czasów Wolstynika.

W r. 1146 już czytamy episkopem pińskim i turowskim Joachima Władykę.³⁶ Powtórna, a raczej nowa biskupstwa ruskiego fundacja przez Witolda uczyniona została, a przez Kazimierza Jagiełłę potwierdzona w roku 1448.³⁷ Dalej siedzieli na tej katedrze znaczniejsi: Eutimiusz Okuszko, Leontius Pełczycki Jastrzębiec w r. 1592, Jan Hohoł, unita, 1596, Grzegorz Lis Michałowicz, 1624,³⁸ Rafał Korsak-Korczak, 1632, Marcin Białłozor Wieniawa, koło 1640, Orański, Antoni z Łubic Żółkiewski, 1700, Ciechanowicz, Teofil Godebski Godziemba, 1728, Jerzy Bułhak, archimandryta supraślski i leszczyński, Horbacki I i II itd.

Pińsk miał kilka kościołów i klasztorów jako to: Franciszkanów, bardzo dawnej fundacji, a podobno katolicki najdawniejszy konwent tutaj, parafialnym kościołem, Bratanków czyli Komunistów,³⁹ Dominikanów, których mury dotąd nie skończone stoją, Jezuitów, kościół i kaplicę, Bazylianów itd.

³⁴ W. Rudawski, [Hastiriarum Poloniae ab excessu Vladislai IV ad pacem Olivensem usque libri IX. Warszawa 1755].

³⁵ Sz. Starowolski, [Polonia]. Dant[isci] [Gdańsk] 1652 s.108.

³⁶ J. Susza i *O obrazie cudownym Matki Boskiej w Chelmie*[w:]K. Niesiecki,[*Korona polska(...)* Lwów 1728-1743 t. I s.94 tIV s.770]]

³⁷ O tym wiadomość u Niesieckiego z listu kniazia Fedora Iwanowicza Jarosławicza ostrogskiego pod r.1026 danego bisk[upowi] Jonaszowi.

³⁸ J.Susza [ibidem]. [*Phoenix redivivus sive imago longe vetustissima virginis matris Chelmensis*. Zamość 1646].

³⁹ „Clericorum saecularium in commune viventium”. Stąd Komuniści.

Z tych zakonów, jak wszędzie, tak i tu najpotężniejszy był jezuicki, wielki zakon Lojoli. Ich kościoła mury ogromne i dziś jeszcze panujące nad miastem, uchodzą w okolicy za cudo architektury, chociaż w istocie jest to tylko masa wielka cegieł w smaku XVIII wieku zrzucona. Ogrom tylko zastanawia. Ale ten zakon wszędzie, nawet w budowach swoich, cechę wyższości piętnował. Ujrzysz gdzie wielce ozdobny, duży, panujący nad wszystkimi kościoł, postawiony tak, aby uwagę zwracał, nie pytaj czyj jest – pewno był jezuickim. Przy tym mieli oni sobie tylko właściwy rodzaj architektury giętej, floresowanej, wieszającej drobne ozdoby na wielkich murach, po której poznać ich łatwo.

Zastanowił mnie tu jeden rys malujący także charakter zakonu. W połowie kościelnego okna, zamurowanego od ulicy, wymalowano dwie figury niby rozmawiające. Kogóż myślicie? Dwóch księży? O, nie wcale! – Dwóch Turków w oknie kościoła. Niektórzy mówią, że to są dwaj czeladnicy zabici w czasie budowy kościoła, lecz ich ubiór zupełnie się temu sprzeciwia. Była zapewne myśl, która do tego rysunku powodowała, był to sposób powiedzenia przechodniom: M y n a w r a c a m y T u r k ó w. W istocie roczniki jezuitów litewskich pełne są podobnych nawróceń. Jeden z tych niewiernych w białym z różowym zawoju, niby świeży jeszcze przybylec, drugi już dawniejszy – katechumen ubogo, szaro ubrany. Jesta ich pokazują żywą rozmowę, zdają się dziwić potędze zakonu i z uwielbieniem poglądać na mury i błotnistą pod nogami ulicę. Ci dwaj Turcy mocno mnie zastanowili, pomyślałem, że kościół musiał pewnie tercjak lub braciszek koadjutor malować, bo obcy nie przejąłby się tak duchem familii.

Jezuickie collegium założone tu zostało przez księcia Stanisława Radziwiłła, biskupa wileńskiego, kanclerza W. Ks. L. Tę fundacją potwierdziła konstytucja 1635⁴⁰ r. Oni mieli tu drukarnią swoją, lecz jeszcze w XVII wieku wiele dzieł z okoliczności drukowanych pińskie collegium wydawało w Wilnie, co jak uważa Bandtkie, stąd zapewne pochodzi, że tu okazalszych typów i wytwornych ozdób drukarskich nie było.

W tymże kościele Jezuitów leżało ciało ś. Andrzeja Boboli S. J., które do Płocka za pozwoleniem rządu uwieźli z sobą po kasacie; ś. Andrzej Bobola S. Jesu⁴¹ urodził się w r. 1591, wstąpił do zakonu w r. 1611. Odprawił nowicjat w Wilnie. Teatrem jego prac apostolskich i śmierci był Janów i cały powiat piński, gdzie przez 26 lat nawracał po wsiach i miasteczkach. W r. 1657, za buntów kozackich, w Janowie wszystkich katolików wycięto, w Pińsku i Nieświeżu sześciu jezuitów zabito. Andrzej Bobola znajdował się podówczas we wsi Mohilnie pod samym Janowem, gdzie go kozactwo odprawującego mszę świętą zastało i mordersko zamęczyło. Ciało jego długo leżało w grobach i nie myślano o kanonizacji. Ks. Godebski, rektor w Pińsku, a potem biskup łucki Aleksander Wyhowski pierwsi o tym pomyśleli. Ostatni ciało Boboli w r. 1712 z grobu pospolitego do osobnego, mniej wilgotnego przewieźć kazał. Synod łucki w r. 1726 wspomina już to ciało ś. Andrzeja Boboli w Pińsku, o którego kanonizacją starali się jezuici u Benedykta XIII. Lecz proces trwał jeszcze i za Benedykta XIV: dopiero go męczennikiem i świętym uznano. August II w r. 1726, przyciśniony boleścią w nodze, ofiarował do jego grobu szczerozłotą nogę.⁴²

Jeszcze jedno podanie z czasów budowy jezuickiego kościoła, bo gdzież, byle by ich szukać, podania się nie znajdują? Kiedyś, jak się jeszcze budowało collegium, był tu laik, braciszek, jezuita świętobliwy, który wiele cudów robił, aż mu ks. rektor czy przez zazdrość, czy przez pokorę zakonną, nie żądającą sławy, zakazał ich więcej. Posłuszny ustał, lecz gdy raz mija fabrykę, pada z rusztowania robotnik.

– Ratujcie! Ratuj! – wołają wszyscy do niego. – Ratuj!

⁴⁰ [Konstytucja 1635], s. 27 [Sejmu walnego koronnego (...) Kraków Br. w drukarni Andrzeja Piotrowczyka].

⁴¹ F. Jaroszewicz, Matka Świętych [Polska albo żywoty świętych, błogosławionych, wielbnych, świętobliwych, pobożnych Polaków i Polek (...) Kraków 1767] s. 259, pod dniem 16 maja.

⁴² Podanie miejscowe głosi, że ś. Andrzeja zaczęto męczyć koło Wyhowa, gdzie jest figura na tę pamiątkę, zamęczono zaś na rynku w Janowie przeciw kościoła.

– Nie mam na to pozwolenia – rzekł pokornie laik. – Ale czekajcie, pójdę o nie poproszę.

W istocie, gdy wymówił – c z e k a j c i e – robotnik zawisł w powietrzu i czekał aż laik powrócił od rektora z pozwoleniem uratowania go. Naówczas braciszek się pomodlił i mularz został ocalony. Czy zaś do góry powrócił, gdy lekko spuścił się na ziemię, o tym już podanie wcale nie wzmiankuje.

Pozostała collegium biblioteka i rękopisma dostały się szkołom pińskim. Te ostatnie podobno same ascetyczne traktaty zawierają.

4

Część miasta przeciwna naszemu wjazdowi zowie się Karolinem, jest to suplement Pińska, tak jak on sam błotnisty. Lecz trzeba się tam dostać, aby widzieć Brzeg, najważniejsze w Pińsku miejsce i jedyne w naszym kraju. Tu to przybijają statki z solą a odbijają z wódką, zbożem, węglami, obręczami itd. Spojrzenie nań przypomni każdemu jeden z tych sławnych widoków chmurnych brzegów Holandii, tak znajomych wszystkim, przynajmniej z rysunków. Sterczą oschłe i pogruchotane statki z obnażonymi masztami, na suchej ziemi stojące, mnóstwo łodzi, obijaników, czółen, bark, Pińczuków w szarych opończach, w czarnych pasach, z krzysiwem w rękę, z lulką w zębach, z kołtunem długim i grubym, opartym na wiosłach. – Żydzi czatują u brzegu na gości wysiadających z obijaników okrytych poklatem i nie krytych, Żydówki zapraszają do karczem pobliskich.

Za tło do tego obrazu błoto, woda, a dalej piaski i chmurne niebo jakby Holandii, i powietrze ciężkie a prawie solą przesiekłe, prawie słone. Życzyłbym któremu z naszych malarzy czującemu się na siłach zamiast kopii nic nie znaczącej flamandzkiej karczemki zrobić obraz tego miejsca tak oryginalnego – na wiosnę, gdy lody puściły, kry przeszły, handel ożył; kiedy się tłumy zbierają na brzegu, a tratwy i barki płyną witane i błogosławione przez właścicieli; kiedy cała brudna i zabłocona populacja Pińska stoi nad wodą i ożywa ruchem przemysłu i handlu. Do tego dodać by potrzeba otwartą a wielce brudną karczmę, co najwięcej różnych Żydów, kowala w czarnym skórzanym fartuchu, stojącego i gawroniącego z obcęgami w rękę; dzieci i bachurów, kilka chudych psów i jednego Izraelitę w koczu, w sobolach, króla tego handlu i ruchu, poglądającego dumnie, z góry, na płynące nadzieje.

Byłby to obraz godny pędzla, gdyby go zbyt jednolitość charakterów fizjognomii nie psuła monotonią. Bo cóż innego wyczytasz na tych twarzach nad chęć niepokonaną zysku, nad łakomstwo, nad chciwość? Od starego żebraka, którego jedyna barka rozbiła się kiedyś z nadziejami razem i losem, któremu został tylko kij, torba, żal i wspomnienie, aż do dziecka – bachura wyglądającego chwili, kiedy spod spektorskiego kułaka wyjdzie na świat i zacznie handlować – wszystko oddycha zyskiem, pieniędzmi, solą, wódką, skórą, żytem i nadzieją sprzedaży korzystnej.

Kramy w Pińsku są tak zasobne, jak rzadko, galanteryjny sklep Nisiela wiele ma i wielką różnorodność towarów.

Dawnym zwyczajem wielu obywateli pobliskich ma tu swoje domy w Pińsku. Jeden z nich nawet p. Skirmunta, murowany, dość piękny, a może nadto na Pińsk nawet, zdaje się jak elegant na wsi wstydić się swojej zbyt pretensjonalnej architektury przy innych domkach, które stoją bez ceremonii, jak skrzyneczki na półkach. Prócz tego mają tu domy księżęta Lubeccy i wielu innych.

Ach! – ale tylko com nie zapomniał o największej w Pińsku osobliwości, o której niezawodnie wspomną każdemu nowo przybyłemu. Jest to palladium Pińska, osobliwość, starożytność, ciekawość, ciekawsza od najciekawszych ciekawości – od paryskiego ourang-outana i słonia-fontanny, od lwów królewskiego ogrodu, od braci syjamskich, od psa munito,

od albinosa, od niedźwiedzi berneńskich, od wszystkiego, co jest i będzie ciekawym. Jest to stworzenie tu dość pospolite, ale tutejsze, właściwe – wiun, wąż – ryba, mieszkaniec błot i rowów nadprypeckich, wiun, król wiunów, prapradziad wszystkich, sięgający czasów, kiedy tu w gościnę Morze Czarne przychodziło – wiun na łańcuchu, gdzieś, u jakiego mostu będący.

Jeżeli w prostocie ducha uwierzysz tej powieści, którą z największą serio będzie ci Pińczuk opowiadał, z jakąż to radością, on, co się tej mistyfikacji od prapradziadów nauczył, będzie z tobą brnął po całym mieście, chodził i krążył, niby zawsze szukając tego sławnego wiuna, z jakim nareście śmiechem, umęczysz cię, powie – *prima aprilis!*

Każdego prawie, kto tylko był w Pińsku, musiano spróbować, czy się tym sposobem zwieść nie da, jest to starodawne, jak widać, miejscowe podanie tej krainy wiunów. I wieluż to już prostodusznych dało się złapać na wędkę, gotując tryumf Pińczukom.

Wiun czyli piskorz,⁴³ w wielkiej ilości znajduje się po błotach i rowach Pińszczyzny i Polesia. Pisze Rzączyński i potwierdzają naoczni świadkowie, że wysuszony, używa się jak pochodnia do oświecania w niektórych miejscach.⁴⁴ Z tego powodu wspomnieć muszę, że na bezleśnym Wołyniu i Ukrainie chłopci używają do oświecania łądyg ziela dziewanny, które moczą jak konopie, suszą i odzierają z kory, a rdzeń zostawiają i palą jak świece. Koło Pińska także stolica żółwiów.⁴⁵

Chłopi tutejsi, szczerze mówiąc, nie mają wysokiej reputacji rozumu, oni swój Pińsk, jak Chińczycy Pekin, za środek świata przywykli uważać, przed pół rokiem utrudnione mając zalewem związki z resztą świata, w pół dziko żyją. Słowna jest anegdota:

– A s kul czełowik?

– Ja ne czełowik, ja Pyńczuk.

I stąd zwykle zowią ich nie ludźmi, tylko Pińczukami. Ileż to tutaj jeszcze cywilizacja będzie miała do czynienia! Lecz jest nadzieja, że za magazynami i fortepianami wejdzie tu i coś pożądańszego, powszechniejsza oświata. Może przemysł otworzy do tego drogę, przemysł, który tu już świta. Fabryki cukru, sukna, płócien otwierają się. Jest też próba sklepu kompanii akcjonariuszów, ale ta podobno nie ze wszystkim się udała. Wszakże sklep trwa dotąd, że mamy nadzieję, iż się nie da zabić Żydom, którzy usiłują bez wątpienia tę próbę zniweczyć.

5

Piński powiat dzieli się na dwie części: Zarzecze i Zahorodzie, między którymi w środku Pińsk, Liverpool litewski, który niedługo może zupełnie na to nazwisko będzie mógł zasłużyć, siedzi poważnie z brodą i workiem soli. Zarzecze, najpuściejsza i niedostępna często część powiatu, jest tym samym najciekawsza. Dzielą ją rzeki opasujące zewsząd i krzyżujące się wśród niezmiernych błot i zarośli.

Mnóstwo rzek, rzeczulek, odnóg, strumyków, kanałów przerzyna ten kraik. Naliczysz tu, że inne ominę, Styr, Pine, Prypeć, Stubło, Słucz, Stochód, Strumień. Do Piny pod Pińsk zbiegają się od wschodu Jasiołda, Horyń, Wetlica, Turia, od zachodu Styr, Stochod, Łukowicz, Lany, Herodeczka. Te wszystkie połączone razem zowią się Prypecią.⁴⁶ Prócz

⁴³ Ophidia Plin, Peiskern.

⁴⁴ [G. Rzączyński], H[istoria] n[aturalis curiosa...], 151

⁴⁵ [G. Rzączyński], H[istoria] n[aturalis curiosa...], 153

⁴⁶ [G. Rzączyński], H[istoria] n[aturalis curiosa...], 139

zółwi i wiunów, stolica to raków także, dawniej czółen ich cały kosztował tylko grosz imperialny, a kopę kupić było można za szeląg.⁴⁷

Kamyki w rakach znajdowane, które oczyma rakowymi zowią, pisze Rzączyński, tak tu obficie zbierano, że jeden szlachcic spod Pińska zawiózł ich 200 kamieni do Gdańska. Te kamyki dawniej empiryczna medycyna za lekarstwo wielkie uważała od ukąszeń jadowitych, od moru, od gorączek i w zastępstwie bezoaru.

Prypeć szeroko, jak Wisła, rozlewająca, wpada do Dniepru.⁴⁸ Poławiają się w niej jesiotry.

Zalewy wiosenne i jesienne niekiedy, na długo utrudniające komunikację, czynią ten zakąt dzikszym od sąsiednich, ale czas, ten wielki twórca duchów, i tu powoli wniesie oświatę. Dziś jednak jeszcze dawny opis Starowolskiego⁴⁹ przed 200 laty zrobiony zastosuje się fizycznie i moralnie do tego kraju, mało odmiennego od tamtych czasów. Widziałem już ten zakąt we wszystkich czterech porach roku, a zawsze mi się dzikie, samotne i ciche Zarzecze równie poetycznym wydało. Bez wątpienia, gdy przyjdzie pożądaný handel, wypłoszy poezję, ale ludzie tak się bez niej wygodnie obchodzą!...

I teraz nawet któż jej tu szuka, kto ją widzi w tych łozach, czerotach, w tej wodzie snującej się w śpiewie żalobnym knihi, łozniuchy i baków? W słupach komarów stojących nad błotami na pogodę? Kto ją uczuje, płynąc wiosną, w nocy, po zalanych dokoła i morzem stojących błotach? O, dla mnie przesuwanie się nocne po tej wodzie rozlanej, spokojnej, zasianej pławicami i obijanikami ładownymi, śpieszącymi na targ, odbijającej księżyc pełny, stojący na niebie, jak far tego kilkotygodniowego morza, ta żegluga cicha w tak nowym kraju miała nieporównany, niewypowiedziany powab. A kiedym nocą jeszcze dopływał do brzegu pod starym zamczyskiem tak historycznym, którego tylko wały zostały, kiedym ujrzał olbrzyma jezuickiego o trzech wieżach i stu pierzastych kominach, a z dala bark maszty z chorągiewkami, byłem tak uradowany, jak inny podróżny, dosięgający oczekiwanych ruin Akropolis.

Gdy zaś weszło słońce, targ się otworzył, a mnóstwo czółen rzędem ustawionych na brzegu rozpoczęło targ na siano, drwa i inne zapasy, patrzyłem z podziwieniem na ten ruch, to życie, a z większym jeszcze – przypatrywałem się tym śmiałkom, którzy wśród wielkiej fali i wiatru na cienkiej i wyszczerbionej pławicze puszczały się na jezioro, stojąc i robiąc wiosłem żwawo a nie zważając, choć pod ich nogami ugięła się i przechylała jak liść łódka. Tak wodnisty kraj ma też mnóstwo rodzajów czółen do przejeżdżania i przewozu produktów, których grzechem byłoby nie poznać chcącemu znać Pińszczyznę. One razem z wodami należą do jej składu. Najmniejsza łódź zowie się p ł a w i c z k a, płaska, z jednego drzewa, w której jeden człowiek stojąc powozi się. Ta nic prawie ciężaru nie bierze. Większa trochę jest p ł a w i c a, a mianowicie dłuższa od poprzedzającej.

⁴⁷ „Solidus”, idem, ibid[em].

⁴⁸ [G. Rzączyński], H[istoria] n[aturalis curiosa...], s.139. Prypeć po łacinie zowie się Borysthenes minor albo Diaborysthenes.

A. Cellarus, [Regni Poloniae Magnique Ducatus Lithuaniae...descriptio. Amsterdam 1659]

⁴⁹ Sz. Starowolski: Pnscensis amplissimus distriucts, proprios tam terrestres quam castrenses magistratus habens, huic satrapiae adjunctus est, sed sylvis nimium inumbratus et paludibus immersus; piscium, mellis et ferarum copia percelebris tametsi et fruges non maligne proferat, et ceram, sebum, lupulum, in Silesiam in Prussiam Dantiscum mittat. Habet Pnscum oppidum homines industrios et mercaturae adeo deditos in Moscoviam et in Germaniam saepissime cim suis mercibus excurrant. Sed ut plurimum religionis sunt Graecanicae. Episcopumque proprium habent. Ubi et Ignatianis Collegium Dux Stanislaus Radivillus cancellarius LITHUANIAE EREXIT. TEC. [Polonia Gdańsk 1652].

„Powiat piński, bardzo rozległy, mający własnych urzędników zarówno ziemskich jak i grodzkich, należy do tego samego województwa, jest jednak zbyt lasami osłonięty i pograzony w bagnach. Znany z wielkiej ilości ryb, miodu i dzikich zwierząt, także i zboże wydaje obficie, a воск, łój i chmiel wysyła na Śląsk i do Prus, do Gdańska. Ma Pińsk mieszkańców przedsiębiorczych i tak oddanych zajęciom handlowych, że często wyprawiają się ze swymi towarami do Moskwy i do Niemiec. Panuje u nich obrządek grecki, mają także własnego biskupa. Tam też książę Stanisław Radziwiłł, kanclerz litewski, wzniósł kolegium jezuitów.

Najpowszechniej używany do małych transportów i podróży jest średni obijanik, inaczej zwany s z u h a l e j ą, albo też generycznie czółnem. Robi się on z jednego rozparzonego dębu, z obojnikami czyli obłożynami sosnowymi, a we środku wybija się szkabkami i wylewa smołą. Taki obijanik może unieść ciężaru od 100 do 300 pudów. Wielkie obijaniki, zwane d ę b a m i c z a r n o b y l s k i m i, unoszą do 400 pudów. Gdy takim obijanikiem jedzie pan obywatel do Pińska, natenczas kładną w pośrodku dla ochrony od deszczu, wilgoci lub skwaru budę zwaną p o k l a t. Skład jej jest prosty, kilka zgiętych kijów, umocowanych w poprzek innymi, na to płótno, skóra, a na sam wierzch rohoże plecione z sitniku. Ta trawa, gdy jest jeszcze bardzo młoda, służy także chłopom za rodzaj pokarmu, wysysają z niej słodycz, której koniec młodego wypustka dostarcza.

Czerot (t r z c i n a), który tu tak ogromne błot przestrzenie porasta, ma także swój użytek, daleko bowiem lepiej od słomy dachy pokrywa, a prócz tego daje, ścięty w zimie po lodach, wyborny opał. Fura jego w Pińsku kosztuje od dwóch złotych.

Po obijaniku następuje b a r k a, daleko od niego większa, mająca wyraźny nos i tył, niosąca od 3000 do 5000 pudów ciężaru. Obijanik najszerszy ledwie trzy łokcie w poprzek we środku otrzyma, barka zaś i więcej znacznie bierze wody i szerszą jest bardzo. Służy ona do przewozu garnków, beczek, zboża, a przy bajdakach do lichtunku i holowania, to jest ulżenia im ciężaru tam, gdzie dla pływizny i odmiału (mielizny) iść nie mogą.

B a j d a k, największy ze wszystkich tutejszych ambarkacji, niesie ładunku od 9000 do 13000 pudów i ma już trzy, a czasem cztery maszty. Takie bajdaki zwykle chodzą do Krzemieńczuka z wódką, zbożem, drwami, węglem, klepką, obręczami nawet, a wracają z solą. Żegluga tutejsza ma swoje właściwe wyrazy; mówi się – czółen pędzić, czółen staje, woda zowie się gołą, gdy w niej ryb nie ma, przód czółna zwie się nosem. Ludzie pływający z drzewem towarowym, z balami, belkami, klepką, wańczosami, zowią się flisami, na czółnach i choćby na płytach drzewa do opału zowią się przewoźnikami. Na barkach i bajdakach przewoźnicy od miejsc, w których stoją, biorą jeszcze inne specjalne nazwiska: Język tutejszy jest mieszaniną polskiego i małoruskiego, niekiedy akcent wołyński się przebija.

Małe rzeczutki i odnogi, choć nie wszystkie, mają swe nazwiska. Od Sernik do Pińska płynąc Stubłem i Styrem, przepływałem Medweży Bereh, gdzie dawno nie ma niedźwiedzi, Dubieniec, bez jednego dębu, Podmostnik, gdzie ani śladu mostu żadnego, z tych dopiero wybrałem się na Prypeć, Strumień i Pinę.

Na ryby, których tu naturalnie mnóstwo, zastawują tak zwane tutaj węcierze, żaki, nerety, sieżniki, ale ryby tutejsze wedle znawców błotem trącą.

Sól ma swoją osobną wagę, zwaną wies, do rzeczy sypkich używają gdzieniegdzie miary c z a s z ą zwanej, 12 garncy trzymającej, i będącej 12 częścią beczki. Do płynnych i sypkich rzeczy jest tu aż trzy rodzaje garnców ku pożytkowi Żydów; koronny, kazienny i komisyjny, na pierwszy Żydzi kupują, a na ostatni często sprzedają, i tak, prócz ceny, wielki jeszcze zysk mają na mierze.

Pospolitą chorobą, równie jak na Pokuciu, jest w Pińszczyźnie kołtun (plica polonica), który się też trafia u Tatarów i w Węgrzech, a nawet w Belgium i ponad Renem, jeśli mamy wierzyć Bonfigliemu. Szukali w nim starzy medycy jakichś cząstek siarczanych, inni go uznali za prosty skutek nieochędzstwa. Inni jeszcze początek kołtunu odnoszą do napadów tatarskich i zatrutych przez nich wód, a nareście przypisują go także użyciu zbyt czynnemu wódki i dymnym chatom. Na Pokuciu pospolity, kołtun przeniósł się wojną z Rusi do Polski. Zwierzęta nawet tej chorobie objawiającej się na włosach podlegają, co zdaje się okazywać, że jest przywiązana do miejsca i wypływa z przyczyn lokalnych. Wszakże że jest w bliskim obcowaniu zaraźliwa i dziedziczna, a niezmiernie trudna do wykurowania, wątpliwości nie ulegają. Jej szkodliwe skutki włosami się nie ograniczają, humory, które ją sprawują, często kaleczą okropnie i nieznośnych bywają przyczyną bólei.

P. Narbutt cytuje piosnkę o bożku Lubiczu Lubczyku, śpiewaną niegdyś w Pińszczyźnie, którą, że się do tych stron stosuje przywodzi.

*O ty lubicu
Wwedy w łóżnicu
Zapaliwszy świecu
Moju hołubicu.⁵⁰*

Nie mogę się domyślić, po co tu ta świeca, bez której dość niewdzięczne twarze Pińczuków mogłyby się były obejść wybornie – widać, że rym jej koniecznie potrzebował.

Jako p e n d a n t do niej, mogę tu zacytować drugą, złapaną w Pińszczyźnie, z innego wprowadzie całkiem rodzaju, lecz popularną d y k t e r y j k ę stanowiącą, dość charakterystyczną. Jest to opisanie bankietu, który teraz za panowania dzisiejszego Szyttlera już się nie praktykuje.

*Czapla ryby łowiła, a bocian sprawował,
A dudaszek,
Mały ptaszek,
Do stołu gotował.*

Bądź jak bądź – à propos dudka – powiedzieć trzeba, że i tu królestwo brzucha się rozciąga, nikt tu po czapli i dudku jeść nie zechce. Gdybyć przynajmniej, karmiąc lepiej żołądek, chcieli pamiętać o duszy i głowie! Ach, panowie, wielbiciele Szyttlera, zlitujcie się i nad nimi!

6

O kilka mil od Pińska za Dzikowiczami, osadą ubogiej zagonowej szlachty nad Styrem, jest karczma dość na Zarzecze porządna, stojąca u brzegu rzeki, tak właśnie, jak u nas ładowców stoją karczmy nad drogami.

Błota kępiaste i ogromne przestrzenie czerotów otaczają ją dokoła, kilka ledwie dojrzanych drożynek prowadzi do niej, żadnej wsi bliżej na milę – pusto dokoła. Cały jej dochód z flisaków, którzy płyną rzeką, bo tu kończą się drogi lądowe, dalej w głąb Zarzecza już inaczej jak czółnem się nie dostaniesz. W tej to Horwasie czekać mnie miał obijanik.

Droga do tej karczmy niewypowiedzianie smutna. Od Żytniewicz do Chojna, do przewozu na rzece, piaski i błota, jak zajrzysz, monotonia nudna, przypominająca, a przynajmniej dająca wyobrażenie tym, którzy niedaleko za dom wyrzeli, czym to być dopiero muszą owe pustynie, gdzie nawet czerotu i osoki braknie.

Ach, jak długo czekałem w Horwasie na obijanik! Żyd, Żydówka, kot, pastuch, kobyła ze źrzebieciem, dwie krowy i chłopiec mały dotrzymywali mi, jak mogli, towarzystwa na przemiany. Musiałem z nimi wszystkimi w ich języku rozmawiać, a na koniec do Chojna po ludzi posyłać, aby dalej płynąć, nie tracąc czasu. Nareszcie wystarałem się jakoś obijanika i popłynąłem.

⁵⁰ [T. Narbutt], *Dzieje [starożytne narodu litewskiego]*. T I. Wilno 1835 s. 109

Nie wiem, kogo mam prosić o pożyczenie pióra na opisanie tej pustyni czerotów i łoży, którą kilka mil płynąłem. Wystawcie sobie las trzciny splecionej, związanej jak włosy w pińskim kołtunie, a ten las bez granic, jak morze, przecięty tylko gdzieś korytem rzeki, która wążucho, jakby za wielkim pozwoleniem, przepływa zastępy czerotu. W tych czerotach, że to była jesień, ani nawet komara, ani muchy, ani żywej duszy, ani innego dźwięku nad szelest poschłych łodyg i liści. W lecie tłumy, wojska, ćmy komarów nad rzekami i błotami tymi się snują. Silvio Pellico, gdyby je zobaczył, nie wiem, czyby nie uznał, że są równie dokuczne, jak te, które go dręczyły pod Piombami Wenecji. Ale w tej porze, w której odbywałem moją podróż, byłbym zapłacił za stworzenie, któremu bym się mógł przypatrzeć, które by brzękiem lub postacią okropną jednostajność tej pustyni rozerwało. W niedostatku przedmiotu musiałem analizować ubiór i fizjognomię wioślarzy, budowę czółna, pochylenie liści na trzinie i warkocze poschłe czerotu, i listki w wodzie pływające, i chmury na niebie. Niekiedy przysłuchiwałem się rozmowie i wiecznym na stan swój narzekaniom przewoźników. Oni zachęcali się do popychania czółna na mieliznach i odgłos – A nu! – a szcze! nu! nu! – ciszę przynajmniej przerywał. Kołysanie się na łodzi kleiło oczy, ale zasnąć nie mogłem. Znudzony, obróciłem się na bok, żeby z drugiej strony swój nos obejrzeć, gdy – o чудо – ujrzałem wśród tej pustyni karczemkę!

Stanęliśmy odpocząć! Karczemka była wcale niepospolita. Stała opasana dokoła czerotem, łożą, krzakami, które tu już się poczynęły i zwały pompatycznie lasem – mała, garbata, schylona, nogami w wodzie, głową nad krzaki nie sięgająca. Od rzeki do progu jej prowadziło kilka schodów, a kilka czółen odpoczywało pod brzegiem.

Słyszą przybijających do portu, gospodarz, któremu zapewne także towarzystwo czerotów naprzykrzać się musiało, wyszedł z wódką na schodki. Starzec siwy, garbaty, stary jak chatka., a tak do niej stosowny, tak w niej konieczną część składający, że wyglądałem tylko, azali za nim jeszcze, jak w bajce dziecinnej, nie pokaże się stara o jednym zębem baba, oparta na kiju. Na ten raz baby nie było – wielka szkoda! Byłbym ich oboje z tą chatką odrysował za winietę do tej sławnej klechdy *Był sobie dziad i baba*.

Pożegnawszy staruszkę, płynęliśmy dalej. Znowu też sama monotonia – czeroty, łoży, woda, błoto i żywego ducha. Nareście usłyszałem głos ludzki, obijanik po mnie wysłany spotkał nas, przesiadamy się, pakujem i znowu płynięm – ach! – znowu tak samo! Na moją pociechę niedługo spotkaliśmy znowu podróżnego, płynął, jak ja, obijanikiem, przed nim stał okuty kufer, a że go myśli czy napój rozegrzały, mimo chłodu, w jednej tylko spał koszuli. Ludzie przewoźnicy przywitali się, czółna minęły. Znowu płynięm.

A, przecież wieś nad brzegiem! Odpoczynek. Cały obraz ten składał się z kilku chat mizernych (bo chłopci tam się najgorzej budują, gdzie najłatwiej dobrze), z karczmy, Żyda arendarza w niebieskich pończochach spacerującego po brzegu, za nim gęsi, kaczki, bachury, chłopcy, i z dwóch bab piorących chusty. Ten widok, jakkolwiek jeden z najpospolitszych, wydał mi się pełen życia po łożach i czerocie, które mi już w gardle stały.

A jednak znowu nimi płynąłem. Tylko w dodatku, że to było blisko wsi, miałem kilka srok arcypoufałych. Niektóre z nich jechały na grzbietach psów i świń chodzących spokojnie. Myślałem sobie, czemu żadna wrona, sroka, przywykła do siadania na karku zwierzęcia, nie spróbuje się na człowieku? Długo bawiłem się postrzeganiem poufałości tych zwierząt. Sroka siadała na świni tak poważnie, jak kornak na słoniu, Arab na wielbłądzie, elegant na klaczce angielskiej, ale wcale nie w celu popisania się z jazdą. Patrzyła tylko uważnie, czym się rumak jej pasł i chciała mu jego pastwę pochwycić, co się jej nie udawało. To samo zdarzało mi się widzieć ze psem, który kilka razy chciał dociec, co kury jedzą na śmieciisku i widząc je dziobiące podbiegał, patrzył, wachał, odchodził zasmucony i kilka razy zakradłszy się powracał. I mówże potem, iż zwierzęta nie rezonują, że instynkt jest niechybny.

Prawdziwie trudno się wstrzymać od śmiechu myśląc, jak historia naturalna jest błędnie co do ducha traktowana, jak mało jeszcze wniknęliśmy w istotę zwierząt, a jak się z tego, co nie umiemy chwalim.

W tych i tym podobnych uwagach płynąłem dalej, lecz resztę tej podróży muszę wam darować, bo była nudna jak ta kraina, posępna jak wieczór jesienny, jednostajna a długa jak godziny próżnowania. Trwało to bez końca, jak stary romans, nareście dał się słyszeć z daleka szczek psa, krzyk dzieci, szum młyna, zbliżałem się do noclegu!

Jak oazis w pustyni, jak karawanserail wśród drogi, jak wszystko, co jest oczekiwane długo i niecierpliwie, smakowały mi te głosy coraz rosnące, wyraźniejsze. Wypłynęliśmy z odnóg na Styr, ujrzałem na jego brzegu wieś, ludzi, świat, życie. Na prawo szumiał młyn pływak, na lewo dymiły chaty, kilka czołen się mignęło – ładowano cegłę na obijanik. Tu przecie było życie! Powitałem serdecznie Iwańczyce. Sądzę, że i wam już, drodzy czytelnicy, były one potrzebne. Nieprawdaż?

7

Lecz trzeba mi było widzieć jeszcze pustynie Zarzecza, te błota ogromne, zimą, kiedy je biały śnieg pokryje, kiedy w górze białe śniegi nad nim zawisną, kiedy fale śnieżyste otaczają podróżnego i człowiek jadący lub idący według tutejszego wyrażenia, znajduje się wśród tej jednostajnej białości, jak w jajku. Jest coś osobliwego w położeniu i uczuciach podróżnego, który dokoła siebie, nad sobą, przed sobą nic, prócz tej jednostajnej białości nie widzi. Wyobrażenie niebezpieczeństwa, które istotnie jest wielkie, jeśli się jedzie tymi błotami wśród zawiei, ta nieskończona jednostajność, wiatr i śnieg wionące na niego, dziwnie go cieszą – może dlatego, że się czuje silnym przeciw nim wszystkim, tak jak rycerz stający do boju. Tym, którzy by nie wierząc w rzeczywistość niebezpieczeństwa mieli ochotę śmiać się z niego, można by zacytować aż nadto częste przykłady ludzi obłąkanych w zawiei i zmarłych o kilkadziesiąt kroków od domu, którego dojrzeć, przeczuć, ani się domyślić nie mogli.

Kiedy wiatr ze śniegiem suchym podniosą się w powietrze i zabiela cały świat, nikt się w drogę nie rusza, wszyscy siedzą, gdzie ich zastała zawierucha, a kogo konieczność wypchnie z domu, ten ufa w Opatrzność, że go jak nurka z głębi przepaści wyciągnie. Zawieja najmniej jest straszna w lasach, bo się tam rozbita drzewami prawie czuć nie daje, lecz w miejscach odkrytych, zasypując drogi i znaki wszystkie, po których poznać by można położenie miejsca, zasłaniając przedmioty nawet mało oddalone, na oślep, instynktem puszczając się przymusza. Najbezpieczniej w takim razie uważać kierunek wiatru, aby zawsze w jednostajną jechać stronę, lecz i w tym razie przez jego zmianę można zupełnie stracić drogę. Na szerokich pińskich błotach straszna jest zawieja, bo gdy nawet czasem blisko stóg się pokaże, i ten nic nie wskazuje, gdyż ich jest ogromna liczba rozproszonych po błotach. Trzeba dla wybrania się w taką podróż być albo zakochanym, albo kupcem, albo szalonym. Tak mi mówił jeden nieznajomy podróżny, któremu wśród zawiei spotkał na błotach.

Tu, jak w lecie płyną, tak zimą jadą po rzekach, one najlepiej trakt wskazują. Można się wprawdzie załamać na oparzelisku i utonąć, ale któż by na taką fraszkę uważał? Ogromne szeregi furmanek ciągną się nieraz mimo odwilży po kostki w wodzie przez rzeki i jeziora chrusczące pod nogami, czasem się topią, ale jadą dlatego.

Warto choć raz w życiu tą drogą jechać wśród zamieci dla uczucia widoku tego nieskończonej białości, nie przerywanej niczym, przestrzeni zewsząd jednakiej, którą chyba we śnie gorączkowym wymarzyć by można nie widząc.

– Co znaczą te krzyże u brzegu rzeki? – pytam woźnicy. – Czy tu kto utonął?

– Nie panie – odpowiedział mi. – Ludzie, flisaki płynący z drzewem do Gdańska, stawiają je na pamiątkę w miejscu, gdzie święta wielkanocne odbywali. Piękny to zwyczaj naszych pobożnych ludzi, który dowodzi ich poetycznego uczucia religii.

Wieluż to rzeczy znaczenia, równie jak tych krzyżów, nie wiemy? Co znaczą na przykład koła na tyczkach przed chatą? – Pannę na wydaniu. A kupy chrustu na rozstajach? Mogiły nagle zmarłych. A czaszki końskie zawieszane często na płotach przed chałupami lub rzucane od niechcenia niby po drogach? – Te wskazują trakt i gospodę złodziejom na konie, Cyganom, Żydom itp.

KARCZMY, ŻYDZI, DROGI

Powiadają, że dwie są drogi w życiu, jedna gładka i wesola do piekła, druga ciężka i ciasna do nieba. Jeśli tak, to poleskie drogi wprost do królestwa niebieskiego prowadzić muszą, i to pewna, że tam już niejednego zaprowadzić musiały. Wystawcie sobie na przykład drożynę wyłożoną wozami chłopskimi, kręto, po korzeniach, wśród pni i gałęzi, lasem. Trudno się nią wykręcić, gdzieś tam woda powybijająca doły dla tym pewniejszego wywrotu, tam i sam strumyk błędny, sącząc się, wieczną grzęzawicę robi. Nareście prze błoto trzeba grobli. Ale gdzież zaś obojętny Poleszuk tyle może mieć czasu, żeby groble sypał? Cóż więc? Oto natnie drzewa i pokładzie na drodze, żeby koła nie tonęły w błocie. Wygodna droga po takich nakotach! Jeśli przez osobliwsze miłosierdzie nad podróżnymi nasypie na wierzch chrustu, ten się rozpelźnie, wbije w ziemię, a nakoty zostaną jak były. Często ogromne przestrzenie błot po takiej drodze przebywać trzeba. Ale otóż i mostek. Godzien drogi; wąski naprzód, dziurawy po wtóre, trzęsący się na palach – to trzecie i ostatnie. Gdyby zaś pod nim była przepaść na sto sążni, a długość jego była Bóg wie jaka, nie znajdziesz nigdzie poręczy jest to l u x u s, którego sobie Poleszuk nigdy nie pozwala. Ciągłe więc zdawczy się na Opatrzność i furmana musisz jechać pod strachem.

Nad drogi poleskie nie znam nic straszniejszego, chyba poleskie karczmy. Ach, wszystkie pięć zmysłów i drugie pięć, gdyby je miał człowiek, cierpiałyby męczarnię najwyrafinowaną w tych jaskiniach śwędu i niechlujstwa.

Już widzę, jak się podróżny z daleka cieszy, gdy mu powiedzą, że będzie wkrótce karczma. Wygląda on, niespokoi się – i widzi nareście światło z daleka przez okno pobite, pozaklejane, pozatykane. Stój! Dach się chyli, komin wali, wjazd zawałony błotem, stajnia byłam, wozami i saniami. W izbie dymią okropnie fajki poleskie, słysząc gwar głuchy pijackiej rozmowy. Pytasz o osobną izbę – Żydzi ci się w oczy śmieją.

Rad nierad, ciemno, późno, słota, wchodzisz do jedynej! Ach! Pod nogami twymi płaczą się bachury, gęsi, kury, błoto; głowa twoja zawadza o lichtarz siedmioramienny, wiszący z pułapu i kapiący łojem, w nos twój zapach gorzałki, dymu fajek, śwędu właściwego Żydom, kwasu, czadu, łaju, dziegiu, błota wpada i uderza; o uszy twoje gwar pomieszany beku dzieci, krzyku kur, kaczek, gęsi, Żydówek, brzęku kwart i pieśni chłopskich. Na dobitkę, w jednym kącie Żydzi rzną kozę wśród izby, w drugim spektor uczy dziecko ponuro powtarzając – Gecher! Uciekasz do alkierza! W alkierzu na betach i piernatach Żydzi mieszą bułki i łokszyn, wisi kołyska, stoi i stół kulawy, włóczy się kotka z kociętami, skaczą kozy po ławach, zawała drogę worek z owsem, w kącie śmierdzi rzepa i brukiew, a w drugim – leży kupa kartofli. Ani sposobu! – Gdzie ja będę nocował! – myśli biedny podróżny.

Żyd, jako bardzo przebiegły, wybiega naprzód do stajni zobaczyć, czym podróżny przyjechał. Od tego zależy przyjęcie.

Jeśli parą końmi, nie krytym wózkiem, a Żyd ma kilkaset rubli, traktuje podróżnego *d e p u i s s a n c e e n p u i s s a n c e e n ě g a l*, kładzie ręce w kieszenie, pluje, zapala fajkę (tu wszyscy Żydzi fajkę palą) i chodzi w czapce. Jeśli konie zaprzężone w szwarc – z trochę większą dystynkcją, jeśli jedziesz ze dzwonkiem – najwyższy respekt, jeśli masz kocz i brykę – wypędza chłopów i oczyszcza ci pierwszą izbę. Daje ci świecę chorą, leżącą na bok w lichtarzu, gospodyni zmiata stoły i ławy fartuchem, podłogę posypują piaskiem. Ale któż cię wybawi od całej historii naturalnej, wijącej się po ścianach, jakby naumyślnie do obserwacji, od smrodów, którymi już ściany przesiękły, od krzyku z sąsiedniej wylatującego izby bachurów, kotów, Żydów, spektora itd.

Nic obrzydliwszego na świecie nad karczmę poleską, nic podobniejszego do czyśca nad nocleg w niej, nic przy tym nudniejszego nad Żydów, jej mieszkańców, którzy pijawczanym sposobem, siedząc w każdej wsi, ssą chłopów, odzierają podróżnych i wypłacają się rozmaicie panom swoim, często dziedzicznie po lat 200 w jednej rodzinie, jedną karczmę sobie podając.

Nic szkodliwszego przy tym dla gospodarstwa nad nich. Oni bliżej z wieśniakiem w stosunkach zostają, wiedzą o wszystkim, co on ma, każdy jego snopek policzony u nich, każda sztuka bydła zapisana w pamięci. Co tylko można za pół ceny wziąć w dług, to wezmą – zboże, bydło, aż do najdrobniejszych rzeczy, aż do ruchomości gospodarskich, które opilcy odnoszą wręście arendarzowi. Zważmy i chciejmy się przekonać o szkodach niezliczonych z zajęcia karczem przez Żydów; chciejmy nareście rzucić oczyma na swoje położenie i rzucić to jarzmo ohydne. Co za osobliwszy wdzięk, co za czary mają Żydzi, że przy tylu niedogodnościach, tylu oczewistych krzywdach, siedzą wszędzie tak spokojnie?

Policzmy, ile to oni szkodzą sprzedaży wódki swoimi gorzelenkami, przy każdej nieuchronnymi karczmie, ile psują cenę wołów, stawiając ich tyle wszędzie, jak zniżają cenę wódki, szynkując ją złą miarą i złym gatunkiem, jak niszczą chłopów zmuszonego im oddawać za dług co ma i w takiej cenie, która chociaż się powierzchownie zdaje słuszną, jest istotnie z jego krzywdą. Ale to tylko uwagi spekulacyjne, cóż dopiero, gdybym chciał powtarzać zarzuty demoralizacji niepełne, bo któż gorzej tę biedną nieoświeconą klasę psuje nad nich? Pytam, co trzyma Żydów w Polesiu i wielu innych stronach na karczmach? Oto lenistwo, opieszałość do stanowczych kroków, zwyczajna starym i zardzewiałym domalcom. Lecz w imię własnej, w imię korzyści biednych włościan niechby obywatele dali sobie słowo i ręce, niechby to plugawe plemię wyrzucili z wiosek swoich, a wówczas i dla nich, i dla włości, i dla spekulacji gospodarskich, lepszy by się widok otworzył.

Zmuszeni Żydzi szukać innego zarobku, może by się rzucili do pracy ręcznej, do przemysłu pracownitego, może by się oddali uprawie ziemi, rzemiosłom, może by z nich byli pożyteczniejsi mieszkańcy kraju; a za lepszym bytem, moralniejszym życiem, kto wie, czyby się i tu oświata nie wcisnęła. Dwa tylko dotąd rodzaje życia tamują do tego drogę Żydom – karczmy i faktorstwo. Od tych dwóch konieczne odsunąć by ich trzeba, a niedostatek zajęcia, potrzeba zarobku, zwróciłyby ich gdzie indziej.

Gdzieniegdzie na Polesiu ku Wołyniowi świeżo utworzyły się osady Żydów niby rolnicze. Powodowało ich do tego uwolnienie od zaciągu do służby wojskowej, na której wspomnienie się wzdrygają. Kupili oni ziemię od Wolcza wśród zniszczonych lasów, lecz cóż? Pobudowali domki w lesie głuchym, a zamiast rolę uprawiać, trudną się i tu rzemiosłami, szachrajstwem, najmują okolicznych chłopów do pracy około roli, nawet dość drogo, a sami są, jak byli. Najwięcej tu rzemieślników, chociaż pozornie mają to być rolnicy. Z czasem kto wie, czy do tego nie przyjdzie. Osobliwsza ta osada zwie się Nową Jeruzalem i wystawia obraz rzadkiej brzydkości.

Wśród lasu i błota, po grobli tak okropnej, tak niegodziwej, wjeżdża się na ulicę, po obu stronach domkami otoczoną. Tu chatki walące się i nędzne o jednej izbie, o jednym oknie, tam domy porządne, skończone, tam jeszcze pozaczynane. A to wszystko ożywione samą

tylko populacją żydowską wszelkiego stroju, rodzaju i wieku. Brudu i niechlujstwa królestwo. Nie wolno im tam szynku trzymać, co jednak nie zawadza wcale do szynkowania. Łąki swoje najmuja chętnie, najęliby i pola, gdyby ktoś chciał je wziąć. Tam, gdzie niegdyś był folwark właściciela i kaplica – zrobili sobie centralny dom i szkołę z kaplicy! Nie wiem, jakim jeszcze cudem krzyże się po drogach na ich terytorium utrzymały. Cóż to za nędzę widzieć tam można! Jaką obojętność na wszystko, co się zowie czystością, powierzchownością, ochędostwem.

W mieście Żyd się czyści dla oka podróżnych, tu że ich nie ma, bo Nowa Jeruzalem wśród lasów, bez traktu, rzadko widzi gości – błoci się i smoli w najlepsze. Porządek stawienia domów jest taki, jak wszystko. Gdzie się komu podobało, tam siadł, niektórzy porobili sobie domy z szop i chlewów. Jaka jest przyszłość tej osady, nie śmiemy zgadywać, lecz dziś nie myślą tu o roli wcale, za to zaręczamy. Wszyscy tu zamieszkali prawie są rzemieślnicy i przekupnie.

Trudno mi po setny raz odzywać się przeciw Żydom po wsiach, gdy tyle już o to bezskutecznie nalegano w imieniu dobra publicznego. Cóż na to odpowiadają właściciele? Zawsze jedno. – Ja zrobię, sąsiad nie zechce. Cóż ja pocznę sam jeden? – Ale na Boga, niechże zacznie ktokolwiek.

– Sam jeden nadto bym tracił.

Otóż szkopał – chwilowa strata dla późniejszych korzyści! Niechby możniejsi dali przykład. – Ale możniejsi są uboższymi jeszcze od ubogich, bo tyle mają niepotrzebnych potrzeb, do których przywykli!

Wróćmyż do dróg i karczem. Są tu i nieco porządniejsze na większych traktach, ale w najporządniejszej z nich, jeżeli znajdziesz zimną i wilgotną izbę osobną, w której będziesz dzwonić zębami, czytając encyklopedią szybową, jest to jeszcze większe szczęście! Na Polesiu izba osobna w gospodzie! Gdyby i była, czyż jej Żyd nie zawali, nie zarzuci, nie zamieszka zaraz i nie ubrudzi?

Dziwna, że zawsze te same wymówki odbieramy od piszących podróżnych, którzy chórem na gospody narzekają, lecz czy kto pomyślał, sam śmiejąc się z tego, żeby innym dać przykład? Zysk może być do tego powodem po miasteczkach, na wsiach zawsze się wymawiają małą liczbą przejeżdżających. Biedne opuszczone Polesie! Cóż to za obrazy musimy kręcić, chcąc je malować. Lecz czyż nasza wina, że nic piękniejszego w nim znaleźć nie możemy, że zaczawszy od dróg i mostów, aż do błot i piasku, wszystko tak jest szpetne? – Gdyby nie ludzie, którzy tu wiele więcej warci są od kraju, ciężko by nawet z ciekawości nienasyconej zawrócić się w podróż.

ZAMKI itd

Na Polesiu, mianowicie ku Wołyniowi, mnóstwo znajduje się starych zamków, wałów i horodyszcz, przy których jako nieodstępni towarzysze sterczą zielone mogiły, pamiątki krwawych bojów i wyludnień, jakie tędy przeszły. Ostatnimi spokojniejszymi czasy ludność Polesia znacznie się podnieść musiała, tak samo przez się, jako też napływem Mazurów i Holendrów. Za dowód służyć może wieś Felińskiego, która, jak pisze, liczyła tylko kilka dusz męskich za jego czasów, a dziś ma ich sto kilkadziesiąt.

Zamki i grody po większej części, a nawet horodyszczka położone są u brzegu rzek lub w ich zbiegu. Takimi są już ku Wołyniowi horodyszczka w Horodźcu nad Horyniem, zamek na górze nad Horyniem w Kryczylsku, którego tylko mały szczątek pozostał w pięknym położeniu panującym okolicy, w Stepaniu nad Horyniem, gdzie dziś tylko znaczne jeszcze wały, w Czartorysku nad Styrem, w Kołkach, w Hubkowie nad Słuczą i bardzo wielu innych miejscach. Było też zamczysko nad Styrem w stołecznej książąt Czetwertyńskich Czetwertni, pięknie u brzegu tej rzeki położonej.

Z okien dzisiejszego mieszkania księcia Dymitra Czetwertyńskiego w Hodomiczach na drugim brzegu Styru widać jeszcze poza rzeką starą, bielejącą cerkiew w Czetwertni. Niegdyś było tam i zamczysko, a w nim wielki zbiór rodzinnych obrazów⁵¹. Od tego to miejsca nazwisko swoje wzięli książęta Swentopełki Włodzimierzowicze Czetwertyńscy. Wedle genealogii syn księcia Swentopełka otrzymał ją w dziale i nazwał się księciem na Czetwertni. Obszerne tej familii dobra, prócz innych stron Wołynia, leżą tu na Polesiu koło Styru i nie wszystkie jeszcze wyszły z imienia. W roku 1527 dawał z nich książę Fedorowicz Andrzej koni dwanaście, książę Jędrzej cztery konie, sześć koni książę Fiedor.⁵²

Nazwisko miasteczka Włodzimierca w Polesiu, dawniej także do Czetwertyńskich należącego, nastrocza myśl, że musiało być założone przez ich przodka Włodzimierza, lub na jego pamiątkę tak nazwane.

Nic osobliwego w jego położeniu całkiem poleskim. Są i tu ślady zamku i wały ogromnymi drzewy zarosłe. Sławna była ta miejscina z garnków tak dawno, że nasz naturalista Rzączyński dwa razy o nich wspomina⁵³. Wielu mieszczan trudni się i dziś jeszcze tym przemysłem, bo przednią do tego mają glinę, którą wzmieniony pisarz równa ze sławną w Glinianach, Denkowie, Ćmielowie, Siersku, Solcu itd. W bliskości miasteczka jest źródło znajome z własności leczebnych, wśród lasu. Pobożni mieszkańcy postawili nad nim kapliczkę. Woda jego czysta i zimna, nie okazuje widocznych śladów żadnego przesytu

⁵¹ K. Niesiecki, [Korona polska..]t.I s.384.

⁵² K. Niesiecki, [Korona polska..]t.I sidem ibidem

⁵³ G. Rzączyński, Historia naturalis curiosa s. 12 –13, Auc[tuarim historiae naturalis...] s. 21

kruszcowego, jednakże długo trzymana w cieple nawet, nie psuje się. Ciekawy by był chemiczny jej rozbiór.

Włodzimierzec przez małżeństwa dostał się od Czetwertyńskich familii hrabiów de Biberstein Krasickich, którzy wywodzą się od Sicińskich Rogalów, a tytuł Comitis S.R.I. otrzymali w r. 1631 od Ferdynanda, cesarza, do którego jeden z nich w poselstwie jeździł.

Ci sami Krasiccy po kobietach otrzymali także w Polesiu miasteczko Kamień Koszyrski, od którego zwali się niegdyś książętami koszyrskimi Sanguszkowie. Dziś to także uboga miejscina. Są tam ślady zamku, ogrodu i murowany skarbiec. Ogród od pałacu przedzielony jest głęboką fosą, przez którą szedł most zwodzony. Dziś i mostu nie ma, i pałac drewniany się wali. Mieszczanie tutejsi mieli podobno ongi prawo magdeburskie, które im odjęto, jak wieść niesie, za zabójstwo pana.

Sanguszkowie, dawniej Sienguszkowie książęta koszyrskie, wiodą się od Lubarta Gedyminowicza lub Lubarta Olgerdowicza z Julianny Witebskiej;⁵⁴ Strykowski, a za nim Kojałowicz są pierwszego zdania, Okolski popłatał nieuważnie i od drugiego ich prowadzi, a Niesiecki,⁵⁵ usiłując rozplatać tę gmatwaninę za pomocą genealogii uczynionej w roku 1640 przez ks. Hieronima, bisk. smoleńskiego, skłania się na Gedyminowicza.

Lubart ten, nic nie otrzymawszy po ojcu, po żonie tylko, córce Włodzimierza, księcia włodzimierskiego, to całe księstwo i inne ziemie na Rusi otrzymał lub zawojował, a nawet Halicz (księstwo lwowskie) i Ruś Czerwoną. W roku 1340 Kazimierz W. był mu Włodzimierz i Łuck odebrał, jednakże wskutek przymierza powrócił do władania Lubart. To trwało do r. 1349, w którym znowu Kazimierz Lubartowi odebrał Łuck, Wołyń i Ruś mu podległą, a nawet jego samego pochwycił. Osadzony w więzieniu, obietnicą przyjęcia katolickiej religii, zwolniwszy sobie straż czujną, uciekł, a połączywszy się z Kiejstutem, Ruś opanował znowu, Włodzimierza dobył i znowu przez Kazimierza W. pochwycony, więziony, po przysiędze wierności wykonanej dopiero wypuszczony. Opisuje Kojałowicz, jak obleżony Lubart we Włodzimierzu w r. 1353, uszedł za pomocą odważnego Bohdana z Iwanic. W ciągłej walce z Kazimierzem ledwie się uczuł wolnym, znowu Włodzimierza dobył, Halicz spustoszył, w sandomierską ziemię wpadł aż pod Zawichost i obyczajem ówczesnej wojny kraj ogniem i mieczem zniszczył.

W r. 1366 Kazimierz W. wyprawił się pomścić na Lubarcie, i na ten raz stanowczo Wołyń odebrał mimo upokorzenia jego. Fortalitia włodzimierskie, łuckie, Olesko objął znów Lubart, ale aż po śmierci Kazimierza.

Te wojny sąsiadów, w których Litwa biczem bożym na Polskę zwana była, i karą za życie prywatne Kazimierza uważam, nic nas dziwić nie powinno, gdy spojrzymy na zachód Europy, w cywilizowańszy świat, i tam toż samo zobaczymy, jeśli nie gorzej jeszcze. Walki Lubarta z Kazimierzem tak uporne, tak długie, współczesne są (1340-1366) walkom Maurów z Kastylią i Portugalią, stanowczemu wyzwaniu Edwarda III i Filipa Walezjusza, walce Anglii z Francją, opanowaniu tronu przez Jana Kontakuzena, ogłoszonej krucjacie na Turka, bitwie pod Creci, pod Durrham, krótkiemu panowaniu Rienzi, walce Genui z Wenecją, bitwie pod Poitiers (la jacquerie), walkom ciągłym na Zachodzie, wewnętrznym i sąsiedzkim.

Fiedor Lubart za Jagiełły już, synowca swego, w r. 1396 otrzymał księstwo siewierskie i tegoż roku umarł.

Syn jego, Dymitr Lubartowicz, książę łuckie, u cesarza konstantynopolitańskiego zasłużony, sławy od niego dar otrzymał – wielką część drzewa Krzyża Ś.⁵⁶ Od tego Dymitra, któremu trzech synów dał, trzy gałęzie książąt poszły, Fiedora księcia łuckiego, Michała koszyrskiego, Bazylego kowelskiego. Niesiecki dwóch mu tylko synów daje, Michała i Aleksandra.

⁵⁴ M. Bielski, [Kronika wszystkiego świata, Kraków 1554]s. 622

⁵⁵ I.L.8

⁵⁶ K. Niesiecki, [Korona polska..]t.IV s 6

Michała zaś synów trzech; Janusz Michałowicz, który dobra Bielaszów do monasteru dermańskiego zapisał w r. 1544. Książę Bazyli kowelski, książę Jędrzej koszyrski, starosta łucki, syn Michała z księżniczki dubrowickiej urodzony, jak i Bazyli kowelski. Ten mężny rycerz może w nagrodę męstwa otrzymał rękę córki księcia Konstantego Ostrońskiego. Żyje jeszcze w r. 1547,⁵⁷ miał – jedni mówią pięć, drudzy – dwie córki, które wszystkie za książąt powychodziły.

Synowie jego Aleksander i Lew z Ościkównej, syn jego Grzegorz, wojewoda braclawski żonaty z księżniczką hołowczyńską. Dwie córki, jedna zakonnica, druga za Jerzym Krasickim, syn Adam, wojewoda wołyński, na koniec w roku 1627 pobożny fundator oo. Dominikanów w Kamieńcu. Na nim linia książąt koszyrskich druga ustała, bo żonaty z Uchańską, wojewodzianką bełską, bezpotomny.

Wracamy do Aleksandra Dymitrowicza, brata Michała, od którego poszła druga linia książęca. Tego synem był Jędrzej, marszałek wołyński, ojciec siedmiu córek z Anny Despotówny, wojewodzianki wołyńskiej, a synów trzech: Romana, Dymitra, Jarosława.

Roman sławnym był wojownikiem, pochwały jego czytać można w Starowolskim. Miał za sobą Chodkiewiczównę, z niej trzy córki i syna Romana, bezpotomnego. Pisali się książętami na Niesuchojach i Łokazach. Drugi syn Jędrzeja, Dymitr, sławny z nieszczęśliwej swej historii porwania księżniczki Halszki Ostrońskiej, zabity w Czechach, dokąd z nią uciekł. Wojownik nie lada, choć mu i tej sławy zawistni ująć chcieli.

Trzeci syn Jędrzeja Jarosław, zabity także zdradą i na nim aleksandrowska linia męska zgasła.

Niektóre nagrobki książąt Sanguszków miały być w Kijewie, a ciało Aleksego, pochowanego w Chełmie, znaleziono, pisze Susza, w r. 1616 w sukni bazylikańskiej czarnej i pasie szytym w krzyże złote. Z synów Michała kowelskiego rozrodziła się potem licznie rodzina Sanguszków. Sławniejszym od innych był Jędrzej Bazylewicz, wojewoda miński, który się odznaczył w wyprawie pod Kokenhauzen, w poselstwie do Moskwy itd. Wspominają, że rad czytywał i wielką bibliotekę zebrał. On pierwszy z Sanguszków greckiego wyznania odstąpił.

Postawił pałac w Białym Kowlu. Na zegarze, który stał w jego komnacie, stała śmierć u wierzchu i inne symbole marności światowej. Pobożny ten pan zostawił kilka córek i trzech synów. Lecz dość na tym, bośmy się zapędzili za daleko, i stracili z oczu Kamień Koszyrski.

W Kamieniu Koszyrskim miały być zakopane już w XVIII wieku w sieniach pałacu jakieś skarby, zapewne w czasach zamieszek i wojen, o które u nas nigdy nie było trudno. Jakiś starzec w Poczajowie, dowiedziawszy się o przybyciu tam Krasickich, dał im o tym wiadomość bardzo szczegółową. Rozpowiedział, że w sieni wisi latarnia lub od niej kółko, że przeciw kółka jest sklepienie w podłodze, sklep, a w nim kufer z pieniędzmi. Tą wiadomością zebrał familią: odjęto posadzkę, odkryto, jak mówił strzec, sklepienie, sklep nawet i kufer, ale w kufrze – nic nie było.

⁵⁷ M. Strykowski, [Kronika polska, litewska, żmudzka i wszytkiej Rusi. Królewiec 1582, wyd. nast. Warszawa 1766]

WŁOŚCIANIE

Stan dawny włościan w prowincjach rusko-litewskich wymownie odmalowany znajdziemy, gdy mowa o buntach ukraińskich, w Grądzkim, w Twardowskiego *Wojnie domowej*, a nawet w Beauplanie trochę.⁵⁸ Autor o *Reformacji obyczajów polskich*, a także *O uciemieniu wielkim włościan na Rusi* pisze: „Z przodków naszych poczyniono było na sejmach statuta, aby poddani tak duchownych jako i świeckich panów nie rabiali jedno dzień w tydzień. I który by pan uczynił gwałt poddanej, albo wszystkie poddane o klątwę za swój uczynek przyprawił, tedy od tego pana wszystka wieś wystać mogła, a do inszego pana się przeprowadzić. Skąd się pokazuje, że to od Rzeczypospolitej zależy, abyśmy nie jako niewolnikom poddanym naszym rozkazowali, ale jako pomocnikom robót naszych; przetoż wielka tego jest potrzeba, aby Rzeczpospolita w to wejrzała przykładem inszych narodów, aby panowie poddanych swoich, jak się im podoba, nie zabijali, nie łupili z majątności ich, co mają, ani im gruntów, które sobie naprawia, nie odejmowali, ani ich też gwałtownie robociznami obciążali jako bydło nieme, ale się z nimi jako z ludźmi po ludzku obchodzili etc.”

Dalej nawet obcych krajów przykład stawiając, ten mądry reformator radzi się zamiast pańszczyzny czynszami ograniczyć.

Niesłychany był bowiem ucisk na Rusi od panów, który po części sprowadził, a przynajmniej wiele dopomógł Chmielnickiemu do tego strasznego buntu, który tyle krwi kosztował. Coraz przybywająca ilość danin, czynszów, opłat różnych, wkrótce połączona z ciężarem stacji żołnierskich, stała się prawie niepodobną do zniesienia. Od rodzących się dzieci, od żeniących się wymagano po dydku; dziś jeszcze na Polesiu i Wołyniu utrzymał się zwyczaj noszenia darów do dworu, jako kury czarnej, płótna, kaszy, wódki, placka, czerwonego pasa itd.

Lecz opłaty pieniężne i inne daniny, mimo zakazu synodów diecezjalnych, po większej części wówczas arendowali Żydzi i wyciskali je srogo z biednych włościan. Oni też także ciężko rzezią Chmielnickiego ukarani zostali i kto wie, czy ich nie więcej niż chrześcijan zginęło. Historyk Żyd, rzezi świadek, ileż to tysięcy liczy zabitych! Autor *Reformacji* o tych arendach także wspomina.⁵⁹ „W Rusi zasię wszystkie arendy Żydom w ręce podawszy, uprzywilejowane wolności niektórym złamano, powołowszczyzny coroczne (które przedtem w 10 lat jeno, potem w siedm, zaś w pięć, we trzy znowu, aż na koniec co rok wybierać poczęto) ustanowiono, na swoją potrzebę domową nikomu piwa, gorzałki i miodu robić nie dozwolono, od łowienia lisów, ryb, ptactwa, i zwierza dzikiego dziesięciny powymyślano, grunty i folwarki odejmowano, i dobrze, że już ze skóry ubogich ludzi nie łupiono”.

⁵⁸ [Sz. Starowolski, *Reformacja obyczajów polskich*] Edy[cja] 2 [1655?]s.140 - 141

⁵⁹ [Sz. Starowolski, *Reformacja...*] s. 100

Takie nadużycia i w Polesiu Wołyńskim trwały, a niektóre trwają jeszcze, oprócz bowiem zwykłej trzydniowej pańszczyzny, oprócz mnóstwa daremszczyzn do wyrobienia lnu, konopi, ogrodów, do bielenia i czyszczenia budowli etc., etc., daniny grzybów, jagód, miodu, chmielu, orzechów nawet, osypy żyta i owsa (których początek w Inflantach Hizen dość nieprawdopodobny przypisuje) – pobierają czynsze pieniężne.

Jestże podobna, aby na małym kawałku pola siedząc, wydolał temu wszystkiemu wieśniak i pobogaciał? A dodajmy uwagę, że dziedzice, sami rządzący dobrami, wcale się jeszcze nie ograniczają starym zwyczajem, lecz bezkarnie nadużywają, wymagając darmo transportów i różnych usług. Zaiste sprawiedliwość być powinna wszędzie i nie wiem, jak pogodzić oświatę, o którą się staramy, ze zdzierstwem nieludzkim, widnym prawie wszędzie.

Mianowicie niepodobna się nie oburzać na tych, którzy, zawsze potrzebni pieniędzy przez nierząd, najmują swoich ludzi Żydom do transportów wodą lub dalekich robót, nic im za to nie strącając, rzadko nawet opłacając za to podatkami.

Powtarzam, kto czyta po francusku, gra w wista, lubi literaturę i myśli, że na tym dosyć, aby zyskać imię ucywilizowanego człowieka, człowieka dobrze wychowanego, dobrego tonu i towarzystwa, ten nie rozumie, co to jest cywilizacja, co to jest ten progres, który ciągle mając na ustach, sądzi, że on przyjdzie sam bez żadnych ofiar.

Mimo tego chłop poleski nie jest w nędzy zupełnej, raczej z przywyknienia niż niedostatku życie jego mizerne, ubiór nie chędogi, chata brudna, jadło grube. Ku Wołyniowi już przynajmniej nieco lepiej jedzą, gdzie indziej zaś lepiej piją, a tam, gdzie ten nałóg jest dziedzicznym, nędza idzie w ślad za nim. Któż temu winien, jeśli nie panowie, na co trzymać Żydów, co ich rozpajają?

Obyczaje ich pospolicie łagodne, po pijanemu się tylko czasem pobijają. Żyją skromnie, a zepsucie w kobietach tu takie same symptomata okazuje, jakie postrzegał jeden nowy podróżny w Szwecji: jest ono raczej skutkiem obojętności, niż jakichkolwiek innych przyczyn z temperamentu lub głębokiego zwichnienia zasad pochodzących.

Przywiązanie macierzyńskie, małżeńskie najlepiej się wydaje w nieszczęściu. Posłuchaj, gdy kogo biorą w rekruty! Co za płacz, jaka rozpacz! Jakie jęki! Najdziwniej, że w tych uroczystych chwilach żaloby kobiety zamiast mówić i płakać, ciągle płaczliwie śpiewają jakby mimo woli. Idąc za wozem biednego wygnańca, ocierają łzy i jednostajnie, smutnym śpiewem prowadzą go aż do miasteczka. Wejrzawszy głębiej w przyczyny łez i żalu, ujrysz w nim zapewne powody materialne, lecz czegoż więcej żądać można od tak nieoświeconego, od tak biednego ludu? Oni, żeniąc się, na nic nie patrzą, tylko żeby przyszła ich była dobrą gospodynią i z zamożnej chaty, a czy fiasza wódki związana będzie czerwoną wstążeczką, czy nie – to niewiele ich obchodzi. Ceremonie weselne, tyle już razy opisane, są tu z małymi odmianami podobne innym prowincji ruskich – swaty, zapoiny, postrzyżyny itd. Kobiety zameżne gdzieś indziej noszą na co dzień chustki białe tak samo jak dziewczki, różnią ich tylko wiszące u dziewcząt spod chustki długie czarne warkocze. W niedzielę do cerkwi kładną uroczyste n a m i o t k i. Ubiór w większej części Polesia składa się z białosiwej sukmany z kieszeniami, butów lub łapci, koszuli zapiętej guzikiem błyszczącym, pasa, fartucha i kawałka sukna kolorowego w pasy tkanego, wiszącego z przodu i zowiącego się – n a w i s k a.

Lecz tak mało mają względu na wytworność ubioru, że gdy im białego sukna nie wystarcza, kobiety i mężczyźni dokładają sztuki brunatne do odzienia, nie patrząc gdzie przypadnie, i często najśmieszniej wyglądają w świetle do pół czarnej, pół siwej. Na szyi kobiet wisi medalik lub krzyż mosiężny i kilka sznurów paciórów. Dalej na Wołyniu, Ukrainie noszą kobiety plisowane korale i medale złote, ale tam też lud ma się daleko lepiej.

Rzadko na Polesiu widziałem golone głowy, często za to długie brody. Czapka ich bywa z sukna na kształt dawnej tak zwanej konfederatki, obszyta kolorowymi sznurkami; czasem barankowa na zimę. Mało kapeluszków słomianych. Nieodzowną część stroju Poleszuka składa pas skórzany, nabity guzami mosiężnymi. Od niego wisi kalitka, a w niej zawsze

znajdziesz hubkę, krzesiwo, krzemień i kilka groszy (jeśli są) starannie w węzełku zwiniętych. Tuż na rzemyku w pochewce skórzanej wisi spory nóż i zaraz blisko kawał żelaznego drutu do przetykania fajki. Bez tych esencjonalnych przyborów nie ruszy się za róg chaty Poleszuk. Bez ognia i fajki żyć on nie może. Wszędzie gdziekolwiek co robi w polu, zapala ogień niedaleko, a fajki króciuchnej zielonej, polewanej lub drewnianej z ust nie wypuszcza. Tytuń mu ciągle w niej gaśnie, a on go bez końca zapala. Kobiety nawet stare widziałem nieraz pod piecem z fajkami w ustach. Zapach tego narkotyku z niczym się nie da porównać i bardzo jest przykry niezwykłym. Nosi go Poleszuk w papuży i w potrzebie tylko nożem tyle ile potrzeba do fajki nakrawa.

Chłop poleski najczęściej starym zwyczajem przed panem na twarz upada, wita go „Sława Bohu”, albo „Pomahaj Bih”. – Pomagaj Boże! Milczący jest, ale uprzejmy dla obcych, zaczepiony, chętnie gawędzi, gdy tylko o panach i o biedzie mowa. O biedzie swojej dzień i noc by gadał.

Prosty rozum tych ludzi wcale nie jest do pogardzenia, niekiedy pozornym głupstwem ukrywa się przebiegłość niepospolita. Rzadko tańczą, częściej śpiewają, taniec ich pospolity jest rodzajem walca, w którym jedną tylko ręką obejmują tancerkę, para za parą w kółko krąży. Śpiewy ich częściej smutne, czasem są aż nadto wesołe i bezwstydne. Ale jakaż w nich poezja! Jakie proste a mocne wyrażenia z głębi duszy! Znać, że je z serca wyrwały wesele lub smutek, że je śpiewali, nie pisali, rodzili, nie komponowali. Te śpiewy dzieci tutejszych lasów malują stan włościan wymownie, lecz kto by z nich o zepsuciu chciał wnosić i rozpuścić, daleko by ich gorszymi mniemał niż są w istocie. Oni w tym rodzaju śpiewają więcej niż robią. Większa część śpiewów ma tylko cztery wiersze składające wesoły uciniek lub smutne westchnienie. Często młodocy żalą się, że je zaprzędano, że im lepiej było w chacie u rodziców. Takich żalów nieskończone są warianty. O, i oni czuć umieją wdzięk młodości, którą prędko potem ciężka praca zabija. Któż by też nie żałował tego złotego wieku, w którym nawet nadziei do szczęścia nie potrzeba, tak człowiek w sobie samym ma dosyć szczęścia, tak rad jest z wszystkiego!

Że i w Polesiu, mianowicie ku Wołyniowi, mają pieśni ludu wielki wdzięk w samej muzyce, temu nikt, kto je słyszał, nie zaprzeczy. Kto je słyszał wieczorem cichym, nucone i odbijające się w lesie, rozchodzące się po rosie. Często pastuszek za bydłem, gdy czystym głosem śpiewał je z daleka, zatrzymywałem się, aby go dłużej posłuchać, bo było coś tak uroczego w tym śpiewie, że ucho, gdy się już rozbił, jeszcze go długo żądało, a żaden instrument nie mógł go powtórzyć. Trzeba było na to ust pastuszka, gaju, trzody i wieczora – a może i usposobienia w słuchaczu.

Mnóstwo podań krąży tu między ludem, mają one jedno źródło i jeden po większej części wątek z innymi słowiańskimi – odmiany tylko do miejsc się stosują. Często w nich występują jakieś dziwne zwierzęta, którym za schronienie służyć mają lasy i błota poleskie. Różne rodzaje węzów grają w nich niepospolitą rolę a ich własności są niezmiennie w tych bajkach pospółstwa przesadzone. Zimą, gdy węża w chacie znajdują, zabić go, według nich, się nie godzi, pod karą wielkiego nieszczęścia, a najwięcej tylko – można go wyrzucić. Jest to znak gościnności, gdyż Poleszuk jest niezmiennie gościnny. Do tego stopnia posuwa on przesąd gościnności na przykład.

Byłem świadkiem pożaru na wsi. Rozgniewany, przełęczony, błagałem i zmuszałem do ratunku, którego wszyscy, chowając się, odmawiali. Nie chcieli nawet dawać wiader i haków. Cóż to było? – Oto nie chcieli się ogniowi sprzeciwić i przyjmowali go jak gościa – a to tak dalece, że baby powystawiały dzieże chlebne na stołach okrytych obrusami przed chaty – i sól, same zaś z założonymi rękoma patrzyły na ogień, stojąc za stołem, jakby mu chciały pokazać, że go chlebem i solą przyjmują. Gdy jednak i to, i ratunek wymuszony z dzieci niewiele pomagał, stara baba czarownica podjęła się zamknąć pożarowi dalszą drogę; rozebrawszy się do naga i zostawiwszy tylko spodnicę na sobie, z rozpuszczonymi włosami,

wyszła, mrucząc jakieś zaklęcia i trzy razy pożar wkoło obiegła. Takim to środkiem przypisywali ocalenie, winne przytomnemu ratunkowi naszemu. Chleb i sól w ich oczach przebłągał ogień, dowiódłszy mu gościnne przyjęcie.

Częste pożary na Polesiu z bardzo nieostrożnego obchodzenia się z ogniem pochodzą. Dość powiedzieć, że młócąc w swoich stodołach nie lękają się zapalać o zmroku łuczywa i nie wypuszczają z ust fajki. A za najpierwszym slychem o pomorku lub zarazie przed każdą niemal chatą kurzysko się pali. Oswojeni z ogniem, wcale na to nie zważają.

Wielkie to dla wieśniaka nieszczęście, gdy przyjdzie pomorek na bydło, bo od niego zależy byt chłopu. Jednakże chłop nie dość się wywdzięcza bydłociu; w wielu jeszcze miejscach utrzymał się dotąd barbarzyński zwyczaj popędzania wołów roboczych kijem zaostrzonym, zwanym o s n o. Jednakże poczciwe te stworzenia znają dobrze głos i sposób wołania, różny w różnych stronach. W Polesiu Wołyńskim kierują wołając: – Wei, wei lub – pru, pru. Gdzie indziej, jak w Litwie, sposób kierowania zależy od maści.

NA WOŁYŃ!

Na pół drogi do Szepetówki w lesie znowu malowniczo porozrzucane między drzewami pokazały się owe skały, których widok tak mnie w Korcu unosił. Szepetówka, mała miejscina, sławna tylko z wód mineralnych, do których w lata zjeżdżają się ci, którzy nie mogą lub nie chcą wybrać się za granicę, pokazała mi się za lasami, wśród wzgórków. Cerkiew z zielonym dachem i malowidłami świętych zewnątrz, jak tu już jest we zwyczaju, kilka karczem świeżo po pożarze odbudowanych, kilka porządniejszych budowli koło łązienek – zresztą góry w oddaleniu i fizjognomia wołyńska – oto cała Szepetówka. Żadnych starożytności, żadnych wspomnień, prócz jednej bitwy ostatnich lat XVIII wieku, częściowej, w bliskości miasteczka stoczonej.

Późnym już dość wieczorem tu stanąłem i popasałem co najprędzej, aby jeszcze dalej się posunąć. Rozpytywałem się o zbiór gości tegorocznych, których ślady gdzieś na szybach zostały, dowodzące, że próżno czasu nie tracili. Przypatrywałem się tutejszemu ludowi, ich wozom, koniom, ubiorom i zaprzęgom. Tu już, nie jak w Litwie i w Polesiu, jednokonnym wózkiem, lecz kutym i trzema lub czterema końmi zaprzężonym jeżdżą wieśniacy – dobry znak ich zamożności i bytu. Rola nie dzieli się na zagony, a pług trzy lub cztery pary wołów ciągnie po żyznej czarnej roli wołyńskiej. Cieszyłem się wjeżdżając w ten kraj, któremu natura nie uskąpiła darów, do których brak tylko jeszcze ruchu, handlu i powszechniejszej cywilizacji.

Przerwał mi te uwagi Żyd wysiadający z budy płóciennej pod karczmą, Żyd, który godnie mógłby być figurować w romansie Waltera Scotta lub obrazie Rembrandta, Żyd pełen tajemnicy, na dwóch cienkich nóżkach, obciążniętych pończochami niebieskimi, schylonych – w podartym kapeluszu na głowie ze spuszczoneymi skrzydłami a o jednym tylko oku, bo drugie przykryte było ogromnym czarnym plastrem. Ten plaster przypominał mi wszystkie podobne mu używane w romansach i komediach aż do r. 1825. Chciałem tę tajemniczą figurę zaczepić, porwałem ołówek, aby ją odrysować, lecz zniknęła jak w romansie.

Już dobrym zmrokiem puściłem się w góry, które Szepetówkę od Horodyszczu dzielą; góry tym dla mnie straszniejsze, że raz pierwszy w życiu, mieszkaniem płaskich krajów, miał przebywać. Lecz nie strach mi było, ale żal widoków, które zmrok miał zakryć przed moją ciekawością, a spieszyć się musiałem.

Posuwaliśmy się więc powoli w góry, a zmierzch coraz się powiększał, nareście gaj, po którym zabłyśły światła oznajmiły Horodyszcz i nocleg. Położenie tego miejsca jest jedno z najpiękniejszych w tych stronach. Na wysokiej górze stoi dawny kościół murowany z klasztorem ks. Karmelitów, u stóp jego jest staw duży, dalej góry malownicze, pokryte zaroślami dębowymi, z których cerkiew wygląda. Ta góra, woda, drzewa i poważna budowa kościoła na wielkiej wysokości panującej nad okolicą piękny bardzo tworzą widok. Osada rozrzucona jest wśród zarośli nad stawem. Dla mnie nowe jeszcze wdzięki przybrało

Horodyszcze od zachwycającego wieczora, który je obwijał – światła chatek, gwiazdy na niebie, wszystko to odbite w stawie, bielejący kościół na górze, powiększony, jak zwykle w nocy przedmioty, których odległości od nas dobrze rozeznaczyć nie możemy – wszystko to tworzyło zachwycający obraz.

Ale do tego potrzeba było i wieczora, i światła, i takiego gwiaździstego nieba, i trochę może egzaltacji, którą wiozłem z sobą, chociaż zresztą Horodyszcze dla najobojętniejszych na obrazy jest zawsze bardzo pięknym. Nie chciałem rysować tego miejsca, bo dobry tylko obraz mógłby dać o nim wyobrażenie, a ołówek biedny padał z rąk mimo woli.

Jadąc ku karczmi stojącej na górze naprzeciw kościoła, chłop, który mnie powoził, obudził z dumania. Mijając staw, spojrział na cerkiew, obrócił się do mnie i odezwał:

– Ta cerkiew, co to widzicie jej wierzchołek, tam w dębinie, poza stawem, stała niegdyś na górze, gdzie teraz klasztor. Ale raz w Wielkim Tygodniu (protiw W. Dnia) ruszyła się wieczorem z posady, zeszła z góry, przepłynęła staw i poszła stanąć tam, gdzie dzisiaj stoi. Na dowód tego pływa jeszcze po stawie jedna z belek cerkwi, którą ona przechodząc umyślnie rzuciła.

To podanie bardzo mnie uradowało, nie wiem, czy znaleziony worek z pieniędzmi byłby mnie w tej chwili równie ucieszył i chociaż zresztą i pieniądze są rzeczą bardzo uczciwą. Lecz ta część ze skarbnicy ludu, podań i pieśni, o które tak trudno dopytać milczącego wieśniaka, lękającego się dla swoich skarbów uśmiechu niedowiarstwa i pogardy, skarbu, który tylko w wieczornicach i doświatkach pokolenia pokoleniom podają – ożywia mój umysł i tysiąc napędziła marzeń. Trochę się jednak zmniejszył mój dobry humor obudzony tą powieścią, gdy do ogromnej, zimnej, a pełnej pijanych karczmy wjechałem. Wprawdzie Żydzi odstąpili mi swego najlepszego apartamentu, w którym zastałem pomieszane zapachy dziegciu, łoju, łoskzyny i kartofli, ale niestety! – brudne ich bety w drugiej izbie i nadzieja pułku huzarów, który miał nadejść w nocy, do reszty mię zmartwiły.

Musicie moi niełaskawi czytelnicy za to, że ja cierpieć, czytać teraz, co o noclegu napiszę – nie daruję wam tego, bo sobie dałem słowo, że się na kimkolwiek pomścić muszę.

Pokutując więc za radość, jakiej doznałem dowiadując się o podaniu wędrowni cerkwi ś. Mikołaja, całą noc oka nie zmrużyłem, pułk huzarów jechał mi pod oknem śpiewając, wrzeszcząc, tłukąc do drzwi moich, a w drugiej izbie chrapali Żydzi, Żydówki, Żydzieta, spacerowały myszy i skrzypiała kolebka, w której dziesięcioletni tłusty bachur kołysząc się spoczywał. Musiałem tedy z nudy, rzuciwszy nudniejszą jeszcze od próżnowania książkę podróżną (*Jacques II à S. Germain* p. Capefigue) robić inwentarz izby, w której na próżno czekałem. Była tam szafa z *Talmudem* sławuckim i księgami do nabożeństwa, dziesięcioro przykazań za firankami, dwa łóżka próżne, których tknąć się przez uszanowanie dla przeszłych mieszkańców nie odważyłem, kufer zielony, para pantofli schnących po przechadźce na piecu, para pończoch na kołku, garnek z resztkami pozawczorajszej wieszery nie bez woni, stara miotła, młoda miotła, dwa talerze potłuczone i ogromna różga spektorska. Obliczywszy to wszystko, uważałem, że chcąc napisać podróż sentymentalną po tej izbie, byłoby materiałów przynajmniej na dwa duże tomy.

Nareście nadszedł ranek, który mnie miał z tej niewoli żydowskiej wybawić; wyrwałem się z niej, jak mogłem najprędzej.

Od Horodyszcza do Hrycowa samym prawie stepem droga. Tu mocno dał mi się uczuć brak drzew, które tak ożywiają najmniej znaczące widoki. Jak zajrzyć okiem przez góry i doliny, tylko zieloność runi jesiennej lub czarne widać ugory, czasem tylko w parowie nad strumykiem kilka wierzb pochylonych. Lecz za to, jeśli się Wołyn uśmiechnie, o jakże bywa piękny!

Wśród gór wyglądają z parowów wsi z białymi chatkami, cerkwie trykopolne, malowane i zdobione, stawy i rzeki, i lasy dębowe. Potrzeba wody zmuszała mieszkańców do osiedlania się w dolinach, które strumienie i rzeczulki płyną, dlatego też na Wołyniu i w ogólności we

wszystkich krajach wzgórzystych wszystkie osady są między parowami i w dołach, co znacznie wdzięku widokom ujmuje na pierwszy rzut oka, lecz niespodzianością zadziwia i bawi.

Ponad drogą gęste widać znamiona pobożności, krzyże na każdym prawie zakręcie i dróg przecięciu. Te krzyże ozdobniejsze są znacznie niżli na Litwie i Polesiu, namalowane często z figurą Ukrzyżowanego, z daszkiem, na którym wisi cały firmament złożony i srebrzony, z godłami Męki Pańskiej, a na wierzchu z kogutkiem kręcącym się zazwyczaj, którego chociaż aplikacja i znaczenie jest wiadome, nie znajduję wszakże, aby co dodawał do świętych znaków męki, prędeż myślę, że go stawiają na wierzchołku dlatego, aby tam ptaki nie siadały.

W Litwie starej stawiają na mogiłach jeszcze chatki z krzyżykiem na dachu, bogatsi większe, ubożsi tylko coś podobnego do nich lub kłodę wielką na dwóch podporach. Chatki te umarłych, które są widocznie zabytkiem pogańszczyzny, co dzień stają się rzadsze. W nich to lub przy nich stawi się na Dziady jadło ubogich lub umarłych. Na Wołyniu i Rusi, gdzie dawniej greckie wyznanie wprowadzone zostało, nie ma tych chatek, tylko greckie krzyże podwójne lub potrójne oznaczają grób. Nie wiem także, czy się tu zachowuje zwyczaj wyrzucania pod najbliższy krzyż tych dwóch polan drzewa, na których w chacie stoi trumna zmarłego, ani czy na Zielone Świąta, mając chaty młodymi brzoza, opuszczają te drzwi, do których w przeciągu roku śmierć zajrzała. Ten smutny zwyczaj litewski, odpychający oznakę radości od drzwi żałobnych, wielce mi się spodobał.

Każdy, kto kiedy podróżował, pamięta, jakie na nim wrażenie czyniły spotkane osoby, domy, powozy, czasem sceny zajmujące z życia, migające się tylko i znikające sprzed oczu jak obrazki fantasmagorii.

Rano po okropnym noclegu w Horodyszczu wyjechawszy, dumalem, niecierpliwiać się trochę powolnym koni chodem, kiedym usłyszał tętent za sobą. Obróciłem się i ujrzałem młodego człowieka na siwym koniu, a za nim jadącego sługę ze smyczą chartów. Ten widok mocno mnie zajął. Ranek był jesienny, chłody – myślałem sobie: wielki to być musi myśliwiec, kiedy tak rano wyjechał. Któż wie? – i spojrzałem mu w oczy, ale nie mogłem jego przejażdżki innym przypisywać powodom. Głębsze spojrzenie na myśliwca wyprowadziło mnie z błędu. Dwóch ludzi widzących się raz pierwszy i zapewne ostatni na drodze zimnym rankiem jesiennym, poglądających na siebie ciekawie, jakby się chcieli zrozumieć i odgadnąć nawzajem – nie jestże to scena ciekawa, do opisania, do odmalowania?

Myśmy się tak na siebie ciekawie patrzyli, on na książkę, którą ja trzymałem w ręku, ja na jego siwosza i charty. Chcąc się z koniem pochwalić, młody pan mijał mnie, kłusował, galopował – ja tylko czytałem. I tak nic nie mówiąc, powiedzieliśmy sobie:

On do mnie: – Parz, jakiego mam konia!

Ja do niego: – Patrz, jaką mam książkę!

Potem jeszcze się raz obejrzawszy, poleciał drogą, a za nim psy, sługa i charty znikli w tumanach wołyńskiego kurzu.

Wjeżdżałem do Hrycowa spuszczając się z góry. Piękny, choć mało upiękniony widok, na lewo ogród i stary pałac z dziedzińcem i bramą senioralną w starym smaku, z cyfrą i koroną na frontonie. Obyczaj wołyński. Pałac pański jednym słowem: niżej staw, nad nim garść rzuconych topoli, których tu nie szczędzą parkomani; dalej – w prawo za stawem miasteczko z kramami murowanymi i kolumnadą, nadpalone. Cerkiew czy kościółek w rynku prostej, ale dobrej architektury. Nowsze budowy, których niemało w Hrycowie, są z pretensją a nie piękne, wielkie, okazałe, cyfrowane jak chustki do nosa. Czegoż by tu z tych gór, wody i murów zrobić jeszcze nie można przy takim położeniu! Gotycka kuźnia jest wprawdzie gotycka, bo tak powiadają drzwi i okna, ale nie ma charakteru gotyckiego. U nas powszechnie rozumieją, że dać ożywy, trefle, gzygżaki jest to zrobić budowę gotycką, ale w istocie charakter główny tego rodzaju architektury stanowi lekkość, przezroczystość, wyniosłość, których u nas nie zobaczyć. Pospolicie nasze krajowe budowy gotyckie są ciężkie,

pudełkowate. Początkowo architektura gotycka w dzieciństwie jej, u na, póki nie mogła wznosić wysokich swoich wieżyczek, stawiała przynajmniej dachy ostre, olbrzymie, sklepienia kończące i śmiałe. Śmieszna rzecz, że nie ma lżejszych sklepień nad te, które u nas robiono w XV i XVI wieku, a nie ma cięższych nad późniejsze. Wyjechałem z Hrycowa, ubolewając nad pożarem, który mu nadał posępną postać ruiny.

Nic piękniejszego nad okolice Kisiel, do których jechałem. Góry, czasem gaje z brzoź i dębów, przy każdej osadzie woda. Maciewicz na gościńcu pocztowym mniej są piękne od innych. Wieś Pisarzówka nadzwyczaj malowniczo rozrzucona na górach wśród drzew, ogródków, nad wodą – musi się każdemu podróżnemu podobać. Lecz jeszcze piękniej w Kisielach. Któż opisze wdzięk Kisiel, wsi, gajów, gór, wody, a mianowicie ogrodu, który chociaż mały, z takim jest urządzony smakiem, z takim wdziękiem! Są na Wołyniu wielkie ogrody, parki ozdobne, ale miłszego wiejskiego ustronia pewnie nie ma. Z okien domu na wzgórzu rozwija się widok na rozsypaną wieś w dolinie i gaje po górach precudny! Z każdego kąta coś nowego widać. W ogrodzie kaplica z altaną łączącą wzgórze z dolną częścią ogrodu, zbudowana według rysunku architekta p. Nurowskiego, z zastosowaniem do miejsc, jest dowodem jego umiejętności i smaku. Nie potrzeba wielkich rzeczy do pokazania talentu, w wielkich bowiem często zwyczaj i forma myśl zastępuje, a w mniejszych oryginalniejszych, pokazują się pomysły i smak własny. Mijam to, co bym mógł więcej napisać o Kisielach, są miejsca, które potrzeba widzieć i uczuć, których opisać nie można. Takie miejsca ożywia dusza człowieka, umiejająca się przelać we wszystkie najdrobniejsze należące do niego przedmioty.

Niedaleko stąd miasteczko Ostropol, które później przejeżdżałem, jest smutną ruiną i obrzydliwą kupą żydowskich kletek, nic tu ozdobionego, żadnej myśli upiększenia znaleźć nie można. I dziwić się należy, że właściciel, który w swym życiu i podróżach tyle pięknych miejsc widział, tak o swoim miasteczku zdesperowawszy, założył ręce.

Od Ostropola prawdziwy step wołyński Hończarycha się zaczyna. Rzączyński pisze⁶⁰, iż odtąd do Białej Cerkwi widział rosnące mnóstwo róży dzikiej, ja jej jednak nie postrzegłem.

W czasie napadów kozackich pod samym miasteczkiem była bitwa z Kozaki, gdzie ich Stanisław Lanckoroński, wojewoda ruski, na głowę pobił.⁶¹

W tymże czasie żył tu sławny kabalista rabin Samson Ostropolski. Ten, gdy same napady się zaczęły, znajdował się w miasteczku Połonnem.⁶² Było to 1648 roku. Natchniony straszną plagą tej wojny, która tak ciężko lud jego dotknęła, zachęcał i zapalał po bożnicach do żalu i pokuty za grzechy, która by odwróciła zesłaną przez Boga, grożącą im śmierć, prawie nieuchronną. Więcej może ze strachu, niż ze skruchy Żydzi go usłuchali. Nadeszła wieść o zbliżaniu się Kozaków. Samson razem ze 300 uczonymi Żydami ubranymi w śmiertelne koszule, poszedł na tę wieść do bożnicy. Czekając śmierci nieuchronnej modlili się. Śmierć przyszła, ale umarli z modlitwą na ustach.

Nie jestże to precudny obraz – podobny temu sławnemu – senatorów Rzymu siedzących i czekających śmierci na kurulskich krzesłach? Ci Żydzi, naród tak bojaźliwy, zbiegający się w chwili niebezpieczeństwa bez nadziei życia, bez obrony, przed Bogą! Mało jest tak pięknych scen w historii tego czasu, chociaż wielkie wstrząśnienia rozwijają wielkie charaktery. O tymże czasie w Niemirowie jedna kobieta, którą Kozak do ślubu prowadził, skoczyła w wodę i utopiła się biedna.

⁶⁰ G.Rzączyński, Auct[uarium] h[istoriae] s.131

⁶¹ K.Niesiecki, [korona polska], t III s.27

⁶² Nathana Moskowicza

SŁAWUTA

W okolicach Sławuty rozciągają się obszerne majątki książąt Sanguszków; poznasz je po karczmach porządnym, do dobrego bycia włościan, po fabrykach, jednym słowem – po wyższej daleko nad okoliczną cywilizacji, ruchu, zamożności. Zastanawiały mnie okiennice karczmi malowane w różne obrazki, co u nas rzadko widzieć. Z przyjemnością wpatrywałem się w te próby popularyzacji sztuk, ale z żalem przekonywałem się, że panowie, okiennic malarze, nie malowali scen z życia swojego kraju, ale jakieś ogólniki, najwięcej scen myślistwa. W jednym tylko miejscu powitałem czule niedźwiedznika z niedźwiedziem Maruchą – to było oczewiście swojskie. Mówiono mi także, iż gdzieś pod Konstantynowem na gościńcu jest odmalowany na okiennicy Bachus, z seledcem, na beczce siedzący, z nahajką przez plecy – prawdziwy kozacki Bachus, z napisem:

*Prybywajcie Czumaki
Propiawat ośmaki.*

Wreście próżno szukałem po okiennicach jakiej wesołej krajowej sceny, bo na co też mi było myśleć, że się ktoś z talentem podejmie bazgrania karczemnych okiennic! Jednakże Karol Nodier pisał farsy dla teatru Debureau!

Nasi pisarze romansów historycznych musieli się wstrzymać od wielkiej ochoty komponowania na wzór prototypu Waltera Scotta sztyldów i godeł swoim gospodarzom, bo u nas tylko po wielkich miastach i to późno już nastały. W XV i XVI wiekach karczma odznaczała się wywieszoną gałęzią choiny, wiechą, którą jeszcze gdzieś i dziś postrzec można. Czytałem w przywilejach XVI wieku, że postrzygalnie wywieszały wielkie nożyce, szewcy buty itp. A to niemalowane, tylko najprawdziwsze buty i nożyce. I teraz nawet szczupło u nas w tym rodzaju konceptów, widziałem tylko w Wilnie sztyld szewca „Pod Duchem Ś.”, winiarnię „Pod Gronem”, traktier „Pod Gęsią”. Mniejsza o to, że napisy są bez ortografii, to się i w Paryżu zdarza. Najmocniej się wysilił jeden właściciel traktieru, który pod dwoma emblematycznymi kijami bilardowymi na krzyż dopisał: – Zajdźmy tu!

Był to fortel, który znalazł plagiatorów nawet.

Pod Sławutą oglądaliśmy postrzygalnię i greplarnię, które woda obraca; nie chcę ich opisywać i zostawuję jakiemu przyszłemu mającemu się urodzić p. Dupin.

Mam już w kraju fabryki sukna, cukru, papieru, płócien, ale dotąd maszyny sprowadzają się z Anglii lub Rosji; u nas nic się jeszcze w tym rodzaju nie tworzy. Czekamy na szkołę politechniczną. Gorzelnie jedne bardziej nad inne zakłady, z zastosowaniem do miejsc, udoskonalają się.

Ulepszenia gospodarskie tępo idą na Wołyniu, który zdaje się ich nawet nie potrzebować. Próżno p. Nep. Kurowski wydaje dzieło po dziele – o jedwabnikach, owcach, płodozmianie,

gorzelniach, próżno wydaje „Tygodnik Rolniczy”, próżno uczony Oczapowski rozwija swoje abstrakcyjne teorie gospodarstwa – Wołyń jeszcze gospodaruje po dawnemu. Tępo nawet idzie oczewiście korzystny chów owiec poprawnych; najpiękniejsze w tych stronach są właściciela Sławuty.

W samej Sławucie godne są widzenia fabryki sukna, kołder, flaneli i papieru. Tego ostatniego wyrabiają wiele, ale nie w bardzo dobrym gatunku. Troszczańska fabryka co do gatunku i różnorodności wyrobów jest daleko wyższa.

Pałac książęcy w Sławucie, wielki, ze starego podobno gmachu przerobiony, nie ma nic odznaczającego się. Piękny kościół ś. Doroty za miastem, szkoda, że nie skończony. Sarkofag na jego szczycie i krzyż na nim przypominają, że jest pamiątką żalu i grobem. Nie dość tylko dobrze, zdaje się, ten sarkofag do reszty budowli przypada i ociąża samo jej zakończenie, gdzie najlżej kończyć by się powinna. Kramy w sferoidę na rynku smakownie zaczęte, pięknie Sławutę ozdabia. Oprócz tych budowli i zakładów wspomnieć potrzeba aptekę wyborną i sławną szkołę żydowską. Książęta Sanguszkowie niedawno tu swoją rezydencję przenieśli z Zasławia, miasta, które się im po linii wygasłej książąt zasławskich dostało. W tym ostatnim mieście żył ów słany Nathan Moskowicz Hanowerski, który opisał jako świadek naoczny zaburzenia za Władysława IV w czasie buntów Nalewajki i Pawluka. Ten ciekawy opis drukowany był po hebrajsku w Wenecji 5413 r. i w Dierenforcie 5487 r. Tłumaczony po części przez Abrahama Sterna.⁶³ Zasław postradał w napadzie kozackim 200 ludzi zabitych, mało co w lasy uciekło. Wyprosilili sobie Żydzi zasławscy u barbarzyńców, że ich zebranych w smętarnym domu zamordowali i z domem spalili.

Sławuta miała z dawna sławną drukarnię ksiąg żydowskich dostarczającą ksiąg do nabożeństwa i kalendarzy dla Izraelitów całego Wołynia. Spisu wyszłych tutaj nie mamy dotąd żadnego. Czacki przywodzi tylko jedno *Tania czyli Likatej amerim* przez Zelmana Boruchowicza, a Niemcewicz w *Lejbe i Siore* głucho coś o tej drukarni wspomina. I ta, i inne drukarnie żydowskie wołyńskie w Sudyłkowie i Ostrogu świeżo pokasowane dla nadużyć zostały.

⁶³ [A.Stern, Opis buntów ukraińskich z dzieła Natana Moskowicza...], „Pamiętnik Warszawski 1823 t. VI s.111,213 , dalej.

MIĘDZYRZECZ KORECKI. OŁYKA

Jechaliśmy potem z p. Antonim pod Łuck i Dubno, a że tysiące podróżnych przede mną miało przywilej opisywać drobne zdarzenia swoich podróży i nudzić nimi czytelników, postanowiłem i ja sobie nadać tę samą wolność. Jajecznicą p. Dumas w gospodzie szwajcarskiej warta pewno przygód mojej podróży. Tyle jednak grzeczniejszy jestem od p. Dumas, iż pozwalam (co się i bez pozwolenia robi) przerzucać, czego się nie podoba czytać.

Do Międzyrzecza Koreckiego nic nie widziałem godnego uwagi: las, pole, pole i las. Zmierzchało dobrze, gdyśmy tu przybyli. Z daleka na prawo mijaliśmy rezydencję dawnych panów, otoczoną drzewami: przed nami było miasto niczym się nie odznaczające – prócz kościoła Pijarów, którzy tu dawniej sławne utrzymywali szkoły. Do nich należy kościół parafialny. Rzączyński tyle tylko wspomina to miejsce, iż na okopisku żydowskim widział glinę czerwoną.⁶⁴

Wjechaliśmy do wielkiej karczmy murowanej, z której okien widok się nam otworzył na pałac, rynek błotnisty i najwspanialszy gmach w miasteczku o dwóch obitych słupach i ganku, który się zowie balkonem. Kramy, Żydzi, błoto – oto cały obraz z okna. W środku była jeszcze Żydówka młoda i Żydówka stara. Tej ostatniej starałem się dawać rady skuteczne, aby gorąco upragnionego doczekała się potomstwa.

Niestety! – odpowiedziała mi, że tylu uczonych rabinów nad tą kwestią pracowało bezskutecznie, iż już zupełnie straciła nadzieję.

Zaczęło się chmurzyć. P. Antoni grzał się u kominka czekając na herbatę i jaja – angielski nasz podwieczorek. Ja czytałem napisy na oknach. Wieleż to brudów i głupstw na szybach, wiele konceptów.

– Tu nocowałem, pisze jeden w r. 183... dnia... miesiąca. Zaiste, ważna wiadomość dla potomności!

– Kochana Marynia! Droga Marynia. 182... dnia... miesiąc... Zapewne, żeby za kilka miesięcy policzyć mógł, jak długo była mu drogą i kochaną Marynią.

Dalej cyfry bez końca.

Niżej: – Wiele wody upłynie nim będę tak szczęśliwą... i kropki.

To rozumiem. Ale na cóż zwierzać się swoich uczuć całemu światu i gdzież jeszcze? – W karczmie!

Połowy napisów czytać nie można, cóż dopiero pisać. Najpocieszniesze są te, którym towarzyszy polemika grubiańska. Słyszałem, że jeden właściciel huty na Wołyniu, zastawszy podobne napisy na oknach annopolskiej austerii, dał kilka skrzyń szkła, żeby te głupstwa zniszczyć.

Uwagi nad literaturą szybową przerwał mi pan Antoni.

⁶⁴ Bolus rubra, Rothgemeine Erde [G.Rzączyński, Actuarium historiae naturalis...], s.18

– Co będziemy jedli i w co się przebierzem na miejscu, tego nie wiem – rzekł śmiejąc się.
– Bo kuchnia nasza i tłomoki coś się opóźniają, a nawet szczerze mówiąc, nie wiem, jak przyjdą, bo się pokazuje, że nie wiedzą, w którą stronę pojechaliśmy.

– Jeść to mniejsza – zawołałem – ale ubrać się! To okropne!

Trzeba wiedzieć, żeśmy jechali na imieniny, że ja byłem w strasznej starej kapocie ekshibitowej i stroju tak podróżnym, jak tylko sobie wyobrazić można. Ta wiadomość zatrula mi jaja i herbatę, wzdychaliśmy oba z p. Antonim i ciągle niespokojnie wyglądali na ulicę. A bryki jak nie było, tak nie było. Wyjeżdżając, najęty Wołyniec nie spytał dokąd ma jechać, pojechał przed siebie i w prostocie ducha mógł Bóg wie dokąd zajechać. Nie było go i nie było, a wieczór i noc już.

Staliśmy tak rozmyślając, gdy się w błocie powóz ukazał. P. Antoni poznał w nim ekipaż krewnego swojego.

– Gonić, gonić – krzyknął.

Ludwik Popiel, sławnego owego króla, co to go myszy zjadły, potomek i następca, poleciał bez czapki.

– Stój, stój!

Konie płoszy, zastanawia, wpada do połowy w powóz.

– Pan Dominik?

– Nie.

– Jak to nie?

– A nie.

– Bardzo przepraszam.

– Bardzo dziękuję.

– Upadam do nóg.

Uśmialiśmy się z tej omyłki, chociaż płakać się nam doprawdy chciało, oczekując obłąkanej bryki i tłomoków. Lecz nigdy dobry humor prędzej nie przyjdzie, jak gdy może być niestosownym. Po długich rozmyślaniach, zostawiwszy rozkazy i ludzi, pojechaliśmy nocą dalej.

Żeśmy nocą jechali i nic nie widzieli, nic też wam o tej częście drogi nie powiem. Przejechałem ją, jak Anglik Szwajcarię, drzemiąc i nie patrząc. Pamiętam tylko, że były góry, ciemno bardzo i że mi niezmiernie do serca przypadły dwa słupy białe jakiejś karczmy, którą, niestety, musieliśmy minąć. Spaliśmy tedy aż do przeznaczonych na nocleg Raśnik. W Raśnikach – karczma zajęta. A tu noc, a tu chce się jeść i spać, i odpoczywać – a tłomoków naszych nie ma i nie ma.

Wjechaliśmy jednak i weszli do Żyda. Tu zastaliśmy zapach szabasu świeżuteńki, atomy łoju pływające w powietrzu gęstym i ciepłym, a za stołem jakiegoś jegomościa podróżnego w szarej kapocie.

– Gdzież jest izba podróżna?

– Zajęta.

– Przez kogo?

– Przez p. Sędziego S...

– Ja go trochę znam – rzekł p. Antoni. – A może lepiej panie Józefie, żebyś się tu przebrał po kobiecemu; może przez uszanowanie dla płci pięknej cieplejszej nam izby ustąpi lub przynajmniej nią się podzieli.

– Ale bez tej maskarady musi nas przyjąć – odpowiedziałem – idę śmiało.

I wszedłem ze świecą. Pan Sędzia spał snem sprawiedliwych sędziów, obrócony do ściany, spowinięty kołdrą, koło niego leżał tłomok, stała toaleta i et cetera podróżne. Ani się obudził nawet. My przez grzeczność poszliśmy do drugiej izby ciemnej. Tymczasem nastawiono samowarek na herbatę, a p. Antoni, posłyszawszy szelest w łóżku sędziowskim, odchrząknął i zaczął od:

– Bardzo przepraszam, żeśmy sen przerwali.

– Ej, to nic – odezwał się głos spod kołdry – wiadomo karczma, wolno każdemu (aksjoma podróżne). I tu nastąpiły pytania – Kto? Skąd? Jak? Potem poufalsza rozmowa o drodze, o porze, o koniach i powozach. P. Sędzia, widząc nas śmiałych i determinowanych do podzielenia z nim izby b ą d ż c o b ą d ż, domyślił się dla posmarowania naszych stosunków dać nam śmietanki, potem bułki. Te ofiary przyjęte zostały i nareście pokładliśmy się spać.

Ale nie na tym koniec naszych i sędziowskich trybulacji.

Rano nie było jeszcze naszej bryki ani człowieka, który się został, żeby ją za nami przeprowadzić. Rada ogólna i postanowienie z niej wypadło posłać po nią a samym czekać. Widząc nas w takim kłopotcie, a bojąc się, żebyśmy po śmietance i bułce czego więcej nie zażądali, Sędzia rozumnie wybierać się począł bardzo rano. Służący już wyniosłszy jego tłumok, niósł jeszcze jego szkatułkę.

Wtem właśnie p. Antoni obudził się i biorąc ją za swoją, odezwał się:

– Gdzież to niesiesz?

– Do bryki.

– Po co?

– Po co? To moja – rzekł Sędzia struchlały.

– A to bardzo przepraszam – rzekł p. Antoni.

Tu p. Sędzia, widząc że mu już i do jego szkatułki się przypytują, gorzej jeszcze przełknięty, co najprędzej wybierać się i zaprzęgać kazał. Potem ubrawszy się w płaszcz, pożegnał się i pobiegł do powozu. Już siadał, gdy p. Antoni przypomniał sobie, że pojedzie na Międzyrzecz i przyszło mu na myśl wsadzić do jego powozu Popiela, aby ten poszukał jeszcze w mieście obłąkanej bryki.

– Stój, panie Sędzio! Stój! Stój! – zawołał. – Ale stójże, panie Sędzio!

Sędzia, przestraszony jeszcze gorzej, nie wiedział, co już myśleć i stanął.

– Bądź łaskaw, podwieź mego sługę do Międzyrzecza.

– Bardzo chętnie – odpowiedział p. Sędzia, i co prędzej, bojąc się zapewne nowych pretensji – w konie! – i uciekł galopem

Nas tymczasem smutny los czekał, bez jadła, sukni, trzeba było czekać i czekać w karczmie nie wiedzieć dopóki. Pokładaliśmy się na słomie i sztukowali dobrym humorem naszą biedę. Mieliśmy na pocieszenie daktylę i jakąś powieść Balzaca – oboje dobre na zakąskę, nie zaś na głód i niespokojność; z biedy musieliśmy je spożywać, dokładając ognia na kominek i paląc cygara dopóki nam i one nie wyszły.

Wychodziliśmy ciągle na ganek upatrując bryki – nie było jej. Jak w *Barbe-Bleue* pytał jeden drugiego.

– Panie Antoni, czy widać tam co na drodze?

– Nic, tylko pył leci.

– Panie Józefie, czy nie jadą tam nasi?

– Nie, Żyd tylko jedzie.

– Panie Antoni, co tam widać z ganku?

– Tuman kurzu.

– A to nasi!

– Otóż się zbliżają, zjeżdżają z góry, zakręcając.

– To stado bydła z rosy powraca.

I znowu następowały pytania i zawody.

Mieliśmy aż nadto czasu przypatrzeć się pięknemu dosyć położeniu Raśnik, pałacypkowi za wsią, odnowionemu i otoczonemu murem.

W oddaleniu leży piękne książąt Czetwertyńskich miasteczko Horynhród. Naprzeciw zaś karczmy na górze widać mury i młyn wietrzny w Drohobużu Zawiszów, wokoło łągi

nadhoryńskie, góry i pola. Na chwilę przerwała nam nudy przykrym uczuciem stara żebraczka Niemka, ze łzami w oczach, z ciężarem na plecach: stara, chora. Ona i jej mąż szli pieszko – koń im był zdechł. Ten widok prawdziwego nieszczęścia i nędzy nie dozwolił nam uskarżać się na zbłąkanie bryki, nudy nasze i głód, a nawet na to, żeśmy mogli imieniny w karczmie przesiedzieć.

Nareście i król Popiel, i bryka, i suknie, i jadło przybyły niespodzianie z wielką naszą radością. J. K. Mość spotkał chłopą na drodze, wysiadł z pojazdu p. Sędziego, ale jakby na dobitkę polecił jeszcze jemu, aby przejeżdżając przez Międzyrzecz, poszukał tam zostawionego człowieka i wysłał go do Raśnik. Czego pan Sędzia, muszę mu oddać sprawiedliwość, dopełnił święcie.

Jadąc już dalej oglądałem się na pałacyk raśnicki i na prześliczny widok, który się nam zza gór na horynhrodzki kościół i miasteczko odkrywał. Drzewa i mury bielejące z nich w dolinie, pagórki zarosłe wkoło czyniły ten pejzaż zachwycającym. Kraj, który do Równego przebywaliśmy, bardzo piękny, górzysty, zasiany dębowymi gajami, ale ludność w proporcją ziemi zdaje się być mała. Równe, śliczne miasteczko, kilka ma domków schludnych, dość piękny pałac nad wodą, który się dobrze od strony miasta wydaje, i arcypoważną cukiernię z bilardem, z łożowymi świecami, ze szkaradnymi obrazami na ścianach, z gitarą ad usum publicum. Dźwięku jej nasłuchaliśmy się, gdyż brzęczała w drugiej izbie przystępnej poufałym gościom – z dzieckiem razem, które pieścili politycznie na kredyt żywiący się w cukierni. Kilku tych ichmościów ustąpiło nam po chwili, spojrzawszy poważnie na intruzów, a my po czekoladzie rowieńskiej dążyliśmy na nocleg do Radochówki, do której już nocą przybyliśmy.

W Karczmie dosyć brudnej i woniejącej jak zwyczajnie, bo karczmy jak kwiaty (przepraszam za porównanie) mają swój wrodzony i wyłączny zapach – prócz chłopów i Żydów była jeszcze figura godna uwagi. Żydziuk młody, morejne, który pił herbatę, nalewaną mu z garnka przez gospodynię, a do niej lizał cukru kawałek, trzymając go w ręku.

Żaden pędzel nie wyda miny jego dumnej, zarozumiałej, głupiej i próżnej razem, ułożenia malowniczego szlafmicy, gracji pięciu rozstawionych palców, skrzywienia ust, założenia nóg judaiczno-arystokratycznego, a wszystko było wyrachowane, żeby zadziwić i wzbudzić uszanowanie.

Skończył herbatę i nie dolizawszy kawałka cukru, zostawił go bachurom na stole, okazując przez to, że nie był skąpy jak Żyd. Tę ofiarę zrobił dla nas, inaczej byłby go zjadł lub do kieszeni schował, lecz czegoż to się dla popisu nie uczyni!

Pozbywszy się morejny, wypędziwszy chłopów ukladaliśmy się spać, a p. Antoni już nawet dobrze chrapał, gdy tymczasem gotował się straszny spisek na naszą spokojność. Szczury i myszy z okolic uwiadomione o przybyciu jednego z praprawnuków króla Popiela, osobiści rodu jego nieprzyjaciele, licznie rozesławszy wici, gromadzić się zaczęły. Ledwieśmy się pokładli, przyszli napaść na niego – porwałem się, widząc ich wojska rozsypane już po karczmie, obudziłem p. Antoniego, ale nie śmiałem wołać Popiela, aby go na oczewiste niebezpieczeństwo nie narażać. Umyśliliśmy świecę zapalić, ale szczury jakby przeczuwając, iż ten sposób obrony od nas użyty być może, zjadły ją do ostatniego ogarka. Radzi więc nieradzi, rzuciliśmy pościel i poszli spać do karety, gdzie skurczeni, przetrzęśliśmy się całą noc na zimnie.

Książę Popiel tymczasem, śmiały a raczej zuchwały, wbrew szczurom i myszom poszedł do izby i tak ich swoją odwagą zastraszył, że się go tknąć nie śmiały, cybuk tylko z fajką przez zemstę mu odkradłszy. Wstrzymuję się od wniosków, jakie bym z tego wypadku mógł wyciągnąć, zostawując je samemu czytelnikowi.

Chmurnym rankiem dojeżdżaliśmy do Ołyki, dawnego miasteczka z zamkiem obronnym, niegdyś Kiszków, potem Radziwiłłów. Przez strome góry spuszczaaliśmy się nad błoto i staw z tej strony obejmujące Ołykę. W oddaleniu poleskie już lasy czerniały.

Ołyka, prócz zamku, nie jest piękna, ale ma dość wiele dawnych budowli i pamiątek. Zamek sam w roku jeszcze 1564, jak świadczy kamień z napisem, założony, obwiedziony mурowaną fosą, do której woda ze stawu i rzeki wpływa, zabudowany jest w kwadrat z bramami i wieżami. Po rogach sterczą jeszcze bastiony okrągłe i kwadratowe, na dachach orły Radziwiłłów. Rzadko widzieć tak cało dochowany zamek obronny, któremu brak tylko dział w strzelnicach, zwodzonych mostów i więcej ludzi, bo w brukowanych dziedzińcach zamkowych, po których echo się rozchodzi, znać, że życie opuściło już dawno tę starożytną budowę. Oprócz zamku są jeszcze dawne ślady warowni w wałach otaczających miasto i kilku bramach na nich, z rzeźbami i strzelnicami; godny uwagi stary, rozwalony ratusz z wieżą i kościół kolegialny. Ten sławny z marmurów kosztownych pomnik najwięcej dziś jeszcze miasto zdobi i odznacza, chociaż jako dzieło sztuki wcale nie jest piękny. Fronton jego najniesmakowniejszy, ma czarne rzeźby i kapitele kolumn marmurowe, i posągi podobne, które wandalska ręka świeżych restauratorów kolorowo pomalowała. Słyszał kto o podobnym barbarzyństwie? We środku są dość piękne marmurowe ołtarze, ale rzeźby ich gorsze od marmuru; nowsze zaś poprawy i odświeżenia popsuły kościół niezmiernie. Modliłem się do Boga, żeby tym restauratorom przebaczył zeszpecenie swojego kościoła, bo nie wiedzieli, co czynili.

Architektem kościoła tego był niejaki Włoch, Jan Maliverna, rzeźby dokonał Melchior Ampeli, inni Niemcy i swojacy resztą fabryki zawiadowali, lecz ich dzieło od czasu skończenia fabryki w r. 1640 uległo ogromnej odmianie na złe.

U wchodu do grobów jest obraz wystawujący księcia Stanisława Radziwiłła fundatora w paradnym ubiorze na katafalku śmiertelnym.

Starowolski cytuje nagrobki tego kościoła, jako: Marii Miszczanki, córki kasztelana wołyńskiego, Mikołaja Krzysztofa Radziwiłła z r. 1614. Stanisława, młodego dziecięcia, toż Jerzego i Reginy Eisenreich⁶⁵.

⁶⁵ Oto są napisy ze Starowolskiego grobowe i inne kościelne:

Marianna Miszczanka
Castellani Vołyniae
filia
inter filios et mater et Comes,
in hac quiescit urna.
Mors ad tumulum praevidit fecit
Virtus
Ad exemplum pietatis censuerat.
Tali censu gaude
Qui aeternitatis pennam demeritis.
Non erubescit
Olim ducali maiestate gravis
His urnae angustiis teneri.
Quam genus orbi, virtus coelo ampliorem genus
Senserat se has subituras angustias.
Amplitudinem lege.
Hanc enim talis cogitatio extendit.
Fortunae succumbere nescia.
Lauream morti concessit, ut vitam ingrederetur auream.
Hujus auditum
Hospes apprecare

Marianna Miszczanka, córka kasztelana wołyńskiego. Wraz z dziećmi i matka, i kasztelan spoczywają w tym grobowcu. Śmierć wskazała jej drogę do grobu, cnota uczyniła ją przykładem pobożności. Szczęśliwy, kto takim świadectwem zyskał nieśmiertelność. Niegdyś i dla księcia nie był ten grobowiec zbyt skromny. I ona, którą ród dla świata, a cnota dla nieba przeznaczyły do wspanialszego losu, musiała poprzestać na tej ciasnej przestrzeni.

Tę jednak za rozległą należy uważać, a sprawia to myśl taka: nieugięta wobec kaprysów fortuny, śmierci ustąpiła, by rozpocząć inne, wspanialsze życie. O nie proś przechodniu.

Nicholaus Christophorus
Radziwiłł
Humanitate, comitate, excelso animo.
Suae gentis gloriam promovens
Disciplinam mortis ingressus
Curiosori aetati caetera reliquit,
A qua spei suae in hoc domicilio
Monumenta expectat.
Non sua cum indoles
(quae aeternitatis cursum excepit)
hoc inclusit ergastulo,
Sed quae nascenti indidit fortunae
Fatalis necessitas
Hac interminavit mole.
Vixisset
Sua luce daret lucem
Scriptoribus,
Quos genitos gauderet factis
Suis.
Ne quaeraris praeclusum stadium
Tali mortalia volvuntur urna?
Vivendo morimur.
Parum ille sarmatico orbi,
Multum gloriae at conceptae spei
Vixit cum XXVI annos
MDCXIV anno reparatae
Salutis continuasset,
Ut te vovente quiesceret.

Mikołaj Krzysztof Radziwiłł, szlachetnych obyczajów, wielkiej dobroci, wybitnego umysłu, przyczynił chwały swemu rodowi. Poznał czym jest śmierć, resztę pozostawił uczeńszemu wiekowi, od którego w tej siedzibie oczekuje wystawienia pomnika swych nadziei. Nie dlatego, by jego talent (który wstąpił na drogę wieczności) zamknięty był w tym więzieniu, lecz dlatego, że nieunikniony los, który pozazdrościł rodzącemu się szczęściu, przycisnął go tym ciężarem. Gdyby żył dłużej, użyczyłby swej sławy pisarzom, którzy chwyciliby za pióro, by opisywać jego czyny. Czy nie żalci, że życie przerwane, że w takiej urnie losy ludzkie się ważą? Żyjąc umieramy. Krótko żył on dla kraju Sarmatów, dość dla sławy i powziętych nadziei, kiedy w roku odkupienia 1614 zakończył dwudziesty szósty rok życia, by spocząć w spokoju, którego mu życzysz.

Ex cunis
Ad feralem urnam
Stanislaus Radziwiłł
Deportatus.
Blandus puer
Ducales recreat sinus,
Lascivit et mors suis laciniis,
Ut inscium pelliceret,
Persuasit Tropo Energiae,
Cum mortalitatem loqueretur,
Sed cumulato dolore
Excessit modum.
Vel tempus expectadum
Impatiens.
Vix trimestre sustinuit
Ne mireris.
Eadem legitur omnibus mortalitas,
Quam etiam infantes intelligunt.

Et blaesis vocibus
Profitentur.

Stanisław Radziwiłł, wprost z kolyski przeniesiony do smiertelnej urny.
Wdzięczny chłopiec napełniał pociechą serce książęce. Śmierć skusiła go swymi szatami. Posłużyła się sztuką
wymowy, aby zwabić nieświadomego, gdy mówiła o odejściu do świata. Lecz w zadawaniu bólu przekroczyła
miarę. Trzeba było zachować cierpliwość i czekać, co przyniesie czas bezlitosny. Dożył zaledwie trzech
miesięcy. Nie dziw się. Wszystkim ta sama śmierć jest pisana, która spotyka i niemowlęta witające ją
dziecięcym kwileniem.

Infantem
Colligis ex situ
Georgius est Radziwiłł
Cave quaeraris
Immanem mortis manum
Quid se tam tenero induit spolio
Imbelles et fortes
Pari subruit impetu
Ne hi illis insultent, illi his illudant.
Ad ornandum sepulchrum
Parvas accersivit urnas,
Quae magnis insertae
Blande oculos tenerent.
Regium, etiam cum pueris trochos voluere:
Ne seria crudam imprimant austeritatem.
Ludere par impar
Pridem mors dicit

Z położenia poznasz, że to grob dziecka. To Jerzy Radziwiłł. Nie pytaj śmierci złowrogiej, czemu czycha na łup
tak skromny. Tchórzliwych i dzielnych na równi ona porywa, aby nie drwili jedni z drugich. Dla ozdobienia
mogiły małego wymagał nagrobka, aby stojąc wśród wielkich tym bardziej oczy przyciągał. Chciano aby
przedstawiony był wspaniale, nawet, by wokół niego byli chłopcy bawiący się w krążki, aby surowy nagrobek
zbyt smutnego nie czynił wrażenia. Śmierć już dawniej umiała grać w „para – nie para”.

Magnos Reginae ab Eisenreich manes,
Urna, quam spectas, ambit
Clemens audiit,
Ut omnium suae vitae testium teneat
Lachrymas.
Non quod non debeant ipsi dari,
Sed quia superstes non expressit, mortua non exigit,
Crudeles corde, manu tale vectigal deposcunt.
Vixit liberalis,
Quam etiam mors in solvendo debito
Liberalem experta
Ut libero exiret quaestu.
Liberalitati insudavit,
ingressa hoc claustrum,
ut quam viva cogitavit mortalitatem
mortua custodiret,
inducias vitae non petiit,
cum longiore dignissima esset aevo,
ne si eam invita deponeret,
aeternitati non nasceretur.
Sed cum religionem in Deum
Clementiam in subditos
Beneficia in singulos,
Amorem in omnes coleret.
Satis vixit virtuti,

Prócz tego wspomina podpisy trzydziestu czterech portretów galerii rodzinnej zamku ołyckiego, kobiecych i męskich, poczynawszy od Mikołaja I Radziwiłła, ochrzczonego we trzynastym roku życia, aż do Katarzyny Tęczyńskiej Radziwiłłowej.

Infułatem terazniejszym jest znany z prac uczonych, ks. Alojzy Osiński, były rektor akademii teologicznej w Wilnie, biskup sufragan łucki. W kościele prócz innych zastanowienia godnych rzeczy są dwie osobliwe: koty bogate i nos zakrystiana. Koty te, których poważna rodzina żyje grobowymi i kościelnymi szczurami, mają, jak mi mówiono, fundusz uczyniony przez założyciela i są płatne za to, aby wyjadały myszy i szczury, którym by ochota przyszła dobierać się do grobowców książęcych. Jest to, ile wiem, najznamienitsza rodzina kocia w całym kraju, a przynajmniej najbogatsza. Jak tylko też wakuje ten plac, musi być kandydatów bez miary. Nos zaś zakrystiana, porządku gotyckiego, z blankami i treflami en relief, godzien jest rysunku i opisu, a może i zachowania w spirytusie. Bo jeśli zakupiono krtań pani Catalani, czemuż by nie miano zapłacić za ten nos, zbrojny taką siłą reprodukcyjną, tak ozdobny, tak olbrzymi; zakrystian zbyłby go pewnie, zostawując sobie tylko dożywotnie jego użycie, przynajmniej o połowę taniej. Prócz tego połowę przynajmniej ma oczywiście na sprzedaż, bo za nadto.

Ołyka przed Stanisławem Ks. Radziwiłłem była gniazdem ewangelików, którym jego przodkowie opiekę dawali, on dopoiero wyniósł stąd ich zbór. Mąż ten sławny z umiejętności języków łacińskiego, włoskiego, francuskiego, niemieckiego, hiszpańskiego, greckiego, słowiańskich, tureckiego i arabskiego, marszałek W. Ks. L., zabierając się do fundacji kościoła kolegijskiego stąd ich rugował. Jego to staraniem wzniosła się i upiękniała Ołyka, zamek zbudował, kościół także i założył akademią.⁶⁶ Tym szumnym tytułem akademii nieskopo wówczas szafowano, była akademia w Ostrogu, była w Białej na Podlasiu, którą zwano córką krakowskiej, ołycka miała przy sobie seminarium, była to prosta szkoła o kilku tylko profesorach. Lecz tu chodziło o imię więcej pono, niż o rzecz.

Przebieżym krótko dzieje rodziny Radziwiłłów, o tyle, o ile się one ze wspomnieniami miasta wiążą; dziś mnóstwo szczegółów tego rodzaju tak dalece zapomniano, iż wcale nową rzeczą wyda się to przypomnienie.

Radziwiłłowie pisali się naprzód książętami na Goniądzu i Medeli, a tytuł nadał im Maksymilian cesarz z odmianą ich herbu w roku 1518. Ten tytuł, na trzech synach ozdobionych nim, zeszyłych bezpotomnie, ustał.⁶⁷

Votis non satis.

Grób, który widzisz, zawiera wielkie cienie Reginy z Eisenreich. Łaskawa zgodziła się na to, by powstrzymać łzy wszystkich, którzy byli świadkami jej życia. Nie dlatego, że na łzy nie zasługiwała, lecz dlatego, że za życia nie była przyczyną cudzych łez i teraz łez nie wymaga: tylko ludzie o okrutnych sercach zadają takiej daniny.

Była hojna i śmierć wykorzystała to dla odebrania swojego długu, czerpiąc swój niegodziwy zysk. Starła się być hojna wchodząc w to zamknięcie, aby po śmierci strzec tego z rzeczy przemijających, o co dbała za życia. Dłużej nie chciała zwlekać, choć była godna tego, by żyć o wiele dłużej. Gdyby, choć wbrew woli, nie odeszła ze świata, nie narodziłaby się do wiecznego życia. Ponieważ była pobożna, łagodna wobec poddanych, wuświadczała dobrodziejstwa wybranym, a miłowała wszystkich, żyła dość długo, by stać się przykładem cnoty, lecz nie tak długo, jak jej życzone.

⁶⁶ Sz. Starowolski [Polonia]. Dan[tisci] 1652 s.141; „Dux quoque Stanislaus Radivillus Cancellarius Lithuaniae Supremus, in eadem Satrapia civitatem stam Olikam arce munitissima atque elegantissima Ecclesia Collegiata supellectili..... celeberrima et Academia bonarum Artium illustrem nostra aetate almodum reddidit. Erecto ibidem Praeposito Infulato et Monte pietatis”.

Także książę Stanisław Radziwiłł, kanclerz wielki litewski, w tym samym województwie, w swoim mieście Ołyce ufundował zamek o pętnych obwarowaniach i kolegiatę nadzwyczaj pięknej budowy, bogato wyposażoną w złote sprzęty, a także bardzo sławną w naszych czasach akademię pięknych nauk. Wzniósł tam także prepozyturę infułacką i banmk pobożny”.

⁶⁷ K.Niesiecki [Kotrona polska...] t.III s 184

Jerzy, kasztelan wileński, pierwszy pisał się na Birzach i Dubinkach, które to Dubinki, wedle Długosza, Witold w r. 1415 założył. Na Ołyce zaś i Nieświeżu, jak widać z genealogii,⁶⁸ pierwszy pisać się miał Jan, krajczy lit. w r. 1544. Tego syn, Mikołaj, stryjeczno-rodzony brat królowej Barbary, wysłany na sejm Rzeszy niemieckiej, otrzymał od Karola V przesłanie tytułu książęcego po wygasłej familii na Goniądzu i Medeli na siebie i dwóch braci.

Mikołaj Czarny zamek w roku 1564 założył.⁶⁹ Syn jego, Stanisław, pochowany w Ołyce r. 1599. Ten bibliotekę ojcowską spalił, wygnał, jakżeśmy mówili, protestanckich ministrów, a w przywileju Kościołowi nadanym położył, że jeśliby kiedy następcy odpadli od wiary, mają też tracić jus patronatus Kościoła.⁷⁰

Mikołaj Krzysztof, Sierotką zwany, pisał się także na Ołyce i Nieświeżu, urodzony w r. 1549, był synem Mikołaja Czarnego, wojewody wileńskiego. Jego przezwisko Sierotki powstało, jak piszą, stąd, że na jakimś weselu u dworu Zygmunta Augusta samo jedno to dziecko zastawszy gdzieś porzucone w odległej komnacie, król wyrzekł nad nim z żalem.

– Sierotka!

Urodzony w wierze katolickiej, potem protestant, nareście znowu w r. 1568 do wiary przodków powrócił. Z powodu rany w głowę zadanej mu pod Pskowem ofiarował się odbyć pielgrzymstwo do grobu Zbawiciela. Wybrał się na nie w r. 1582 z ks. Leonardem Pacyfikiem, jezuitą, sam ze 129 tylko ludźmi. Wrócił z niego szczęśliwie, jak świadczy wydany przez niego opis podróży. Kij jego pielgrzymi złożony przy nim w grobie, a później mu odjęty widziałem, lecz że mnóstwo takich lasek pokazują wszędzie, trudno w autentyczność wierzyć. Sierotka założył w Ołyce fundusz dla wyposażenia ubogich sierot. Grób jego w kościele nieświeżskim przy nogach posągu P. Jezusa z tym napisem z *Genezy* (23.C.V.4):

„Advena ego sum et peregrinus sicut omnes patres mei.”

„Przychodzień jestem i pielgrzym, jako wszyscy przodkowie moi.”

W roku 1589 uczynioną na dobrach ołyckich ordynacją aprobowaną uchwałą sejmowa.

W roku 1591 Kozacy oblegli Ołykę.⁷¹ Nie wiadomo czy z tego to czasu, czy z innego, zapewne od bitwy z Tatarami, których ogólnie zwano Turkami, i mieszano z nimi, zostało imię trzech wzgórków pod Ołyką, zowiących się do dziś dnia w ustach ludu Turczynki. Są to trzy łyse pagórki.

Albert Stanisław, z tejże linii, kanclerz litewski, fundował przy ołyckim kościele nabożeństwo⁷² do sakramentu ś. co czwartek, z publiczną procesją. Po tym nabożeństwie szli ubodzy długim rzędem do zamku, gdzie ich sadzano przy kilku stołach, potrawy roznoszono i hojnie jałmużną obsypawszy, odprawiano. Czasem za życia samego księcia, który im sam usługiwał, po dwieście ich bywało na tych chrześcijańskich ucztach. Tenże ozdobił kościół ołycki ołtarzami z marmurów, obrazy kosztownymi, srebrnym i złotym naczyniem, nadał proboszcza i infułą, i ciało ś. Argentyna, żołnierza i męczennika, sprowadził tu w r. 1627. Opisuje nasz Niesiecki jedno zdarzenie księcia, które, że nosi cechy swego wieku, nie podobna opuścić.

Chorągiew ks. Albrychta wysłana była na wyprawę i całkiem w boju wycięta. Nic o tym jeszcze książę kanclerz nie wiedział, gdy raz z wieczora, modląc się u kominka, ujrzał przed

⁶⁸ Idem, t.III s.822.

⁶⁹ Idem, t.III s.824.

⁷⁰ Idem, t.III s.825.

⁷¹ Cellarius, [Regni poloniae Mognique Ducatus Lithuaniae omniumque regionum juri Poloniae subjectorum...descriptio. Amsterdam 1659].

⁷² K.Niesiecki, [Korona polska...],tIII s.827

sobą jednego z towarzyszków chorągwi, który stał przed nim w milczeniu, nie śmiejąc przeszkodzić modlitwom i po cichu tylko drewka na kominek przykładał.

– Co ty tu robisz? – zapytał go kanclerz ujrawszy.

– Przyszedłem ci oznajmić, żeśmy wszyscy na placu polegli. Szczęściem żaden z nas do piekła nie poszedł, lecz wielu w czyściu pokutuje. Byłeś tylko chciał, możesz nam pomóc. Każ się za nas modlić. Aleby zaś modły nie szły na próżno, dam ci znak, książę. W staw zamkowy każ kilka razy sieć zarzucić: póki ta grzęznąć będzie, i my jeszcze grzęznąć będziemy; gdy wolno wyjdzie, już i my wolni wyjdziemy. Dodaje Naramowski, zbieracz gorliwy podobnych anegdot, że za trzecim zarzuceniem sieć lekka wyszła.⁷³

Kościół ołycki założony był, jak dziś jest (świadczą napisy przytoczone w nocie), przez tegoż ks. Alberta Radziwiłła z żonami Reginą Eisenreich i Lubomirską, za Władysława IV w r. 1635, w pięć lat potem z marmurami skończony i poświęcony przez biskupa łuckiego, Andrzeja Gembickiego, w r. 1640, d. 26 sierpnia przy wielkim napływie duchowieństwa i szlachty. Nadano naówczas dla proboszcza dwie wsi Ciemierzyn i Chromiaków. Kapitułę zaś i wikariuszom Derę, Stawek, Hosowicę, Oderady, Tynne i Czelibę. Mówiliśmy już wyżej o architektach, tu tylko dodamy, że i Polaków, krajowców kilku architektami było, a raczej budowniczymi kościoła, pod Reiholdem Beffką, Melchiorem Ampeli i Janem Maliverną, jako Jan Baczkowicz, Stanisław Markowicz, Albert Sadowski i Grzeszowicz.

Jarmarki w Ołyce, mianowicie na Koźmy i Damiana, dość licznych kupców i kupujących gromadzą. To mi przypomina owo przysłowie poleskie o jarmarkach, które opiewa, że: O ł y k a n a ł y k a. W istocie bowiem Poleszycy je tu zwożą dla Wołyniaków, którzy często po nie jedynie na jarmark jadą.

Jaka była reputacja i bogactw ołyckiej kolegiaty, i jarmarków, okaże następna anegdota z historii z Rzeczypospolitej Babińskiej.

W r. 1661 d. 22 lipca – pisze protokół zgromadzeń – p. Bogusław ze Zbąszyna Zbąski, zostawszy synem babińskim, powiedział, że słyszał od pana Kłaczewskiego, przytomnego świadka zaręczającego za prawdę, że widział w kościele ołyckim tak wiele srebra i złota, że od roboty jego dano złotnikowi 30 000 czerw, złotych, za co pana Zbąskiego referendarzem Rzeczypospolitej, a Kłaczewskiego złotnikiem uczyniono, aby się postarali o tyleż złota do kaplicy Pszonki w Babinie. Tenże p. Kłaczewski dostał tytuł ekonoma za to, iż zaręczał jako widział na jarmarku w Ołyce tak wielki zjazd kupców, że samych mał wielkich było 18 000.⁷⁴

Liczne są ilustracje domu Radziwiłłów, ich związki, ich potęgę i bogactwa czyniły długo najznamienitszą rodziną nie tylko w Litwie, lecz w Koronie, gdzie także posiadłości i znaczenie niepospolite mieli. Wielu sławnych ludzi wydała ta rodzina, do nich policzyć potrzeba kardynała.⁷⁵

W XVIII⁷⁶ w. liczono pięćdziesiąt sześć familii polskich połączonych z Radziwiłłami przez małżeństwa, to jest weszłych do domu, a wyszłych księżniczek trzydzieści siedem. Koligacje zaś przez Teresą Kunegundę Sobieską z domem bawarskim, przez Klementynę Sobieską ze Stuartami, przez Leszczyńską z Bourbonami hiszpańskimi, francuskimi i sycylijskimi, przez Elżbietę, księżniczkę Jana Radziwiłła żonę, z domem brandeburskim, a także przez księżnę Karolinę Bogusławową, koniuszego W. Ks. L. żonę, przez tychże z książętami Palatynami Renu i książętami Bipontu, przez Sobieską z książętami de Bouillon, de Luxembourg, de Rohan, de Soubise, margrabiami de Bethune, we Włoszech z rodziną książąt Strozich, w Saksonii z książętami Anhalt Dessau.

⁷³ A.Naramowski, *Facies [rerum sarmaticum]*. Wilno 1724 t.II s.321.

⁷⁴ M[anuscriptus] protokołu R[eczypospolitej] babińskiej ap. Szaniawski. „Rocznik Tow. P.N”.,t.XII s.156.

⁷⁵ Jego portret znajdziesz w *Imagines regum Polonorum* w Kolonii u hogenberga wydanym przez Alberta Muliusa r. 1594 na początku książki

⁷⁶ Ks. Giedroń w Białej na kazaniu pogrzebowym ks[iężnej] Anny z Sanguszków Radziwiłł. W.kanc.lit.

Do roku 1747 piętnastu hetmanów liczyła ta familia, to jest siedmiu polnych, ośmiu wielkich, wojewodów wileńskich dziesięciu, trockich pięciu, nowogródzkich pięciu, brzeskiego jednego, kijewskiego jednego, kasztelanów wileńskich siedmiu, trockich pięciu, starostów żmudzkich czterech, marszałków wielkich pięciu, nadwornych pięciu, kanclerzy wielkich ośmiu, podkanclerzy pięciu, biskupów trzech, kardynała jednego, który, jak piszą, mógłby być nawet zostać papieżem, gdyby mu król był dopomógł.

Solikowski Duninom i Radziwiłłom przyznaje zakład więcej niż 300 kościołów w Polsce i Litwie, a daleko większą liczbę fundacji naliczyć można, do których się częściowo przykładali.

Jednym słowem – wszystko, co świat dać może, było w ich ręku, a jeśli znalazły się plamy na kartach ich historii, gdzież, pytam, ich nie ma? Nie znam żadnego Radziwiłła, nie mam w tym najmniejszego interesu, lecz jako prawdę wyznać muszę, iż mało jest rodzin, które by się różnymi czasy tyle krajów zasłużyły. Dzieje ich domu byłyby bardzo zajmującą księgą, która by niemal wszystkich wielkich wypadków historycznych kraju dotyczyć musiała, tak dalece łączy się ta rodzina ze wszystkim, co się działo na ziemi przez nią zamieszkaną. Archiwa radziwiłłowskie dostarczyłyby, jak sądzę, nie tylko do dziejów domu, lecz i do historii kraju bardzo ważnych materiałów.

ŁUCK. HISTORIA TEGO MIASTA. WITOLD.

Ciekawy dawnej Witoldowej siedziby, jechałem do Łucka obejrzeć stary zamek jego i podumać o tym bohaterze. Pan Antoni W..., mój towarzysz podróży, wszystkim, co go słuchać chcieli, rozповідаł po drodze, że jedziemy z wizytą do Witolda. Po dwugodzinnej podróży ukazało się nam miasto z lewej strony drogi pocztowej, którąśmy jechali, miasto leżące w dolinie nad Styrowymi łęgi, i góra nosząca jeszcze na sobie zamczysko. Z daleka wspaniale się nam przedstawiła katedra i wieże kilku innych kościołów i cerkwi, lecz oczy moje z nienasyconą ciekawością obrócone były na mury półkuliste zamku z wieżą, które ciemniały z dala na górze: zamku Witolda!

Przez przedmieście Wulkę wjechaliśmy do miasta około klasztoru oo. Bernardynów, w którym mieszka JW biskup łucki. Stary ów Łuck historyczny już był przede mną, lecz o jakże nędzny! Mizerne domki drewniane, okopcone karczmy żydowskie, chatki pochylone, nowe budowy bez wiary w przyszłość, jakby na jeden dzień tylko poklecone, stare, walące się i popodpierane, wśród nich ogorzałe słupy popalonych domostw, ulica pomostem dziurawym wysłana zamiast bruku – oto cośmy naprzód ujrzeli; a potem niewiele co lepszego. Żydzi tłumem wpadający na każdego przyjeźdnego już nas oczyma pożerali i krzycząc zabiegali nam drogę, zawracali każdy do siebie. Nie znam na świecie uprzykrzeńszych Żydów nad łuckich, oblegają oni, wrzeszczą, napadają, gwałtem każą kupować, jak gdyby już na jutro kawałka chleba nie mieli.

Dwadzieścia trzy indywidua brodate wpadło za nami do izby gościnnej, gdyśmy tylko wysiedli, zachwalając, podnosząc wszelkiego rodzaju towary. Na końcu przyszedł nawet księgarz z całym skarbem druków Manesa, Zymela, berdyczewskich i mińskich drukarni, rozkładając wszystko dobrotliwie na stoliku. Niestety, w jego w brudnym ręku znalazłem i moje młodzieńcze bazgraniny, a mimo popularności, jaką mi to zdawało się zapowiadać, trochę się tym zmartwił: nie dziw, znajdowałem się między kucharzem Szyttlera a kalendarzami Zymela! Trudno było sobie powińszować podobnego towarzystwa, gdy się przywykło w lepszym bywać.

Poszliśmy pod zamek; był on mocny niegdyś i wytrwał niejedno uparte oblężenie. Dokoła oblany wodą Styru i Głuszcza, stoi na górze wysokiej, którą woda podmywa, a na wiosnę rozlewając, otacza go szerokimi wylewy i niedostępnymi czyni. Widok z góry zamkowej cudny. Zastanowił mnie dobrze dochowany mur okolny, kilka stojących jeszcze baszt, wieża, wszystko to nie pożyte zębem czasu, choć się nikt o zachowanie pamiątki tej nie stara. Oglądałem ciekawie kunsztownie wyrobione framugi, strzelnice, blanki, jeszcze całe – wzywały one ołówka, napierały się rysunku, ale tak było zimno, tak zimno, że zapal artystyczny musiał zwierzęcemu uczuciu chłodu ustąpić – na ten raz. Z charakteru budowy wynoszę, że teraźniejszy, jak go widzimy, – zamek, nie jest starszy nad wiek XVI, ale w tym czasie musiał być tylko ze starych murów przerobiony, poprawiony. Ogromna jeszcze masa

cegieł stoi i zdaje się obiecywać, że trwać będzie bardzo długo, jeśli jej wola człowieka gwałtownego końca nie zada.

Jedna z wież zamku służyła ostatnimi czasy za wieżę sądową, w której wysiadywano fundum. W środku murów mieszczą się teraz w przybudowanych domach niektóre jurysdykcje. Widziałem wiele zamczysk, ale żaden nie zdał mi się tak poważny, tak piękny, tak wiele przemawiający, jak ten – może to imię Witolda uroku mu dodaje. Zdało mi się, patrząc w dziedzińce, że widział jeszcze cesarza Zygmunta poglądającego złośliwie na Zbigniewa z Oleśnicy, a Witolda, dającego rozkazy wiernemu Małdrzykowi z Kobiela lub uzbrojonemu w kałamrzą i zwitek pergaminu Cebulce. Zdało mi się, że widział Jagiełłę, otoczonego pany polskimi, zamyślonego, niepewnego co począć, dziś grzecznie rozmawiającego z cesarzem Zygmuntem, nazajutrz umykającego z Łucka bez pożegnania, bo tak chciał Oleśnicki, zdało mi się – o! wiele mi się rzeczy zdawało, póki i tu natrętny Żyd z przenośnym kramikiem, targając mnie za suknię, ze snu nie przebudził.

Cóż to za wyższość człowieka nad otaczającymi go zwierzęty, on ma przeszłość! Gdyby to jedno tylko miał więcej nad nich, już by miał za co dziękować Stwórcy, a jednak jakże to mało kto ocenia! Wróćmy do zamku.

Wszystkie znane mi gruzы zamków litewskich w Nowogróku, w Trokach na jeziorze, w Lidzie aleksandrowski zachowały ledwie szczęty murów, ledwie ślady dawnej swojej postaci. W Lidzie nic prócz okólnego muru, jednego bastionu i rysów zatartych dawnych ozdób na gzymsach. W Trokach zastanawiają tylko wypłowiałe resztki malowideł, które podobno zdejmował p. Smokowski, doktor medycyny. Wołyńskie zamki są dotąd najcalsze, bo najdłużej były potrzebne. Ostrogski, dubiński, czartoryjski, łucki, ołycki, w Koniuchach itd., świadczą i liczbą swoją i zachowaniem, jak ten kraj długo opierał się najazdom i wojny długie przecierpiał. Łucki i ołycki dotąd najlepsze mogą dać wyobrażenie dawnego obronnego zamczyska. Widok łuckiego z mostu niedaleko kościoła Bazylianów jest najpiękniejszy; z tej samej strony rysował go w swej *Podróży do Turcji* Rzączyński.

Próżno szukałem na murach owych ichtiolitów z wyciskiem rybek i robaczków wodnych, o których nasz Rzączyński, a za nim Duńczewski wspomina.⁷⁷

Dzisiejszy Łuck ledwie jest resztką i pamiątką dawnego – życie go opuściło. Tyle wojen, oblężeń, najazdów, tylu sławnych ludzi przeszło tędy, a prócz zamku nic już o tym nie świadczy. Mieszkańcy jego żyją, jak owi Grecy, którzy w ruinach świątyń pobudowali sobie budy i szalasze, nie wiedząc nic o popiołach, na których usiedli. Powieść tylko o sławnym zjeździe 1429 roku błądzi jeszcze w ustach ludu. Utrzymują także, iż dawna obszerność Łucka była bardzo wielka i obejmowała w sobie dziś oddalone wioski, jako Kniahininek, gdzie kanał dotąd nosi imię Witolda, Żydyczyn, Dworzec, Kiwirce, Zaborol itd. Na polach dotąd wyorywa wieśniak resztki murów i sieje na nich, i nie rozumie tej cegły, która się do niego głosem kilkuset lat odzywa! W Kiwiercach, wsi bliskiej Łucka, a należącej do pp. Szemiotów, śladu nie dopytałem tych bogactw kopalnych i rozmaitości, o jakich pisał Rzączyński,⁷⁸ który zapewnia, że wydobywana tu ziemia, rzucona na węgle, miała zapach bursztynu, że kopano tu glinę garncarską⁷⁹ poprzerzynaną żyłami zapaszystej ziemi owej. Tu także, według niego, wydobywano inną ziemię, mającą zapach siarki, która zmieszana z pospolitą gliną garncarską, sprawiała, że się garnki w wypalaniu nie dziurawiły. Niżej jeszcze powiada, iż w tych kopalniach płynęło coś na kształt dziegciu.

Mieszkają dziś w Łucku chrześcijanie, Żydzi i Karaimi (na jednej od nich zowiącej się ulicy). Ci ostatni szczycą się nie bez przyczyny, iż w ciągu kilku wieków żaden ich wiary człowiek przed sąd o zbrodnią powołany nie był.

⁷⁷ G. Rzączyński, *Auct[uarium] h[istoriae] n[aturalis]*, s.6,81; Kalendarze Duńczewskiego [Kalendarz polski i ruski na rok 1749 zawiera artykuł Różne ciekawości krain przyległych Litwie i Polsce].

⁷⁸ G. Rzączyński, *Historia naturalis curiosa...*, s.13

⁷⁹ G. Rzączyński, *Auct[uarium] h[istoriae] n[aturalis]*, s.18

Łuck ma swoje przysłowie, które go maluje w czasach upadku, bo w nich i powstać ono musiało:

*W tom Łucku;
Wse ne po ludźku,
Na okoł woda,
A w seredyni bida!*

Katedralny kościół, odnowiony przez biskupa Cieciszowskiego (tego, jak go zowie napis na pamiątkę położony, Franciszka Salezjusza wskrzeszonego), wewnątrz – w smaku Odrodzenia, nie jest bez pewnego wdzięku; to dowodzi, że nie ma stylu, którego by umiejętne życie nie doprowadziło do względnej przynajmniej jakiejś piękności.

Inne kościoły w tym stylu zbudowane są prawie poczarne, ten wcale wewnątrz piękny i poważny. Oprócz katedralnego, są tu kościoły księży Dominikanów, Trynitarzy, Bernardynów, pusty bazylikański, brygitski i Siostry Miłosierdzia. Dawne archiwa złożone są w zamku, mają one być bardzo ciekawe i dalekich sięgać czasów, ale dotąd nikt jeszcze nic z nich nie wydobył.

Biskupstwo łuckie za Kazimierza Wielkiego fundowane w r. 1364 zostało, lecz w istocie fundacja doprowadzona do skutku dopiero w roku 1375⁸⁰ za Grzegorza XI papieża, a Ludwika króla. Właściwie było to biskupstwo wołyńskie, bo jego stolicą nie był Łuck, a i Wołyń sam przechodził jeszcze z rąk do rąk.

Diecezja ogromna obejmowała dawniej pięć województw: wołyńskie, podlaskie, brasławskie, w Litwie – brzeskie i wielką część Rusi. Dwanaście księstw lub hrabstw zamykała w sobie jako: ostrogskie, zasławskie, zbaraskie, wiśniowieckie, dąbrowickie, koreckie, klewańskie, lubartowskie, ołyckie, poryckie, koszyrskie, kodeńskie – zgoła kraj w obwodzie ośmiudziestą mil polskich. Dwie były infułacje w Ołyce i Kodniu, dwóch oficjałów – łucki i brzeski, dekanatów trzynaście, a kościołów liczył Niesiecki 185. Z początku stolicą biskupstwa był Włodzimierz, i katedra imię włodzimierskiej nosiła, lecz po fundacji kościoła Ś. Trójcy w Łucku tu się przeniosła.

Pierwszym biskupem był Izydor, od Ludwika króla postanowiony, ten się jeszcze tytułował włodzimierskim, od r. 1375 do 1380, w którym umarł⁸¹ nazwisko jego świeckie nie doszło do nas. Drugim był Rugian, który umarł w r. 1400, trzecim, Grzegorz, zakonu kaznodziejskiego, którego Długosz pod rokiem 1409 wspomina. Siedział na biskupstwie, jak się zdaje, do r. 1425. Czwarty Jędrzej z Spławki, czy Spławski, herbu Leliwa. Za niego dopiero przeniósł Witold stolicę biskupstwa do Łucka. Pisano po łacinie Episcopatus Lucensis aż do soboru florenckiego, na którym postanowiono nazywać Episcopatus Luceoriensis, dla rozróżnienia od biskupstwa luceńskiego we Włoszech.⁸² Jednakże cytuje Niesiecki jeszcze w r. 1436 biskupa włodzimierskiego, który się podpisał na trakcie brzeskim. Jędrzej, czwarty biskup, przyjmował dostojnych gości w r. 1429 i tenże w r. 1431 w oblężeniu Łucka, opanowany przez Świdrygiełłę, do która nazad jako wierny poddany wrócił, w drodze odarty z szat, koni i sprzętów, lecz przez Jana z Oleśnicy, marszałka koronnego przyjęty mile i natychmiast we wszystko opatrzoney.

Po nim następowali:

Wacław, herbu Korczak, zmarły 1436.

Jan Łosowicz, herbu Rozmiar, wileńczyk, od Piusa II potwierdzony, wzięty potem na biskupstwo wileńskie; Marcin Krzeszowicki, herbu Gryff, potwierdzony w r. 1468. Stanisław

⁸⁰ K. Niesiecki, [korona polska...].t.Is.45;J.F Sapieha[Monumenta...]

⁸¹ M.Miechowita, [Chronica Polonorum] i [!] 4 s.262;A.Naruszewicz [Historia narodu polskiego od początku chrześcijaństwa. Warszawa 1780 – 1785 t. 2-6]; Sapieha, Monu,[enta antiquitatum mArianorum...Bm,1721].

⁸² J.F.Sapieha, [fundatio infulate prepositue Codnensis. Zamość 1717 (?)].

Stawski, herbu Korczak, zmarły w r. 1488. Jan II Pudełko około 1499; Albrech Radziwiłł Jałmużnik, wzięty na wileńskie, Paweł Algiwund, książę olszański, także potem biskup wileński, który zapisał biskupom łuckim dobra swoje dziedziczne Janów. Jerzy Falczewski czy Chwalczewski, którego nagrobek w łuckiej katedrze, a nade drzwiami dawniej był herb jego Trzy Trąby. On to kościół katedralny z ciosowego kamienia wystawił, dla siebie i mansjonariuszów pobudował wygodne mieszkania i zamek założył w Torczynie, umarł około r. 1547.

Po nim nastąpił Walerian Protasowicz, herbu Drzewica, pisarz królowej Bony, później biskup wileński, założyciel Collegium Akademickiego w Wilnie i gorliwy o wiarę pasterz.

Jan III Andruszewicz, ze sławnej niegdyś w Litwie rodziny, przeszedł z kijewskiego na łuckie biskupstwo. Naukami i nieskazitelnością obyczajów znakomity, umarł 1579.

Insi byli Wiktoryn Wierzbicki, herbu Radwan, Bernard Maciejowski, sławny, że go Litwa na biskupstwo wileńskie przyjąć nie chciała. Ten katedralny kościół opustoszały znacznie przyozdobił, okna i dach nowy zbudował swoim kosztem. Wikariat i kantorę fundował. W czasie moru i głodu w Łucku gorliwy, dozorców wyznaczył, którzy ubogim lekarstwa i pożywienie dostarczali. Raz nawet, gdy mu na dobroczynne zasiłki dla biednych pieniędzy nie stało, przynaglony prośbą o jałmużnę na pogrzeb ubogiej niewiasty, część łańcucha złotozłotego z szyi oderwał i oddał. Do chorych sam jeździł i chodził jak prosty kapłan, ciesząc się, gdy mu się to zdarzyło.⁸³

Stanisław Gomoliński, herbu Jelita, zmarły w r. 1604, fundator dominikanów w Janowie i bernardynów w Sokoli. Marcin II Szysikowski, herbu Ostoja, na płockie biskupstwo postąpił w r. 1607. Paweł II Wołłowicz, herbu Bogoria, rok tylko rządził. Paweł III Wołucki, herbu Rawicz, potem od r. 1616 biskup kujawski. On w Łucku założył collegium Jezuitów i do Brześcia ich wprowadził. Dwudziestym pierwszym był Henryk Firlej, herbu Lewart, podkanclerzy koronny, potem biskup płocki w r. 1617. Dwudziesty drugi – Jędrzej II Lipski, herbu Grabie, kanclerz koronny, postąpił na kujawskie. On założył sufraganat i mansjonarza jednego przy katedrze łuckiej dodał, umarł r. 1631 – XXIII. Stanisław III Łubieński, herbu Pomian, podkanclerz koronny postąpił na biskupstwo płockie 1627 r. – XXIV. Achacy Grochowski, herbu Junosza, proboszcz miechowski, umarł w r. 1632, pochowany w Przemyślu. Głowę ś. Stanisława Kostki z Rzymu przywiózł. – XXV. Bogusław Radoszewski herbu Oksza um. 1638 w Janowie. – XXVI. Jędrzej Gębicki, Nałęcz, opat trzemeszański, um. 1654. – XXVII. Jan IV Zamojski, herbu Jelita, zakonu kaznodziejskiego, um. w r. 1655, pochowany w Zamościu. – XXVIII. Jan V Wydzga, Jastrzębiec, podkanclerzy koronny, opat sieciechowski, postąpił na warmińskie biskupstwo w r. 1659. – XXIX. Mikołaj Prażmowski, herbu Belina, kanclerz koronny, postąpił na gnieźnieńskie w r. 1666. – XXX. Tomasz Lezeński, Nałęcz, opat wąchocki, umarł r. 1675. – XXXI. Stanisław IV Dąbski, Godziemba, potem biskup płocki umarł r. 1680. – XXXII. Stanisław V Witwicki, Sas, biskup potem poznański w r. 1688. – XXXIII. Bogusław Leszczyński, Wieniawa, opat czerwiński um. 1691. – XXXIV. Franciszek Prażmowski, Belina, opat sieciechowski, umarł r. 1701. – XXXV. Aleksander Wyhowski, Abdank, opat świętokrzyski, umarł 1714. – XXXVI. Joachim Prebendowskizmarły 1721. – XXXVII. Stefan Rupniewski, Wieniawa, zmarły 1731. – XXXVIII. Jędrzej Załuski, Junosza, od r. 1736, postąpił potem na chełmińskie w r. 1739 itd.

Biskupi łuccy byli senatorami i zasiadali na przemian z warmińskimi, pisali się łuckimi i brzeskimi. Sapiaha, pisząc o diecezji, liczy w niej nie 185, ale przeszło 200 kościołów.

Kapituła łucka składa się z proboszczów, prałatów łuckiego i brzeskiego, dziekana, archidiakonów łuckiego i brzeskiego, kantora, kustosa, scholastyka, kanclerza i sześciu kanoników, wszystkich szlachty, na co dowody składali przy instalacji. Jeden z nich obierany bywał na Trybunał Koronny. Kapituła odbywała posiedzenia dwa razy na rok, na Ś. Trójcę i

⁸³ K. Niesiecki, [Korona polska...], t III s.203.

na Wszystkich Świętych. Herb jej Ś. Trójca Matkę Boską koronująca. Niesiecki podaje tylko Ś. Trójcę, tak jak ją widział wyrzezaną na ratuszu lubelskim. Herbem miasta był Święty Mikołaj.⁸⁴ Diecezja łucka miała trzy seminaria, jedno z nich założone przez Aleksandra Wyhowskiego, biskupa łuckiego.

W czasie synodu za biskupstwa Stefana Rupniewskiego wiele zaszło w zarządzie ulepszeń.

Kościół Ś. Trójcy, założony na zamku⁸⁵ około 1425 r., gdy i stolicę biskupstwa tu przeniesiono. W r. 1539 biskup Chwalczewski zmurował go z ciosowego kamienia i wygodne dodał pomieszczenia dla mansjonarzy.

Później Bernard Maciejowski opustoszałą katedrę podniósł i ozdobił. W r. 1630 ks. Achacy Grochowski, dwudziesty czwarty biskup łucki, głowę ś. Recessa Męczennika, rycerza z Rzymu przywiózł, a miasto obrało go sobie za nowego patrona, zamiast dawnego ś. Mikołaja. Spalił się kościół katedralny w r. 1724 dnia 14 czerwca. Po tym pożarze Stefan Rupniewski, biskup, dwakroć sto tysięcy wyłożył na nową budowę, którą kosztownie blachą pokrył. Z drugiego pożaru r. 1793 w całości uchowano relikwie i przeniesiono do dzisiejszej katedry, kościoła dawniej Jezuitów, do którego przez pożar także zniszczonego i odnowionego przez ks. Pawła Turskiego, przenieśli się księżęta katedralni po kasacie jezuitów. Na miejscu dawnej katedry w zamku stoją dziś podobno szkoły powiatowe.

Synodu łuckiego akta w r. 1726⁸⁶ liczą w kościele katedralnym jako szczególności – obraz N. Panny w roku 1724 w ogniu cało zachowany, relikwie śś. Wiktora, Wiktoryna, Wiktorii i Gaudencji, panien, ś. Recessa, patrona województwa wołyńskiego i ś. Jana Kantego. Inne kościoły tamże wymienione są⁸⁷: ś. Jakuba, parafialny oo. Dominikanów, gdzie były dawne groby książąt Świentopelków Czetwertyńskich, Bernardynów, fundacji Stanisława Liniewskiego, łowczego kijewskiego w r. 1643, na przedmieściu Wulce, Bonifratów (Ordinis S. Joannis de Deo), Trynitarzy na przedmieściu, którym pewien fundusz nadali książęta Radziwiłłowie, ciężący dziś jeszcze na dobrach, w obcych już zostających rękach. Brygitek, dokąd z Krzemieńca do franciszkanów przeniesione ciało siostry Anny Omiecińskiej za staraniem ks. kanonika Omiecińskiego;⁸⁸ Collegium Societatis Jesu, założone przez biskupa łuckiego Pawła III Wołuckiego, Rawicza, około 1610 r. Temuż Collegium książę Iwan na Klewaniu Czartoryski dwór swój i plac ustąpił, hojną dodając jałmużnę⁸⁹; pierwszy to był katolik z tej rodziny. Syn jego, Mikołaj, oddał także jakoby wcale się o nie dopraszającym jezuitom grunta na przedmieściu Łucka.⁹⁰ Starowolski, opisując Łuck⁹¹, pisze o katedrze ruskiej in urbe. Skądinąd bardzo mało wiemy o łuckich i włodzimierskich władkach.⁹² Nosili tytuł eksarchów łuckich i ostrogońskich. Sławny ów robotnik unii brzeskiej Cyryl Terlecki, wiemy, że był biskupem łuckim; Hipacjusz Pocię także ten tytuł nosił.

Po Cyrylim znowu prawosławni wrócili, jako Jeremiasz Poczapowski, Kotwica, zmarły r. 1640, Atanazy Puzyna herbu Brama, około 1644 do 1671. Gedeon, książę Czetwertyński 1681. Gedeon II Żabokrzycki 1704 r., Józef Wychowski, Abdank, 1720. Ten unii na synodzie zamojskim gorliwie sprzyjał; na koniec Teodozy Rudnicki itd.

⁸⁴]; Sapieha, Monum[enta antiquitatum mArianorum...Bm,1721]. Sz Starowolski, Polonia. Dantisci 1652 s. 139: „Episcopum luceoriensem qui cathedram suam, cum Capitulo in arce urbis haber, ibidemque Societatis Jesu Clericorum Collegium pro studiosis. In urbe autem, ipsa Episcopus Russorum, etc”.

„...biskupa łuckiego, który swoją katedrę wraz z kapitułą ma w tym mieście na zamku. Tam również znajduje się kolegium jezuitów przeznaczone dla studiującej młodzieży, zaś w samym mieście ma siedzibę biskup ruski”.

⁸⁵ [Constitutiones Synodales Diaecesis Luceoriensis...anno 1726 Warszawa 1726],cap. VII.

⁸⁶ [Ibidem, cap.: De paroch. Divisione].

⁸⁷ Czytaj i niej [Franciszka] Jaroszewicza Matka Świętych [Polska...].[kraków 1767].

⁸⁸ K.Niesiecki [Korona polska...] t. I s. 370.

⁸⁹ K.Niesiecki, tamże.

⁹⁰ Loco sup. Cit.

⁹¹ K.Niesiecki [Korona polska...] t I s.92

⁹² K.Niesiecki [Korona polska...] t. IV s.770

Miał Łuck i drukarnie na początku XVII wieku: jedną przy klasztorze Ś. Krzyża, drugą potem dominikańską, około r. 1790, jak Bandtkie dowodzi, pracującą, lecz z obu nic godnego wspomnienia nie wyszło.

Rzeczyński, który wymienił okolic Łucka osobliwości, ziemie wykopywane pod Kiwircami, phtyolity znajdujące w murach zamkowych, pisze także o jakiejś kobiecie tutejszej, która modląc się często przed ukrzyżowaną figurą Chrystusa, porodziła potem dziecię ze znakami, jakie się na tej postaci, w którą się wpatrywała, znajdowały. W lasach pod Łuckiem wspomina gałąź sosnową, naśladującą zupełnie kształt ręki ludzkiej.⁹³

Oto są niektóre wypadki historyczne, odnoszące się do dziejów Łucka:

Pierwszy zakład miasta, a raczej siedziby, osady, odnoszą niektórzy za daleko, bo do r. 698, w którym horda Jaćwieży i Drewlan pod wodzem swym Dulebą czyli Łuką tu się usadowiła naprzód na wyspie między Styrem i Głuszcem, szalasy swe zarzucając.

W r. 986, Łuczanie razem z Drohowiczany i Krzywiczany służy Igorowi Światosławowiczowi. Czyli to są już Łucka i okolic jego mieszkańcy, Drewlanie, przezwani Łuczany od miejsca pobytu, nie wiem.⁹⁴

W r. 1004 Bolesław idący na Ruś spotyka się u Łucka ponad Styrem z księciem Jarosławem i jego wojskami z Pieczyngów i Waragów złożonymi. Z jednej strony rzeki stoi Ruś, z drugiej Polacy. Hetman księcia Jarosława Błud niejaki, począł łajać Bolesławowi i urągać się z niego a do walki wzywać. Król, rozjuszony tym, przeprawił się przez Styr i w boju poraził Rusinów, sam książę Jarosław uciekł na błota. Nie piszą kronikarze, czyli był jaki zamek w Łucku i czyli go dobywano.⁹⁵

W r. 1073 ziemia łucka wchodziła w skład księstwa włodzimierskiego, z chełmską i całym Wołyniem, którego imię od zamku Wolina (później Gródka) Naruszewicz wywodził, a Chwalczewski wspomina, że tym imieniem sam się przód Łuck nazywał. Panował tu Igor książę. Bolesław w drodze do Kijewa, dobywając zamczysk wołyńskich, przyciągnął pod Łuck. Zamki owego czasu z gliny tylko i drzewa lepiące, niewielki opór stawiać mogły, lecz Łuck położeniem swym i silną załogą niełatwy był do wzięcia. Sześć aż miesięcy trwało bezskutecznie oblężenie Bolesława, a kilkakrotnie szturm jego odparto. Śpieszno było królowi pod Kijew, lecz nie chciał za sobą zostawiać zamków nie zdobytych, aby tym nie zdał się okazywać swojej słabości. Próżno sześć miesięcy wyglądali Łuczanie pomocy od Wsewołoda, który przestraszony liczbą wojsk Bolesławowych, cofnął się z Wołynia. Na koniec przekupieni mieszkańcy złotem a obietnicą swobodnego wyjścia z zamku z majątkiem wszelką i udania się, gdzie zechcą, poddali królowi nie zdobyty Łuck. Znajdował się podówczas tutaj sam Igor, książę włodzimierski; ten naprzód do króla posłów wyprawił, potem sam osobiście do niego przyszedłszy, poddaństwo ofiarował, zakładników stawił i pokój sobie uprosił.⁹⁶

W r. 1083 napad na Łuck Litwy i Jaćwieżów.

W r. 1085 Jaropełk Izaśławowicz, wydzielony z księstwa kijewskiego przez Wsewołoda, tu osadza żonę i dzieci, polecając im, aby się póty bronili i utrzymywali w zamku łuckim, póki by on z posiłkami polskimi na odsiecz im nie wyszedł, po które udał się do króla Władysława.

Postąpił pod miasto Włodzimierz, syn Wsewołoda, bez trudu, bez wielkiego oporu, opanował zamek, a żonę i dzieci Jaropełka odesławszy do Kijewa, na księstwie włodzimierskim osadził Dawida Igorowicza. Tymczasem Władysław posłał wojska, które znowu Łuck obległy. Znać zamek naówczas nie dozwalał myśleć o obronie, gdy i

⁹³ G. Rzeczyński *Auctuarium [historiae naturalis...]* s. 466

⁹⁴ A. Naruszewicz *[Historia narodu polskiego...]* Warszawa 1770]t. II s.89

⁹⁵ M. Bielski, *[Kronika wszystkiego świata. Kraków 1551]*. Wiele wydań nast.

⁹⁶ J. Długosz *[Annales seu cronicae inclity regni Poloniae]*. Wyd. *Historia polonica...* Dobromil 1614.; M. Kromer *[De origine et de rebus gestis Polonorum. Bazylea 1555]*.

Włodzimierz, nie zamierzając się opierać, ofiarował ugodę. Ustąpił on, oddając Łuck z księstwem Jaropełkowi, a sam powrócił do ojca.

W r. 1097 w Łucku starostą Swatosz, od którego wśród rozterek między książętami ruskimi, Dawid książę Łuck odbiera bez trudności.

W r. 1152 Izasław książę, pobity pod Perejasławiem przez książąt kijewskich, uchodzi samowtór przez Kaniów do Kijewa, a tu zabrawszy żonę, dzieci i skarby, schrania się do Łucka. Szuka on pomocy u Bolesława i Henryka, książąt polskich i u Gejzy, króla węgierskiego, prosząc u nich posiłków. Nadesłano je, lecz radzono mu raczej zgodę, niż bitwę niepewną. Całą zimę Polacy i Niemcy leżeli pod Łuckiem, i odeszli wreszcie, a Izasław z Łucka przeniósł się do Włodzimierza, tamtemu zamkowi pewnie więcej ufając.

W r. 1262 Sarno, książę łucki i drohicki, siostrzeniec Daniela, okrutny i dziki, czynną gra rolę w zaburzeniach na Litwie i Rusi.

W r. 1321 panuje tu książę Leon, a na Włodzimierzu – Włodzimierz. Ci z księciem kijewskim napadają dzielnicę Gedeminową, lecz Gedemin oddaje im napad sowicie. Najeżdża Włodzimierz naprzód, gdzie książę Włodzimierz ginie, potem Łuck, z którego już książę Leon uciekł był do Brańska Siewierskiego, do zięcia Romana. Załoga zastraszona, czern i bojary poddają się i przysięgę składają Gedeminowi. Ten swojego tu jak i po innych zabranych zamkach osadza starostę.⁹⁷

W r. 1325 Lubart dostaje Łuck i zakłada nowe murowane zamki, górny i dolny (gdzie dziś klasztor pp. Brygitek).

W r. 1366 wyprawa Kazimierza W. na Wołyń, przeciw Lubartowi, kilka razy już sprzeniewierzonemu. Kraj zniszczony cały, Łuck, Włodzimierz i Olesko wzięte, ziemia chełmska zabrana. Lecz znowu Lubart otrzymuje prawem lennym ziemię łucką, z należącymi do niej Stożkiem, Daniłowem, Zakamieniem, Szemskiem, Ostrogiem, Płonnem, Międzybożem.

Można miarkować oznaczenia Łucka i jego wielkości w tych czasach, gdy już jeograf ruski u Schlözera zowie go: Łuczesk welikij na Styre.

Mówmy teraz o najślawniejszym w dziejach Łucka wypadku, o owym zjeździe 1429 roku; a naprzód o Witoldzie, którego imienia śladów tutaj jeszcze kilkaset lat zatrzeć nie potrafiło.

Człowiek, który siłą swej woli utrzymał się na chwiejącym i ze wszech stron podkopywanym tronie, który kilkadziesiąt lat nie dał się pożyć ani wypadkom, ani ludziom, ani zdradzie, ani rozpacz, towarzysze zwykłej kilkakrotnych niepowodzeń, który potrafił imię swe sławnym uczynić u cesarzów rzymskich i w hordach tatarskich, którego państwo w najburzliwszych czasach rozciągało się od Białego (Bałtyku) do Czarnego Morza – człowiek taki nie musiał być pospolitym człowiekiem. Miał on nie zgietą wolę kierującą orężem, potężną rękę, posłuszną myśli i woli, i większe szczęście, które był winien zaufaniu w siebie, niczym nie zrażonemu. Spójrzmy w jego życie. Witold rodzi się w połowie XIV wieku, tak stanowczego dla Litwy. Jego urodzenie już ma coś w sobie dziwnego, przypominającego mimowolnie powieści o greckich bohaterach. Kiejstut, ojciec jego, wykrada Birutę od ołtarza Praurimy w Połędzie, z Biruty rodzi się Witold. Kapłanka, która powinna była zostać całe życie przy ogniu świętym, jest mu matką. Małżeństwo więc, z którego się rodzi bohater, nie jest ułożonym dla interesu związkiem, ale namiętym, świętokradzkim nawet ze zbytku miłości połączeniem. Ze wszystkich dzieci Kiejstuta Witold był mu najulubieńszy, może jako od młodu najwięcej na przyszłość obiecujący.

Jego wychowanie jakież być mogło wówczas, kiedy całą potrzebą równie poddanego jak pana było męstwo i siła ciała a odwaga duszy? Nawyknięcie do wszystkiego, obeznanie się ze wszystkim, nabranie męstwa, taki musiał być cel wychowania owych wieków, w których silny a odważny książę powinien był się dobijać krajów, którymi by rządził, i nieustannie ich bronił. Wychowanie Witolda musiało być wychowaniem żołnierza: łowy, strzelanie z łuku,

⁹⁷ W.W Kojalowicz [*Historiae lithuaniae pars prior*. Gdansk 1650, prs II. Antwerpia 1669].

nauka użycia oręza, dźwiganie zbroi, wprawa do boju, zapasy z końmi dzikimi – oto co wówczas stanowiło przygotowanie do życia. Wszystkie siły ciała, które dziś wychowanie nasze unieczemnia, zabija, niszczy, wówczas rozwijały się jak dzielny kwiat na dziewiczej ziemi, ich wzrost, ich wartość, stanowiły o wartości człowieka. Nieodłączny na ciele walał się i ginął nieznany bez znaczenia. Dziś trudno nam nawet tamtych czasów ludzi wyobrazić sobie, a tym bardziej trybu ich wychowania i życia, tak dalece różnego od naszego. W kraju takim jak Litwa, podzielonym na drobne księstwa, wystawionym na zatargi współzawodników wewnątrz, najazdy nieprzyjanych sąsiadów, już wówczas znających sztukę korzystania z niezgody domowej, w kraju takim panujący i poddany różnili się suknią i życia domowego trybem, lecz jednaki los ich zbliżał, oba walczyli, oba czuwać całe życie musieli. A iluż to książąt bez księstw kończyło życie pod toporem jak prosta czerń. Ten, kto się rodził przy chwiejącym tronie, musiał walczyć, aby się na nim utrzymać i nie spaść. Panujący w obliczu poddanych panował z prawa przyrodzonego, lecz w oczach sąsiadów i braci chciwych tylko prawem oręza i siły. Jak tylko był słaby, nie utrzymał się.

Życie książąt było toż samo prawie, co i prostych ludzi, z tą różnicą, że ostatni mogli się zawsze podnieść, jak Wojdyłło z prostego parobka, a książęta mogli skończyć jak Korygiełło. Wówczas to, może więcej niż kiedykolwiek, potrzeba było wielkich zdolności, żeby być wielkim, bo nikt się nim nie rodził. Religia tamtego czasu dodawała jeszcze mocy charakterowi nieugiętemu, jakiego okoliczności po ludziach wymagały, religia uświęcająca zemstę jak powinność i cnotę, pozwalająca zbrodni i mordów pod pozorem odwetu, korzyści, religia, w której nie było wyrazu – przebaczam, której symbolem był bóg z piorunem w rękę i gniewem na czole.

Dwudziestoletni Witold już wystąpił do boju i zaczął życie, a rzuciwszy się z trockiego zamku na szeroki świat Litwy i Rusi, z szablą w rękę i łukiem na plecach, już potem więcej nie spoczął. Od bitwy pod Moskwą podobno zaczęły się jego rycerskie próby, jeśli nie wcześniej jeszcze. Tegoż roku pod Rudawą znajdował się znowu na bitwie z Winrychem, mistrzem pruskim, gdzie Litwini przegrali, ale i Zakon poniósł znaczne straty. Potem z Olgerdem leciał do Perejaśławia i już sił nabrawszy, i śmiałości, sam jeden wtargnął potem do Prus pod Insterburg i Tajnów. Charakter ówczesnej wojny podobny był pojedynczych ludzi zapasom, drobne oddziały wpadały, rabowały, paliły, potykały się rzadko i uciekały przez lasy. Witold miał z sobą tylko pięciuset ludzi, kiedy gonił Godfreda von Linden od oblężenia Wilna. Śmierć Olgerda, Kiejstutowego brata, zmieniła postać rzeczy i dała nowe pole Witoldowi do pokazania, czym miał być na przyszłość.

Rzadko w krwawych początkowych dziejach Litwy, wśród ciągłego następstwa bojów, zdrad i rzezi napotkać tak czyste uczucie, jakie się objawia w braterskiej przyjaźni Olgerda i Kiejstuta. Jednakże i ta przyjaźń nosi cechę swego wieku. Kiejstut z przyjaźni ku bratu drugiego brata Jawnuta wyzuwa z dzielnicy i naczelnictwa nad Litwą, łamie ojcowskie rozporządzenia, odsuwa go i rzuca mu jakiś łachman kraju wydartego, małe księstweczko zasławskie, aby Wilno oddać Olgerdowi. Znać Jawnut niewart był więcej, bo raz tylko spróbował, czy mu pomoc sąsiadów nie wróci odebranej dzielnicy, siadł potem spokojnie. Gdy tak Kiejstut brata ulubionego osadził w Wilnie i zawarł z nim braterskie przymierze, nadal, co dziwne, zostają w zgodzie, pomagają sobie wzajemnie i niezachwiana przyjaźń trwa do śmierci Olgerda.

Jagiełło obejmuje po ojcu Wilno, Kiejstut patrzy i milczy: jeszcze to syn ukochanego brata. Tu, podstępny dorobnik, Wojdyłło ukazuje się między stryjem a synowcem, Wojdyłło co dzień więcej mający przewagi nad słabym Jagiełłą, lękający się jego krewnych, pragnący swego wywyższenia, usiłujący powaśnić Jagiełłę z rodziną, aby ta nie mogła nic przeciw niemu uczynić. Żeniąc się z siostrą Jagiełły, Wojdyłło obejmuje Lidę, daną mu w dzierżawę, ogląda się, czyli temu nie zaprzeczy Kiejstut, boi się i wcześniej zmawia przeciw niemu i sieje niezgodę, tajemne przymierze z Krzyżakami jest skutkiem knowań Wojdyłły, tajemne – a

jednak Kiejstut dowiaduje się o nim przez dziwną dobroduszość w Krzyżaku, komturze osterodskim. Jednakże znając już zamachy czynione, Kiejstut milczy, waha się, nie wierzy doniesieniom, Jagiełło jeszcze jest mu synem ukochanego brata, chociaż podejrzenie zdrady ciąży na nim. Witold, którego wszyscy kronikarze wystawują serdecznym przyjacielem Jagiełły, broni go przed ojcem, ręczy za niego.

Ale niedługo kryją się Jagiełły zamiary, o wyprawę na księstwo połockie rozbija się tajemnica przymierza z Krzyżakami. Jagiełło idzie na Połock, wiodąc Skirgiełłę przeciw drugiemu przyrodniemu bratu, idzie z posiłkami Krzyżaków, odkrywa się tym sposobem jego przymierze z nieprzyjazytnym Zakonem; nie czekając więc aż Jagiełło uderzy na nich, Kiejstut i Witold biegną na Wilno. Starzec zdradą dobywa je i więzi Jagiełłę, a po syna posyła, aby mu znalezionymi na zamku traktaty dowieść, że ten przyjaciel, którego bronił, winien był zdrady przeciw niemu. Piszą, że w tym ciężkim razie Witoldowi winien był Jagiełło uwolnienie swoje, które później tak brzydko odplacił. Wówczas jeszcze między Witoldem a Jagiełłą mogła trwać miłość braterska, bliżej byli lat dziecinnych, a daleko od domyślania się przeszłości.

Witold już jako przyszyły pan Litwy zostaje w Wilnie, Kiejstut ciągnie przeciw Korybutowi, bratu Jagiełły, chcąc go do posłuszeństwa sobie orężem nakłonić. Tymczasem zostawiony przy małym wydziale Jagiełło korzysta z jego oddalenia się i odbiera Wilno, ściga Witolda, który do Trok uciekł, bierze Troki. Witold z matką Birutą do Grodna się przenoszą, a smutne wieści o zdradzie posyłają Kiejstutowi. Krzyżacy łączą się z Jagiełłą, nie dość tych, książęta mazowieckie także korzystają z pory, z których jeden Janusz, zięć Kiejstuta, mąż Danuty, pustoszy Podlasie. Przez dziwny tylko wzgląd na matkę żony szanuje Brześć, do którego się schroniła, nie szanując teściowej dzielnicy i pomagając jego wrogom. Wojna ze wszystkich stron, otwarte pole dla Witolda.

Jagiełło zamyka się w Trokach, Kiejstut i Witold spieszą go oblegać, z obu stron ścigają się wojska, z Kiejstutem Żmudzini i Litwa, Ruś i Krzyżacy z Jagiełłą. Zdaje się, że sprawę oręż rozstrzygnie i siła.

Stają wojska przeciw sobie na staj kilkoro, czekają tylko, aż się ozwą rogi i litawry.

Lecz patrzcie! – Oto pędzi goniec od Jagiełły do Witolda i wzywa go do pośrednictwa między nim a ojcem, w imię dawnej przyjaźni, dziecięcej przyjaźni. Czemż jednak prosi zgodę Jagiełło? Wszak wszystko rokuje mu wygraną, Krzyżacy z nim, z nim Ruś, a jednak pierwszy zrobił krok do zgody? Witold na wezwanie waha się, co począć. Skirgiełło ręczy za brata, i oto już nasz bohater jest w nieprzyjacielskim obozie. Tu mądrze osnuto zdradę w mózgach krzyżackich wylęgłą. Próżno Witold podaje punkta zgody, wszystko się opiera na słowach Kiejstuta, Kiejstuta jeszcze do zawarcia zgody potrzeba. Skirgiełło skoczył do obozu Kiejstuta, aby go wezwać, ręczy za brata, przysięga i prowadzi stryja do obozu Jagiełły, w ręce nieprzyjaciela, tymczasem puszczają wieść o wojsku Kiejstuta, że zgoda już doszła, wojsko się weseli, rozpierzcha, a Jagiełło wie dzie do Wilna Witolda i Kiejstuta – więźniami. Nie potrzeba mu już zgody, nie trzeba wojny, wziął nieprzyjaciół podstępem i okuł.

Witold oddzielony od ojca, nie wiedząc o jego losie, siedzi w więzieniu, tu go dochodzi wieść okropna, że stary ojciec jego uduszony został w podziemiach krewskiego zamku piątego dnia niewoli. Krew Kiejstuta wylana z rozkazu a przynajmniej za przyzwoleniem Jagiełły targa ostatnie związki, jakie jeszcze łączyć go mogła z Witoldem. Niewola jego w Krewie zawiązuje nienawiść i zapala zemstę, niewola takiemu jak Witold człowiekowi będąca najboleśniejszą z męczarni, bo przymuszająca do bezczynności.

Starość Kiejstuta mogła śmierć jego jako tako tłumaczyć; lękano się jednak zgładzić zaraz po nim Witolda, czekano aż ostygnie pamięć pierwszej zbrodni.

A Witold siedział w krewskim zamku. Jagiełło, czy wstydząc się śmierci stryja, czy wymawiając się z niej, puszczał wieść, że się sam łańcuchami udusił, łagodniej obchodząc się

z Witoldem. Więzieniem jego nie był loch, lecz izba, miał sług przy sobie, co więcej, żonie jego dozwolono dzielić z nim niewolę.

Anna Światosława, ks. micisławskiego córka, co wieczór z dwiema kobietami przychodziła do niego, a te dwie sługi usławszy łoże małżeńskie niewolnika, odchodziły. Witold przebrany w kobiece suknie wymknął się z pomocą żony z więzienia, a ją w rękę Jagiełły zostawił. Sam dopadł przygotowanego konia i uszedł do Janusza, ks. mazowieckiego, swego szwagra. Dziwny zaprawdę wybór miejsca schronienia, bo ks. Janusz zdradził był Kiejstuta w ostatniej wojnie. Lecz w tych czasach nic nie było stałego, ani słowa, ani wiary. Każdy się dobijał, jak mógł, i nie miano mu tego za złe. Witold sądził, że z nim Janusz zdradzi Jagiełłę, jak z Jagiełłą ich zdradził. Lecz zimno przyjął go Janusz, niewiele obiecywał, zwrócił się Witold do Krzyżaków, gotowych zawsze służyć przeciw Litwie każdemu. Krzyżacy byli wprawdzie także z Jagiełłą, lecz Witold pewien był, że zdradzą go, skoro im da powód do zdrady i ukaże w niej korzyści.

Jakoż mistrz przyjął go dobrze, tym bardziej że Jagiełło świeżo się był z Zakonem zawadził. Przeznaczono Witoldowi Malborg na mieszkanie, nimby się przygotowano do wyprawy na Litwę. Tu przybyła za nim Anna, którą Jagiełło uwolnił, przybyli przyjaciele Kiejstuta i bajoras Żmudczy, rodacy Biruty, Żmudź stawiała w pomoc Witoldowi.

Tu się poczyną pora życia Witolda najtrudniejsza, cała w węzłach, cała w przeciwnościach, jego pasowanie się z bratem, losem, z Krzyżakami, z całym światem, zapasy, w których się odkrywa cała jego duszy nieugiętość, moc woli nieprzełamana, używająca wszystkich broni i sposobów ku dopięciu celu. Krzyżacy, chcąc zupełnie przyswoić sobie Witolda, zniewalają go do przyjęcia chrztu. Witold chrzest przyjmuje. Trzeba mu pomocy, a czy miecz święcony czy nie święcony z nim pójdzie, nie dba on, byleby poszedł; chrzci się, bo Krzyżacy chrztu po nim żądają, ale ani wie, co uczynił.

Pokropiony wodą, odrodzony, wali się na Litwę z Krzyżakami, bierze Troki, wycina załogę. Jagiełło podchodzi i odbiera nazad Troki. Wojna bez stanowczego wypadku, Krzyżacy jednak nie opuszczają go, nowe tylko nakładają warunki. Witold zajęty myślą odzyskania władzy nad krajem, który za swój uważa, bo go ojciec miał w rękę, godzi się na wszystkie warunki, poddaje się wymaganiom Zakonu, obiecuje być hołdownikiem, płacić im ludźmi podatek. Zakon układa sobie mieć zwierzchnictwo nad Litwą, opiekować się nią, opanować ją powoli i zagarnąć zupełnie, gdyby wygasło potomstwo Witolda, który układając się o rzecz jeszcze nie zdobył, potomstwo brata Zygmunta do następstwa po sobie przypuszcza.

Tymczasem nadchodzi stanowcza chwila, w której Litwa cała ma się wiarą zjednoczyć z zachodnią Europą, pobratać z nieprzyjazną Polską, połączyć się z nią, wcielić i zginąć pod jej ciężarem po dwóch wiekach bezskutecznego oporu i walki o utrzymanie cienia tylko samoistności. W tej chwili Jagiełło potrzebuje zgody, wyciąga rękę ku Witoldowi. Witold ucieka z Prus i przychodzi objąć wyznaczoną mu w zamian za Troki dzielnicę. Tu znowu Witold chrzest ponawia, i wielkie imię Aleksandra bierze. Krzyżacy wściekają się z gniewu. Ich chrześcijańska misja ustać by powinna z ochrzczeniem Litwy. Chrześcijaństwo powinno by ich z Litwą pogodzić i zbratać; lecz nie, o, nie jeszcze!

Powodu do wojny im trzeba, tym powodem będzie Andrzej, brat Jagiełły, wojna się znowu zaczyna; Zakon nie przyznaje chrześcijaństwa Litwie, zwie ją jeszcze pogańską. Jagiełło odjeżdża do Polski, Witold zostaje na swojej dzielnicy, a Skirgiełło otrzymuje od brata naczelną władzę i osiada na Wilnie. Odzywa się дума w Witoldzie, Skirgiełło go prześladowe, Skirgiełło go wyzywa – nie będzie więc pokoju, bo Witold się nie podda; Witold po cichu zbiera wojsko na Podlasiu i już ciągnie pod Wilno. Gdyby był przestał na swojej dzielnicy, gdyby był uległ Skirgiełłu, Witold byłby umarł książątkiem, lecz niespokojny, dumny, nieugięty, został bohaterem. Wojska jego nie są wystarczające, Witold szuka pomocy u Krzyżaków, znowu z nimi ciągnie na Litwę, której nie zdobywa, lecz pustoszy. Troki i Wilno

opierają mu się – odchodzi. Natenczas jeszcze nie puszczać z jednej ręki miecza, drugą do Jagiełły wyciąga i prosi o zgodę – o Wilno, o władzę nad Litwą. Jego postępowanie z Jagiełłą jest osobliwsze. Na przemian chce się godzić, uniża, grozi, szarpie, nie daje pokoju, odetchnienia, nagli, a nie lękając się zdrady, którą gotów zawsze odpłacić – czarniejszą jeszcze, mając za sobą najeźdniczy Zakon, czeka, aż dopnie swego. Jagiełło przyrzeka Witoldowemu posłom zgodą i wzywa go, żeby wrócił do Litwy.

Witold, który zdradzał Krzyżaków, nie myślał, aby go miano zdradzić; stanowczo więc zrywa z Zakonem, który go dotąd głaskał, bo w nim widział sposób posiadzenia Litwy. Mistrz, ufny w Witolda, daje mu żołnierzy i wyprawia jakby na wojnę; Witold z nimi obraca się na Zakon, zdradą trzy zamki krzyżackie bierze, pali, wycina załogi, spieszy na Podlasie i posyła do króla z doniesieniem:

– Oto jestem!

Tego tylko Jagiełły polityce potrzeba było, aby Witold z Krzyżakami zerwał. Zdawało się, że tą zdradą ostatecznie się z nimi poróżnił, nie myśląc więc o przyrzeczeniach, Jagiełło zamilkł na posły Witolda.

Burzy się Witold i gwałtem chce iść do Wilna; usiłuje podejść je zdradą. Puszcza wieści o zameńciu Ryngali, którą za księcia Henryka mazowieckiego wydaje, gotuje wesele w Wilnie, ładuje wozy zwierzyną, zwierzyną pokrywa żołnierzy, namawia i przekupuje mieszczan. Wozy ładowne zdradą idą do Wilna, ale zatrzymane u bram zamku, odkryci żołnierze – wszystko przepadło.

Kto inny, nie Witold, w takim razie byłby się poddał losowi, prosił króla o łaskę, upadł i skończył. Cóż mu pozostawało? Szczupła garstka ludzi, niewielu przyjaciół, krewni – pierwsze wrogi, Krzyżacy oburzeni zdradą, żadnej nadziei, żadnego ratunku, żadnej pomocy. Położenie jego było okropne, zuchwałą tylko odwagą mógł wyjść z niego.

Witold znał Krzyżaków i znowu się do nich uciekł. Tak chcą nasi kronikarze, chociaż inni dwukrotną zdradę jedną tylko być mienia rozdwojoną. Trzy zamki spalone, załogi wycięte, dwoista zdrada, przენiewierstwo Zakonu – nic go nie ulękło, czuł on, że zemsta ustąpić musiała interesowi, a wiedział, że interesem Krzyżaków było czepiać się każdego, kto z Litwą walczył lub o Litwę. Z niepojętą więc śmiałością Witold znowu się udał do Zakonu, a Zakon go przyjął. Przybyli za nim żona, przyjaciele i ten nieodstępny Jan Algimundowicz, który wszystkie jego losy dzielił. Tymczasem Jagiełło najechał Podlasie, wziął Brześć i siedł pod Grodno, któremu Witold stawał w obronie. To oblężenie godne jest uwagi dla uporczywości, z jakimi obie strony do niego przystępowały. Wojsko Jagiełły wymiera z głodu, żywiąc się czarnym chlebem z nie mielonego żyta, konie gryzą strzechy dachów, po które czternaście mil posyłać trzeba, żywią się liśćmi wygrzebanymi spod śniegu. Witold nieczynny widzi oblężenia, nie mogąc przejść Niemna, stoi na drugim brzegu, a Jagiełło szturmując w jego oczach. Próżno usiłuje nasz bohater przebyć rzekę, żołnierze jego puszcza się w bród, pęd ich unosi i toną, wyciągają więc łańcuch żelazny. Witold gromadzi i czepia do niego łodzie, z których most do zamku robi i już, już się po nim ciśnie. Lecz Polacy wyżej, z góry Niemna puszcza kłody ogromne, rzucają belki rozbitych domostw, wszystko, co napadną na brzegu, unosi je rzeka, roztrąca o most kruchy, toną i zatapiają się łodzie i ludzie Witoldowi.

Jeden z żołnierzy dostaje się do przeciwnego brzegu i opowiada Jagielle o stanie, w jakim są wojska Witolda. To dodaje odwagi królowi, przypuszcza szturm, bierze zamek, a Witold odchodzi; odchodzi, żeby groźniejszym jeszcze powrócić.

W Prusiech sposobią wielką krucjatę na Litwę z Niemiec, Francji, Anglii, bieży lud pod błogosławieństwem Kościoła na pogan, ogromne wojska się zbierają, Witold gromadzi ochotnika na Żmudzi, Rusi, Litwie, olbrzymie te siły ciągną na Wilno. Po drodze zbity Skirgiełło, który im czoło śmiało stawiał, Wilno obleżone, ale opór polskiej załogi je ocala.

Odchodzą nie bez straty krzyżowcy i Krzyżacy, wraca Witold, ale nie bez nadziei. On jej nigdy nie traci. Znowu napada Wilno, znowu bezskutecznie odciąga i jeszcze do wojny się gotuje.

Ale nareście zgoda z Jagiełłą tyłą krwi okupiona zbliża się. Jagiełło w Polsce zajęty panowaniem z ciężkością dzieli się na dwa kraje, równej potrzebujące pieczy. Litwa zaburzona mu ciąży, on sam zniża się i tajemnie do Witolda o zgodę przemawia. W czasie przygotowań weselnych, gdy Witold córkę swą, Zofię, za w. księcia moskiewskiego wydaje, przybywa z poleceniem starania się o zgodę poseł, ks. Henryk mazowiecki, ten, który wprzód już starał się o siostrę Witolda Ryngalę, a potem na namowę braci, chciwych jego dzielnicy, oblekł suknię księżą. Wśród obrzędów wesela zdrada się na Krzyżaków gotuje pod ich dachem, pod ich okiem. Nierozważny ks. Henryk, choć wziął święcenia mnisze, żeni się z siostrą Witolda Ryngalą, odjeżdża do Płocka i tam otruty od braci.

Upewniony ze strony Jagiełły Witold już myśli, jak się pozbyć upokarzającej Krzyżaków opieki, odprowadza córkę, której ks. Algimund miał aż do Moskwy towarzyszyć, dochodzi Metemburga, uderza na Ritterwerder, wycina krzyżacki garnizon i ucieka do Litwy. Pogoń krzyżacka w zasadzce rozbita każe się Witoldowi domyślać, że zamki, z których wyszła, bezbronne stoją – zuchwale więc powraca z garstką swoją zwycięską, aby dobyć krzyżackie zamki, niszczy je i w tryumfie do Wilna wchodzi.

Tak, tylu lat walka kończy się wedle jego życzenia dopięciem celu, Witold jest w. księciem na Litwie całej. Podniesiony na W. Księstwo, cień tylko zależności od Jagiełły zachowując, w istocie niezawisły i potężny, teraz dobiwszy się tronu, walczyć będzie, aby się na nim utrzymać. Obrażeni bracia Jagiełły, rozjątrzeni Krzyżacy, wewnątrz i zewnątrz nieprzyjaciele niedługo mu spocząć pozwalają; on sam nie żąda spoczynku.

Świdrygiełło z Krzyżakami, Skirgiełło z Rusią gotują się na Litwę, niszczą Podlasie, starą dzielnicę Kiejstuta, właścić Witoldową. Nareście Skirgiełło, uspokojony Starodubem, ucicha; Andrzej, brat króla, Witoldowi winien wolność, zostają Świdrygiełło i Krzyżacy do pokonania.

W oblężeniu Wilna Witold daje dowody niepospolitych talentów wojennych, z małą garstką niszcząc podjazdami nieprzyjaciela. Krzyżacy Litwę, Witold Prusy wzajem pustoszy, oni się cofają, aby na własnych bronić śmieciach.

Lecz oto hołdownicy, którzy w. księciu dań płacić powinni, odmawiają jej, są oni braćmi Jagiełły, oni go nie uznają za pana. Nowa wojna: Witold ich mieczem zmusza do posłuszeństwa i w sile swojej odkrywa nowe prawo, którego nie znali; mszcząc się razem i dawnych uraz i nowego z ich strony oporu. Zdobywa Nowogród, Owruć, Żytomierz, i idzie naprzód, póki go posły, żebząc miłosierdzia, ze zgodą, chlebem i solą nie spotkają. Jednym Witold księstwa odbiera, drugim daje, czyni to sam przez się, ani pyta Jagiełły, ani się ku niemu obraca. Ubywa mu nieprzyjacieli jeden, Skirgiełło otruty w Kijewie, na jego miejscu osiada wierny Jan Algimund, prawa Witolda ręka, który go nie zdradzi. Gdy tak z jednej strony Ruś się posłusznie pochyla, Nowogród, Żytomierz, Kijew, Kamieniec otworzyły wrota, gdy ks. Borys twerski wiąże się z nim przymierzem, z drugiej – nieuchodzeni Krzyżacy ze Świdrygiełłą go kłopotą.

Ale i ten wróg nie sprostą jemu. Witebsk wzięty, Świdrygiełło niewolnik, odesłany bratu. Nie ma chwili spoczynku w tym życiu walki Witolda; ledwie Świdrygiełły się pozbył, idzie walczyć z Jerzym Światosławowiczem, ledwie tego rozbił, wojować musi następcę jego, Hleba, potem Olega rezańskiego, potem zawołzańskich i zadońskich Tatarów, na których się łączy z zięciem swoim. Współczesny Timura, równie jak on straszny wojownik, rozбивa Tatarów i pędzi w Litwę jak bydło, niewolników tłumy. Zdaje się, że los, który go tak długo próbował, teraz się ku niemu obróci i sprzyja mu stale: gdzie uderzy – zwycięża, w wielu miejscach nim uderzy, już na sam ogłos jego imienia o pokój proszą.

Godna uwagi, że Jagiełło posłanych mu Tatarów pochrzczył w wielkiej części, a reszta uporczywych skonała w niewoli; Witold zaś czy to czuł potrzebę powiększenia ludności w kraju, czy ujęcia sobie Tatarów, osadza swoich niewolników koło Wilna pod Waką, nadaje im przywileje zabezpieczające od ucisku najdroższą każdemu wiarę, obyczaje, od przymusu zaparcia się samych siebie. Duchowieństwo katolickie w Litwie jeszcze słabe, nie mogło szemrać na ten postępek wyższej nad wiek mądrości; później za to ileż to razy sarkano na nadane uczciwym Tatarom swobody! Witoldowi osadnicy, choć się nie przyczynili, chyba bardzo mało, do zjednania mu hord tatarskich, pozostali mu wierni do końca, i umieli wdzięczność dochować nawet jego następcom. Tymczasem rozgłos jego imienia zwabił ku niemu zebrzących pomocy carzyków tatarskich, których Witold koronował w Wilnie. Starali się oni o to, czując, jakiego zyskiwali sprzymierzeńca.

Bitwa Witolda z Timur Kutłukiem nad Worską jest jednym z najpoetyczniejszych obrazów jego życia; zdaje się czytając kronikarzy, że chyba tworzą, nie opisują.

Gdy Witold stanął nad Worską i ujrzał obóz Timur Kutłuka; Timur wyprowadził posła do niego, który zapytał:

– Książę, czemu chcesz wojny? Azali pustoszyliśmy kiedy twój kraj?

Dumna była odpowiedź Litwina.

– Bóg mnie przeznaczył na władcę narodów! Bądź moim synem i dannikiem, albo będziesz brańcem.

Timur prosił o pokój, ofiarował daninę Witoldowi, i tego jeszcze było mało, chciał od Mongołów zupełnego hołdu. Trzy dni myślał chan i trzy dni posyłał podarki Witoldowi. Tymczasem ciągnął mu Edyga na pomoc, Edyga, który zawołał, słysząc o warunkach sromotnego pokoju.

– Lepiej umrzeć!

I starzec poszedł mówić z Witoldem tymi samymi słowy, którymi wprzód Witold do Timura przemawiał:

– Książę! Timur cię uznał ojcem i chciał ci być synem, boś ty starszy od niego, aleś młodszy ode mnie; poddaj mi się więc, złóż hołd i płac daninę.

Po tych słowach odpowiedział Witold przejściem rzeki, która dwa tabory dzieliła; stanął na przeciwnym brzegu. Próżno spojrzawszy na cmy Tatarów rozsypane wokoło namawiali Polacy towarzysze do pokoju, którego i Tatarzy żądali. Starzy nawet wojownicy drżeli na widok hord nieprzeliczonych, młodzi tylko radzi byli wpaść prędzej na pohańców, ufając w kilka dział, w imię Witolda, w Witolda szczęście. Młodzież zapalczywa szemrała na zwłokę, ostrzyła miecze na łby tatarskie, a pan Szczuka rzekł nawet zuchwale Witoldowi:

– Jeśli ci żal książę żony i życia, ustąp sobie, a nas puść i dozwól umrzeć lub zwyciężyć.

Starzy jednak trzymali jeszcze Witolda; nareście, dwunastego sierpnia 1399 roku rzucił się Witold na Tatarów. Za pierwszym razem rozpiechnęli się, lecz rozsypawszy się dokoła, otoczyli potem wojsko i pobili. Przegrana bitwa, mimo męstwa osobistego Witolda i innych dowódców, z których niewielka garstka uszła niewoli lub strzał tatarskich. Uzuchwaleni pohańcy poszli pod Kijew, który się im okupił, i puścili zagony, pustosząc kraj aż po Łuck.

Ledwie miał czas odetchnąć po tej klęsce Witold, trzeba było bronić Smoleńska, obroniwszy go, myśleć należało o Świdrygielle, który wicherzył jeszcze, potem o oparciu się Krzyżakom, z którymi układy nigdy stanowczo być nie mogły, bo dziś podpisane, jutro najmniejsza okoliczność zrywała. Ledwo ci przycichli, wojnę z zięciem, ks. Bazyliem, przygaszoną znowu Świdrygiełło rozżarza, Witold idzie i kończy.

Tak on szerokiego państwa obronie, wyrrywającym się hołdownikom, bojom, rządowi, zaborom i zemście wystarcza, nigdy nie odpoczywając. Jakże się tak pełnemu, tak zajętemu, tak czynnemu i obfitemu w wypadki życia nie dziwić!

W nieustannych sporach Polski i Litwy z Zakonem Witold był zawsze prawą ręką Jagiełły. Te spory coraz się jątrzyły, co dzień zgoda niepodobniejszą się stawała, co dzień wiązały się

bardziej wzajemne niechęci, potrzeba było im pośrednika, obrano go w osobie sprzyjającego Zakonowi Zygmunta, króla węgierskiego, z którym rozejm zawarty odnowić należało; pojechał sam się o to ułożyć Witold. Chytry Zygmunt, widząc, jak Witold Polsce jest potrzebnym sprzymierzeńcem, pierwszy raz wówczas wpadł na myśl szczęśliwą poróżnienia go z Jagiełłą. W czasie umów o rozejm, na który póki trwała wojna z Zakonem godzić się nie chciał, im lepiej sprzyjając, Zygmunt wybrał porę do rzucenia kości niezgody między braci, jak sam mówił. Zręczny zatem, począł od wynoszenia pod niebiosa wielkości niezaprzeczonej Witolda i dziwił się, że on tak wielki, tak potężny, podlega Jagielle i spokojnie hołduje Polsce, gdy sam mógłby być niezawisłym od niego królem Litwy. To wyrzekłszy Zygmunt ofiarował swą pomoc Witoldowi w wyniesieniu go na króla Litwy. Lecz oszukał się w rachubach, bo Witold zrozumiał, do czego to zmierzało, jaka była myśl Zygmunta i wyjechał rozgniewany. O milę dogonił go Zygmunt z podarunkami i przeproszeniem, nic to nie pomogło, Witold pojechał i nietajnie skądinąd zamiary Zygmunta Jagielle oznajmił. Wszakże ta myśl udzielnego panowania, zręcznie rzucona w dumną głowę Witolda, już w niej pozostała na zawsze i rosła powoli. Stała się ona tajemnym, ulubionym jego marzeniem, najwyższą nadzieją, ostatnim szczeblem wielkości, do którego pięć mu się było można. Pamiętał Witold przykład Mindowy i Gedymina, na chwilę królów litewskich; wiedział, że żaden z nich ani części tego kraju, ani potęgi, ani sławy, jakie on posiadał, nie miał; czuł swoją wielkość, a upokorzająca zależność od brata, od drugiego kraju, gryzła go tajemnie; im więcej wzrastał w siły, tym go bardziej dręczyła.

Zaszło tymczasem stanowcze zwycięstwo nad Zakonem pod Grunwaldem. W tej bitwie i później tak się zachował Witold, iż nie bez przyczyny posadzać go było można o odległą myśl jakąś i życzenie niezupełnego zniszczenia potęgi krzyżackiej, która w pewien sposób nie dając Polsce pokoju, nie dozwalała jej zbyt wielkiej nabyć przewagi nad Litwą.

Zjazd w Horodlu nad Bugiem mocniej niż kiedykolwiek objawił zależność Litwy i połączył ją na nowo z Polską, a Witoldowi przypomniawszy jego upokarzające położenie. Akt 1413 roku horodelski potężny miał wpływ na Litwę, której wewnętrzne stosunki społeczne odmienił. Dotąd nie było właściwej w Litwie szlachty, tej klasy tak już silnej w Polsce, którą Jagiełło za poradą panów polskich tworzył, aby ją postawić tamą Witoldowi i jego następcom, mogącym powziąć myśl oderwania się od Polski. Zdawało się, że szlachta, na wzór polskiej stworzona, polskie herby nosząca, z Polską pobratana i spowinowacona, Polsce tylko służyć miała. Przez nadanie herbów i przywilejów szlacheckich w Horodlu klasa książąt i bojarów, których znamienitsi szli od pnia rodziny panującej, powiększyła się tymi, którzy polskie herby przyjęli. Stan pośredni między panującym, hołdownikiem, a poddanym niewolnym utworzony został. Nie podpada wątpliwości, iż Polacy mieli swój interes w tym, żeby polskie szlachectwo zaszcześcić w Litwie i przez to wpływ swój na nią ugruntować. Prócz tego unia horodelska narzuciła Litwie administrację kraju na wzór polskiej. Tym sposobem starano się przemarodować ją i stanowczym do tego krokiem był akt pomieniony. Późniejsze unie dwóch krajów już tylko były powtórzeniem tej najważniejszej, która, chociaż imienia unii nie nosiła, w istocie najmocniejszymi węzły spajała dwa kraje. W postanowieniach horodelskich Witold wszędzie drugie dopiero po Jagielle miał miejsce. Nie mogły mu one smakować, ograniczając jego rządy, dotąd zupełnie swobodne, przywilejami szlachty.

Po tym pamiętnym zjeździe nowe zatargi z Zakonem, ukończone wdaniem się papieża Jana XXIII; opieka nad Węgry zagrożonymi od Amurata; nowe wichrzenia Świdrygiełły zajmowały Witolda do r. 1418.

W tym roku żona jego Anna umarła, a Witold, który, jak piszą, w niej tylko przywiązany był do całego kobiecego rodzaju, niedługo chciał być wdowcem i poślubił Julianę Olszańską, pokrewną pierwszej, nie czekając na to zezwolenia papieża. przywykły po żołniersku żądaniom swym zadość czynić, gdy mu biskup wileński ślubu dawać nie chciał,

znalazł Jana Kropidło, biskupa kujawskiego, mniej ściśle zważającego, który parę książeczą pobłogosławił. Po tym powtórny związek odpoczął nieco Witold, zajęły go więcej wewnętrzny kraju zarząd i myśli o przyszłości. W tym czasie koronował on w Wilnie carzyków tatarskich, przyjmował posłów czeskich, przynoszących mu koronę, której odmówił. Odrzucając ją jednak, dał Czechom ze swego ramienia Zygmunta Korybutowicza, za co mu potem Zygmunt, cesarzem zostawszy, odpłacił, podszczuwając na Litwę Krzyżaków. Ze wszech stron pracując nad skupieniem władzy w swoim ręku, Witold także metropolicie moskiewskiemu odebrał spod jego zarządu Litwę. Siedemdziesiątletni, po szczęśliwie na Psków i Nowogród ukończonej wyprawie i zawartym pokoju, uczuł on, że myśl rzuconą przed dwudziestą laty przez Zygmunta, a dojrzewającą od tego czasu, pora była spróbować przywieść do skutku. Do tego celu zmierzał i zjazd łucki, który zaraz opiszemy, zastanowiwszy się wprzód nad powodami jego i osobami w tym dramacie działającymi.

Cesarz Zygmunt, zawsze pragnący Polskę oddzielić od Litwy, aby te oba kraje osłabić i poróżnić, za późno brał się do wykonania zamysłów; wówczas nawet, kiedy pierwszy raz poddał myśl odłączenia się Witoldowi, zbyt już wielki był wpływ Polaków, aby tego można dokazać. A gdyby to nawet do skutku doszło, jakież nadzieje nadal? Bez potomka płci męskiej, ośmdziesiątletni Witold niedługo obiecywał władać Litwą, po nim znowu spadała skutek umów na Jagiełłę. Wiek późny i bezpotomność powinny były zrazić Witolda od starań o niezależną koronę, lecz duma jego była wielka; tej dumie, tej żądzy potrzeba było pokarmu, coraz nowego blasku, coraz nowych nadziei i nowych do zwalczania trudności.

Zygmunt już później w listach do Witolda pisanych wielkość jego wynosił, zřęcznie się dziwił, że taki bohater dobrowolnie się skazywał na zależność, nie chcąc sięgnąć po koronę; wspominał Mindowę i Gedymina, obiecywał nareście, byleby chciał Witold, podnieść go na królestwo i ułatwić drogę ku dostąpieniu tego dostojęństwa. Myśl ta, powtarzana często, przylgnęła do serca Witolda. Mając cesarza za sobą, począł już w roku 1428 czynić starania o przywiedzenie jej do skutku. Czują przyszły opór Polaków, którym bardzo szło o związek z Litwą, pomyślał, że aby im stawić czoło, potrzeba było pomocy hołdowniczych i sprzymierzonych książąt od Litwy zawisłych. W tym celu udał się Witold naprzód w podróż przez Królewiec, Brandeburg, Balgę, Elbląg, Marienburg, Mewę, aż do Swarnegastu, a w roku 1428 z Trok aż do Smoleńska pociągnął, spraszając po drodze wszystkich na zjazd do Łucka, odbyć się mający w miesiącu styczniu 1429 roku.

Pozorem tego zjazdu były sprawy wołoskie do roztrząsania między Zygmuntem a Jagiełłą i pogodzenie Krzyżaków z Polską i Litwą, do czego cesarz z dawna był arbitrem obrany. W istocie zaś, zwołując zjazd, chodziło o to Witoldowi, aby mu dozwolono koronacji na króla litewskiego; chciał tego i cesarz. W tych podróżach Witolda z wielkim i wspaniałym dworem odbytych, z żoną i wielą panami, towarzyszyli mu, jak wszędzie indziej, szpiegi polskie i krzyżackie. Tych ostatnich tajemnym był posłem na Witolda podróżnym dworze błazen w. mistrza, Henne, którego na żądanie w. księcia, objawione przez posła jego w Prusiech Nochsa, posłał mu bardzo chętnie mistrz Paweł von Russdorf, zalecając tylko błaznowi, aby mu donosił o wszystkim, co się będzie działo, układało, mówiło, w czasie podróży w. księcia. Ale Krzyżacy bynajmniej nie myśleli wówczas jednemu zajmującemu Witolda zamysłowi przeszkadzać; widzieli oni w tym, równie jak Zygmunt, gotującą się dla nich porę korzystania z zatargów, jakie się niechybnie między Polską a Litwą wyrodzić z tego miały.

Polacy już się przyszłych starań domyślali. Dawno duma Witolda lękać im się kazała, aby się od nich z Litwą nie odłączył, a mało polegać mogli na oporze ze strony Jagiełły, starego już, i słabego charakteru. Gotowali się więc sami Witoldowi opierać. Tymczasem czyniono wszelkie do zjazdu potrzebne przygotowania; obrał mu na miejsce Łuck na Wołyniu, serce swojej dzielnicy, Witold, dla bliskości od granicy zapewne. Niezmierne stada wołów, ogromne zapasy jadła i napojów z Polski, z Ukrainy, z Węgier tu sprowadzano, szły także wozy ładowne skarbami Witolda z Wilna i Trok.

Ówczesna obszerność Łucka, aczkolwiek bardzo znaczna, gdyż niektóre dziś wsi sąsiednie obejmowały w sobie, o czym dziś grzyzy odorywane i podania świadczą, szczupłą jednak była na pomieszczenie tylu spodziewanych gości: osobliwie, że od czterech lat dopiero, to jest od r. 1425, Łuck przeniesieniem katedry łacińskiej i stolicy biskupstwa z Włodzimierza w porządniesze miasto zmieniać się zaczął. Wprawdzie już w XIV wieku wielkim go zowie jeograf ruski, ale tę wielkość nadawał mu obronny Lubarta zamek, przed stem laty założony i wielkość chałupc, które się wkoło niego zgromadziły pod jego skrzydła. Nie było jednak gdzie dostojnych pomieścić przybylców. Zamki oba, górny i niższy, dla królów i książąt wyporządkowano, także dom biskupi i inne większe. Reszta, a mianowicie poczty panów szukać sobie musiały gospód w miasteczku u Żydów i Karaimów i po wsiach okolicznych. Obowiązek dawania gospód, powszechny w tym czasie po miasteczkach, dawał urzędnikom prawo wyrzucenia gospodarzy z ich domów, a w owym wieku wojen dla ludzi półwojskowych, zawsze z szablą u boku i na koniu żyjących, niewiele było potrzeba: tylko dachu dla zabezpieczenia od słoty i wichru, ogniska, żeby się ogrzać i szaty osuszyć, ławy na postanie lub trochy siana.

Wszyscy przyrzekli zjechać na styczeń do Łucka. Posłowie do Jagiełły z listami zapraszającymi pod pozorem wołoskiej i krzyżackiej sprawy takąż od niego przynieśli odpowiedź. Spodziewał się jeszcze Witold, prócz cesarza, Jagiełły i książąt z Rusi, króla duńskiego, mistrzów pruskiego i inflanckiego, posłów Jana Paleologa. Siwy i stary już w obliczu ich wszystkich Witold miał sprawę swoją wnieść, bronić jej i, jak sądził, zwyciężyć, bo kiedyż się los oparł jego potężnej woli i nieugiętej stałości?

Znany charakter Witolda, jego potęga, czyniły ten zjazd niezmiernie dla wszystkich zajmującym jako początek walki mającej się zawiązać słowami, a mieczem może rozstrzygnąć. Łatwo było miarkować, że [nie] odstąpi swego przedsięwzięcia, które żeby do skutku doprowadzić, tak z daleka i rozważnie się przybierał; łatwo także miarkować było, iż Jagiełło a bardziej senat i Polacy nigdy się na odłączenie Litwy nie zgodzą. Im wątpliwszy zatem, tym mocniej i niecierpliwiej oczekiwany był wypadek tego zjazdu. Uważano go za stanowczą chwilę, w której się miało nowe królestwo urodzić, unia dwóch państw rozerwać, wiodąc za sobą zapewne zmianę urzędów i polityki. Krzyżacy i cesarz, jakkolwiek husytów, Turków i Saracenów do wojowania mający, gotowi byli Litwie pomagać na Polskę, straszniejszą dla nich niż Litwa. Wszystko rokować się zdawało niechybną wojnę, którą tym pewniejszą i straszniejszą czynił charakter Witolda, dobrze już północnej Europie znajomy.

Litwa, o ile domyślać się można, życzyła sobie Witolda królem; gwałtowne jej połączenie z Polską, jakkolwiek bez wstrząśnienia przeszło, chociaż przyjęła narzucone sobie prawa, zwyczaje, rząd tego narodu, jęczała jednak skrycie. Nienawiść sąsiadów, wykarmiona w poprzednich najazdach i wojnach, daleko jeszcze była od zapomnienia. Wprawdzie Litwa dała króla Polsce, lecz z królem oddała siebie, a połączeniu temu poświęciła wiarę swoją, bogów, zwyczaje, które do reszty Jagiełło w Litwie, sam Witold na Żmudzi zgładzili, śladu dawnej wiary nie zostawując; poświęciła nienawiść swoją i podać musiała Polsce dłoń polską krwią zbroczoną. Spółcześni Witoldowi Litwini, którzy jeszcze Litwę bałchochwałą, lecz samoistną znali, że zgrozą widzieli przewrócony porządek, a kraj sąsiedni, z dawna nieprzyjazny, połączony tak przeważnie i dający prawa. Mała więc liczba przedniejszych Litwinów, która myśleć umiała (bo dla reszty stan kraju polityczny był obojętny), stała ze strony Witolda. Jego hołdownicy książęta ruskie i litewskie, chętnie by go byli królem widzieli, a chętniej jeszcze spodziewali się i wyglądali wojny, która wyniknąć mogła; ona im bowiem nastroczyć miała porę oderwania się także.

Najstraszniejsi zamiarom Witolda byli panowie polscy, przemożni słabością charakteru Jagiełły. Ci najlepiej widzieli, co by za koniec był odłączenia się Litwy przez danie korony Witoldowi; widzieli, że szło o rozbrat z Polską, prowadzący z sobą wojny i niepokoje; widzieli, że cesarz, Krzyżacy, Ruś podadzą rękę Witoldowi do rozszarpania Polski.

Spodziewał się z ich strony Witold najsilniejszego oporu, na ich ujęcie najwięcej się sposobił, nie przypuszczając nigdy, aby im miał ustąpić i swego nie dopiąć. Wdanie się cesarza poważne, własna natarczywość Witolda, miały słabego podbić Jagiełłę; wszak niedawno jeszcze rzucone przez w. księcia słowo o żonie mało jej życia nie pozbawiło. Lecz panowie Rady? Panowie radni, którzy niańcząc Jagiełłę, mieli go do Łucka prowadzić i tu za niego wojować?

Tuszył sobie Witold, wiedząc już, jakie mu trudności stawić będą panowie senatorowie polscy, że jego prośby, podarki, pochlebne obietnice wymogą na nich zezwolenie; że jedni groźbą, drudzy złotem się nakłonią, a reszta milczeć będzie i – nie pomagając – nie przeszkadzać.

Charakter tylko Zbigniewa Oleśnickiego niepomału go zastraszał. Na niego to najsilniejszych i wszystkich trzeba było sposobów, aby podbić człowieka, którego położenie czyniło niedostępnym przekupstwu i groźbie, a charakter prośbom i pochlebstwu. Gotował się Witold wspaniałością ich oćmić, grzecznością ułagodzić, podarkami ująć, a przyjaznych sobie Polaków użyć za pośredników. Spodziewał się pomocy od niechętnych królowi przeciwników prymasa i Oleśnickiego, znających się z dawnymi jego towarzyszami wypraw i przyjaciółmi Kobyleńskimi, Skrzyńskimi, Szamotulskimi, Kadłubskimi, Prekorą i innymi, na których działać mógł przez przywiązanie do swej osoby Polaków – Małdzyka i Cebulkę. Pierwszych dni stycznia, niecierpliwie oczekiwani, zjeżdżać się zaczęli nagle i tłumnie. Zamek i miasto pomieścić ich nie mogło, liczne dwory królów i książąt, mnóstwo panów i szlachty, o kilka mil od Łucka po folwarkach, wsiach i miasteczkach, w niedostatku gospód, rozpołożyli się. Dwór cesarza Zygmunta, cesarzowej Barbary (którzy najpóźniej, bo 22 stycznia dopiero przybyli), prócz książąt Rzeszy niemieckiej, grafów, panów węgierskich, Kroatów, Czechów, Rakuzan, pań i panią, odznaczał się wielką liczbą sług, pachołków, zbrojnych straży i dworzan.

Jagiełło wiozł z sobą żonę Zofię i synów. Jechali z nim synowie Ziemowita, książęta mazowieckie, którzy świeżo w Sandomierzu hołd mu byli złożyli, książęta lignicki, brzeski, pomorski, z senatorów zaś Wojciech Jastrzębiec, arcybiskup gnieźnieński, Zbigniew Oleśnicki, biskup krakowski, Jan Tarnowski, wojewoda krakowski, Michałowscy, Ostrorogi, Szamotulscy i wielu innych. Z Bazylim, księciem moskiewskim, wnukiem Witolda, przybyli metropolita Focjusz, książę Borys twerski, sprzymierzeniec Litwy, Oleg rezański i książęta Odojewskie. Od wielkiego mistrza wysłani byli komtur Balgi i rastemburski, przybył także w poczcie znakomitym inflantski mistrz Siegfired z zakonnikami, komandorami i wielkim orszakem. Przyjechał wygnany gospodar wołoski, Eryk, król duński, dla widzenia się z cesarzem i Witoldem, posłowie Jana Paleoga z Konstantynopola, dla spraw wschodu, carzykowie nareście zawołzski i perekopski, jako sprzymierzeńcy Witoldowi, z wielkimi poczty przystawili się.

Ksiądz biskup łucki, Jędrzej Spławski (czy z Pławka), z krzyżem stojąc w bramach miasta, gości wjeżdżających witał, a Witold przyjmował we wrotach zamkowych.

W tym tłumie przybyłych jak różne były interesa panujących i twarze ludzi, tak różne uczucia i wyraźna jedna ku drugim nienawiść. Ówczesny stan Europy tłumaczył nieprzyjaźń wszystkich prawie narodów. Ruś z Litwą i Niemcami, Duńczyk z Rzeszą niemiecką, Tatarzy z Rusią, Polacy z nimi wszystkimi mogliż się cierpieć i bracić? W całej Europie nie było pokoju. Zastraszający miecz Amurata, następcy Mohameda I, coraz to ścieśniał granice Cesarstwa Wschodniego, puściznę Paleologów, których tron podkopany, chwiejący, groził za chwilę upadkiem. Turcy, których potęga słabością cesarzów rosła, rozprzestrzeniaли swoje panowanie z zastraszającą szybkością. Próżno Jan VII Paleolog na soborach i przez posły do papieżów ofiarował połączenie Kościołów, błagając pomocy i zjednoczenia chrześcijańskich monarchów. Każdy z nich miał swoje pilniejsze sprawy do popierania lub osobistych do pokonywania nieprzyjaciół. Cesarz Zygmunt zaprzątniony myślą połączenia religijnego,

wojowaniem Turków, Saracenów i husytów, zgadzał się na żądanie Paleologa, na potrzebą krucjaty przeciw Turkom, która by go była uwolniła od uciążliwej pojedynczej z nimi wojny; lecz inne kraje nie miały interesu łączyć się do związku, a Polska i Litwa nie mogły do niego należeć, bo je łączyło przymierze z Amuratem, niedawno zawarte. Eryk, król duński, nie mający talentów wojennych i odwagi nawet, lecz niespokojny i burzliwego umysłu, toczył wojnę z książętą Rzeszy niemieckiej o księstwo holsztyńskie, z niewielkim powodzeniem, gdyż raz już o mało w swej stolicy pokonany nie został, gdyby go była śmiałość żony nie uratowała, za którą tak źle się jej potem wypłacił. Eryk więc także miał w Niemczech nieprzyjaciół i kraj do odebrania. Tatarzy i Ruś wzajemnie się lękali, przeczuwając, że ten przestrach inaczej się nie skończy, chyba podbiciem i zupełnym zniszczeniem. Już wówczas łatwo odgadnąć było, kto zostanie zwycięzcą. Krzyżacy zawsze do wojny gotowi i na łup chciwi, czekali i patrzyli tylko, skąd im się powód do wydobywania miecza z pochew poda; wrzały spory ich z Polską, pretensje do Litwy, łakomie poglądali na sąsiednią Ruś.

Zygmuntowi dokuczali husyci, których nie mógł pokonać; Turcy, którym sromotnie ustąpił niedawno. Jego zamysły zagarnienia Wołoch, odzyskania Ziemi Świętej, wyćpienia wszystkich herezji, rozdzielenia Polski i Litwy, nie dozwalały ani myśleć o pokoju.

Litwa tylko co z poszarpanych wprzód części sklejona, wielka, lecz różnorodna: od Rusi, od Tatarów, od Niemiec, sama od siebie lękać się musiała i nie zasypiać chyba z łukiem na pelcach, z szablą w ręku. Ruś bała się Tatarów i Litwy; na Zachodzie wrzała wojna Anglii z Francją, a Dziewica Orleańska, to cudo historyczne, niosła chorągiew zwycięstwa, z którą na stos męczeński wstąpić miała. Sobory kościelne florenckie, konstancjeński, tortoski, paryski, rygski nie mogły ustalić pokoju w Kościele. Liczba wiar rosła, a z Husa popiołów już zielenieć poczynają lata, które reformatorów nowych zrodziły. Prześladowanie, zawsze tak niebezpieczne nawracającym, i tu swój skutek przeciwny woli i nadziei robiło; Zygmunt, zbyt o wiarę, własną w niej widząc sprawę, gorliwy, chcąc usunąć religijne spory, jątrzył je i bezsilny z husytami się szamotał. Tak cała Europa wojną wrzała, albo obecną, albo oczekiwaną i wiszącą w chmurze, albo zawieszoną tylko i nie dokończoną. Zjazd więc łucki, prócz swojego własnego interesu, wystawiał jeszcze osobliwy obraz wrogów skupionych i ocierających się o siebie mieczów spokojnych na chwilę, które się podnieść miały wkrótce na karki współbiesiadników i ich braci.

Abyśmy później łatwiej sobie wytłumaczyć mogli osób działania i sposób ich postępowania, musimy choć w krótkości wystawić ich życie przeszłe i charaktery.

Cesarz Zygmunt Luksemburczyk, syn Karola IV, urodzony w r. 1368, obrany królem węgierskim w r. 1386, a cesarzem roku 1410 – w całym życiu swoim okazał się czynnym, śmiałym, przedsiębiorczym, chytrym, i tak stale do myśli swoich przywiązany, że nie uważał, gdy chodziło o ich dopięcie, na środki jakich używać musiał. Złych i dobrych chwycił się zarówno, byle na swoim postawić. Mając na sercu uspokojenie i zjednoczenie religijne Europy, zwołał on koncylium konstancjeńskie, na którym tak haniebnie, mimo zaręczenia swojego, dozwolił, starał się owszem o spalenie Jana Husa i Hieronima z Pragi, sądząc, że tym sposobem głowę husytom odciąwszy, czeskie rozruchy w zarodku zabije. Sławna była i charakterystyczna jego odpowiedź na żądanie Hieronima z Pragi, proszącego o list zaręczający mu swobodne przybycie na koncylium.

– Damy mu – rzekł Zygmunt – list zaręczający, że przybyć może, ale nie, że wróci nazad!

Taki sposób postępowania ściągnął na cesarza krzyk sumiennych nawet katolików, których nie zaspokajała wymówka, że nie ma obowiązku dochować heretykom wiary. Na tym samym zjeździe w Konstancji rozbierano zaskarżenia posłów żmudzkich, narzekających na ucisk od Krzyżaków, lecz mały był skutek, bo cesarz, przyjaciel Zakonu, co chciał, czynił w koncylium; starał się nawet, aby wyrzucono z niego Witolda i naganiono mu, iż brata swego, Korybuta, na króla Czechom naraił. Po zjeździe tym niezmordowany Zygmunt jeździł do

Paryża i Londynu, starając się do zgody religijnej i krucjaty na husytów namawiać, których z pomocą obcych mocarstw łatwiej spodziewał się uspokoić.

Jednakże czynny i przebiegły Zygmunt nie pokonał nawet ślepego Żyski, z którym nareście do traktowania musiał się zniżyć, a który wkrótce, szczęściem dla cesarza, umarł, polecając, aby ciało jego na pastwę ptakom rzucono, a skórę wyciągnięto na bęben samym odgłosem mający odstraszać nieprzyjaciół. W stosunkach swoich z Polską, nieprzyjazny jej w sercu, powierzchownie przyjaciel i pośrednik, wzbudzał powszechną nienawiść i nieufność przeciwko sobie, a jego sądy między Zakonem i Polską usprawiedliwiały te uczucia, którymi tchnęli dla niego wszyscy moi.

Jan VII Paleolog, cesarz wschodni, używający jeszcze próżnego tytułu tylko – Autokrator, Romajon, syn Manuela II i Ireny, nastąpił po ojcu w roku 1425; trzymał on jeszcze nachylające się już do upadku dziedzictwo Paleologów, coraz mocniej zagrożone przez Turków. Nie miał on prawie żadnego charakteru, a słabość jego tym wyraźniejszą była, im okoliczności ówczesne Cesarstwa Wschodniego cięższego wymagały. Już Mohamed I podbił był Serbię, Wołochy; Amurat – Cypr, Epir i inne prowincje, już coraz głębiej do serca dostawał oręż turecki, a cesarz cofać się tylko i ustępować przed nim umiał. Królowie, których pomocy na concylium błagał, głusi byli, prócz Zygmunta, a kiedy Amurat w r. 1422, następca Mohameda, posuwał się w szczątki cesarstwa, Paleolog tymczasem w zagrożonej stolicy myślał o swoich żonach, z którymi ani żyć, ani się rozstać nie umiał. Ożeniony z Marią Komnen, córką króla Trebizondy, powtórnie, wymawiał się przed swymi panami, iż żyć nie mógł z pierwszą swą żoną Zofią, margrabią Montferratu, dla jej niesłychanej brzydkości przenosząc klasztor nad nią; jednakże ułagodzony potem, wrócił do niej znowu. I to maluje człowieka.

Eryk, duński, szwedzki i norwegijski król, dawniej Henryk, ks. pomorski, Marii księżnej meklemburskiej i Wratysława księcia pomorskiego syn, po matce Marii, która była córką Henryka meklemburskiego, z siostry Małgorzaty, królowej duńskiej, prawo do tronu odziedziczył. Małgorzata przyznała go po sobie następcą trzech koron. W roku 1406 ożeniwszy się z Filipiną, córką Henryka IV, króla angielskiego (po której wziął w posagu największy znany medal złoty, kilkanaście tysięcy sztuk złota wagi), koronowany był królem szwedzkim w roku 1411 i zaraz czując w sobie podżeganie niespokojnego ducha, niewdzięcznością i wojną Małgorzacie się wypłacić, podniósłszy przeciw niej oręż. Ona, nim się ten spór rozstrzygnął, umarła i zostawiła go po sobie następcą. Tym sposobem dawniej jeszcze na unii kolmarskiej w roku 1397 przyznany dziedzicem trzech koron wstąpił na tron. Niespokojny, zaczął się zaraz dobijać o księstwo holsztyńskie, postępując sobie we wszystkich wypadkach tak, że tylko bezsilności charakteru, okrucieństwa i niespokojności umysłu dowiódł. Zarzucano mu nie bez przyczyny wycięcie w pień mieszkańców wyspy Femeren, rzucanie się bezrozumnie o pomoc na wszystkie strony, wyniszczenie kraju podatkami do tego stopnia, że pieniądze cynowe bić poczęto, zniechęcenie wszystkim uciskiem, znalezienie się tchórzowskie w czasie oblężenia Kopenhagi w r. 1428, kiedy zamkniętego w klasztorze i zropanego przytomność umysłu żony ratowała, niewdzięczność nareście dla niej i zamknięcie w klasztorze Wadstenu. Wszystko to maluje Eryka jako niespokojnego a bezsilnego człowieka. Sprzymierzeniec Polski i Litwy, gdyż równo z nimi nieprzyjacielem był książąt Rzeszy, wspomaganych i wspomagających Krzyżaków, nie miał innego celu w tym przymierzu nad swoje dobro i myśl, że nim nieprzyjaciół swoich zastraszy. Lecz ci wiedząc dobrze, że Polska i Litwa nadto jest sobą zajęta, żeby go wspomagać mogła, nie lękali się ani przymierza, ani Eryka.

Znamy już charakter słaby Jagiełły, a silną wolą Witolda. Mistrz krzyżacki ówczesny, Paweł von Russdorf, według kronikarzy był więcej pokoju niż wojny człowiekiem. Ścisłe połączony interesami Zakonu z protektorem jego Zygmuntem, wysłał posłów do Łucka w nadziei, że jego sprawę i cesarz, i Witold nawet, naówczas Zakonowi dość skłonny, popierać

będą. Wiedział mistrz o wszystkich cesarza zamysłach, gdyż posłańcy Luksemburczyka, Żydzi i szpiegi w zebraczym odzieniu krzyżowali się nieustannie z listami przez Polskę i Litwę, nosząc wiadomości obu stronom. Jeden taki wysłaniec umarł był niedawno w Koninie (w Wielkiej Polsce) a przy nim listy cesarskie znaleziono, co Polaków na nowo oburzyło przeciwko Zygmuntowi. Mistrz inflantski Siegfried Landorf, hrabia von Spanheim, człowiek rozwiązy i zuchwały, więcej z konieczności niż w myśli politycznej na ten zjazd przybywał.

Przy Witoldzie znaczniejsi byli: Jan Gastold, nieodstępny jego z księciem Algimundem towarzysz wypraw, podróży i wojen. Ten ostatni, spowinowacony z Witoldem przez żony, był dla niego niezłamanej wierności. Rombowd, jeden z litewskich marszałków i hetman, który się był odznaczył w wyprawach 1407 i 1409 roku, a teraz miał odbierać Krzyżakom Żmudź, od której ich, acz przyjazne, odsądziło koncylium w Konstancji, Siemion, książe z Kobiela, powiernik zaufany, Cebulka, pisarz, i wiele innych.

Dwór Jagiełły, liczniejszy, poważniejszy, a co najwięcej – bardziej stanowiący był na tym zjeździe, gdyż senatorowie przybyli więcej od samego króla czynnymi być obiecywali. Na czele ich dostojnością stał Wojciech Jastrzębiec, arcybiskup gnieźnieński, prymas, człowiek z niskiego stanu zbiegiem okoliczności, giętkością charakteru na pierwszą godność duchowną królestwa wyniesiony. Urodził się on we wsi Łubnicy z ubogich rodziców Dersława i Krystyny, lecz znać, że wcześniej okazywał dobre usposobienia, gdy ojciec oddając go do szkoły przy farze bensowskiej na naukę, tak do niego przemawiał:

– Oddaję się synu, nie między żaki, do szkoły, ale w poczet biskupów, do którego dojść powinienes. Pamiętaj tylko, abyś, zostawszy biskupem, o twoim terażniejszym stanie nie zapomniał, w którym zostawujesz i mnie, i matkę, i braci, i siostry swoje. Nędza, w której się urodził, tak była wielką, że ci przy największych dostatkach z pamięci nie wyjdzie. Gdy więc zostaniesz biskupem, dla mojej to uczyn pamięci, a zmuruj kościół tu, gdzie cię do szkół oddaję.

Dziwna rzecz, z jaką pewnością przyszłego wywyższenia ojciec do syna przemawiał i jak się ta jego przepowiednia ziściła. Wojciech bowiem po stopniach z dziekana krakowskiego i proboszcza poznańskiego infułat poznański, w r. 1399 w Bensowie dawnej szkółce swojej zrzucił drewniany, a murowany kościół postawił, w roku zaś 1407 przy nim zakonników ś. Pawła Pustelnika fundował. Prócz tego liczne poczynił fundusze w Poznaniu i Warszawie. Lecz nie wszystko w jego życiu godne pochwały: wyrzucie z biskupstwa poznańskiego Piotra Wissa w r. 1412 i przywłaszczenie go sobie, które koncylium konstancjeńskie zganiło, ulitowawszy się nad biednym Piotrem; zbyteczna żądza wyniesienia się i z bogacenia, uległość wyższym aż do pochlebstwa kaziły go. Liczna familia Wojciecha obsiadła go, a on ją podtrzymywał i wspomagał, gdyż główną i jedyną myślą jego życia było podniesienie jej i wywyższenie z tej nędzy, w jakiej przeżył młode swoje lata. Brat jego Ścibor, wojewoda łęczycki, miał dwudziestu synów, z których ośmiu na wojnach z Krzyżakami poległo, a dwunastu pozostałych losem zatrudnił się prymas, i wszystkich prawie na kasztelańskich krzesłach poosadzał. Dla pamięci zaś, od nazwania swego herbu, jednego z najstarożytniejszych w Polsce, założył, objąwszy już po śmierci Piotra Wiss, biskupstwo poznańskie, miasteczko Jastrzębie na wyciętych lasach i trzebieżach w ziemi do biskupstwa należącej. Nagłe z bogacenie arcybiskupa i podniesienie jego familii z ubogiej szlachty na senatorskie krzesła dawały powód do rozmaitych posądzeń. Między innymi chodziła wieść u ludu, że na swoją korzyść przywłaszczył skrycie skarby królów polskich złożone w Poznaniu, o których mu dał wiedzieć wikariusz tumu poznańskiego. Gdyż wikariusze z kolei po sobie następujący podawali sobie straż tych skarbów i wiadomość o miejscu, w których były przechowywane. Nie wchodząc w to, czyli go słusznie albo nie posądzano o przywłaszczenie skarbców, to pewna, iż wszystkie czynności arcybiskupa malują jego chciwość, skąpstwo, wylanie się dla familii, którą podnieść usiłował, a razem uginanie się i uchylanie przed możliwymi, tak, że w okolicznościach, w których zrobić mógł sobie nieprzyjaciół otwartym a

szlachetnym wynurzeniem swego zdania, zawsze szedł środkiem, aby nikogo nie dotknąć. Rozsądek jego i biegłość dopomagały mu do odegrywania tej trudnej roli, mianowicie w sprawach dzielących panów senatorów. Prymas, sądząc o rzeczach wielostronnie, tak je umiał pod wszystkimi względami przedstawiać, że trudno było odgadnąć, której stronie sprzyjał, a której był przeciwny w duchu. Od niego Witold najmniej się spodziewał oporu, będąc pewny, że starca zastraszyć potrafi lub ująć tak, aby przynajmniej nie szkodził.

Całkiem inny był charakter Zbigniewa Oleśnickiego. Ten ze znacznej i bogatej rodziny, z żołnierza ksiądz dopiero po roku 1410, zaczawszy życie od szabli i bitwy, gotów był zawsze śmiało przeciw wszystkim za zdanie swoje wojnę prowadzić. Wyniesienie swoje winien on był osobliwшему zdarzeniu, w którym losem życia Jagiełły ocalał pod Grunwaldem, gdy Krzyżak Dypold Kikerytz napadł na niego. On choć złamaną tylko kopię miał w ręku, tak silnie go nią uderzył, iż Krzyżak spadł z konia, a król go tymczasem i otaczający dobili. Chciał natychmiast Jagiełło rycerzem go pasować, ale Zbigniew oświadczył, że nie żołnierzem króla, tylko rycerzem Chrystusowym być żąda. Na tej więc obranej przez niego drodze, pamiętny wypadku, posunął go Jagiełło i osypał łaskami; z proboszcza Ś. Floriana w Krakowie i kanonika krakowskiego w r. 1423 został biskupem krakowskim. Ale wywyższenie i łaski nie ugięły, nie zmiękczyły jego żołnierskiego charakteru duszy. Śmiały aż do zaślepienia się na niebezpieczeństwo, uporczywy, zuchwały, gdy o utrzymanie zdania lub o dopełnienie obowiązku chodziło, ani na króla, ani na nikogo w świecie nie zważał. W rzeczach wiary tyjących się gorliwość jego dochodziła do najwyższego stopnia. Prześladowaniem sekty husytów zmusił się do zupełnego opuszczenia diecezji krakowskiej, a gdy posłowie czescy, Jana Husa zwolennicy, po śmierci Wacława przyjechali do Krakowa ofiarować koronę Jagielle, on dla ich przytomności w tym mieście rzucił interdikt na Kraków, zamknął kościoły, a choć wielkonocne następowały święta, sam do miasta na nie nie przybył, oleje święte konsekrował w Mogile pod Krakowem, i nie wrócił do stolicy, aż po ich wyjeździe.

Król, co go swymi rękoma wyniósł, obawiał się jego nieugiętej stałości. Oleśnicki bowiem, gdy raz zasłyszał, że wojska wracające z wojny rozłożyć się miały w dobrach duchownych, nie żartem klątwą królowi pogroził. W Budzie roku 1419, jeszcze biskupem nie będąc, tak ostro się cesarzowi Zygmunutowi, posłany od króla, stawiał, tak surowo przymawiał, iż potem uciekać musiał, bo go Niemcy zabić chcieli. Spytką z Mielsztyna wyklął za herezję, nie zważając ani na ród jego, ani na związki. Przy tym szczodry i śmiały, jednał sobie serca gminu otwartą dłonią lub strachem je podbijał, nie cierpiąc żadnego oporu od nikogo. Liczną otoczony rodziną, osypyany bogactwami, hojnie dary rozrzucał dokoła. Katedrze swej sprowadził drogie relikwie; w Nowym Sączu psotawił kolegiatę; w Pińczowie swym paulinów fundował; zamek dla brata zmurował z ciosu, założył szpital w Bożęcinie, Piotrkowie, Biskupicach, Iłży, w Siennie dziedzicznej. Po dobrach biskupich pałace stawiał; Akademii Krakowskiej przekazał swoją bibliotekę, mnóstwo domostw po kraju swoim kosztem powznosił, dworów, pałaców, kościołów, a prócz tego krewnych swych pobogacił. Tak mu się zapłaciła owa strzaskana na Krzyżaku kopia. Przez krewnych swych i przez związki z Ossolińskim (za jednym bowiem z nich była siostra jego, Pachna) miał liczne i silne w kraju stronnictwo. W jego rodzinie śmiałość krwią jakby przechodziła. Dobiesław, synowiec jego, lwu rozjuszonemu omal paszczęki nie rozdarł, jak drugi Samson.

Możnaż było tak silnego, możnego, znaczącego a nieugiętego zastraszyć, tak bogatego uwieść, tak upartego uprosić? A jednak Witold zabierał się stawić mu czoło.

Jan Tarnowski, Spytków mielsztyńskich potomek, który pierwszy zwać się z Tarnowa począł, przybywał także z Jagiełłą. Ten, acz Zbigniewowi nieprzyjazny, ale gorliwy o dobro kraju senator, śmiały niegdyś obrońca Podgórza, wielki nieprzyjaciół cesarza, człowiek możny i znaczący, nie ustępujący nigdy i nikomu, postrach Jagiełły, którego często pozwalał sobie strofować, nie był do pozyskania żadną miarą. Inni panowie radni, mniej samo przez się

znaczący, mieli się wedle wszelkiego podobieństwa przyłączyć do zdania większej liczby. Ci byli: marszałek koronny Jan Głowacz z Oleśnicy, kanclerz Jan Szafraniec Starykoń, Mikołaj Michałowski, wojewoda sandomierski, Sędziwój Ostrorog, Dobrogost Szamotulski, generał wielkopolski, który z innymi tej rodziny byli towarzyszem wypraw Witolda, mianowicie owej nieszczęśliwej w roku 1399 bitwy nad Worskłą.

Gdy wszyscy już się zjechali, długo, dwa tygodnie jeszcze oczekiwano na cesarza, który nareście wjazd do Łucka wspaniały odprawił d. 22 stycznia, przyjęty radośnie i ze czcią wielką przez Witolda. Porządek zasiadania oznaczono taki, jaki zachowany był na weselu Zofii, żony Jagiełły, to jest: cesarz na pierwszym miejscu, jako król rzymski i tytularny zwierzchnik panujących wszystkich; przy nim z prawej strony Jagiełło, z lewej Eryk; dalej za Jagiełłą duchowni, za królem duńskim książęta.

Codzienne potrzeby kuchni Witoldowej w Łucku, która karmiła wspaniałe tylu przybylców, cytują nasi kronikarze za dowód dostatku, a razem jako przekonanie o liczbie gości. Szło codziennie na wykarmienie ich siedemset wołów i jałowic, co dzień tysiąc czterysta baranów, po sto żubrów, łosi i dzików, prócz innego jadła. Wypijano w dzień siedemset butelek miodu, wina, małmazji, piwa i innych trunków. Porachujmy, iż taka uczta trwała przez siedem tygodni. Witold o królewską dobijając się koronę, po królewsku sobie poczynął. Cały jego skarbiec, w którym nagromadzone były łupy po tylu wrogach, daniny tylu hołdowników, mienie tych, których wyrzucił z orężem pokonał i ze wszystkiego wyzuł, zbiory rządców, zrzucanych i odzieranych przez niego, gdy się na wielkorządztwach zbogacili; cały ten skarbiec otwarty był na przyjęcie gości w Łucku, na ujęcie ich podarkami, zaćmienie wspaniałością.

Pierwsze zejście się cesarza i Jagiełły zdawało się być dalekim jeszcze od tego, do czego zjazd rzeczywiście zmierzał. Chcąc się okazać obrażonym, a przeto nabrać prawa do wymagania jakiegoś rodzaju odpłaty po Jagiellie, cesarz przy pierwszym widzeniu się zaczął od wymówek dotyczących wojny włoskiej. Nieszczęśliwie pobity w Bułgarii, swoją klęskę złożył Zygmunt na niedotrzymanie obiecanych z Polski posiłków. Lecz Jagiełło wcześniej nauczony, jak się ma tłumaczyć, odpowiedział stanowczo, że posiłków nie przyrzekał, a jednakże, jakie mógł, wojsko wysłał, które czekało na cesarza nad Dunajem u Brajlowa, a czekało zawiedzione na próżno, gdy on tymczasem w Czechach gościł; że zatem raczej Jagiełło miałby prawo wymawiać Zygmuntowi, czemu na próżno, a tak długo wojska jego stały i czekały. To była pierwsza scena dramatu. Wówczas objawiły się dopiero zamysły cesarza, a wśród nich piekielnie podżęgać on zaczął Witolda, aby wniósł swoją prośbę o koronę litewską. Tymczasem, nie wspominając o tym jeszcze przed Jagiełłą, rozwinął tylko swoje plany, doradzając zawrzeć przymierze z Polską i Litwą i prosząc pomoc na husytów w Czechach i na wojowanie Turków i Saracenów. W nagrodę obiecywał cesarz podzielić się zawojowaną Wołoszczyzną. Jagiełło wziął to na rozwagę, a raczej z doradzaniami udał się posłuszny do swoich senatorów. Ci mu nazajutrz podyktowali odpowiedź, a Jagiełło zimno ją cesarzowi przełożył.

– Że Wołoszczyzny rozbierać nie chce, lecz bronić jej raczej myśli, jako zasłony od Turka, że z Turkiem trwa przymierze, którego inaczej łamać nie chce, a na kraj swój ciężaru wojny sprowadzać; chyba wszyscy królowie chrześcijańscy ruszą się wspólnymi siłami na niego. A wówczas i Jagiełło stanąć z nimi ofiarował się, nie patrząc przymierza.

Ukrył cesarz przykre wrażenie, jakie na nim ta odpowiedź sprawiła; widział w niej niechęć ku sobie, rady Oleśnickiego, którego z dawna nienawidził, ale nie pokazał nic po sobie. Grzeczny i spokojny z Jagiełłą, na boku tajemnie się schodził z Witoldem i ciągle mu doradzał korzystać z tego zjazdu, wnosząc mowę o koronę.

Mimo największej żądzy wahał się to Witold sam uczynić, a tajemne narady zawarły się postanowieniem, że cesarz pierwszy ma wnieść propozycję. Przyjął na siebie Zygmunt ten obowiązek, bo czuł, że takim wnioskiem dopieczę Jagiellie i Polakom, a tego tylko żądał.

Zatem umówiono schadzkę, na której, prócz Jagiełły, znajdował się tylko cesarz i cesarzowa. Przekonywujące słowa kobiety miały się przyłączyć do przebiegłych rozumowań Zygmunta i podbić na stronę Witolda słabego Jagiełłę.

Stary król słuchał, leżąc w łóżku, ulegle i cicho, nic nie odpowiadając. Nie było nawet można poznać, co myśli.

Zygmunt tymczasem dowodził mu, jak Litwa tytułem królestwa wysoko się podniesie, jak Witold godzien jest korony, jak wreszcie mało to pozorne odłączenie się szkodzić Polsce może, gdy Witold ośmdziesiątletni i bezpotomny. Milczał na to Jagiełło, i jak zawsze – tylko odpowiedział w końcu, że nic bez narady panów polskich nie uczyni. Tak się ten pierwszy krok skończył.

Cesarz zaś zaraz Witoldowi jął przekładać tajemnice, iż nie potrzebuje u nikogo się więcej starać, prócz niego; że on takie ma prawo wznoszenia na królestwa, jak papież, i że bez papieża uczynić może. Czule Witold dziękował za rady i obietnice, lecz niecierpliwił Zygmunta jedną a jedną odpowiedzią, że bez zezwolenia Jagiełły nic czynić nie chce. Niezupelnie był bowiem rozjątrzony i miał nadzieję za zgodą wszystkich otrzymać koronę.

Przyszła dzień stanowczy wielkiej rady senatorów, na którą żądanie Witolda wnieść miano. Cesarz niecierpliwie skutku wyglądał i może miarkując, jak to rozjątrzy Witolda, namówił go, aby się sam na radzie znajdował.

Dał sobie ten najniepolityczniejszy krok wmówić Witold i zamiast wysłać zimnego człowieka, który by sprawę jego wyłożył i zalecił senatorom, sam stanął sobie zalecać, wynosić swoje życie i wielkość swoją jął wystawiać. Słuchano go niecierpliwie.

Gdy skończył, pierwszy z senatu ozwał się ze zdaniem Wojciech Jastrzębiec. Był on przeciw koronacji i odłączeniu Litwy, lecz mowa jego była tak zręczna, tak obrotna, tak ułożona mądrze, iż ją dwoiście tłumaczyć było można. Biskup wysilił się, aby przeciwić się Witoldowi, nie narazić mu jednak, a jemu pobłażając zbytecznie, nie zniechęcić ku sobie panów współsenatorów; toteż to, co rzekł, żadnego prawie nie sprawiło skutku na słuchaczach, i Witold milczał.

Powstał potem Zbigniew Oleśnicki i z otwartością zadziwiającą, z zimną krwią nieporuszoną wywiódł, kto dał tę radę, jaki ona cel miała, jak obu krajom szkodliwą była, usiłując je rozdzielić, rozerwać, rozbratać. Pokazał, że w tym jeden cesarz miał tylko interes, że jest zdrada w radzie – frigidum latitare anguem in herbis. W też słowa prawie i w to samo zdanie mówił Jan Tarnowski i inni panowie radni.

W czasie ich mów płoni się Witold i rzucił, zaledwie umilkli, zerwał się z miejsca i zgrzytając zębami, trzęsąc się z gniewu, podnosząc rękę i grożąc pięścią, zawołał nieprzytomny:

– Zrobię i bez was, co zechcę, a postawię na swoim! – Potem wybiegł z sali i udał się prosto do cesarza.

Te słowa Witolda, wyrzeczone w gniewie, były jakby wypowiedzeniem wojny, jakby wyzwaniem do niej. Zaledwie drzwi się za Witoldem zatrzasły, senatorowie do Jagiełły przystąpili i gwałtownie na niego napadli: – Dlaczego w swoim kraju dozwala przebywać nieprzyjacielskiemu monarsze, z nim pod jednym dachem mieszka, radzi się i układa.

– Te nowe trudności, to podburzenie Witolda, jemuśmy winni – dodali.

– Wygnać go stąd nie mogę – odpowiedział Jagiełło – ale sam wyjadę.

Gdy więc na postanowienie senatorów zzymają się cesarz i Witold, Jagiełło tymczasem z senatorami, z żoną, dworem i wszystkimi swymi do nagłego sposobu się wyjazdu, nie żegna nawet Zygmunta, i rankiem nazajutrz z zamku łuckiego sunie się orszak milczący nazad do Polski. Zgrzyta z gniewu Witold, śmieje się cesarz w duchu.

Tu już, jak gdyby zjazd miał się ukończyć, chociaż na nim niewiele spraw roztrząsano, i inni książęta, posłowie, wybierać się zaczęli. Utrzymał tylko Witold cesarza, od którego obietnicę nadesłania korony i dyplomatu odebrał. Uczty, biesiady, zabawy, trwały bez

ustanku na dworze, co dzień nowe Zygmunt odbierał podarki, co dzień nowe Witold obietnice. Wreście do dawniejszych kosztownych osobliwości dodawszy jeszcze róg tura w złoto oprawny z zabitego przez Gedymina na Swentorozie zwierza, odprawił Witold cesarza, w najmocniejszym trwającym postanowieniu, aby od swego zamiaru nie odstąpić, nie dać się pożycić niczym i przy swoim utrzymać.

Tak się ukończył ów zjazd łucki, lecz nie rozpoczęte starania o koronę, które się do śmierci Witoldowej przeciągnęły.

Nie tracąc czasu wysłał Witold dwóch swoich powierników, Gastolda i Rombowda, na mający się odbyć zjazd w Korczynie, w nadziei, iż w większej liczbie głosów znajdzie się więcej na jego stronę przekupionych Polaków, którzy za nim przemówić się odważą. Może dlatego właśnie, gdy Gastold i Rombowd przypuszczeni zostali i rzecz swoją na radę włożyli, nic im publicznie nie odpowiadano, przyrzekając przez umyślnych do Witolda posłów przesłać odpowiedź.

Na tych obrani zostali ze zjazdu Zbigniew Oleśnicki i Michałowski. Z ich imion, a mianowicie pierwszego, łatwo się domyślić, jaką nieśli odpowiedź. Mieli oni polecenie wystawić Witoldowi niebezpieczeństwo tego kroku, który przedsięwziął i wszystkie jego skutki dalsze. Oleśnicki nawet, uniósłszy się popędlivością zagroził Witoldowi wojną otwartą, jeśliby nie porzucił starań o koronę. Ale Witold nie zląkł się pogrozek i nie ustąpił; owszem, rozjątrzony, jeszcze żwawiej nad uzyskaniem korony pracować zaczął, a na przypadek zapowiedzianej wojny poczynił kroki do przymierza z Zakonem. Spodzielając się jednak, że złotem panów polskich przekupi, nowe ze skarbcu wysłał im podatki tajemnie; starając się o nowych przyjaciół Zakon gotów był do przymierza z Witoldem, ale szafunek skarbcu w celu przekupienia senatorów polskich był próżny. Niewiele mogło stanowić milczenie obojętne zapłaconych, nadto oczewisty był interes polski, ażeby się kto ośmielił otwarcie w senacie mówić za Witoldem. Całe działanie przekupionych ograniczało się szpiegostwem, doniesieniami, listy tajemnymi i milczeniem w radzie. Zmniejszając liczbę przeciwników, nie usuwał Witold trudności, zostali bowiem zawsze najstraszniejsi na czele, których nie można było ująć ni zastraszyć.

Nowy sejm we wrześniu do Sandomierza zwołany; na nim znowu tę najpilniejszą wówczas sprawę roztrząsano i powtórnie postanowiono wysłać posłów do Witolda, który myśli swej nie porzucił. Zbigniew Oleśnicki i Jan Tarnowski, oba naczelnicy przeciwnego stronnictwa, wyprawieni do Litwy. Już nie próbując wcale zastraszać ich wojną i zemstą rzucił się do drugiego sposobu w. książę, do łagodności, pochlebstwa i prośby. Jakoż zdawali się posłowie zmiekczać nie w rzeczy, lecz w sposobie traktowania. Próżne były narady, gdy nikt nie ustępował od swego, odjechali, nic nie zrobiwszy. Witold już dobrze zmiarkowawszy, że próżno nadal traktować i skutku się spodziewać, z cicha, lecz w obliczu wszystkich do wojny się gotował. Bali się jej polacy, chciał uniknąć Jagiełło, wszyscy Witoldowe męstwo znali i przewidywali, że jeśli podaje się oręż, znajdzie łatwo pomocników w Zakonie, cesarzu, Tatarach i sprzymierzeńcach z Rusi. Chcąc zatem rzecz, inaczej ją obracając, załatwić spokojnie, Jagiełło zgodził się już na koronę, lecz nie litewską, i stary, znużony, otoczony działwą, oświadczył, że się polskiej dla Witolda zrzecze. Senat koronny, co dziwniejsza, zgodził się na to, znać czuł gwałtowną potrzebą ukończenia jakkolwiek z Witoldem.

Nim posły do Witolda z tą nową propozycją przybyli, już o tym był uwiadomiony, gdyż go wrześniem przekupione szpiegi o każdym niemal słowie, które w tej sprawie wyrzeczono, uwiadomiły. Wiedział i myślał, i wahał się. Dwa były przyjazne mu stronnictwa w Polsce. Jedno z nich wyrobiło dla niego ofiarę korony polskiej, drugie, zdradliwie namawiało go, aby stał przy swoim i że, gdy mu już po trochu ustępować zaczynają, w końcu i litewskiej dozwolą. W istocie najniepolityczniejsza była ta propozycja, bo odkrywała, że Polska bała się wojny i gwałtownie kończyć chciała. Listy drugiego stronnictwa, dając Witoldowi nadzieję, że przemoże opór senatu, utrzymały go w postanowieniu odrzucenia polskiej korony, a stania

przy litewskiej. Tymczasem cesarz zawsze najlepiej umiemy wybrać chwilę, wiedząc go rozjątrzoną, czując przygotowania do wojny, o których go krzyżacy posłańcy uwiadomili, wysłał swoich posłów do Witolda. Zdało się Zygmuntowi nie bez przyczyny, że w tej chwili najłatwiej na rozjątrzoną przymierze wymoże, które Witold mógł zawrzeć choćby tylko dla postrachu na Polskę. Przywieźli posłowie Zygmunta w darze Witoldowi smoka lanego ze złota i srebra, przekładali projekt przymierza, a podarek za znak jego podawali.

Tyle jednak miał przebiegłości i panowania nad sobą Witold, że się jeszcze całkiem nie rzucił na stronę cesarza i przymierza nie zawarł. Prywatnie tylko posłom odpowiedział, że dar jako ofiarą przyjacielską przyjmuje, nie zaś jako znak przymierza. Na publicznym zaś posłuchaniu, nie zważając nic na opór Polaków, już wyraźnie sam tylko swoją wolą się rządząc, oznaczył dzień koronacji w r. 1430, 16 września.

Jagiello z narady panów, chcąc jeszcze zapobiec koronacji, udał się w prośby do papieża Marcina V. Naruszenie władzy papieskiej i prerogatywy, po której część sięgał Zygmunt, chcąc sobie wolność koronowania królów bez dołożenia się Stolicy Apostolskiej przywłaszczyć; cała ta sprawa bez wiadomości papieża osnuta i do skutku przyprowadzająca się dawała nadzieję, że papież na żądanie Jagielly sprzeciwi się koronacji Witolda. Tak się też stało. Dane zostały listy do cesarza, aby nie pomagał Witoldowi, do Witolda, aby nie żądał i nie starał się o koronę. Lecz nim list papieski, mogący, jeśli nie zupełnie wstrzymać, to przynajmniej koronację utrudnić, doszedł do cesarza Zygmunta, już korona i dyplom, wysłane zostały Witoldowi, już Baptyst Cygalla i Zygmunt Roth Szlązak posłowie od cesarza do Witolda z listami wyjechali.

A Polska wrzała tymczasem gniewem i zabierała się siłą opierać; niektórzy zasadzili się, aby schwytać w drodze posłów. Czarnkowski, podkomorzy poznański, przejął ich na pograniczu, listy im odebrał, ale nie zastanowiwszy się, puścił wolno w głąb kraju.

Przejęte listy były wielkiej wagi. Cesarz w nich dowodził swego prawa koronowania królów bez dołożenia się Stolicy Apostolskiej, oznajmował Witoldowi o wysłanej już koronie, a upornie stojąc przy zawarciu przymierza, jako przy swojej nagrodzie, łączył projekt traktatu: Litwy, Węgier, Prus i Infant.

Jakim strachem nabawiły Polskę przejęte listy, nie podobna opisać. Cała Wielkopolska rzuciła się do szabel, w pędzie po gościńcach poczyniono zasadzki na posłów z koroną. Czarnkowskiego, który przejął posłańców pierwszych, chorego, zastąpili, już, czynniejsi jeszcze Sędziwój Ostroróg i Dobrogost Szamotulski. Ci wszystkie drogi najstaranniej osadzili, a uwiadomiony o tym cesarz i jego posłowie z Frankfurtu nazad powrócić musieli.

Tymczasem nieugięty Witold siedział w Wilnie i czekał tylko na koronę i dyplom, sprosiwszy na obrzęd koronacji wielu dostojnych gości, wprzód na zjeździe w Łucku przytomnych. Teraz już przez upór i chęć postawienia na swoim, aby się w oczach świata pokonanym nie pokazać, wiódł do końca starzec ośmdziesiątletni przedsięwziętą myśl, wyężdżając wszystkie siły na jej dopięcie.

Zjechali się do Wilna: w. książę moskiewski, twerski, książę Odojewski, Paweł von Russdorf, mistrz pruski, inflantski Siegfried, komturowie i książęta Rzeszy, carowie tatarscy zawołoski i perekopski z murzami i hułany. Wstydział się i gryzł Witold, widząc się zawiedzionym, lecz udając wesołość, rozgłaszał wieści o idącej koronie, biesiadami i pańskim przyjęciem gości ujmował, a do domów nie rozpuszczał. Nareście w końcu września, zawiedziony, zgryziony, znużony, dręczony niepokojem i gniewem, przy odjeździe gości zaczął na zdrowiu upadać, lecz nie na umyśle, nie na woli.

Czuł on dobrze, jak Jagiello jest słaby, jak łatwo powodować mu się daje; chodziło o to, aby go zwabić do Litwy. Udając więc, że zamiaru odstąpił, odrzekł się zupełnie, poufałego swego Mikołaja Małdrzyka z Kobiela wysłał do Jagielly z prośbą, aby przybył do Wilna dla ważnych spraw, obchodzących oba kraje, a razem dla rozrywki i łowów. Zнали dobrze Polacy

Witolda i już mu nie wierzyli, znali Jagiełły starość, i samego do Litwy puścić nie chcieli, boby z nim Witold zrobił, co chciał.

Dodani więc Jagielle senatorowie, a między nimi i Zbigniew Oleśnicki, ten najstroższy nieprzyjaciół Witolda.

Witold wspaniale przyjął Jagiełłę na granicy i do Wilna wprowadził, a nie tracąc jeszcze nadziei ujęcia Oleśnickiego, posłał mu naprzód dary, prośby, wręcić groźbę złożenia go z biskupstwa. Wszystko na próżno; Oleśnicki dary odrzucił i odpowiedział posłanym, że Witolda uznaje godnym korony, lecz nie w takich okolicznościach i nie tej.

– Co się mnie tyczy – dodał – nic mi nie zwróci z drogi raz powziętego przekonania.

W Wilnie też sama jeszcze była natarczywość Witolda względem Jagiełły i senatorów, osypywał ich podarkami, lechtał pochlebstwem nawet: ta myśl korony tak się go była wzięła, iż jej odstąpić ani nawet przypuścić jej odstąpienia nie chciał. Już popierając swą sprawę Witold nie swoje czyny, lecz ujmę na sławie, jaką poniesie, ustępując, uznając się zwyciężonym, przekładał. Tym sposobem rozpoczętemu dziełu nadał pozór koniecznego doprowadzenia do skutku – bądź co bądź.

Wystawiał swoją chorobę (antrax), swój wiek, swoją bezdzietność; wystawiał, że Polsce tytuł mu udzielony nic zaszkodzić nie może. Widząc nieprzełamanych senatorów, sam nareście ustępować zaczął, prosił już tylko o koronację i królestwo trzydniowe, dwudniowe, kilkogodzinne, zaręczał, że złoży koronę, byle chwilę spoczęła tylko na jego skroni.

Lecz Oleśnicki na nic się nie godził, w przyrzeczenia nie wierzył i stał przy swoim, a za nim szła reszta panów radnych. Dni kilka zeszło na próżnych staraniach. Wręcić Jagiełło ruszył nazad do Polski, a Witold odprowadzał go jeszcze do Trok. Tu w drodze upadek z konia przyspieszył zgon jego, który wkrótce nastąpił w Trokach 1430 dnia 27 października. Umarł, przepaszając Jagiełłę i polecając mu żonę, złamany więcej zgrzyotą i smutkiem, niż ostatnim wypadkiem, który o niewiele zapewne koniec jego zbliżył.

Taki był koniec życia Witoldowego, taka ostatnia scena tego dramatu, który w dziejach litewskich najpiękniejszą może zajmuje kartę.

Lecz zanadtośmy może obszernie nad tym się rozwiedli i czas nam powrócić do właściwej historii Łucka.

Po śmierci Witolda w r. 1431 zamknął się w Łucku niespokojny Świdrygiełło, gdzie go Polacy oblegli. To oblężenie, dla spalonych wcześniej mostów oblanego wkoło miasta i przykrych brzegów Styru, ciężko im szło. Przebywszy wpław rzekę, zdobyli nareście miasto Polacy, z którego się uparty Świdrygiełło do zamku jeszcze schronił, a z niego potem uciekł.

Cieęższe było jeszcze zdobycie zamku, chociaż już część jego murów obalona została. Dwa razy dowódca potrafił po trzy dni rozejmu wyłudzić u Polaków, którzy z niecierpliwości szemrali. Oblężeni, ośmieleni swoim położeniem, jakby okazując, że się poddać nie myślą, a oblegających nie boją, wszystkich znajdujących się w zamku Polaków i katolików na murach przed oczyma oblegających wymordowali, wywieszali i na pale powbijali.

Jakiś Żyd kabalista doradził im jeszcze, żeby czarnoksięskim sposobem zamek nieprzystępnym uczynić, ćwiertując żywcem młodego chłopca, a trupa jego po kawałku, ze wszystkich stron na murach i basztach powieszać. Uczyniono to w oczach Polaków, którzy z rozpaczą patrzali na te okrucieństwa, nie mogąc im zapobiec.

Tymczasem nadeszła zima, mrozy, głód i niedostatek. W kilka miesięcy zdjąć musiano oblężenie, które tyle ofiar kosztowało.

W r. 1437 Świdrygiełło Łuck z częścią Wołynia oddał Polsce, chcąc sobie wyjednać przebaczenie.

W r. 1449 umarł w Łucku Daniel Lubartowicz, książę łucki, pochowany w cerkwi zamkowej. Tu także skończył życie Świdrygiełło.

Następne dzieje tego miasta niewiele wypadków przedstawiają. Łuck umierać i mniejszeć począł. Jeszcze w czasie napadów kozackich cztery tysiące ludu stanęło z miasta pod bronią,

lecz od tego czasu po wycięciu mieszkańców, których około 40 000 padło ofiarą wojny, miasto już się nie podniosło do dawnego stanu. Ciała tych męczenników pogrzebione są, gdzie dziś kościół i klasztor Bernardynów na Wulce.

Podczas sejmu 1791 roku, na sesji 30 gurdnia, p. Olizar, poseł wołyński, wnosił, że miasto Łuck nie było w stanie dania wyznaczonej nań liczby kantonistów, gdyż miało pięćdziesiąt dymów mieszczańskich, a resztą żydowskich i karaimskich. Miasto ohbowiało się opłacać rekrutowe.⁹⁸ Uczyniony popis ludności w r. 1816 ukazał tylko 425 domów, a dusz mieszczańskich 2695.

Niżej w dodatku pomieścimy niektóre napisy grobowe kościoła katedralnego.

⁹⁸ „Gazeta Narodowa” 1792, 4 stycznia.

WOŁYŃ

Losy Wołynia ustaliły się dopiero za połączeniem Litwy z Polską; wprzód ziemia przechodziła z rąk do rąk, zawojowywana, oddawana prawem lennym, odbierana przez książąt ruskich i królów polskich. Nie tyle później dały się we znaki Wołyniowi najazdy i burdy kozackie, ile wprzód walka Kazimierza z Lubartem. Po przyłączeniu Litwy do Polski długi trwał spór czy do Korony, czy do Litwy miał się liczyć Wołyń; oba te kraje rościły do niego prawa, pokładały świadectwa kronik i głośno się on dobijały na sejmach. Władysław, król, w r. 1434⁹⁹ wołyńską szlachtę z koroną w prawach wszelkich porównał. Potwierdził to Stefan Batory na koronacji swej w r. 1576. Zygmunt August w dyplomie danym w Lublinie roku 1569 Wołyń z dawnego prawa zaborów do Polski należącym uznał. Za Kazimierza Jagiellończyka Wołyń oderwany od Polski, do Litwy przyłączony. Trwał taki stan rzeczy do unii 1569, a wówczas po długich sporach i zatargach Wołyń znowu do Korony przyłączony został. Od tego czasu ustał urząd marszałków wołyńskich, a począł się szereg wojewodów, kasztelanów i innych urzędników ziemskich ziemi wołyńskiej. Przedtem byli tu marszałkowie, był i urząd podskarbich ziemskich, jak pokazuje Niesiecki z Bohusza w r. 1525. Zygmunt August, potwierdzając przywileje Wołynia, dozwolił mu i utwierdził zwyczaj pisania transakcji po rusku.

Pokazuje się jednak z akt miejscowych łuckich, z uniwersału w kwietniu 1578 roku danego do wojewody wołyńskiego, księcia Wiszniowieckiego, że Wołyń aż do tego czasu sądził się jeszcze statutem litewskim. Województwo wołyńskie dzieliło się na trzy powiaty: łucki, włodzimierski, krzemieniecki. Sejmiki gospodarskie przedsejmowe odbywały się w Łucku, gdzie sześciu posłów obierano. Deputatów tych, wedle uchwały r. 1589 liczbę sześciu, korektura w r. 1726 do trzech tylko zmniejszyła. Herb Ziemi był krzyż biały w czerwonym polu.¹⁰⁰ W r. 1589 dodano Orła polskiego na krzyżu. Między imionami wojewodów wołyńskich pierwsze familie tutejsze występują: książęta Czartoryskie, Koreckie, Wiśniowieckie, Ostrogskie, Zasławskie, Sanguszkowie, Sieniawscy, Mniszchowie, Jabłonowscy, Stadniccy, Międzyńscy, Ledóchowscy, Potoccy.¹⁰¹

Wołyń z Ukrainą i Podolem za najżyźniejszy w dawnych posiadłościach Polski obwołany i nie bez przyczyny. Wielkie jego stopy, okryte kłosami, nie tylko żywiły łatwo mają w proporcją ludność, która je obrabiała, nie tylko zasilaly zabiegających się tu Poleszuków, zbierających za siódmy i ósmy snop, lecz ożywiały jeszcze handel zbożowy na Morzu Czarnym i Bałtyckim.¹⁰²

⁹⁹ K. Niesiecki [Korona polska...], t. I s.153.

¹⁰⁰ M.Bielski [Kronika wszystkiego świata...]; B.Paprocki [Herby rycerstwa polskiego.kraków 1584].

¹⁰¹ K. Niesiecki [Korona polska...], t I s. 154 – 155.

¹⁰² K. Malte Brun, Tableau de la Pologne ancienne et la moderne. Paris 1830, s.245

Żyzność Podola, Ukrainy i Wołynia z dawna jest sławną. Meyerberg miał czas uważać ją w ciągu swej podróży, a obcy pisarze wielce o niej bajek napletli. Tak na przykład pisze Gracjan a Burgo S. Sepulchri¹⁰³, że raz ledwie tknęta pługiem ziemia pięćdziesiąt ziaren daje. Przesadza i Opaliński,¹⁰⁴ a jeszcze bardziej pono o dwóch z jednego posiewu zbiorach pisząc Miechowita.¹⁰⁵ Jednakże dzieje się coś podobnego na Podolu i Pobereżu, bo gdy zbierając zboże zbyt dojrzałe, wysypie się, często w roku następnym zbierają z niego znaczny plon, zowiąc to padalicznem.

Inni opisujący cudowną żyzność Wołynia wspominają o rosnących w stepach trawach tak wysokich, że w nich się dorosły ukryć może mężczyzna,¹⁰⁶ że z nich ledwie rogi widać ogromnym wołom tutejszym.¹⁰⁷ Nie są to wszakże trawy, lecz bodiaki, chwasty grubej łodygi, różowo kwitnące, rodzaj ostu.

Inni tak żwawą wymyślili tu wegetację, że według nich pług na parę dni zostawiony w polu trawą się pokrywał.¹⁰⁸ Mało z opisujących cuda owe wspomniało, jak ciężka jest uprawa tej ziemi. Opaliński w swej *Obronie Polski* najbardziej się uniósł nad żyznością Wołynia, dowodząc jej niezmierną tutaj tannością pól, opisując wielość stert zimą i latem po polach na kształt wież kwadratowych stojących. (Porównanie do wież nie zdaje się nam trafne).

Wspominają dawni pisarze o jednym obywatelu spod Ostroga, który dwa tysiące czterysta korcy jagły w r. 1716 do Gdańska dostawił; lecz nie wiem, bo nigdzie o tym nie słyszałem, czy prawda, co piszą, o sklepach kutych w ziemi i wypalanych potem, przeznaczonych na skład zboża.

Palenie gnojów, jako niepotrzebnych na nawóz, wszyscy pisarze za osobliwość wzmiankują; ale to na całym Wołyniu nie ma miejsca. Nie wzmiankują, że gnoj użyty bywa na opał także lub sypanie wałów, które zabezpieczają ogrody, służąc zamiast płotów.¹⁰⁹

Wołyń obfituje w różne użyteczne rośliny, wyliczone przez Rzączyńskiego, a w znacznej części wspólne mu z Litwą i Polesiem.¹¹⁰ Uprawa tytoniu dawno tu jest znajoma i pospolita. Ta roślina, która za Władysława IV była jeszcze osobliwością szklarni królewskiej¹¹¹ pod nazwaniem ziela tabaki, nicotiany, Herba S. Crucis, Herba Sana i Herba Sancta, której początkowe używanie tak żwawej polemiki było dowodem, przeciw której pisano i u nas – już za Jana III wojsku rozdawana być poczęła razem z innymi racjami. Wołyń i Ukraina najpierw podobno uprawiać tytuń zaczęły, potem Prusy.¹¹² Cena tytoniu w r. 1721 była za pud groszy cesarskich dziesięć.

Rzączyński cytuje wykopywany na Wołyniu rodzaj tłustej gliny (cimolia terra) koło Zasławia, Jahodna, nad Cwentolą, w Dusylkowie, Sławucie, Pliszczynie, z której robiono fajki, używano jej za grunt do pozłoty na drzewie, nawet do prania i na farfur. W wielu

¹⁰³ Gracjan a Burgo s. Sepulchri, Życie Commendoniego [Antoni Maria Gratiani, vita Joannis Fancisci Commendoni Cardinalis...Paris br.].

¹⁰⁴ [L.Opaliński], Polonia defensa contra Joannem Barclaium. Gdańsk 1648

¹⁰⁵ Gerhardi Mercatoris, Atlas [Atlas novum sive descriptio geograph. Totius mundi. Amsterdam 1638 t. I nr 32 – 34].

¹⁰⁶ Cronica Mundi. Norimbergae 1493 [H.Schedel, Chronicon mundi seu chronicon Chronicorum...Nuremberge 1493].

¹⁰⁷ Guagnin[us] [Aleksander Gwagnin z Werony, kronika Sarmacji europejskiej, w której się zamyka Królestwo Polskie ze wszystkimi państwami...Wersja łac.:1578, wer.polska:Kraków 1611].

¹⁰⁸ Munsterus, Cosmographia, ap. Rzączyński [Sebastian Muenster, Cosmographia universalis. Bazylea 1550, s.885 i nast.].

¹⁰⁹ O urodzajności Wołynia około Zasławia i Ostroga, s.132. obacz w G.Rzączyński Auct hist natur., s.122

¹¹⁰ Auctuarium[...] opisuje obserwowane około Ostroga, s.132 Historia naturalis curiosa s. 84 – 85 spis ich cytuje: „Dictamum album, Capillus Veneris, Museus Capillaris, doronicum, Elleborus niger, Cyperus inodorus, Glycyrrhiza, Officinarum liquiritia, około boremla i Ostrożca. Polypodium Quercinum, Scolopendria, Scoridum, Trifolium aquaticum, używane jako antyskorbutyk i wielu innych słabościach

¹¹¹ A. Jarzowski [Gościniec albo krótkie opisanie Warszawy z okolicznościami jej, dla kompanii dworskiej..Bm. 1643].

¹¹² [G. Rzączyński], [Historia naturalis] curiosa...,s. 93 - 94

miejscach kopią wapno, wyrabiają kamienie młyńskie, dostają glinki białej, żółtej, czerwonej i gipsu, są rudy żelazne bogate, dostają nawet z ziemi ułamków bursztynu.

Sławne są stawy wołyńskie,¹¹³ największe pod Dubnem, Klewaniem, Zasławiem, Lachowcami, Żukowem, Połonnem itd. Zbierają też na Wołyniu znaczną ilość miodu i wosku, którymi do Prus i Szląska handlują. Miód ma być w syceniu od innych miodów sytniejszy.¹¹⁴

Mimo urodzajów i żyzności tutejszej, zdarzały się tu głody. Ma to bowiem do siebie ziemia wołyńska, że w nieszczęśliwe lata, gdy nie urodzi, klęska jest straszna, bo ani kłosa, ani trawy na polu nie będzie.

W r. 1699 głód był tak wielki, że ludzie z niego puchli i umierali. To się przeciągnęło w roku 1700, a Rzączyński dodaje, że przez lat siedem potem jeszcze się głód czuć dawał.¹¹⁵

Trzęsienia ziemi czuć się tu dały, w latach: 1605 takie, że naczynia ze stołów spadały, a ludzie śpiący w łóżkach; 1620 we Lwowie, Kamieńcu, Łucku, Haliczu lekkie, w Wołoszech cięższe.

1637 w lutym na Wołyniu trwało przez *Ojciec nasz*.¹¹⁶ 1789 pamiętne na Polesiu i Wołyniu, w kwietniu, na trzeci dzień Wielkiej Nocy, dość silne, gdyż się większe nawet budowy trzęsły. 1801 dnia 14 października w okolicach Konstantynowa. 1838 r. w styczniu dnia 11 wieczorem. To ostatnie, jak wiadomo, rozciągało się bardzo daleko i prawie jednocześnie czuć się dało w znacznej części Europy. W roku 1638 było na Wołyniu morowe powietrze.¹¹⁷ W r. 1631 zalew wód taki w Polesiu i Wołyniu na wiosnę, że gdzieś wierzchołki tylko drzew spod wody wystawały.¹¹⁸

W tym roku 1839 wielkie szkody porobiły także letnie zalewy, których przyczyną były długie deszcze.

Śniegi nadzwyczajne spadły w 1721 roku w marcu, w roku 1838 także. Szarańcza ukazała się tu w sierpniu roku 1710 i nie tylko powstałe jeszcze na pniu zboże zjadła, lecz świeże posiewy. Z zostawionych jaj na rok następny powstały czarne chmury tego owadu. Koło Połonnego pełne były ich chaty. W roku 1719 też sama klęska koło Niemirowa i Lwowa.

Pełen cudownych wiadomości Rzączyński opisuje, że w roku 1704 pokazały się jakieś linie czerwone po budowach w różnych miejscach w jednym czasie i w jednej od ziemi wysokości. Dawne gospodarstwo Wołynia przegląda gdzieś w opisach Rzączyńskiego. Owce, do których chowu i poprawy tak się dziś rzucili wszyscy, składały i dawniej ważną część gospodarstwa. Cenna nawet była wełna z Polski pochodząca.¹¹⁹ Opaliński liczył w Polsce 30 000 owiec,¹²⁰ tamże pisze, że jeden możny pan bierał corocznie za wełnę po 100 000 złotych. Wyprowadzano ją do Szląska, Brandeburga, Saksonii, Pomorza, Prus i morzem do Anglii, Hoalandii, Francji. Najlepszą wełną sławne były wsi Jarogniewice i Morków, której do fabryk sukna w Lesznie, Wschowie, Rawie, Międzyrzeczu, Szmigle, Czarnkowie, Bojanowie, Zdunach, Swarzędziu, Irzcianie itd. poszukiwano.¹²¹ Strzyżono dawniej owce dwa razy, w maju i wrześniu, gdzie indziej raz tylko na wiosnę. Lepsze wełny były pruskie, najgrubsze a najdłuższe na Wołyniu, Litwie i Rusi. Na Karpatach pasły się wielkie owce stada, z których nie tylko wełnę, lecz mleko, a z niej rodzaj sera, zwany bryndzą, sprzedawali posiadacze. Taką bryndzę robią i na Podolu.

¹¹³ [G. Rzączyński], [Historia naturalis] curiosa...,s.163

¹¹⁴ [G. Rzączyński], Auct[uarium historiae naturalis...], s.491.

¹¹⁵ [G. Rzączyński], [Historia naturalis] curiosa...,s. 371

¹¹⁶ J. Kwiatkiewicz [Roczne dzieje kościelne od roku pańskiego 1198 aż do dni naszych. Kalisz 1695], ap. G. Rzączyński H[istoria] na [turalis curiosa]...,s.425

¹¹⁷ J. Kwiatkiewicz, Życie Anny Ostrogskiej [w:] Roczne dzieje kościelne...

¹¹⁸ [G. Rzączyński], [Historia naturalis] curiosa...,s 403

¹¹⁹ S. Puffendorf, Introd. Ad hist. Regnor.

¹²⁰ [Ł. Opaliński], polonia defenza contra [Joannem] Berclaium...

¹²¹ [G. Rzączyński], [Historia naturalis] curiosa...,s.242 – 243.

Często się zdarza słyszeć na Rusi i Wołyniu połajanie u pospólstwa zwyczajne: hadyna (gadżina). Ciekawym zapewne będzie, jak Rzączyński¹²² opisuje tę hadynę, dając jej Wołyń za ojczyznę: „Dziób ma – pisze – zielonawy, wielkości gęsi, nogi i język czaśrny, z resztą podobna do niedoperza, z ogonem węzowym, w końcu strzałą zakończonym”.

Ten opis bardzo przypomina bazyliuszka w Johnstonie i innych dawnych naturalistach. Hadyna lata po polach i biega. Dziwy o niej prawi ojciec jezuita, lecz te dziwne, jako zebrane z ust pospólstwa wieści o hadynie, zajmują.

Mówiliśmy już, że Wołyń z ziemią chełmską długo należał do książąt ruskich. Nazwisko Wołynia wywodzi Naruszewicz,¹²³ wedle powieści Długosza, od zamku Wołynia, gdzie dziś Gródek, miejscina koło Rubieszowa u Buga. Chwalczewskiego *Kronika*, niedawno wydana, imię Wołynia, Wolina, daje Łuckowi, a to jest daleko prawdopodobniejszym. Domysłem Naruszewicza przyszli tu w IV i V wieku i osiedli zza Wołhy, Wołhanie, Wołanie, Wołynianie. Konstanty Porfirogenetes wylicza w X wieku tutejszych mieszkańców: Derewlan (Derblenini), Dregowiczani (Drugubitani, koło Drohiczyna nad Bugiem), Wołyńców (Ultini), Krzywiczani na Polesiu u Horynia i gdzie dziś Krzywica, sławna garstkami, Łuczani (Lenzenini) nad Styrem. Za czasów Długosza Wołyń mieścił w sobie ziemię chełmską i łucką. Za Bolesława Chrobrego powiat łucki liczył się także z Wołyniem. Za Bolesława Śmiałego w księstwie włodzimierskim zamykała się ziemia chełmska, powiaty: włodzimierski i łucki. Kromer już to księstwo ogólnie Wołyniem zowie itd.¹²⁴

Wołyń i był, i dzisiaj jest jeszcze krajem panów i możnych; teraz dopiero ogromne ich dobra, rozdrabniające się na coraz mniejsze, dzielić się zaczynają na drobne posiadłości szlacheckie. Tu nic pospolitszego dawniej nie było nad księcia, hrabiów i mających pretensje do hrabiostwa, pełno ich wszędzie, na pieczętkach same mitry i dziewięcioperłowe korony. Znaczniejsze familie tu miały gniazda swoje, swoje zamczyska, od których się zwały, i obszerne dobra. Wymieniliśmy dawne księstwa Wołynia, mówiąc o diecezji łuckiej.

Mało tu drobnej szlachty, wsi niewielkich i domków małych. Jaśnie Oświeconych, Jaśnie Wielmożnych pełno wszędzie. Tytuł tym jest na Wołyniu, czym Kołtun w Pińsku, rzeczą bardzo pospolitą, a czasem niewygodną. Jadąc widzisz wszędzie pałace, parki, modne powozy, piękne zaprzęgi, a tuż obok lud dosyć biedny i uciśniony, który tylko żywność ziemi ratuje i to mimo wiedzy panów o dobry byt wieśniaków rzadko dbałymi się okazujących. Niewiele z tego wyjątków. Obyczaje ogółu szlachty tchną bardzo duchem zaszczepionym tu odwiecznie przez wpatwienie się w możnych. Nikomu nie chce się być niższym od drugich, okazać się uboższym, każdy się sady na zbytek, na powozy, liberię, domy z cyframi na frontonie i pieczętki z mitrami. Nie dziw też potem, gdy majątki się rozdzielają, sprzedają, a wielcy owi panowie bez kawałka chleba na starość zostają z pieczętką tylko i zgryzotami, gdy widzisz puste szkielety pałaców walących się, bydło pasące się po zarosłych chwastami ogrodach i śmierć tam, gdzie przed chwilą było zbyteczne życie. Świat tutejszy bardzo jest modny; ceni wysoko wyrocznie paryskich żurnalów, mówi o nowej literaturze, lubi się wesoło bawić i podróżować za granicę. Książki i tu, jak w wielu innych okolicach, są po większej części meblem w salonie, leżą nie rozcięte dla proporcji i okryte pyłem. Muszą je mieć dla przyzwoitości, bo wszyscy je mają; ale potrzebę czytania nie bardzo tu jeszcze powszechność czuje. Rozumie się, że są wyjątki, lecz nam ogół raczej malować należy. Co się tyczy polskiej literatury, Wołyń oddalony od Warszawy i Wilna, tych dwóch ognisk głównych, rzadko co nowego prędko dostaje, rzadko się o co stara. Ci, co umieją języki, ci mianowicie, co szczebiocą po francusku, nie zniżają się do czytania książek polskich, które jednym słowem, jednym uśmiechem potępili! Możeż być co dobrego po polsku, a nade wszystko czyż to czytać można? Czyż można w tym smakować? Wielu Wołyńskich panów

¹²² [G. Rzączyński], [Historia naturalis] curiosa..., s. 255.

¹²³ A. Naruszewicz, [Historia narodu polskiego.. Warszawa 1770] t. 2 s. 470.

¹²⁴ J. Długosz [Historia Polonica; M. Kromer [de origine et de rebus gestis Polonorum].

ma piękne biblioteki, kosztowne obrazy, lecz kosztowniej jeszcze powznoszone pałace, pozakładane parki, których utrzymanie tak jest uciążliwe, a piękność tyłu podlega rozmaitym tłumaczeniom i krytyce. Obrzędy weselne odbywają się na Wołyniu po większej części z przepychem i zachowaniem wszystkich dawnych ceremonii i zwyczajów, ale młodzież nie wszystka się żeni; nie tak, jak w pociwszej Litwie, gdzie małżeństwem dopiero dopełnia się człowiek. Nie wiem, czy wpływowi literatury XVIII wieku, która tu miejscami jeszcze ma wielbicieli, czy romansom francuskim XIX, czy jeszcze czemu innemu przypisać potrzeba ten wstręt do stanu małżeńskiego. Mianowicie młodzi chcą się wprzód doskonale wyszaleć, nim na się wrzucą to, co pętami zowią. A gdy się wyszaleją i ostygną, stracą zdrowie w rozpuście i dopiero się ożenią, gdy już nic nie mają do stracenia, uważmy, jak piękne skutki takich małżeństw być muszą! Rachityczne dzieci i swary w domu. Jeśli nie coś więcej jeszcze, o czym już i mówić nie chcę. Lecz któż przekona młodych, że najlepsze użycie świata jest w spokojnym i cnotliwym pożyciu domowym, nie w brzydkiej, choć powabnej rozpuście. Późniejsze małżeństwa usprawiedliwiają przysłowie, że przed dwudziestą pięcią laty sam się człowiek żeni, do czterdziestu ludzie żenią, a po nich i sam diabeł nie ożeni. Otóż w tym okresie, gdy ludzie żenią, pospolicie tu się kleją małżeństwa, są więc zimne i wyrachowane, jak każda spekulacja, pierwszy w nich wzgląd na materialne korzyści, vulgo pieniądze, które dla zamalowania oczu zowią się zapewnieniem niepodległości na przyszłość, to jest zabezpieczeniem się od pracy i starania o siebie. – Ten warunek sine qua non naprzód się uważa, a reszta już j a k o ś będzie! I j a k o ś jest.

Szlachta uboższa od szlachty bogatej, która przybiera szumny tytuł panów, dzieli się wyraźnie, jak dwie odmiennej barwy i własności warstwy ziemi. Tu jeszcze cywilizacja nie zrównała tych dwóch klas i po większej części ubożsi są mniej dobrze wychowani, co ich okrywając śmiesznością, od drugiej wyższej warstwy oddziela.

Są tacy panowie, którzy widząc ogólny popęd ku wystawnemu życiu, przepychowi itd., zechcieli się odznaczyć skromnością i prostotą, rzucili się do spekulacji, stali się handlarzami, fabrykantami, spekulatorami. Piękny to przykład czynności i pracy, ale staranie o nabycie majątku nie powinno by jednak wysuszać zupełnie uczuć, tworzyć odludków, samolubów i brzydkich skąpców. Niestety! Miłość pieniędzy, tak jest prawie przeciwna miłości ludzi, że je trudno z sobą pogodzić. Nie ma przemysłniejszego narodu nad Anglią, ale tam miłosierdzie i litość zostawione są izbom, które fundują azyla, szpitale, domy pracy i ustanawiają takse dla ubogich, a nędza z wyciągniętą ręką nie wycisnie ani pensa nad takse z kieszeni John Bulla. Zajęcia się spekulacjami, projektami ulepszeń, ekonomią polityczną, chęć wzięcia wszystkiego w kluby normy, w przewidziane ustawami wypadki, oziębiają człowieka, a jeśli się potem zdarzy komu być biednym nie według prawideł, potrzebującym litości prywatnej, pomocy, a bardziej jeszcze pociechy i spółczucia, odsyła go ekonomik do azylów, do domów roboczych, do szpitalów, gdzie prawna litość (*charité légale*) suchą i zimną ręką zatula rany, lecz je nie goi. Człowiek im większy robi porządek na ziemi, tym dalej jest od prawdziwego porządku, najpiękniejsze jego pomysły są niedostateczne, bo on tylko materią ma w rękę, do której przywiązać ducha nie w jego jest mocy.

Ten ustęp mimowolny nie da się całkiem do Wołynia zastosować; tu jeszcze spekulatorowie na wielką skalę, ekonomiści, utylitariusze są jeszcze rzadkością i wyjątkiem. Jednakże skutkiem zapewne wpływu spekulacyjnego ducha zapomniano tu, osobliwie po domach zamożnych, pańskich, że kiedyś w charakterze naszym była gościnność, że w tym kraju dawniej posłańcem Boga gość się nazywał. Pozorna jaka. półcywilizacja, duch handlarstwa, skępstwo, idące w ślad za myślą zysku, wygnały starodawną gościnność. Owo przysłowie: „Czym chata bogata, tym rada”, które bym na drzwiach każdemu domu napisał, gdzie jeszcze choć ślad dawnych obyczajów pozostał, nad drzwiami każdej izby jadalnej, gdzie jeszcze jadło jednakie wszystkim podają, owo przysłowie, już dziś chyba dosłownie do chat się da zastosować, a u zamożniejszych ustąpiło świeższemu: „Dla siebie tylko żyjem”.

Zapewne są wyjątki, ale to szkoda, że to są już tylko wyjątki tylko! W większej części domów gospodarz nie da ci obiadu, gdy tylko w pół godziny po jego kanonicznej przybędziesz porze; nie ustąpi ci ani cząstki swego półmiska, który starannie zachowany czeka w szafie, póki gość nie wyjdzie. Wstyd wspomnieć, że to się właśnie dzieje tam, gdzie by gościnność była najłatwiejszą, gdzie Bóg dał czym przyjąć. Gość, mawiali starzy, zesłany jest od Boga, ubogi czy bogaty, stary czy młody, nie wiem, kto on jest, zawsze jest gościem. Gościa dawniej przyjmowano czym najlepszym w domu, ale u tych, zajętych bursą, procentami listów zastawnych, fabrykami i milionami swymi panów, gościom jak psom daje się co jest najgorszego w domu. Psami też nazwać można tych, co temu upokorzeniu naginają głowę, bywają po domach, w których kwaśna mina gospodarza i kwaśne wino zastąpiły dawne otwarte, proste, serdeczne przyjęcie. Nie chcę ja od nikogo wystawy, nie chcę nic przesadzonego, lecz niech się dzieli tym, co sam używa, a wówczas przyjmę chleb razowy. U chłopka mleko i kaszę, u szlachcica piwo i jajecznice, u panka wino, które sam pije, i sztukę mięsa, którą sam jada, u Jaśnie Wielmożnych i Oświeconych też trufle, bażanty, ostrygi chcę mieć, które sami używają – inaczej nie powiem, że są gościnni. Gościnność dzieli się ostatnim chleba kęsem, dzisiejsza tych panów ledwie się zwać może jałmużną, a któż by zaś, umierając z głodu, przyjął taką jałmużnę!

Dziś, o, dziś, szukaj ze świecą tej gościnności charakterystycznej dawnych lat. Przyjeżdżasz, meldują cię, czekasz, wchodzisz, zimno witają i po suficie patrzą, konie twoje, jeśliś nocował, odsyłają do karczmy, nie turbuj się nazajutrz o koła, nikt ci ich nie pozdejmuje, chyba Żyd, jeśli mu za nocleg nie zapłacisz, chyba wielki drał kamerdyner, jeśli mu za podanie szklanki herbaty nie zostawisz kilku złotych, które pogardliwie włoży do kieszeni; nie turbuj się, nie przymuszają cię do jedzenia i picia, do zostania na dłużej. Samolub rad tylko sam z sobą, gotów wyjechać z domu, a przynajmniej konia zaprząć, żeby się ciebie pozbyć. U stołu przed nim bordeaux, przed tobą stawia jakiś kwas czerwony, a potrawy dziela, według metody Damona: „Wątróbka dla mnie, a pępek dla gości”.

Reszta w tym sposobie.

Spieszmy jednak powiedzieć: nie wszędzie tak jest, nie wszędzie, tylko im większy pałac, im piękniejszy park, tym pewniejszy być możesz, że to znajdziesz we środku, że pan sam stołuje się w swojej austerii i płaci od osoby, a gościom rad, jak chorobie lub burzy. Natomiast im niżej, tym gościnniejsza, serdeczniejsza ręka cię wita.

Lecz w zamian za dawną gościnność, jest tu do dziś dnia dochowana, XVII wieku zabytek – junakeria.

A wiecie co to jest junak! Jest to figurka mała, krępa, czarna, wąsata, niegdyś kawalerzysta, żołnierz, teraz gospodarz. Pije, je, bije, łaje, poluje i nikogo się nie boi. Najpotrzebniejszym mu do życia narzędziem codziennego użytku jest batóg, odświętnym – pistolety. Junak ma piękne i dobre konie, którym gotów w łby postrzelać, gdyby się pod nim potknęły. Amatorstwo pięknych koni jest na Wołyniu dość pospolite, są nawet stajnie, w których berejtera anglika a żrebca turka lub araba znajdziesz. Ale koń junaka nie jest to wielki, piękny koń rasowy, czystej krwi, jest to kozacki biegus, żywy, zwinny, nóg pewnych, a nade wszystko ognisty. Junak zawsze trzyma Kozaków. Dawniej na Wołyniu mieli ich wszyscy, dziś tylko panowie i junacy. U pierwszych są to słudzy w kozackim stroju, w burkach, kurtach, kołpakach i szarawarach, którzy jeżdżą za powozem lub służą do posyłek; ale u junaków Kozacy stanowią jeszcze reiment, choć szczupły, i mają atamana. W jednym miejscu widzieć jeszcze można (choć nie u junaka) taki reiment zaciągający co dzień wartę na noc przed Jaśnie Wielmożnego pana skarbcem i sypialnią. Kozacy mają zwykle sobie właściwe charakterystyczne nazwiska: Dziuba, Dżęga, Dubina, Kłos, Jahoda itp. Ci ludzie nawykli do biernego posłuszeństwa, na rozkaz pana gotowi są bić, zabić, utopić, zastrzelić, słowem – bez żadnego wyjątku uczynić, co rozkaże. Opisać wszystkie awantury, pełne dzikiego szaleństwa, jakich się z czeredami Kozaków junacy dopuszczali i dopuszczają, ani

podobna, ani potrzebna. Z westchnieniem tylko dziwić się należy, że cywilizacja, którą Wołyń w siebie wsiąka, która tylko polor mu powierzchowny daje, nie ruguje ze środka nic złego, nowe złe tylko dodając. Chociaż junacy nie są już rzeczą pospolitą, jednakże znaleźć ich jeszcze można. Omijać potrzeba ich dom podparty i brudny, ich psy złośliwe, kozactwo rozpustne, ich pola, ich drogi. Biada psu, co się zagoni w ich knieje, człowiekowi, co się do lasu wkradnie. Minęły już wieki panowania siły fizycznej, w których ona stanowiła prawo, słuszność, zastępowała sądy, i domierzała sobie sprawiedliwość, dziś kto się dopuszcza gwałtu, dowodzi, że nie zna życia, nie rozumie teraźniejszego świata, dowodzi, że jest na stopie zwierzęcia, dzikiego jeszcze. Szczęściem, co dzień niepodobniejszym staje się życie junackie; chociaż młodzież rada by je wskrzesić, nie mając żadnego lepszego zatrudnienia nad spędzanie Żydów po drogach, zajęcy po polach i ściganie nieszczęśliwych włościanek, na których plecach, często pierwszy miłości pańskiej dowód kładnie bizun lub kij.

Wieśniacy wołyńscy zachowali dawne obyczaje swoje, ubiory i zabobony. Mężczyźni wcześniej zapuszczają brody zupełnie, co ich fizjognomie czyni dość ponurymi. Młodzi zachowują zwyczaj niegolenia brody w czasie niektórych postów. Noszą siermięgi brunatne, niektórzy białe lub szare, oszyte czerwonymi sznurkami dokoła, przy kieszeniach, kołnierzu i rękach; pasy czerwone, buty, czapki barankowe lub sukienne, oszywane także sznurkami. Z tyłu świty czyli siermięgi przyczepiony jest kaptur (wojłok), także oszywany misternie sznurkami, nieużyteczny ciężar przez większą część roku, który nasuwają na czapkę w czasie sloty. W Pobereżu noszą chłopci zamiast kaptura kawał kwadratowy sukna, uczepiony na plecach. Kobiety stroją się w buty żółte lub czerwone, na wysokich korkach, spódnice kolorowe w kraty, żółte, zielone, czerwone; kaftany krótkie lub siermięgi. W wielu miejscach zamiast całej spódnicy, używają tylko dwóch płacht zwieszonych od pasa, jednej z tyłu, drugiej z przodu. Dziewczęta na głowie noszą na łubku kwiaty lub kupki wstążek, które w tył spadają; zamężne owijają głowę chustką kolorową lub namiotką, której końce, wyszywane wzorami, na plecach wiszą. Koszule przy kołnierzu i rękawach białe, czerwone, niebieskie, suto w desenie są szyte. Na wierzch całego stroju we święta kładną bekiesze z niebieskiego sukna, podszyte siwymi lub czarnymi barami. Powszechnie kobiety wołyńskie nie są piękne, lecz mężczyźni młodzi bardzo urodziwi i dobrego składu ciała.

Byłem świadkiem części obrzędów jednego wesela, na które przybiegłem w chwili, gdy państwa młodych przeprowadzano do chaty. Liczne grono ich odprowadzało. Cymbalista i skrzypak, chłopci, nieźle im skoczne kozaki grali. Jeden niósł ogromny korowaj, na którym ręcznikiem i wstążkami przewiązana, wetknięta była gałąź sośniny. Powszechnie gałęziami tego drzewa stroją i tu, i na Podolu weselny piróg dla wiecznej zieloności jego; lecz że sosna na Wołyniu już nie rośnie, czumacy wracający z Polesia i Litwy, przywożą gałęzie sosny, jak gościeńce do domu. Długo wesele stało przed chatą, długo grali i śpiewali, nim się doczekali wyjścia matki. Wprzód przygotowano stół, a na nim bochen chleba, ręcznik, wódkę. Wesele nuciło pieśń, której zwrotką tylko, aż do wyjścia matki nuconą, pamiętam.

*Ej swatu, swatu,
Puści nas w chatu.
My tobi ne dokuczymo,
Tolko szaty peresuszymo.*

Mówiono mi, że na jakąś, nie wiem, pamiątkę panna młoda bierze zwykle ślub w brudnej koszuli i spódnicy. Ma li to znaczyć, jak się domyślam, że od roboty gwałtem porwana została, tak że nie miała czasu się ubrać.

Nareście wyszła świekra w wywróconym do góry włosem kozuchu, co podobno ma oznaczać przyszyły dla nowożeńców dostatek, czyli nie wiem co zresztą. Wzięła flaszkę, piła wódkę przez ręcznik, rzucała jej resztę przez siebie w tył, potem kieliszek stłukła o ziemię. Wszystko to są dziś nie do wytłumaczenia symbole. To częstowanie na podwórzu przed zakrytym stołem, odbyte z powagą, miało minę jakiejś ważnej ceremonii. Zawróciła się świekra, wesele weszło za nią do chaty, wniesiono korowaj, ledwie mieszczący się w niskie drzwi lepianki. Za gośćmi wsunął się skrzypek i cymbalista i wszystko się dla mnie skończyło.

Chaty na Wołyniu są czyste i porządne, chociaż po większej części budowane z drobnych drzewa kawałków i gliną polepione, lecz wybielone czysto, z przyzbą, otoczone drzewkami i płotem z ziemi i gnoju. Ten ostatni materiał wcale nie zdobi, lecz w braku drzewa, z którego gdzie indziej stawiają dębowy tyn, muszą go używać. W chatach słomą, a dalej w bezlesiu łądygami chwastów, kukuryzy i suszonym gnojem palą. W stepach, słyszałem, zamiast poleskiego łuczywa świeci łądyga polnej dziewanny. Lud wołyński ma minę smutną, pokornie się kłania, a nawet do nóg pada, za najlżejszą pomoc lub dobre słowo. Pieśni ludu nie są wesołe, prócz kozaka, a i tego chociaż rytm żywy, muzyka najczęściej melancholijna i posepna. Nic dziwnego, że dawniej tylu napadom, wojnom, zniszczeniom podległy kraj zachował klęsk swoich pamięć w pieśniach. Obchodzenie się panów z poddanymi mogło się też do tego przyczynić. Lud posłuszny i dobry przy powolnym obchodzeniu się z nim, dumny jest w sercu, urazy długo pamięta, czyha na chwilę zemsty. Panowie zapominają, że i oni są ludźmi, często życiem przypłacają swoje nieludzkie obejście się z nimi. Lecz nawzajem, cóż za przywiązanie do dobrych panów, co za uczucie wdzięczności, jaka jego trwałość!

Wiara w czarownice i siłę ich trwa tu niezachwiana. Przypisują im wszystko złe, które się we wsi zdarzy. Opowiadano mi, że świeżo jeszcze, w czasie suszy pławiono baby, aby tym sposobem deszczu się doprosić. W aktach sądowych łuckich dziwna zabobonność ma się znajdować pamiątka. Dekret na czarownicę, wyświecający następny wypadek:

Raz baba, mieszając ciasto na chleb, gdy jej do tej ważnej roboty przeszkadzało ciele, uwijające się poufale po chacie, zawołała w złości:

– Bodajeś przepadło!

Ciele w tejże chwili przewróciło się i zdechło. Baba pobiegła, ujrawszy to, do okienka, i naznaczyła na nim węglem cień od słońca, postanawiając sobie użyć swego okrycia, rozumiejąc, że ile razy słońce taki cień rzucać będzie, słowa jej równie będą skuteczne. Tym tedy sposobem zwyczaj miała, gdy słońce ten sam cień rzucało, o tej samej porze, przeklinać wszystkich swoich nieprzyjaciół, których wiele pogubiła, jak potem sama zeznała. Odkryto wręście czary i babę ścięto!

Że się ta wiara w złość i moc czarownic dotąd utrzymuje, świeżym dowodem będzie zaręczenie chłopów (gromady), wydane ekonomii wsi Bobrycy (w Żytomierskiem), które z oryginału dla osobliwości wypisujem:

„My niżej na podpisach wyrażeni, gromada wsi Bobrycy i Kijawki, dajemy tę porękę ekonomii bobryckiej za Pryskę Czyżychę, wdowę, zapewniają też ekonomię, że odtąd swarów, przekleństw, bitwy i przechwałek publicznych, że jej dzieci wolno bić, a niewistkę i zabić ma prawo – nie będzie. Od młodych jej lat wiemy, iż była niespokojna, co z latami wzrosło bez granic. Kto czarować umie – Czyżycha; makiem osypywać – Czyżycha; osnowywać – Czyżycha; podlewać – Czyżycha; płaksy nasylać – Czyżycha¹²⁵; zawiązki czynić w zbożu – Czyżycha; pierwsze niedziele w miesiącu na czyjś upadek pościć – Czyżycha. Zapomniawszy się w Bogu, Stwórcy swoim, wpadłszy w ostatnią wściekłość, bluźnić, wyrządzać zwykłe szkody i psoty, jako z opowiadania wielu ludzi w ekonomii słyszeć się dało, a dla swej złości niepohamowanej nie może mieć między sąsiadami

¹²⁵ To mi przypomina bardzo charakterystyczne dictum pewnej kobiety:

„Dam na mszę, będę krzyżem leżeć, żeby ciebie diabli wzięli”. Doskonałe pojęcie religii!

przyjaciół, każdy się jej kija, języka i czarów boi. Że już odtąd poprzestanie przy swoim podeszłym wieku tych wszystkich niegodziwości, jak się wyżej powiedziało, czynić, zaręczamy itd. – Dnia 2 lipca 1832 roku”.¹²⁶

¹²⁶ Podpisy tego śmiesznego aktu były następujące:

Kalenik Soroka + Onopryj Pryjmak +
Iwan Gurbarz + Harasym omelczuk +
Pawło Hosyński + Hryćko Chomeńko +
Prochor Kornijezuk + Apanas Sawczun +
Wasył Kaniuka + Łukjan Stećkow +

Pryjmak zowie się parobek do chaty przyjęty, za którego gospodarz wydał córkę i razem ich przy sobie trzyma.

MŁYNÓW, DUBNO

Jadąc do Dubna miałem przyjemność być w Młynowie u hrabiego Aleksandra Chodkiewicza, znanego z uczonych prac swoich, a mianowicie z wydanego dzieła o chemii. Piękne położenie Młynowa, którego stawy już Rzączyński wspominał, pałac, ogród nie tyle mnie tu wiodły, ile ciekawość poznania gospodarza i widzenia jego historycznych zbiorów. Pałac młynowski, wśród wysokich drzew, na wzgórzu nad wodą zbudowany w stylu XVIII wieku; przyjeżdżającemu z daleka pańską zapowiada rezydencję. Salon jeden dolny, w którym siedzieliśmy, ozdobiony był zupełnie smakiem przeszłego wieku. Wszystko w nim doskonale się z sobą godziło i zdało mi się przez chwilę, że na kilkadziesiąt lat w tył się cofnął, takie wrażenie czyniły na mnie ozdoby salonu. Z niego prędko łaskawy gospodarz przeprowadził mnie do ciekawego zbioru rękopismów swoich. Zapewne znajomość z Czackim i innymi uczonymi, mniej skrupulatnymi, a zapalonymi miłośnikami pamiątek krajowych, była powodem, że hrabia z niezmierną ostrożnością swoje skarby mi ukazywał, jakby się z mojej strony jakiego przywłaszczenia lękał. Nie dziwno mi to było, gdyż nasi literaci bez ceremonii zwykle zabierają wszędzie, co im do smaku przypada, wymawiając się, że myśliwemu psa, a literatowi książkę ukraść wolno; ale według mnie przysłowie francuskie: *on prend son bien, partout, où on le trouve* służy tylko Francuzom, nie nam.

Przeglądałem rękopisma, z których najważniejszym zdał się statut po rusku z r. 1566 i drugi późniejszy polski. Przeszedł czas tak prędko, że krótka moja bytność w Młynowie mignęła mi się tylko przed oczyma jak przyjemne marzenie. Gospodarz najuprzejmiej wszystko, co było najciekawsze, pokazywał. W rękopismach porządek był uczyniony materiałami i alfabetem, lecz dobrze by było dodać jeszcze chronologiczny układ, który by ułatwił wynalezienie każdej pamiątki. Przejrzelśmy wiele przywilejów z podpisami królów i listów znakomitych osób, większych familii historycznych litewskich, między którymi Chodkiewiczowie tak piękne mają miejsce. Widziałem własnoręczny list Stefana Czarnieckiego (sic!) do historii ważny pomnik; wiele raportów wojennych Kościuszki (jeden z nich o bitwie pod Szepetówką); ułamki korespondencji Szczęsnego Potockiego. Znaczna biblioteka hrabiego, wynosząca do 20 000 domów, znajdowała się jeszcze naówczas w Warszawie. Najgłówniejszym zatrudnieniem hrabiego były badania chemiczne, do których laboratorium potrzebne i maszyny posiadał. Właśnie w tym czasie cieszył się odkryciem ciężaru światła, o czym później nieco wydał w Wilnie rozprawę. Wiadomość o tym ważnym odkryciu Tomaszem mnie znalazła; nie dlatego, żebym racjonalnie nie pojmował wagi światła, bo to jest oczywiste, lecz przekonanie o tym materialne znajdowałem niepodobnym, dlatego, iż środki doświadczania są bardzo niedostateczne, narzędzia za mało doskonałe. Wszakże i waga powietrza tak była długo problematyczną, a na koniec się o niej przekonano? Czemuż i o świetle, i o cieple przekonać się podobnie nie mamy? Olbrzymim krokiem postępujemy w odkryciu – tu robią diamenty z węgla, ten wolę zowie płynem nerwowym,

Gall maca duszę po wierzchu czaszki, para wiedzie wozy, ludzie suchą nogą depcą wodę, słońce samo maluje obrazy itd., itd. nie jestże to już koniec świata? Bo gdy z przyrodzenia spadnie ostatnia tajemnicy zasłona, coż my tu na ziemi robić będziemy? Na naszą pociechę wiele jest jeszcze zasłon do odarcia, a gdy jedna się odkrywa, dwie na nowo zapadają!

Prócz mnóstwa przywilejów i listów różnych czasów, nie starszych jednak nad wiek XVI, pokazywał mi hrabia inne jeszcze pamiątki, jako buławą Gąsiewskiego, żelazną, złoconą, na której niezgrabnie wyryto: Pro Deo et Patria Gosiewski Palat; szablę, która miała należeć do Jana III. Oprawa jej nowsza, na główni z jednej strony herb Janina i słowa: Cave a falsis amicis, salvabo te ab inimicis, z drugiej krzyż i legenda wyzłocona: Haec meta laborum idt.

Dziś właściciel tych pamiątek już nie żyje, ale cześć mu za grobem, że życia i imienia, i majątku pięknie użył, poświęcając się naukom, dając przykład z siebie, pracując więcej, niżeli nawet ze swego towarzyskiego położenia był obowiązany. Jako nagroda pracy zostanie wspomnienie po nim niepokalone, a imię jego w każdym umiejącym cenić pobudki czynności uszanowanie wzbudzi. Bodajby przykład jego skutkował, szlachetniej zaiste spędzić życie na badaniach natury, na nauce, niż na handlarskich spekulacjach, którym się inni oddają; po nim zostało piękne imię, po tamtych tylko zostanie trochę pieniędzy, które dziedzice rozproszą.

Wyjechałem nad wieczorem z Młynowa i rozmyślając o tym, co tu widziałem, dążyłem do Dubna, gdzie już w nocy stanąłem. Miasto to, o cztery mile od Brodów leżące, starożytne, dość dobrze zabudowane, ma jeszcze stary zamek z murowanymi fosami, dawniej za niedobytą uważany. We środku zamku są teraz mieszkalne nowe budowy.

Dubno położone jest nad rzeką Ikwą, poczynającą się u wsi Nakwasza, wpadającą pod Targowicą do Styru.¹²⁷ Miasto to dawniej do książąt ruskich z Wołyniem należące, potem książąt Ostrogskich, dziś do Lubomirskich należy. Książęta mieszkają w Niewierkowie, rzadko i chwilowo tylko tutaj.

Kontrakty dubieńskie, które od r. 1774 poczęły się tu odbywać, to jest od odpadnięcia Lwowa, w zastępstwie dawnych lwowskich trwają od 15 stycznia do 24.¹²⁸ Wielu się tu obywateli zjeżdża; jest to chwila, w której Dubno najbardziej się ożywia. Malte-Brun liczy, że na tych zjazdach zbiera się do 30 000 gości i zagranicznych kupców. Tenże zwykłą ludność miasta nad 6000 dusz nie podnosi.

Z murów starożytnego zamku jedne tylko stary bastionek rogowy mnie zastanowił. Ratusz i kramy murowane, lecz w ciągu roku niewiele tu można dostać towarów. Oprócz kościoła farnego, są Bernardyni i Karmelitki. Farny kościół i Karmelitów fundował książę Paweł Sanguszko, marszałek w. l.

Dubno, jakżeśmy już wspomnieli, należało do ordynacji ostrogskiej i niejako stolicę jej stanowiło potem. Wedle konstytucji 1667 r. zamek dubieński miał być zawsze gotowym stanowić odpór nieprzyjacielowi najeżdżającemu Podole, opatrzone we wszystko i załogą umocniony. W roku 1753, gdy ordynacja ostrogska nieprawnie rozdzielona została przez ks. Sanguszkę, dostało się Dubno księciu Stanisławowi Lubomirskiemu, podstolemu koronnemu, z obowiązkiem dawania 270 ludzi pieszych na potrzebę wojenną i obronę fortecy. Gdy później o podział ordynacji sprawa się wytoczyła, komisja z tego powodu naznaczona zasiadała w Dubnie, zajętym przez generała T. Mokronowskiego.

Z dawnych dziejów tego miasta kilka tylko obłężeń pamiętnych.

Pierwsze w r. 1577 d. 4 marca, gdy Tatarowie Wołyn najechali, których gnał książę Konstanty, brat Ilji ks. Ostrogskiego.

Do Dubna schroniła się była córka jego, księżna Katarzyna, panna, z wielą innymi pannami i paniami, o których wiedząc Tatarowie, myśleli bardzo, jakby je pochwycić dla okupu lub do seraju pańskiego. Jakoż podstąpiwszy pod miasto, zaczęli się przeprawiać przez

¹²⁷ [G. Rączyński], *Auctuarium historiae naturalis*. s. 197

¹²⁸ Istotnie zaczynać się powinny dnia 6 stycznia, to jest od Trzech Króli

staw na rzece Ikwie,¹²⁹ ale ojciec panny Katarzyny, pamiętając o dziecięciu drogim, wyprawił na odsiecz Dubnu syna swego, księcia Janusza. Ten, jak się Paprocki wyraża,¹³⁰ „acz natenczas miał lata młode, ale serce onych dziadów sławnych, mężne i wspaniałe, wielkiej mu śmiałości dodało”.

Wybiegł tedy przeciw nim na groblę czerniecką, na której końcu sparli się Tatarzy. Orszak księcia Janusza słabo na nich nacierał, bojąc się strzał tatarskich, które zatrutymi mniemano. Aż gdy kilku sług postrzelono bardzo księciu Januszowi, i dwóch z orszaku p. Siemaszki, podkomorzego włodziemskiego, cofnęli się wszyscy do miasta. Za nimi w pogoń poszło dwa tysiące Tatarów aż pod same zamczysko. Tu działa zamkowe postraszyły ich nieco, gdy kilkudziesiąt od wystrzałów poległo.

Książę Janusz wszedł do zamku. Następnie ciągnęły wielkie zagony Tatarów, ale widząc miasto obronne i ludne, nie zaczepiały go, ku Ołyce zmierzając. Dopiero dnia 5 marca rozłożyli się Tatarzy po wsiach okolicznych w Siedmidubiech, w Raczynie, Pohorelcach, Torokanowie, Wzniesieniu, Iwaniu, i tegoż dnia zaczęli się do miasta dobywać. Książę Janusz silny im dawał odpór. W tej potyczce zaraz zginęło wielu Tatarów, a z nimi zięć carzyka, którego pochowali pod Krasławem.

Tego dnia Rusin, braniec, uciekwszy od nich do miasta, opowiedział o ich siłach i liczbie, o czym się nazajutrz dowodniej przekonano z ich zuchwalstwa, gdy zaczęli na stawie hacić płonki, chcąc się dostać do miasta. Działa zamkowe zabijały ich wielu, ale w dalszych miejscach, gdzie ich wystrzały nie dolatywały, poprzehodzili pieszo z łukami i szablami, konie zostawiwszy przy taborze. Zakradając się od strony łuckiej bramy, w kilkuset z łukami wybiegali, strzelali i co najprędzej biegli się chować za zwałiska chałup. Przecież z zamku część załogi wybiegła z szablami i za kobylenia forteczne ich przepędziła. Wtem większa jeszcze liczba Tatarów poparła ich i załogą nazad do miasta wpędziła, która ustępując, na strzał z rusznicy dopuściwszy Tatarów, wielu z nich położyła trupem.

Tym sposobem, przebiegli najeźdźcy, niepokojąc ks. Janusza od łuckiej bramy, sami gotowali wielki, stanowczy atak, od monastynu Ś. Krzyża (Szczęsnego Chresta); tam przeprawili się, mosty sobie porobiwszy ze słomy, na brzezynie przez płonki stawu pokładzonej i usiłowali po nich wdrzeć się do miasta. Ale książę tak był dobrze zamek opatrzył ze wszystkich stron, że ich i tu niemało zabito. Ludzie z miasta i przedmieścia, które książę Janusz kazał być spalić, wszyscy już w zamku byli. Tak Tatarzy kilka dni nieustannie szturmowali na próżno do Dubna.

Dnia siódmego marca książę Konstanty Ostrogski, bijąc ich po różnych miejscach, zapragnął dowiedzieć się, co się w Dubnie dzieje, i wysłał Tatara swojego z Ostroga na zwiady. Złapali go Tatarzy, ale on powiedział im, że książę Konstanty, z wielką siłą gotuje się na nich uderzyć, co ich przstraszyło i do odstąpienia od miasta skłoniło. Odchodząc, zniszczyli ze szczerem wszystkie wsi dokoła. Książęta Ostrogscy w tym najeździe Tatarów mieli ze dwieście wsi spalonych – pisze Paprocki.¹³¹

Księżna Katarzyna, gdy Tatarzy Dubna dobywali, poprzysięgła sobie, modląc się ustawicznie, skoczyć w wodę, jeśliby zamku dobyli. Ta mężna pani była potem żoną księcia Radziwiłła, umarła w r. 1579.

Lecz nie ona jedna dała przykład niewieściej odwagi. Słuchajmy, co zrobiła księżna Beata Dolska w sam dzień swego wesela.¹³² Ten wypadek należy do historii Dubna.

Czymże to są nasze dzisiejsze wesela w miarą dawnych? Śmiesznymi tylko parodiami. Nie przywiązujemy już do obrzędów tej wagi, jaką miały przed laty, ani tego sakramentalnego

¹²⁹ B. Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego*, Kraków 1584

¹³⁰ B. Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego*, s.351

¹³¹ B. Paprocki, *Herby rycerstwa polskiego*, 351 – 353.

¹³² K. Niesiecki, [Korona polska...], t.II s.56 „Książęta Dolscy zwali się tak od Dolska pod lubieszowem; sam Lubieszów zowie się właściwie Nowo – Dolsk.

znaczenia, ani żadnej pamiątki. Dawniej raz się człowiek rodził, raz żenił, raz umierał; ślub był węzłem nierozzerwanym. Toteż wesele wiodło za sobą obrzęd tak wielki i tak uroczysty, jak urodziny lub śmierć, między którymi było ono punktem przecinającym życie na dwoje. Prawda, że dawniej tylko dla formy mówiono na weselu o sercu, lecz wyobrażenia religijne, przekonanie o obowiązkach, sposób życia inny zapewniały pokój, zgodę i to ciche a stałe przywiązanie, któremu się jeszcze czasem dziwimy w parach nierozłączonych i serdecznie kochających się mimo siwe włosy staruszków, służących tylko na pośmiewisko ludziom naszego wieku. Przed kilką set laty, a jeszcze na dworze wielkich panów, to to były wesela! Samo ich wspomnienie potem świeciło jak gwiazda w życiu nowożeńców, aż do dni ich schyłku, mówili sobie długo o owym dniu świetnym, który ich połączył. Były to gody wesołe, szumne, pyszne, mające swój rytuał narodowy, niewzruszony i upoważniony odwiecznymi zwyczajami, rytuał pełen symbolów, które dziś już tylko u niższych klas ludu pozostały.

Właśnie o jednym z takich wesel dawnych mówić wam będę. Nie, żebym je opisywał, bo któż się od razu całego obrzędu nie domyśla, i oracji, i bankietu, huku dział i muzyki, i rozczulającego błogosławieństwa starych? Lecz będę mówił o tym weselu dla jednego godnego w nim pamięci szczegółu, który historię Dubna obchodzi.

Książę Konstanty Bazyli Ostrogski, wojewoda kijewski, marszałek wołyński, starosta włodzimierski, pan sławny ze swych bogactw i pobożności, dziedzic ogromnego księstwa, najbogatszy może z ego kraju mieszkańców, gotował się sprawić w zamku swoim dubieńskim wesele księżnie Beacie Dolskiej, powinowatej i wychowawcy swojej, którą wydawał za księcia Sołomereckiego. Obie te książęce rodziny, dziś zgasłe i zapomniane, wówczas jeszcze świeciły i zdawały się obiecywać długie pasmo potomków sławnych. Ciężka ręka losu padła na nie, i zgasli z tylą innymi!

Wszystko gotowe było do tego uroczystego obrzędu mającego się odbyć na zamku dubieńskim. Liczny zjazd gości sproszonego z daleka, krewnych, przyjaciół, sąsiadów, szlachty drobnej życzliwej domowi książąt Ostrogskim, zawałał końmi, kolebkami, ciżbą pacholąt i czeladzi podwórce zamkowe. Niektórzy jeszcze cisnęli się i zbierali z różnych ulic miasta, nie dając nawet przyskrzypnąć wrót zamku. Był to sam ranek dnia weselnego, ranek grudniowy, śnieżysty i ponury. Powietrze niesło z sobą wilgoć, wyziewy ziemi, wlokące się dymy i ciężło w piersiach. Słońca nawet nie widać było za mglistą oponą chmur jednostajnie szarych; bo natura nigdy się nie stosuje do czynności i uczuć, choćby najznakomitszych ludzi. Sępi się ona we dni wesela, a rozjaśnia we dni żałoby, jak gdyby żartowała z biednego człowieka; smutna, gdy ją chcesz mieć wesołą, piękna, strojna i wabiąca, gdy raz byś wszystko, co cię otacza, powlec kirem. Rzadko bardzo ulubieńcom losu świeci słońce pogodne w ich dni uroczyste, i to historia między cuda swoje zapisuje. Kurczyli się od wilgotnego przejmującego zimna słudzy na podwórku i u wrót zamku, pokrzepiając się suto dostarczonym trunkiem. W ich rozmowach znać było i usposobienie do smutku pochodzące z pory, i wesołość sztuczną, jaką trunek wymusza na biednych, słabych głowach ludzkich.

Wszyscy gotowali się do wesela; nie było kąta, gdzie by go znać i czuć, i słyszeć nie było. Wszystko się ruszało, kręciło, gadało, stroiło, szykowało, zacząwszy od kuchni pałającej ogromnym ogniskiem, gdzie kuchmistrz księcia wojewody, spocony, chrzypł od krzyku nad czterema kardynalnymi sosnami, aż do komnat panny młodej i pana młodego.

Mężczyźni zebrani gadali, śmieli się i pokrzepiali śniadaniem, a że nie było we zwyczaju XVI wieku u wyższej klasy grać w kości albo się od rana upijać, skromny tylko brali posiłek, o wojnie, o turniejach i o koniach rozprawiając. Książę Sołomerecki, młody, bladej, niebieskooki, chudy i cienki mężczyzna, rzadko się do rozmowy wtrącał i spokojnie tylko na wszystko uśmiechał. Coraz poprawiał na sobie paradny ubiór, na którym guzy brylantowe i złote błyszczwały kutasy, ścisnął rękojeść suto kameryzowanej karabeli, odrzucał wyloty i chodził wzdłuż komnaty. Małeńki jego wymuskany wąsik poruszał się uśmiechem, którym po większej części na wszystkie prawie odpowiadał pytania.

U progu komnaty stał w nieładzie podróznego ubioru zbrojny Kozak Ukrainiec, z seledcem zwieszonym, w koszuli drucianej, z szablą, rusznicą, janczarką, łukiem i strzałami, z nożem u pasa, z workiem kul, z chustką paradną w wielkie kwiaty, z worem skórzanym na wodę, szabeltaszem, nahajką, długim sznurem jedwabnym, prochownicą i mnóstwem innych drobnostek pozawieszanych u pasa, na ramionach, składających dawne uzbrojenie Kozaka. Minę miał posepną i zamyśloną, wszyscy go pytali i zaczepiali, a on z wolna, lecz śmiało, w rodzinnym swym języku odpowiadał.

– I jakże – odezwał się ktoś z tłumu – znów są wieści o Tatarach? Dostałeś języka?

– Są wieści, tak jak każdej prawie zimy – odparł Kozak – ledwie błota staną i rzeki zamarzną, zaraz gadają o Tatarach i wygadają ich. Ciągną oni dolinami chyłkiem ku Dubnu, ku Ołyce.

– Którędy?

– Kto ich wie! Bóg jedne, co tę plagę zsyla. Póki idą, cicho się przekradają, jak przyjdą, będzie się dymić za nimi i mogiłami drogę wysypią. Teraz ryją się gdzieś jak krety, że ich postrzec nie można. A może już są w złodziejskiej dolinie.

– Wiele ich jest? Wielki zagon? Jedne czy więcej?

– Pewnie jak zawsze tyle co szarańczy, a więcej jeszcze koni niż ludzi, bo u nich i konie się biją, gdy u nas to i ludzie nie wszyscy potrafią.

– Czy widział ich kto, czy to tylko gadki zimowe, jak zawsze?

– Do tej pory gadki to tylko, panie, ale wygadają Tatarów, bo kto się boi, daleko widzi. Po stepie ludzie poznali, że pociągnął zagon w tę stronę po cichu.

– U stracha wielkie oczy – dołożył pop nadworny księcia, Makary. – Niech książę pan pośle po język sprawniejszy.

I na tym ucięła się rozmowa, a Ukrainiec wypadł na podwórzec do swego konia. Książę zaraz polecił swoich kilkudziesięć Kozaków wysłać na zwiady dolinami, na zwykły szlak Tatarów.

Wieść o Tatarach spadłszy wśród samych przygotowań weselnych, prędko po całym rozniosła się zamku. I znowu od komnaty panny młodej aż do kuchni i zwodzonego mostu wszystko ją powtarzało i wszystko drżało od niej; bo Tatarzy, co tyle razy ogniem i mieczem zniszczyli tę ziemię, straszniejsi byli dla niej nad wszystkie plagi zagniewanego nieba.

Ażeby wesela nie zamroczyć, zakazał książę wojewoda mówić o tym przed kobietami. Był to właśnie sposób doprowadzenia jak najprędszego tej wieści do ich uszu. Wszyscy tak mieli tajemnicze miny, tak cicho szeptali, tak rękami machali, tak szable ostrzyli, broń opatrywali i tak umieli okazać jawnie gryzącą ich w głębi tajemnicę, że nareście domyślne z natury, przeczuły ją kobiety. Żony od mężów prędko się pod sekretem dowiedziały, o co chodziło, potem przyjaciółki przyjaciółkom jak zaczęły z ust do ust podawać wiadomość tajemną, doszła ona aż do komnaty panny młodej, gdzie właśnie księżnie Beacie czarne jej długie rozpuszczano kosy, dawnym zwyczajem słowiańskim.

Nie wiem, jak wam opisać pannę młodą. Nie była ona ani piękna, ani wdzięczna nawet. Wysoka, blada, czarnobrewa, poważna, choć młoda jeszcze, zupełnie się różniła od męża, który przy niej podobny był przebranej niewieście. W oczach jej błyskał ogień życia i zapału, męstwo, stałość, nieugiętość, Czoło wzniosłe, gładkie, spokojne, zdawało się wielkie myśli i pięknej duszy tajemnicę pokrywać. Usta małe, ściśnione, blade, oszczędne w wyrazy, rzadko otwierały się na próżne słowa, a rzadziej jeszcze zdobiły się uśmiechem. Cóż mogło, powiesz, łączyć tak różnorodną nowożeńców parę? Oto pewne rachuby krewnych, ich wola. W ich sercach nic się nie działo, żadna namiętność, żaden pociąg ich nie zbliżał. Ich ręce nie spotkały się i nie zadrżały przed związaniem u ołtarza. Byli sobie obojętni, ale szli do tego związku spokojnie, bo nie mieli za sobą trującej przyszłości przeszłości, ani wstępu do siebie, a ówczesny zwyczaj kojarzenia małżeństw rozumem nie namiętnością do podobnego kiedyś związku dawno ich przygotował.

Kiedy panny służebne i družki gwarzyć około księżnej Beaty zaczęły i przestraszone Tatarami zapomniały złotych iglic w aksamitnych poduszkach, spoglądając po sobie i szepecząc ze drżeniem, księżna Beata jakby ocucona z myśli głębokiej, zapytała najbliższej, podnosząc głowę:

– Cóż się tam stało?

– Nic dotąd, księżna pani – odpowiedziała zająkując się służebna – ale mówią, choć książę wojewoda mówić o tym zakazał, że nowy może nieproszony gość przyjdzie na wesele.

– Któż to!

– Tatarzy idą.

– Tu idą?

– Ach, zapewne tu! Cma słyszę niezliczona! O! ja się tak strasznie boję, ja się tak boję Tatarów – szczebiotała dalej. – Takie poczwary ogorzałe, z przypłaszczonymi nosami, ze ślepiami czarnymi, kocimi, z odstającymi uszami, co się rodzą ślepymi jak szczenięta, żyją końskim mięsem i w Ś. Trójcę nie wiedzą! O! jak ja się ich boję.

– A ja nie – odpowiedziała panna młoda odrzucając włosy, które jej na oczy spadły. – Bo pierwszego, co by śmiał do mnie przystąpić, mnie się tknąć, pewnie bym zadusiła.

Wszystkie zamilkły i wszystkie uwierzyły tym słowom.

– Wzieliby nas i odesłali do seraju sułtana swojego; ci ohydni poganiska – mówiła družka.

– A choć cuda o nim prawią, niech nas Bóg wcielony od tych rozkoszy broni, a naprzód od ich winy pogańskiej, wedle której, jak ojciec Makary powiada, kobiety nie mają duszy.

– Nie mają duszy panno Agrypino? – zawołała księżna – a czymże by żyły! Prawdziwie pogańska ślepotą!

– I takim to ludziom możemy się dostać w ręce! – szeptały panny, jeśli nas zamek nie obroni!

– Kto my? – odpowiedziała znowu księżna – alboż tu nie ma murów, dział i ludzi, alboż nie ma wody w Ikwie i pasa u sukni, żeby się w ich oczach potopić lub podusić, jeśli by zamek zdobyli?

– Ale ich tyłu!

– Nas mało, ale z nami Bóg nasz; i walczyć będziem na naszych śmieciach!

Na te słowa pełne zapału, a tak niezwykcyjne w ustach kobiety, wszedł właśnie książę wojewoda.

– Vivat Heroino! – zawołał, całując ją w czoło. – Tak myśleć, tak mówić by wszystkim nam, a nigdy by u nas Tatarowie nie postali. Ale moja panno, jeszcze oni pewnie daleko, bo są tylko o nich głuche wieści. My tymczasem myślimy o weselu. Jak utną z dział zamkowych na vivat, niech wówczas przyjdą, a przyjmiem ich dobrze na rany Chrystusa Pana!

W istocie nie było bardzo bać się czego w Dubnie, bo na ówczesny sposób wojowania ta warownia, której później zdobycia próbować nawet nie chciał Chmielnicki, była dość można. Dokoła oblana wodą Ikwy, wielkimi stawami otoczona, niezbyt wprawdzie wyniosła, ale dla murowanych a wysokich fos niedostępna, mogła się długo bronić wojsku, które by jej burzyć działami polowymi nie mogło. Trudno także było zapasne zamczysko wziąć głodem; a Tatarzy, którym spieszno było na powrót, nigdy tego próbować nie mogli. Dodajmy, że w owym czasie najazdów zamek dubieński zawsze miał dostateczną liczbę ludzi do obrony; miał młyn prochowy, zapas salety, a w razie niedostatku wszystkie błony zamkowych okien byłby książę na kule stopić kazał.

Tymczasem, gdy w zamku rozprawiają o Tatarach, gdy się śnieżyste tumany rozrzedzają i dzień wyjaśniać zaczyna, gdy wysłani po język wyjeżdżają z miasta, strasząc po drodze mieszczan i Żydów Tatarami, w cerkwi zamkowej stroją ołtarz do ślubu, w zamku uczę, która ma ślub poprzedzić, gotują.

O! gdzież się to podziały te dawne gościnne biesiady, na których pan, sługa jego, koń jego i pies, jak zesłańcy od Boga, przyjmowani byli, czym stało, co było w domu?

Dzisiejsi dawnych Słowian potomkowie przyjęli już obce obyczaje nikczemne, skąpe, zimne, rachunkowe, ale szkoda dawnych, bo dawne były ich własne, i nie tak wykwintne, ale szersze za to i pocziwsze! Dawniej egoizm musiał się ukrywać i wstydzić; dziś się z siebie chlubi i wysoko wynosi. Lecz dajmy temu spokój.

Miarkujcie, jaka być mogła uczta u księcia wojewody, pana na Ostrogu, który miał dziesięć milionów rocznego dochodu, który za marszałka dworu trzymał jednego ze starszych wojewodów, płacąc mu siedemdziesiąt tysięcy złotych, żeby tylko w dniu uroczyste stał za jego krzesłem, którego orszak zwyczajny dwa tysiące dobranej szlacheckiej młodzieży składało.

W wielkiej sali godowej, po której ścianach rozwieszono były na obiciu bogatym obrazy rodzinne i trofea wojenne, zastawiono długie stoły w kształt podkowy zgięte, okryte trzema według zwyczaju leżącymi na sobie obrusami szytymi, na których kurzyło się już pierwsze danie. W oddaleniu nieco połyskiwał niezmierną mocą sreber kredens za balustradą, przed którym stały stosy talerzy, półmisek, mis, pucharów i złocistych roztruchanów.

Nad wielkimi drzwiami wchodu, na podniesionej kolumnami galerii, ustawiona była muzyka i śpiewacy chłopięta.

Przy jednym z okien sali osobno zastawiono stolik suto mięsiwem dla nadwornego żarłoka Bohdana, który na dzień za trzydziestu zjadał i z trzydziestą w potrzebie ramieniem się mógł mierzyć. Było tam także mnóstwo mięsiwa pieczonego i warzonego, że ledwie uwierzyć było można, iż to wszystko pożre jedno miernego wzrostu człowiek, niezbyt nawet otyły.

Goście wchodzili do sali jadalnej – panna młoda tylko się nie pokazała. Za nimi wtoczyli się słudzy i dworzanie, mający stanąć za ławami i krzesłami panów swoich. Podano naprzód gościom z kolei według dostojęstwa wielką złocistą miednicę i nalewkę podobną do umycia rąk, a nareście ręcznik suto po końcach szyty perłami i złotem. Marszałek dworu rozsadził gości i przystąpiono do pierwszego dania, które składały pływające we czterech sosach, żółtym, różowym, czarnym i szarym spore mięsiw kawałki. Trzech krajczych u każdego stołu posługiwało. Rozstawione było także pieczone i przyprawy do niego korzenne, jako też narodowy chrzan z octem, ogórki i kapusta kwaśna. Goście mało co przedtem śniadawszy, niewiele zjedli sami, lecz nakładali z górą talerze i oddawali je sługom stojącym za nimi, którzy tu i zaraz za ich krzesłami, głośno podane sobie potrawy spożywali. Przed każdym z siedzących był talerz srebrny, nakryty maleńką serwetką i łyżka srebrna pozłocista. Popijano z początku piwo tylko w długich kielichach szklanych.

Po pierwszym daniu, na znak marszałka, zdjęto je razem z pierwszym obrusem, a drugie zastawiono z samych pieczeni różnego rodzaju składające się – zwierzyzny, ptastwa i ryb. Mimo wspaniałości uczty, spostrzec było można także na stole potrawy bardzo nawet proste, jak na przykład: dziś tak wzgardzony groch ze słoniną i kaszę rodzimą naszą. Na koniec po zdjęciu drugiego obrusa nastąpiło trzecie danie z samych łakoci złożone. Tu dopiero poczęto toasty, czyli *p r z e z d r o w i e* – za przyszłe powodzenie państwa młodych, które, stojąc, jeden do drugiego pełną przepijał.

Gdy już do ust niósł kielich książę wojewoda, a muzyka i mójdzierze połączyły się z wykrzykiem – *P r z e z d r o w i e*!, nagle z dziedzińca ozwał się głos, nie *v i v a*! wykrzykujący, nie radośne *h u r a*!, lecz krzyk przestachu, który stłumiwszy wszystkie, skamieniał gości i wytrącił z rąk kielich. Wybladły Kozak wpadł do sali.

– Książę – zawołał – Tatarzy! I padł z osłabienia znużeniem i przestachem.

Wszyscy porwali się od stołu. Gwar, krzyk, zamieszanie, ścisk, zgłęb zajęły cały zamek. Wszyscy wołali:

– Tatarzy! Tatarzy!

Książę Sołomerecki pobiegł od komnaty narzeczonej swojej.

– Idź do szabli i konia! – odpowiedziała mu, spostrzegłszy go bladego, i znikła.

Strwożony wyrzał oknem. Na błonia za wodami Ikwy, pod lasem, warczał, rozwijając się, nie policzony Tatarów zagon, który złodziejską doliną doszedłszy pod Dubno nie postrzeżony, nagle posunął się pod miasto, pędząc przed sobą Kozaków wysłanych przez wojewodę dla dostania języka. W oddaleniu rozeznać nie można było liczby powiększonej końmi luźnymi, które Tatarowie zwykli byli z sobą prowadzić dla odmiany. Szarzał tylko ten tłum posuwając się coraz bliżej!

Książę sam wręście zbiegł w dziedzińce.

Tu siodłano konie, wyciągano działa przeciw strzelnicom, zwodzono mosty. Lud z miasta i przedmieść cisnął się w bramy tłumnie, krzycząc i wiodąc z sobą bydło, konie, wozy.

W monasterze Świętego Krzyża bił dzwon na trwogę ponuro a spieszenie. Przestrach był nie do opisania.

Książę wojewoda zimny, nieporuszony, stał na podwórcu i dawał rozkazy, gładząc brodę. Niewielkie hufce gromadziły się kolejno w milczeniu. Wszyscy słudzy przybyłych gości siadali na koń, gotowali oręż. Książę Sołomerecki milczący stanął przy wojewodzie i patrzył mu w oczy.

Tymczasem tłuszc tatarska coraz się zbliżała pod zamek, z krzykiem, a raczej piskiem okropnym, nieregularnym tłumem postępując naprzód, opasywała warownię, zapuszczając się w opuszczone już przez mieszkańców przedmieścia. Niektórzy murzowie z oddziałami podbiegali pod mury, które oczyma mierzyli, a strzały ich, jak posłańce boju, padały nawet w podwórzec zamkowy. Inni potrząsając długie sznury, przygotowane na wiązanie jeńców, pokazywali je stojącym w zaborolach zamkowych.

Tabor z wozów siadał na dolinie, rozbijano liche nad wozami ze skór namioty. Wszystko to działo się z nieporównaną szybkością, ale zamknięci w zamku dość spokojnie na przygotowania patrzyli. Sposobiono tylko wodę wrzącą, kamienie, nabijano działa, rozstawiano dokoła po blankach strażę, mocniejsze przy wieżycach, basztach i bramach, a całe hufce tam, gdzie grubsze lody mogły pod zamek ułatwić drogę Tatarom.

Z tej uczty weselnej, wrzającej wesołością, w jednej chwili przedzierzgnęło się przygotowanie do boju, jeśli nie smutne, to przynajmniej poważne i posępne. Kobiety modliły się po oddalonych komnatach, w cerkwi, łamały ręce i płakały. Śmielsze porywały noże i chowały za pas.

Gdy się to dzieje, a strzały Tatar coraz gęściej jakby na urągowisko pod nogi oblężonym padają, wszyscy jeszcze wyraźniejszej zaczepki, szturm czekając, stoją w milczeniu i modlą się po cichu. Nagle ze wschodów, wiodących z zamku w podwórzec, bieży ktoś, w czarnej sukni, na dziedzińiec wpada między stojących i woła:

– Strzały świszczą koło was, a wy stoicie jeszcze z założonymi rękoma!

Na te wyrazy głośno wyrzeczone wśród powszechnego milczenia wszyscy się oglądają, nawet książę Konstanty Bazyli.

Kto je wyrzekł?

Panna młoda.

Ona zaplotła włosy, wdziała suknię żałobną, porwała miecz ciężki, gdzieś porzucony w komnatach, i pierwsza z zapalonym okiem bieży do działania ogromnego, stojącego z otwartą na dolinę paszczą.

Przed nią rozwija się cały ten straszny obóz tatarski, do jej uszu dolatują głosy ich dzikie, widzi ich łuki napięte i szable błyszczące, i wozy, i konie, i wśród tej zgrai wznoszący się namiot chana, który w blasku pogodnie zachodzącego już słońca świecie się purpurą, rozpina i siada na księżycem na czole, grożąc krzyżom kościołów i cerkwi.

Na ten widok staje księżna Beata, patrzy długo i myśli, i zdaje się jakby się po cichu modliła. Wszyscy milczą, tylko Bohdan żarłok nabija działą, księżna sama nim celuje z natchnienia, wyrывa lont zapalony z rąk puszkacza, przykładając...

I wystrzał głośny rozbija się w powietrzu, huczy, grzmi, a kula świszcząc leci w dolinę, leci, leci! – Za dymem nic nie widać. Lecz wiatr zachodni rozpędza kłęby dymu. Księżna Beata klasnęła w dłonie i padła na kolana. Nie ma namiotu chana, księżyc złoty leży na ziemi, kula go pierwsza obaliła, i nie kula może, może modlitwa kobiety.

Z obozu Tatarów wrzask okropny słyszeć się daje, widać jak się kupią, zbiegają, gromadzą, i jak wrzeszcząc z nową wściekłością rzucając się ku zamkowi.

– Księżno – ozwał się ktoś z tłumu (nie powiem kto) – zabiłaś im chana, oni nas wszystkich w pień wytną!

Beata spojrzała w milczeniu z pogardą i kazała Bohdanowi działo nabijać, a Tatarzy, którzy się byli tak zajadle rzucili na zamek, po kilku wystrzałach z dział, zaczęli się ściągać, kupić, nareście tabor łamać, wozy zaprzęgać i popędzili dalej z zagonem.

A kiedy w oddaleniu, przy świetle księżyca, widać już tylko było czarniejącą ich zgraję, księżna, otrząsając pył z sukni i ocierając czoło, zawołała do wojewody.

– Teraz można do cerkwi!

– Idźmy! – rzekł książę, spoglądając na nią z uszanowaniem. – Tyś nas ocaliła!

Resztę wesela niech kto chce opisać.

Z podziwieniem patrząc dziś na zamczysko, upatrywałem, gdzie moc jego dawniejsza, która go tak sławnym czyniła, że w napadzie kozackim 1648 roku jedno Dubno może z miast wołyńskich zupełnie uchroniło się zagładzie pod jego skrzydłem. Nie rozumiem, dlaczego by zamek dubieński mocniejszy być miał od ołyckiego, a jednak relacja Nathana Moskowicza Zasławskiego wyraźnie wzmiankuje: „Poszedł więc (Chmielnicki), stamtąd, (z Ostroga) do Dubna, gdzie zamek bardzo mocny, taki jakiego nie było w całym królestwie (?). To miasto należało do księcia Dominika hetmana, a gdy, jak wyżej mówiono, książęta i panowie z obozu puciekali, zostało tylko kilkadziesiąt Żydów, w myśli uratowania się w tym zamku. Lecz gdy hajdamacy zbliżyli się do Dubna, wszedł do zamku pan jeden z ośmdziesiąt żołnierzami księcia i zamknęli za sobą bramę i umacniali zamek, żadnego zaś Żyda tam nie wpuścili, a tak 1500 Żydów pod zamkiem zabito”.

„Gdy buntownik Chmielnicki przybył pod Dubno, zadziwił się nadzwyczajnej warowności tego zamku, mówiąc, iż ponieważ zamek ten nie jest żadną miarą do wzięcia, a zatem panowie dosyć głupi byli, że uciekli. W tym zamku były wielkie skarby, tak panów jako i Żydów, jednak Chmielnicki nie chciał go oblegać z powodu trudności zdobycia. Stamtąd poszedł z wojskiem swym do Brodów”.

Mówi tu Nathan Moskowicz o składach w zamku bogactw panów i Żydów; był bowiem zwyczaj, że w podobnych razach wszyscy, co kto miał, znosili do najbliższej warowni, pod której murem okolnym stawiano rodzaj szop przypartych do muru, zwanych horodnie, a w tych składano nie tylko panów i Żydów, lecz i wieśniaków droższy sprzęt. Każda z sąsiednich wsi miewała taką horodnią pod murem zamku, nazywającą się od jej imienia. Było tak w Krzemieńcu i w Dubnie, i po innych zamkach.

OSTRÓG, KSIĄŻĘTA OSTROGSKIE

Droga do Ostroga pocztowym gościńcem wiodła nas przez pagórki lasem pokryte gdzieniegdzie. Wdzięczne położenie, lecz tak pięknych widoków, jakie jadąc ku Kontantynowu oglądałem, tu nie znalazłem. Częściej się tu trafia na odczarowującą sośninę, której nienawidzę, i na piasek nawet, przypominający boleśnie pustynię Polesia.

Popasaliśmy w miasteczku Warkowiczach p. Mołodeckiego (pana Brodów), niegdyś posiadłości znakomitej wołyńskiej rodziny Szaławów Ledóchowskich. W r. 1733 Jakub na Ledóchowie i Warkowiczach Ledóchowskich z żoną Marianną Szaszewską (podstoli drohicki) fundował tu klasztor i kościół księży Bernardynów.

Stoi tu pałac nad stawem, wcale niepodobny do pałacu, raczej do fabryki i ratusz z kopułą podobną do klatki. Na lewo wzgórze lesiste, na którym mury bernardyńskie widać. Łatwo by to miejsce upięknąć.

W karczmie znaleźliśmy coś na kształt traktieru, którego gospodyni, może na przypadek głodu, trzyma i hoduje mnóstwo kanarków. Po drodze spotykały nas ogromne stada siwych ukraińskich wołów. Nie wiem, jak minąłem sławne źródło w Hulczy, o którym wspomina Rzączyński; musiałem na nieszczęście zasnąć.

W nocy już przybyliśmy do sławnego Ostroga, tego starożytnego gniazda książąt Ostrogskich, które dziś jest miasteczkiem powiatowym. Stanęliśmy na szczęście w dość porządnej karczmie, naprzeciw zrujnowanej i nigdzie nie wiodącej bramy dubieńskiej. Dawniej stała ona w murach otaczających miasto, na których gruzach zbudowana i ta karczma, w której nocowaliśmy.

Ludność dzisiejsza Ostroga nie przechodzi 4000 dusz.¹³³ Dzieli tak zwane stare miasto od nowego rzeczka Wilia wpadająca tu do Horynia. Część jedna należy do Ilińskich, samo miasto do księcia Karola Jabłonowskiego. Same ruiny wszędzie! Na zamku gruzy murów okolnych i cerkwi Ś. Trójcy sterczą wysoko na górze, w mieście – wspaniałego kolegium i kościoła Jezuitów. Nie zatarty jeszcze napis świadczy o fundacji przez Annę Alojzę Chodkiewiczową. Widać w gruzach staranie wzniesionej budowy rzeźby piękne i płyty kamieni ciosowych. Kolegium Jezuitów (którego dziś po pożarze gruzy tylko) wystawione było z kamienia po większej części, na palach bitych głęboko w ziemię, stanowiących fundamenta, gdyż innych dla trzęsawicy zakładać nie było można. Miasto składa się z kilku ulic i po największej części drewnianych domostw. Był tu ogród, niedawno jeszcze sławny z rośli i szklarni.

Nic piękniejszego nad wysoko wzniesione ruiny na górze zamkowej, panującej nad miasteczkiem, oblanej wodą. Widać na tej górze reszty cerkwi, zamku, bram i pięknych murów, pokruszone łuki sklepień i nic nie trzymające już słupy. W jednym miejscu ściana

¹³³ K. Malte Brun, Tabl[eau de la Pologne...], tab. 246 liczył 4600.

murowanej jakiejś budowy na szczycie góry stojącej schodzi aż do dołu, tworząc rodzaj fosy. Nic bardziej malowniczego nad ten widok w naszym kraju znaleźć nie można. Sądziłbyś, patrząc na to, że cię kto przeniósł nad brzegi Renu lub do pełnej pięknych ruin Anglii. W oddaleniu, jakby dla zamknięcia tego obrazu, w niebieskawej oddali bieleje kościół franciszkański Międzyrzecza Ostrogskiego (Ilińskich); prześliczny obraz i tyle w nim pamiątek, tyle myśli!

W Międzyrzeczu, który niegdyś był też zameczkiem obronnym, za czasów Starowolskiego,¹³⁴ kościół i klasztor wspaniałe, fundował książę Janusz Ostrogski. Śmiało ręczyć można, że nad te szczątki góry zamkowej i otaczający je pejzaż nie ma piękniejszego w tej okolicy widoku na kilkadziesiąt mil wkoło, nie są to bowiem nie znaczące kupy gruzów, lecz widocznych jeszcze kształtów reszty budowli gotyckich i późniejszego smaku, jak cerkiew troicka. Dodajmy do tego wzniesienie na wysokiej górze, nad wodą.

Ruiny zamku, kolegium, wielu innych budowli i bram, niegdyś zamykających miasto, tak smutną nadają Ostrogowi postać, tak wyraźnie zdają się wczorajszą jego sławę i wielkość przypominać, że niepodobna inaczej nań patrzeć, jak wspomnieniami.

Rzeczyński, który, jak mi się zdaje (może się mylę), część swoich obserwacji znaczną, tu siedząc, poczynił, często o Ostrogu wspomina. Pisze on o kopalniach kredy białej pod miastem, w miejscu zwanym Bielmiarz.¹³⁵ Także o przedniej glinie, z której robiono tygle (Schmelz-Tiegel, Gold-Schmieds-Tiegel)¹³⁶ i o tripli (tripolis, tripela, trippel) używanej do czyszczenia metalów.¹³⁷

Gdzie indziej wspomina znajdowane tu kamienie iskrzaste (oelithes, ammites, Rogen-stein, Roehen-stein)¹³⁸ i poławiane w Horyniu pod Ostrogiem perły; niezwykłą ilość żurawi w okolicach i wielkie lasy, schronienie wilków, ciągnące się pod Owruć.¹³⁹

W r. 1723 opisuje, jak d. 9 marca, przed wschodem słońca pokazała się kolumna ognista. Ten nasz terratograf opowiada także,¹⁴⁰ iż wyczytał w starych rękopismach, jak w r. 1697 Rusinka jakaś w Ostrogu porodziła dziecię żywe, po którym drugą jeszcze poczwara bez głowy i rąk, która była podziwieniem miasta.

Książęta Ostrogskie w XVI wieku herb swój wyobrażający świętego Jerzego na koniu, zabijającego smoka, wspólny im z innymi ruskimi książętami, zamienili na inny z powodu księcia Konstantego Ostrogskiego, po jego powrocie z niewoli w Moskwie. Hrehory, książę włodzimierskie, miał syna Dawida, któremu odebrano księstwo dziedziczne włodzimierskie (Wołyń), a w zamian dano zamki Ostróg, Dubno, Drohobuż, Czartorysk, Borzesko, i wyznaczono sto grzywien srebra z Kijewa, a sto z Perejasławia.¹⁴¹

¹³⁴ Sz. Starowolski, [Polonia]. Dantisci 1652: „Parte ab alia Medireczum oppidum unitissimum, in quo Franciscanis Conventalibus, ultimus de familia Joannes Dux Ostrogus, Castellanus Cracoviensis, sumptu (ut ita dicam) regio, templum et monasterium extruit. In urbe autem ipsa, neptis ilius nuper Ignatie Societatis Clericis, Collegium pro erudienda juventute, et templum magnificentissimum erexit, in quo mariti sui ossa Caroli Chdkievicii, viri bellica virtute incomparabilis, cum lachrymis reposuit”.

„z drugiej strony znajduje się Międzyrzecz, miasto bardzo warowne, gdzie książę Jan Ostrogski – ostatni z tego rodu – kasztelan krakowski, wznosił dla franciszkanów konwentualnych królewskim (że tak powiem) kosztem, kościół i klasztor. W samym zaś mieście jego wnuczka wzniosła niedawno kolegium jezuitów mające służyć kształceniu młodzieży oraz wspaniała kościół, w którym kości męża swego Karola Chodkiewicza, niezrównanego w zasługach wojennych, ze łzami pochowała”.

¹³⁵ [G. Rzeczyński], *Auctuarium historiae naturalis...*, s.20.

¹³⁶ *Ibidem*, s.21

¹³⁷ *Ibidem*, s.22

¹³⁸ *Ibidem*, s.36

¹³⁹ [G. Rzeczyński], *Historia naturalis curiosa..* s.252

¹⁴⁰ [G. Rzeczyński], *Auctuarium [historiae naturalis...]*, s.313.

¹⁴¹ [G. Rzeczyński] *Historia naturalis curiosa..*s.353

Mściław, syn tego Dawida, książę ostrogskie, miał syna Mściława, zmarłego w roku 1158, pochowanego w Kijewie, u Ś. Fedora. Ten zostawił po sobie syna Mściława, księcia włodzimierskiego, wołyńskiego i bełskiego.

Roman, syn jego, książę włodzimierski, potem halicki, przeniósł swoją stolicę do Halicza. Zabili go Polacy w Zawichwoście r. 1205. Wasil, brat jego, miał synów Lwa i Romana.¹⁴² Tego Romana syn, Wasil, książę ostrogskie, miał syna Daniela, a synowca halickiego księcia. On pierwszy, Daniel, pisać się począł z Ostroga.

Syn Daniela, Fedor, miał Wasila, Wasil Iwana, a Iwan był ojcem księcia Konstantego, wielkiego swoich czasów bohatera. Jego niewola w Moskwie, zwycięstwa nad Tatary, pobożne zakłady cerkwi Ś. Trójcy i Ś. Nikołaja w Wilnie, pamiętnym go czynią. W r. 1522¹⁴³ król go uczynił wojewodą trokim, i któż by uwierzył, że ten bohater, tyle razy zwycięzca, który życie swoje poświęcił obronie kraju, dla religii tylko, której się trzymał stale i zmieniać nie chciał (był wyznania greckiej cerkwi), wzbudził szemrania gorliwców, odbierając tę tak błahą nagrodę, za ośm lat niewoli i całe życie boju. Taka była moc ówczesnych wyobrażeń socjalno-religijnych, iż wymawiano królowi jego wywyższenie, krzyczano na złamanie prawa, aż Zygmunt za siebie i następców swoich przyrzec musiał, że nadal nie będzie senatorem żaden, który by nie należał do katolickiego kościoła, chociażby jego zasługi równały się wielkim Ostrogskiego dziełom. To przyrzeczenie tysiąc razy potem złamane zostało, gdy się reforma rozszerzyła, a w akcie unii 1569 r. kilkudziesięciu senatorów różnowierców podpisanych czytamy. W r. 1527 pobił książę Konstanty Tatarów krymskich i umarł potem kasztelanem wileńskim. Nagrobek jego jeden był w Kijewie w Pieczerskiej Ławrze, drugi u Ś. Nikołaja w Wilnie.¹⁴⁴

Konstanty zostawił po sobie dwóch synów Ilię (Eljasza) i Konstantego Bazylego, wojewodę kijewskiego, marszałka wołyńskiego, starostę włodzimierskiego itd., który podpisał między innymi sławną unię lubelską Litwy z Koroną w r. 1569. Pan to był wielkich dóbr. Roczny przychód z dóbr miał milion dwakroć sto tysięcy złotych polskich (co, jak ewaluacja Święckiego według tablic Czackiego okazuje, wynosi na dzisiejszą monetę przeszło dziesięć milionów złotych). Za starszego służył, marszałka dworu, miał jednego ze starszych wojewodów, któremu co rok jurgieltu płacił siedemdziesiąt tysięcy złotych, żeby tylko dwa razy do roku stał przy nim podczas większych uroczystości. Dwór jego składali panie szlacheckie w wielkiej liczbie, przy nim samym nigdy mniej niż tysiąc ludzi nie bywało, a najczęściej do dwóch tysięcy. Ostróg jego dziedziczny można sobie wyobrazić, jak wzrósł pod takim panem, ile mu ludności, zamożności przybyło. Świetne to były dlań czasy!

Książę Konstanty Bazylewski nie mniej od przodków swoich sławny był z bitw stoczonych i męstwa w boju, lecz te przymioty tak często głoszone, że je dość napomknąć; w historii kraju znajdują się te jego dzieła wypisane.

Za niego zaszły starania o unię z kościołem rzymskim Rusi; z początku, pisząc, skłaniał się on ku temu, sprzyjał jej, lecz potem, gdy inaczej niżeli wskazywał, postąpiono, a podobno bez jego rady, odstąpił pierwszej myśli, trwając stale przy swojej wierze aż do śmierci. Próżno nawet papież sam pisał do niego. Umarł w r. 1606 (czy 1608) d. 21 marca.¹⁴⁵

W Ostrogu założył on szkołę, mianowicie języków greckiego i łacińskiego; w myśli mając zapewne tym zakładem walczyć z zasadami instrukcji wpajanych przez jezuitów. Założył także szpital i wiele cerkwi. Za niego sławną ową drukowano *Biblię* w Ostrogu, której druk z

¹⁴² B. Paprocki, *Herby [rycerstwa polskiego]*, s. 1099.

¹⁴³ M. Kromer, *[De origine et de rebus gestis Polonorum]*, [libr.] IX s. 239.

¹⁴⁴ W. W. Kojalowicz *[Historiae Lithuaniae...]*. Nagrobek w Pieczarskiej Ławrze rysowany i cytowany w dziele dość rzadkim, pod tytułem: *teraturgima abo cuda klasztoru Pieczarskiego i obojga pieczar*, z dodaniem rozmyślań duchownych przez Atanazego Kalnofojskiego Sobornego Zakonnika Klasztoru Pieczarskiego Kijewsk. Druk. Kijew. Pieczar. Ławry 1638 r. 4 – to, patrz stronę 34. Nagrobek liczy mu sześćdziesiąt bitew wygranych.

¹⁴⁵ K. Niesiecki, *[Korona polska...]*, t. III s. 515

początku nie dokończony i zarzucony drugim dopiero nawrotem do końca doprowadzony został. Przed *Biblią* drukowano tu *Psałtyr z Nowym Zawietem* i *Miesiacosłowem* w r. 1580 (kirylcią). *Biblia* wyszła w r. 1581. Tej drukarni ruskiej typy służyły pono za wzór lwowski, stratyński, halicki, hohylewski, kijewski itd. Przeniesiona stąd drukarnia do Dermania. W r. 1594 wyszła tu *Księga Wasilia Wielikoho* nakładem księcia Konstantego Konstantynowicza.

Ówczesne szkoły ostrogskie znalazły nawet poetę, który je opiewał szumnym wierszem.¹⁴⁶ Był to Pękałski, akademik krakowski, który tak się w swym historycznym śpiewie *De bello Ostrogiano* odzywał:

*O dignum Ostrogio tam clarum nomine factum
Tantis Principibus, queis Russia vasta superbit,
Dignae Sicelides Nymphae et Libethrides undae,
Iam video lauros, Helicon quos educat et fert
Ostrogianus apex petit ardua secla Mineruae.
Bibliotheca viget, multo conflata labore,
Biblia sacra typis mandantur, magna librorum
Copia sonsurgit; gaudet Grynaeus Apollo,
Deseruit Tenedos, Delum contempsit amatam
Arcumque cytharamque sagittiferamque pharetram
Transulit Ostrogiam Musarum vota sequutus
Templaque perpetuis non defficientia seclis*.*

Nie sprawdziły się piękne przepowiednie Pękałidesa, bo, jak się zdaje, ostrogska owa colonia, po śmierci założyciela i podupadła, i później wreście w jezuitów ręce się dostała.¹⁴⁷

Książę Konstanty Bazyli tak był nabożny, iż gdy się modlił, aby mu nic w modlitwach nie przeszkadzało, po cerkwiach, w których bywał, sporządzić kazał ławki zupełnie zamknięte wokoło, z złocistej blachy mosiężnej, z okienkami tylko na trzy strony. Na pierwszy dzień postu, dla rozmyślenia, zamykał się w monasterze dubieńskim i tam odzienie pańskie zrzuciwszy, po mniszemu ubrany, trawił czas pewien w modlitwach i poście. Píše Janczyński (u Niesieckiego), że na jego dworze był sławny jakiś żarłok imieniem Bohdan, który zjadał na śniadanie: prosię pieczone, gęś, dwa kapłony, pieczeń wołową, trzy bochny chleba, ser cały; wypijał dwa garnce miodu, a potem u obiadu jadał jeszcze i pij jakby na czczo przyszedł do stołu. Wołowiny dziesięć zrazów, cielęciny więcej daleko, jeszcze więcej

¹⁴⁶ Pekałides, *De bello ostrogiano ad Piantkos cum Nissoviis Libri IV*. Kraków 1600, druk Andr. Petric.

* Czyn, o którym mowa, jak informuje napis umieszczony przy tych wierszach u Pekałidesa, to założenie *Gymnasium Ostrogianum*:

Czynie wsławiony wielce Ostrogskich imieniem,
Godny książąt, którymi wielka Ruś się chlubi,
Godne Muzy Sycylii i źródła Lihetrów –
Laury już widzę, które Helikon wydaje.
Laurom ostrogskim trwanie zapewni Minerwa.
Rozkwita biblioteka dzięki wielkiej pracy,
Biblia się tu drukuje, tu ksiąg wielka ilość
Powstaje; ucieszony Grynejski Apollo
Już porzuca Tenedos i miłą mu Delos,
Łuk, kitarę i kołczan, który dzierży strzały
Przenosi do Ostroga Muz prośbom posłuszny.
Do świątyń, co przetrwają poprzez długie wieki. – J. C.

¹⁴⁷ Tu miejsce wspomnieć, że jeden z książąt Ostrogskich, będąc na naukach w Igolstadt w Bawarii wydał w r. 1649 niewielkie dziełko. Był to Jerzy, późniejszy wojewoda wołyński.

baraniny, prosię całe, gęś, kapłona, trzy pieczenie: cielęcą, wołową i wieprzową, miodu zaś, wina i wódki na przemian po cztery garnce wypijał, piwa bez miary. Z tym wszystkim być dość chudy, czemu trudno uwierzyć, a nadzwyczaj silny, tak że ze trzydziestą ludźmi się mierzył, bo też i jadł za trzydziestu. Nigdy od stołu nie wstał pijany i nigdy zupełnie syty. Takiego żarłoka tylko książę ostrogski mógł dla osobliwości utrzymywać.

Syn księcia Konstantego pierwszego, Ilia (Elias), książę ostrogski, ożenił się był na królewskim dworze z panną Beatą Kościelecką. Ta panna Beata była córką Katarzyny Ślężanki, pani wojnickiej, nałożnicy króla Zygmunta I, z której on miał wprzód przyznanego za syna Janusza, biskupa wileńskiego i poznańskiego, zwanego z książąt litewskich. Potem ulubioną swą wydał króla za Kościeleckiego, podskarbiego koronnego, później kasztelana wojnickiego, za co Kościelecki taką od braci wśród senatu odebrał obelgę, iż mu jej łaska królewska zapłacić nie mogła.

Gdy bowiem Jędrzej Kościelecki, pojawiając się już za żonę Katarzynę Telniczownę Ślężankę, wszedł na salę senatu, bracia jego powstali z krzeseł i zawołali:

– Nie chcemy zasiadać z tym, który imię nasze tak upodlił, iż je dał nałożnicy królewskiej! Po czym wyszli. Kościelecki został, ale ten wypadek takie na nim uczynił wrażenie, iż dostawszy pomieszczenia zmysłów, z rozpaczy umarł.

Miał jednak z żony swej córkę, imieniem Beata. Ta wychowała się na dworze królowej Bony, jakby dziecko królewskie. Zdaje się nawet ze słów Górnickiego, iż może raczej Zygmunta króla, niż p. podskarbiego w istocie była córką, ale że pater est quem nuptiae demonstrant, zwała się już panną Kościelecką.

„A była w takiej uczciwości chowana – pisze Górnicki – by też miała co królowi w rodzie”. O tę tedy pannę Beatę w r. 1539 starał się książę Ilia z Ostroga, właśnie w czasie, gdy król Jan Węgierski, podobnie czynił zabiegi o królową Izabellę, później tak nieszczęśliwą, a tak godną lepszego losu. Jednego też dnia odprawiły się ślub i wesele królowej węgierskiej przez posły, drugiego zaraz księcia Ilia z Beatą. Były między innymi zabawy, gonitwy i turnieje, w których najmniej wojennego ducha potykał się dziewiętnastoletni Zygmunt August, goniąc na ostre, w gończej zbroi z panem młodym. Po nich zakryci tarczami gonili Węgrowie, w kilka par, a w tej niby utarczce jeden tylko koń poległ.

Książę Ilia z panną Beatą zostawił jedną tylko córkę Halszkę (Elżbietę), którą młodą odumarł, króla Augusta opiekunem jej naznaczając. Bogata dziedziczka doszła do lat, liczni byli starający się, ale Beata matka, która trzymała w ręku piękne córki wiano, nie chciała jej wydać za nikogo, aby się dłużej nim cieszyć. Stryj książę Wasil (Bazyli) Ostrogski i wszyscy szemrali na to, ale dumna i uparta kobieta przy swoim stała nie zważając na rady. Najnatarczywszym ze starających się czy z miłości, czy dla złota (rzecz dotąd nierozwiązana) był książę Dymitr Lubartowicz Sienguszek. Chcąc się jakoś od jego ciągłych nalegań zasłonić, księżna Beata dała mu jakieś obietnice dalekie, zsyłając się, że jeżeli król pozwoli, jeżeli, jeżeli itd., to może coś z tego być.

Nie podobała się księciu Dymitrowi taka odpowiedź. Wkrótce, wyznaczwszy dzień, oznajmił księżnie, że miał do niej przybyć w gościnę. Niepodobna było odmówić przyjęcia go. Jakoż w dniu zapowiedzianym czekając go, ujrano z góry zamkowej na zasławskiej drodze hufiec ludzi pędzących do zamku, a między innymi poznano księcia Bazylego Ostrońskiego, którego księżna uważała za swego osobistego nieprzyjaciela. Natychmiast wydany rozkaz zamknięcia bram zamkowych przed przybywającymi, ale nim go spełniono, już ludzie księcia Dymitra i Bazylego wpadli na zwodzony most do bramy, ubili w bramie kilku ludzi z załogi opierających się i całemu wojsku książąt (jak ze zwał obrońca księżnej) drogę na zamek otworzyli.

Nastąpiły rzeź i rabunek jak w zdobytym nieprzyjacielskim zamku, bo ludzie ujrawszy trupy u wrót, jak psy na widok krwi się rozjedli. Tymczasem książęta szli do komnat księżnej Beaty, która mdlała ze strachu i gniewu. Stanęli przed nią – przyjęła ich kilkakrotnym

omdleniem, wręście gdy książę Bazyli doczekał się wytrzeźwienia, miał do niej mowę, przypominając opiekę przyrodzoną swoją, chęć w obmyśleniu wszystkiego dobra dla domu ostrońskiego. Opowiedział jej wolę swoją, idącą z woli Bożej i prawa przyrodzonego, iż księżnę młodszą obiecał i dał słowo oddać w małżeństwo księciu Dymitrowi, że dla wykonania tego przyjechał z nim pospołu, aby to już inaczej być nie mogło.

Potem sam za sobą książę Dymitr przemówił od domu swego starożytnego. Wnet zatem wspomniawszy usługi swoje, które czynił Rzplitej. Nie zaniechał: bogactwa, możności, przyjaciół, urody, męstwa, lat, czym wszystkim księżnie Jejmości mógłby być drogim, a zamknął mowę swoją słowy:

– Pozwolisz W. Ks. Mość, czy nie, to inaczej być nie może.

Księżna podniosła głowę i spojrzawszy na nich, zawołała:

– Także się to do przyjaciół po żonę przyjeżdża!

I omdlała znowu. Nieprędko się jej docucono. Przypomniała potem, że król jest od ojca naznaczony córki opiekunem, że ona sama nic o jej losie stanowić nie może.

– A my ciebie więcej o to prosić nie będziemy! – odpowiedzieli goście.

Wszystkie te słowa są historyczne. Potem książę Bazyli porwał za rękę księżnę Halszkę, a księżna matka za drugą, i tak rwali biedną dziewczynę, ten do siebie, ta do siebie, aż po chwili takiego pasowania się matka upadła na ziemię i znowu omdlała.

Tu książę Bazyli, trzymając Halszkę za rękę, oddał ją Dymitrowi i rzekł:

– Oto ci ją oddaję, bo mam do tego prawo, jako stryj i najbliższy opiekun.

Zawołano natychmiast popa i kazano mu wiązać stułą parę nowożeńców. Lecz ksiądz, gdy się spytał Halszki, czy ma wolę zostać żoną księcia Dymitra, odpowiedziała mu upornym milczeniem. Zatem nie chciał dawać ślubu, radząc go odłożyć do jutra, ażeby się uspokoiła i namyśliła.

Pilno było księciu Bazylemu skończyć, odpowiedział więc z pogroźkami:

– Nie do rady księżę cię wezwano, lecz żebyś czynił, co ci każą. A nie zechcesz być posłusznym, to ci ta buława napędzi.

Ksiądz zamilkł i dokończył ślubu, w czasie którego książę Bazyli jak na chrzcie za synowicę odpowiadał. Potem porwano jej rękę i związano stułą. Osobliwszy ślub!

Tu zaraz wniesiono antypasty, cukry, wina i co najprędzej gotowano łożnicę. Wyprawiono sług, a za nimi książę Bazyli wyszedł zostawując pobraną parę sam na sam.

Teraz cytuję już słowa obrońcy księżnej w tej sprawie, Stanisława Czarnkowskiego. On pisze co i jak się dalej działo, bo temu ledwie uwierzyć można:

„Co gdy się stało – mówił – uboga (biedna) księżna jako przed kapłanem, tak i tu broniąc pocziwości swojej, była tak silna księciu Dymitrowi, iż sług na ratunek zawołać musiał, przy oczu których jako się pastwił nad księżną poddaną. W. K. Mości, ubogą sierotą, wnuczką owego sławnego hetmana Konstantego, córką owego Iliego, uszy świętobliwe M. K. Mości nie dopuszczają mi wypowiedzieć. Nie tylko z pocziwą żoną żaden cnotliwy małżonek tak się nie obchodzi, ale ani z ową, która wstyd zaprzedała”.

Po tym obrzydłym gwałcie, dowodzącym, że miłości żadnej między dwojgiem małżonków być nie mogło, chyba zemsta lub chciwość kierowała Dymitrem, książę Bazyli wygnawszy Beatę, zamek ostroński opanował.

„Wziął go – pisze obrońca – za zapłatę szkaradnego a nieprzystojnego uczynku swoje. I to go to do swatostwa powodowało, iż chciał odzyskać stolicę księstwa, która po bracie na jego córkę spadała. Charakter ks. Dymitra, który całe życie spędził w obozach i boju, który się chlubił, że rękami własnymi pojmał Bułukaję Tatara za Cyrkasami, że dwadzieścia szlachty, w niewolę tatarską pędzonych z żonami i dziećmi, uwolnił, charakter, mówię, jego burzliwy, nieugięty, nawykły do zwycięstwa i walki, przywiódł go do takiej ostateczności, w której interesowana pomoc księcia Bazylego podała rękę spełnienia gwałtu. A ten to był książę Bazyli, któregośmy opisali tak bardzo nabożnym!”

Życie przeszłe księcia Dymitra wystawiano długim pasmem burd, hulatyki i gwałtów, w Łucku i Krzemieńcu, w czasie pokoju popełnianych z rozpustnymi Kozaki. Był to swoich czasów w całym znaczeniu wyrazu tego junak! „Najlepsze miejsce ku prędkiej wiadomości o nieprzyjacielu, ku przedszemu i snadniejszemu poratowaniu swoich, obrał sobie dwie mieście, Łuck i Krzemieniec – mówił o nim obrońca księżnej. – Na mieszkaniu tam ze swymi Kozaki pełnymi strzela (rozumie się kubkami, kielichy), a kiedy te wystrzelają, wytluką, to do kuszów drewnianych ucieczka (kusz znaczy procę wojenną), aż się i garncom i donicom dostanie. To on w tych mieściech możny, w tych straż kozacką dzierży, nie na uprzątnienie nieprzyjaciela, ale na upatrzenie podwiki (spódniczki), dla której bywało to, iż siła nocy nie sypiał. Jeżeli się kiedy trafiało, że o ludziach (nieprzyjacielu) wieść przyszła, to p. Dymitr jako opatrny hetman, tak długo się wybierał, tak długo strzałki ostrzono, pancerze wycierano, rohatyny hartowano, aż Tatarowie odeszli z plonem. O których odejściu, skoro się dowiedział, to za nimi wciąż aż do Braclawia. A nie mniemaj W. K. M., iżby za nimi szedł pędem, po dwu, po trzech mil ujeżdżał na co dzień, iżby tylko do Braclawia był na czas kwasieć, a zastał co u nizowych Kozaków korzyści (łupu), o którą by nie żał było w karty, albo w kostki uderzyć, to więc tam ostatek czasu, jeśli o ludziach słyszeć nie było, zwykł trawić, pijąc, hucząc, grając, aż jaki nizowy Kozak pasterze u tureckich czabanów porwawszy, za więźnia męznego przywiódł. A tego skoro albo okupił, albo w karty wygrał, to z nim do W. K. Mości posłał, pokazując i szerząc posługi swoje, jako nie śpi, jako garłuje, jako majątność utracą przez W. K. Mości sławą. Toż są jego rycerskie sztuki”.

Z takim to szyderstwem malował Czarnkowski przeszłe życie ks. Dymitra i wyśmiewał zwycięstwa, z których się on wynosił. Zaiste, jeśli to nie przesadzone, co za obraz wyborny obozowego życia w XVI wieku na Wołyniu i pograniczach tatarskich.

Księżna Beata, wygnana z Ostroga, pospieszyła ze skargami i płaczem do króla, do Krakowa, narzekając na gwałtem narzuconego sobie zięcia księcia Dymitra, przez przyrodzone niby prawo opieki Bazylego, dziewierza swego, narzekając na porwanie córki, najazd i rozbój.

Pozwano przed króla księcia Dymitra, który przeczuwając złą sprawę swoją i jej skutki, wiedząc, ile może na królu Bona, na Bonie łzy Beaty i krzywda płci białej, skrył się z żoną, czekając dalszych wypadków. Ku jesieni król z królową udał się do Knyszyna, gdzie sprawa ta wytoczyć się miała. Od księżnej Beaty mówił Stanisław Czarnkowski, ochotnik czy też uproszony przyjaciel, którego mowę pełną oburzenia, żalu, wyrzekania, szyderstwa, wymowną, śmiałą i dowcipną, ostrą w wyrzutach na księcia Dymitra wypisał całą w swej kronice Górnicki, razem z odpowiedzią.

Dwa te ciekawe zabytki wymowy sądowej w XVI wieku, w tak dziwnej sprawie, dziś jeszcze niezmiennie zajmują.

Szlachcic Odachowski stawał w obronie księcia Dymitra. Trudna była to rzecz, po wymownym oskarżycielu powodowanej strony, po tylu zarzutach, po tak oczewistych dowodach gwałtu, przeciw wszystkim przekonaniu, przeciw królewskiemu nawet, bronić księcia Dymitra. Długo się odwołując do sprawiedliwości króla i zasadzkami księżnej wymawiając nieprzytomność Dymitra, we wstępie mowy starał się Odachowski uniewinnić niestawienie się jego przed sąd. Czuł bowiem, że i to go nawet obarczało, iż się stawić nie śmiał i czuł winnym. Dalej zadał sobie dowieść obrońca, że księżę Dymitr uczynić gwałtu nie mógł, i nie uczynił. Rzecz oczewista, że nie uczynił, jeśli nie mógł; raczej dowodzić należało, że uczynić nie chciał. Dowodzenie niemożności na tym się zasadzało, iż w Ostrogu, oprócz ludzi ustawicznie tam mieszkających, urzędników, dworzan, dworników, pieszaków, dwór sam księżnej pani tysiąc koni wynosił; kniaź zaś Dymitr miał tylko trzydzieści, a Wasil pięćdziesiąt koni, gdy na zamek przybyli. Nareście po swojemu obrońca rzecz całą wyłożył, dosyć zręcznie na wywrót ją malując. Składał list księżnej Beaty z obietnicą ręki Halszki dla Dymitra, którą, jak powiadał, uczyniwszy uroczyście, potem złamać chciała. Księżę Dymitr

wedle słów obrońcy swego miał tylko gwałtem wjechać na zamek, aby uniknąć wstydu, gdy ujrzał, że przed nim bramy zamykać chciano. Całą rzecz złożono na księcia Bazylego, stryja, a upór księżnej Beaty wystawił Odachowski chciwością trzymania jak najdłużej córczyńnego wiana. To ostatnie było szczerą prawdą, lecz nie wymawiało wcale gwałtu. Ofiarował obrońca w imieniu księcia, jakby szydząc z chciwości matki, majątki i wiano księżniczki powrócić, byleby żonę mu zostawiono. Chwalił księcia Dymitra z jego czynów, skończył na prośbach. Obrona ta rzeczą słabą, ułożoną bardzo sztucznie, bo omija większą część zarzutów, kołując niedaleko nich, a nie dotykając w istocie, została bez skutku. Król nadto już był uprzedzony, gwałt nadto jawny. Rozstrzygła się sprawa w senacie¹⁴⁸, a że był przy księżnie wielki orszak ludzi zacnych z Polski, wojewodów, kasztelanów itp., a z Litwy niewielu się znajdowało senatorów, przyszło tym to opolskim panom zasiąść w radzie i wotować: a tak wszyscy, jako przyjaciele księżnej Beaty, przeciw księciu Dymitrowi zdanie dali.

Prosimi za nim Litwini o przedłużenie czasu, aby sam mógł stanąć i młodą księżną dla wybadania sprowadzić, ale na próżno. Dekret wypadł na infamią go skazujący. Ten wyrok, jako marszałek, ogłosił zaraz przyjaciel księżnej Beaty, Mikołaj Radziwiłł, wojewoda wileński.

Infama wolno było, jak wiadomo, każdemu pojmać i zabić, a księżnie tego tylko było potrzeba, aby go zgubić, a córkę odzyskać. Nie ustając zatem w zajadłej zemście, prosiła jeszcze i uprosiła wydanie uniwersałów, a sama wyjechała.

Znalazł się taki, który za nieszczęśliwym, acz winnym, polecał wygnać. Był to Marcin Zborowski, kasztelan krakowski z synem. Trudno pojąć przyczyny pośpiechu, z jakim się puścił w pogoń za nim. Współcześni¹⁴⁹ malują go wprowadzając gwałtownym, lecz nie zepsutym człowiekiem. Paprocki pisze o nim: „Był za mojej pamięci, Marcin Zborowski, bardzo zamożny w skarby (więc nim nie powodowała chęć zysku) i w majątności, pan skromny, nie przesadzał się na szaty, ani na żadne niepotrzebne zbytki. Był naprzód u Zygmunta Starego podczaszym, rotę do Węgier wodził, a zwłaszcza do Orszey, w oną fortuną bitwą, w której brata stracił Jana, także i do Opoczki, na Podole za Konstantyna Ostrońskiego owego sławnego w sprawach rycerskich, a jako biegłego tak i fortunnego pana”.

Mógł więc w usłudze ks. Beacie pamiętać na te dawne związki.

„U królów – pisze dalej Paprocki – był w wielkiej łasce za wiarę, pilność i stateczność w posługach swych. Wielkie szczęście jego i męstwo znaczne zalecało go królom, gdy przed nimi nie tylko nieprzyjacioły ich czasu potrzeby bijął, ale też w czasie krotchwilii zwierza, wilki, wieprze, żubry, niedźwiedzie, pojedynczo łowił”. (Był to więc dworak, który choć barwy nie nosił, pana bawił z obowiązku prawie wziętego na się). „Był kasztelanem kaliskim, potem wojewodą tamże, potem wojewodą poznańskim. Umarł kasztelanem krakowskim, szydłowski, skotniskim, tłomackim i odolanowski starostą itd.,

On Berkę Czecha, który granice od Odolanowa najeżdżał, zabił. Przysłał mu ów Czech odpowiedź rano, a on go raniej jeszcze nazajutrz najechawszy zabił”.

Takiego to człowieka użyła księżna Beata, posyłając w pogoń za biednym wygnać, który z Halszką do Czech się schronił. Ale i tam ścigał go Zborowski¹⁵⁰ tak śpiesznie, że mu w drodze wszyscy ludzie jego orszaku poustawiali, a on sam tylko samoczwart (z dwoma sługami i synem Marcinem) pędził aż do Jaromierza, gdzie Dymitra dognał, w obcym już kraju, pod obcymi prawami, niosąc miecz na wygnaćca!

Gospodarz domu, do którego skrył się książę Dymitr, zabity został, zapewne stojąc w jego obronie. Zabity i książę Dymitr; porwano Halszkę. Ją i głowę księcia Dymitra odwieziono razem matce.

¹⁴⁸ Ł. Górnicki, [Dzieje w Koronie Polskiej (...)] od roku 1538 aż do roku 1572. Kraków 1637].

¹⁴⁹ Ł. Górnicki [Dzieje w Koronie Polskiej]

¹⁵⁰ B. Paprocki, Herby..., s. 92 – 93.

W Jaromierzu postawiono księciu Dymitrowi nagrobek, na którym Zborowskiego jako zabójcy imię położono; dziś go i śladu tam nie ma i tradycja nawet wypadku nie pozostała.¹⁵¹

Król, wydawszy dekret na księcia Dymitra, wyjechał na sejm r. 1554 do Lublina, gdy pod Parczowem będącemu przyniesiono wiadomość o zabiciu księcia Dymitra i o zatrzymaniu zabójcy w Czechach. Pisał król do Ferdynanda, aby Zborowskiego uwolniono – ale kto wie, czy wówczas nie ukuła w sumienie ta krew przelana, ten wyrok tak prędkiej? Zborowskiemu za ten postępek szkoda, że potomność nie dała imienia kata, na które zasłużył, ten nieprzyjaciel niedźwiedzi, żubrów i adwokatów.

Ta powieść, której krwawe sceny przypominałem sobie patrząc na ruiny ostrońskiego zamku, na drogę, którą książę Dymitr wpadał, na miejsce, w którym się ten ślub odbywał, malowała mi tak dobitnie obyczaje tamtego wieku; a chociaż na pozór jest wyjątkiem, szczególnością, w przyczynach tego dramatu cały wiek XVI z jego barbarzyństwem, z wiarą w prawo silniejszego, z chciwością złota, z bezwstydem swoim naiwnym, z mowami, w których się tak gładko uniewinniać umie – widziałem.

Jaka była myśl, jakie było uczucie powodujące ks. Dymitrem? Miłość? Nigdy! Duma? Upór? Chęć postawienia na swoim? Może, powiedział sobie wojak, tak ma być – i tak się stało – choć głową przyplącił, ale zwyciężył, ale był mężem Halszki, zięciem Beaty. Spodziewał się bez wątpienia ks. Dymitr łaskawszego na niego sądu, który by go był nie minął, gdyby więcej miał przyjaciół; spodziewał się względu na urodzenie i zasługi, a jednak czuć musiał winę swoją, gdy głowy swej sam przed sąd zanieść nie odważył się.

Charakter księżnej matki Beaty lepiej się jeszcze później odmalował, gdy znowu później szło o zamęcie tej nieszczęśliwej córki. Naówczas i król już poznał nienasyconą jej chciwość i nieczułość kamienną kobiety bez macierzyńskich wnętrzności. Smutne były dni Halszki z matką, która ją zamykała, kryła i strzegła, ufając że jej nigdy za mąż nie wyda, że los jej przeszedł, niewola i strach, wszystkich starających się od niej odpędzi. Księżna matka chciała jeszcze zbierać grosze z posagu córki i sama wprzód pójść za mąż; czego potem i dokazała. Takie było nieszczęsne położenie Halszki, i nikt by o nią może się nie pokusił, gdyby nie jej wiano. Ono to było powodem, i księżna Beata drugi jeszcze dramat z córką i królem odegrała.

Za wierne usługi król Zygmunt August, opiekun Halszki, swatał ją jako bogatą dziedziczkę hrabiemu Łukaszowi z Górk.

Działo się to w Warszawie, gdy król jechał właśnie na sejm do Lublina. Król uczynił wniosek ten i propozycję od siebie księżnie matce, która natychmiast poczęła szukać wymówek, a nie mogąc się niczym wywinąć, bo była sama wprzód królowi prawo rozporządzenia córką swoją przyznała, cytowała podane jej zapewne przez kogoś prawo z statutu litewskiego stanowiące, że gdyby się Polak jaki z panną lub wdową Litewką posiadającą majątności ziemskie żenił, powinien był wziąć coś niewiele za włokę gruntu (wedle urzędowego ocenienia) a od dóbr odpadać; to prawo uchwalone było dla uchronienia się od napływu Polaków do Litwy, których przemagającej liczby i znaczenia lękano się jak widać. Dodajmy, iż Wołyn podówczas rządził się statutem litewskim i do unii lubelskiej liczył się z Litwą.

Na ten zarzut król, zdziwiony przytomnością białogłowy, odpowiedział jej, obiecując i zaręczając swoją powagą, iż tę trudność zniesie, dając słowo swoje królewskie. Że zaś wybieg to był tylko ze strony księżnej, nie poprzestała więc na królewskim słowie i jakby nie wierzyła w nie, zgodzić się na zamęcie córki nie chciała.

Król dał jej czas do namysłu. Ostatniego dnia, już w Błoniu na noclegu, znowu począł August nalegać upornie, przyczyniła się i królowa Bona, posłali do księżnej Andrzeja Czarnkowskiego, biskupa poznańskiego, ale nikt jej zmiękczyć nie potrafił. Na koniec, bojąc się dłuższych nalegań i perswazji, a czując się już osłabioną poprzednimi, wstydząc się może

¹⁵¹ B.Paprocki, [Herby...,]

wreście swej obrzydłej a tak jawnej chciwości, księżna Beata gankami uciekła do łaźni i tam się skryła, żeby jej już znaleźć nie mogli.

Halszka, zostawiona sama sobie, musiała wytrzymać nalegania wszystkich i obiecała, zawsze posłuszna, pójść za wolą matki i uczynić, co ona każe. Król czekając długo na księżnę Beatę, posłał po nią nareście. Nigdzie jej nie było. Kazano jej szukać, przetrzesiono wszystkie budynki i odkryto gdzie się najmniej spodziewano, bo w łaźni. Chciano ją wieść do króla, ona iść nie chciała, bojąc się nowych nalegań. Że się zaś wszystkim już jej upór naprzykrzył, zdjął jej ktoś z palca pierścień i zaniósłszy go na pokoje do króla, powiedziano córce, że był znakiem pozwolenia wysłanym przez matkę. Jak tylko go postrzegła Halszka, zgodziła się na wszystko, warując sobie zawsze, że o tyle tylko przystaje na małżeństwo, o ile matka nie jest przeciwna. Gdy jej to wszyscy wmawiali, ona, przestraszona, sama nie widząc, co począć, gdy ks. Czarnkowski nie tracąc czasu zaraz stanąć ślub dawać; miała jednak dość przytomności, że odpowiadając na pytanie przy ślubie dodawała:

– Jeśli taka matki mojej wola.

Tak bardzo przywykła była lękać się i słuchać matki. Ledwie się ślub skończył, a było to już wieczorem, księżna stara dowiedziawszy się o tym wpadła do królowej Bony, zaczęła narzekać, wymawiać że nigdy na to nie pozwoliła, że ślubu tego ani ona, ani córka za ważny nie mają. Ze strachu jednak, aby jej córki nie odebrano, czując, że spod boku królowej Bony nikt po nią sięgnąć się nie ośmieli, już się jej nie puszczała ani na chwilę, jak cień za nią chodząc.

Tymczasem ciągnęło się to tak, a wreszcie królowa Bona ze swymi skarbami poszła umierać pod włoskim niebem młodych lat swoich. Zaszła wojna w Inflanciech i hrabia nie miał czasu dopominać się żony, a księżna Beata z córką przeniesła się na mieszkanie do Lwowa, gdzie jak w fortecy w klasztorze osiadła.

W r. 1559 pan hrabia przypomniał sobie, że miał żonę i zaczął prosić króla o jej wydanie. Dogadzając człowiekowi, który za nim wszędzie wielkim kosztem z pocztem znacznym jeździł, a nie minął jeszcze żadnej wojny ani zjazdu, ani sejmu, jak prawy dworzanin królewski, August rozkazał Piotrowi Barżemu, staroście lwowskiemu, iżby żonę hrabiemu oddał. Rozumie się, że siłą, bo inaczej nie było można. Hrabia z przyjaciółmi i dworem pojechał do Lwowa, a wysłał naprzód z radą i perswazją Barżego, który księżnie Beacie w szerokiej mowie, zwyczajem owych czasów, rozwodził przyczyny, dla których posłuszną być była powinna.

Ona zaś, jak wprzód zsyłała się na króla, tak teraz króla obwiniła, że nie miał prawa bez niej córki wydawać i mówiła:

– Nikt lepiej o córce nie radzi nad matkę. Król jest jej opiekunem, aby jej krzywdy uczynić nie dał, nie żeby jak niewolnicą nią miał rozporządzać. Ślub córki mojej nieważny, bo był warunkowy. Dom Ostrogskich – dodała – wreście nie takiego miał prawo spodziewać się poselstwa od króla. Ty Barży – dołożyła uderzając w słabą stronę szlachcica zręczna białogłowa – myśl sam, gdyby twoją córkę, siostrę lub krewną gwałtem komu oddać chciano, czyżbyś nie wolał widzieć ją umarłą niż niewolnicą?

Tu księżna dobyła spod sukni na piersiach fałdowanej puginał i rzekła.

– Prędzej ją zabiję, niż oddam!

Barży, widząc taką zaciętość, ustąpił i dał o tym wiedzieć królowi. Rozgniewany Zygmunt August kazał napisać instrukcję Barżemu i kredens, a kanclerz Padniewski wysłał z nimi do Lwowa Górnickiego, który tu trzeciego dnia przybył. Barży dołożył usiłowań, aby spełnić rozkazy króla. Postawił strażę u bram miasta, ażeby nikt bez wiedzy nie wszedł i nie wyszedł, i obległ księżnę Beatę.

Alić drugiego dnia łapią w bramie posłańca, którego Sawicki, pisarz wojewody wileńskiego Radziwiłła, wysłał był do księżnej.

Pytają go o listy – zapiera się ich. Szukają i trzęsą, znajdują w wojłoku (kapturze) pisane po rusku, odradzające księżnie, aby córki nie wydawała za Łukasza z Górki.

Tymczasem księżna żadną miarą nie chcą córki oddać Łukaszowi z Górki, inny zmyśla fortel. Zmawia się z księciem Siemionem Słuckim obrawszy go sama za zięcia sobie, postanawia ślub zbić ślubem drugim i daje mu znać tajemnie, aby do Lwowa przybył.

Bramy lwowskie, jakieśmy rzekli, pilnie strzeżone były, jednakże ksiązę Siemion, przebrany po żebracku, w łachmanach odartych, przedarł się niepostrzeżony, dopadł klasztoru i księżnej. Ta, nieugięta, ściągnęła razem do klasztoru ludzi, strzelbę, uzapasiła go w żywność, amunicję i gotowała się jak do oblężenia.

Widząc to, pan Barży – sztuka za sztukę – że woda szła rurami do klasztoru, rury te pozatykać kazał i księżnę nie głodem, ale pragnieniem wziąć umyślił. Ku wieczorowi dnia tego, gdy jej wodę odjęto, księżna posłała dwóch sług swoich do Barżego (z których jednym był Zieliński, później wojewoda płocki), oznajmując, że córka jej jest oddana w małżeństwo księciu Siemionowi Słuckiemu i prosząc, aby jej hrabia dał pokój.

P. Piotr Barży i brat jego Stanisław posłyszawszy tę osobliwszą nowinę, as zląkszy się gniewu króla, źle przyjęli, a gorzej jeszcze odprawili posłańców, z odpowiedzią, że nic z tego nie będzie, co sobie księżna osnuła. A lękając się, aby jej słudzy ze strachu tej odpowiedzi nie wzdragali się donieść, poszedł sam pan Stanisław Barży i ostro jej w oczy wyrzucał, jakie są akry na tych, którzy cudze biorą żony i tych którzy do tego pomagają; aż księżna przestraszona groźbami o swym zamiarze zabicia córki i o wszystkim zapomniała.

Dobrze ją sfukawszy p. Stanisław wrócił nazad, a p. Piotr oznajmił, że nazajutrz przyjdzie po obiedzie, na co księżna odpowiedziała już łagodniej, prosząc tylko, aby starszego swego brata z sobą nie brał. P. Piotr siedział do północy u księżnej i tyle na niej wymógł, że nareście córkę wydać obiecała. Jakoś nazajutrz biedna Halszka oddana przez matkę i przywieziona na zamek lwowski przez p. Herburtową Dziedziłowską.

Godne uwagi posłuszeństwo córki. Po tylu męczarniach, po tak okropnym życiu u matki, wydana już staroście i jego siostrze, przywiedziona na zamek, siadła twarzą ku ścianie na łóżku i nic nawet jeść nie chciała, chyba jej co matka przysłała. A któż wie tajemnice serca? Może kochała tego Siemiona, który się do niej w łachmanach przedzierał, biedna ofiara matczynej chciwości i swojego złota. Starosta biorąc ją na zamek, dał słowo starej księżnie, że nie wyda jej hrabiemu, aż o tym wprzód królowi oznajmi. Posłano listy do króla, pisała Halszka także i prosiła o Górnickiego, aby jej list do rąk oddał.

Lecz August, rozdrażniony nieposłuszeństwem, po długiej wszakże naradzie, przysądził księżniczkę Halszkę, jak rzecz, tak majątność, przeciw jej woli i skłonności, hrabiemu Łukaszowi z Górki. Gdy przyszło ją nareście wydawać, płakała biedna rzewnymi łzami i do kolebki siadać nie chciała, wyrywając się z rąk oprawcom. Ale rozkaz króla i chciwość hrabiego (któżby to nazwał inaczej?) przemogły rozpaczny opór Halszki – pojechała!

Jakie było ich pożycie? Nikt nie wie. Lecz bezdzietna i wręście obłąkana na umyśle¹⁵², przeżywszy męża, biedna wdowa, po śmierci jego, już bezprzytomna, przybyła na dwór ks. Konstantego Bazylego, stryja swego, skończyć życie mizerne w Ostrogu, w miejscu, które pierwszych jej nieszczęść było świadkiem. Matka jej, księżna Beata, wyszła także za mąż po

¹⁵² B. Paprocki, herby...s,207. Tak nagrobek kładzie: „Hoc loco conditur corpus Clari Lithuaniae Ducis Demetrii Sanguszko, ex magnifica Olgerdi familia nati, Capitanei Cirkassiensis et Caniouiensis, quem Martinus Zborowski trucidavit 1554”.

„ W tym miejscu pochowane jest ciało sławnego księcia litewskiego Dymitra Sanguszko, pochodzące z wielkiego rodu Olgerda, starosty czerkaskiego i kaniowskiego, którego zabił marcin Zborowski w roku 1554

Tamże; Zborowski Bonę królowę zatrzymał w Krzepicach, nigdy się z sąsiadami nie prawował, a każdej krzywdy sam sobie poszukiwał. Adwokatów zaś , którzy mu wcale nie byli potrzebni, na rybnych stołach bijął, o czym Paprockiemu mówił Kumelski, sławny prokurator (adwokat). Umarł 1565 d. 25 lutego

odebraniu sobie córki, za Albrychta Łaskiego, wojewodę sieradzkiego. Lecz gdy jak wprzód córce, potem mężowi chciała przewodzić, nie mogąc znieść jej uporu, zamknął ją w zamku Kesmork w Węgrzech, w którym umarła.

W całej tej smutnej a prawdziwej historii księżnej Halszki z Ostroga, kto tu najpiękniejszą grał rolę? Ani matka, ani król, ani książę Bazyli, ani Dymitr, ani hrabia z Górki. Jedna Halszka wszędzie staje jak niewinna ofiara, której życie szarpie chciwość, upór, duma i cudze rachuby; namiętność, zamiary, rzucają nią jak nieczułą jaką istotę. Zaiste historia Halszki jest może najdobitniejszym obrazem bezprawioń, jakie w Polsce w XVI wieku (w ów czas nawet, kiedy kraj ten do zupełnej anarchii nie doszedł jeszcze), działały się. Los Halszki może nam dać wyobrażenie położenia towarzyskiego kobiet, ich uległości, ich niewoli, frymarków, które nimi czynili rodzice bez duszy. Czymże są gorsze bazyry Stambułu, gdzie często Czerkaski, z dobrej woli, marząc o rozkoszach jaśminowych gajów i wonnych fontann haremu, same idą na sprzedaż? Nie znam wypadku w dziejach polskich zapisanego, który by był bardziej dramatyczny sam przez się. Z tej kroniki byłby Shakespeare utworzył najcudniejszy dramat. Kiedym pierwszy raz w Górnickim czytał historię Halszki, serce mi się rozdzierało, i zapalony tą historią, tak prawdziwą a tak dziwną, tak smutną a tak zajmującą, nie uspokoiłem się, ażem z niej sklecił dramat, który jest tylko pierwszą częścią życia Halszki i nie wiem, czy maluje jak żywo owe czasy, jakby mógł i powinien. Kiedyś muszę go dokończyć, i zaiste cudne rzeczy mogłyby być jeszcze w drugiej części, gdybym się tylko mógł na nie zdobyć. W obliczu takiego przedmiotu człowiek najmocniej czuje, jak mu na siłach zbywa.

Widok Ostroga na nowo obudził we mnie wspomnienia wszystkich scen życia Halszki; patrząc na zameczysko zawalone, liczyłem w myśli wszystkie łzy biednej ofiary, które tu spływały po cichu; gdy przez okna patrzyła na dalekie błonia i lasy. Mój Boże! Teraz nikt nawet nie wspomni o niej, nikt jej politowaniem cierpień nie zapłaci.

*Twoje lice tak świeże, tak niebieskie oczy,
Twój włos złoty, w ulotne zamknięty pierścienie;
I głos twój jak arfy eolskiej uroczy,
I łzy twoje o biedna! i twoje westchnienie,
Wszystko, co w tobie ludzie wielbili, kochali –
I ty same – zginęłaś w zapomnianej fali!
Na toż się było rodzić, w morzu życia płynąć
Walczyć z burzą i gromem, by od gromu zginąć!*

Janusz, wojewoda wołyński, syn pierwszy stryja Halszki Konstantego Bazylego, pobożny pan i pierwszy z tej rodziny Ostrogskich katolik, założył kościół w Konstantynowie i dominikanów konwent fundował; w Międzyrzeczu zaś Ostrogskich franciszkanów, w r. 1612. Przyczyną jego nawrócenia do łacińskiego obrządku było, iż młode lata swoje spędził na dworze cesarskim. Lecz gdy apostatą do ojca powrócił, ten rozgniewawszy się, zaraz go zamknąć kazał do ciężkiego więzienia,¹⁵³ gdzie nikogo nie wpuszczano, prócz jednego popa, mającego nawrócić go do pierwszej wiary ojców. Tak cały rok bezskutecznie nad nim pracowano. Co widząc ojciec, kazał go w głębszy jeszcze taras zapakować w Dubnie, i w tym celu wybrawszy się z Ostroga z nimi i bratem jego Ale[ksandrem] [...]. [cze]ladnią do stołu sadzał. Nie wiem, czy można temu wierzyć, że ojciec tej nocy, gdy wszyscy usnęli, poszedł ku niemu i znalazł go śpiącego na gołej ziemi, wśród czeladzi; a nienawidząc go dla odstępstwa do wiary, dobył szabli i ciąć nią syna zamierzył się.

– Niegodnyś – krzyknął w gniewie – żyć dłużej na świecie.

¹⁵³ B. Paprocki, Herby..., s. 50

Janusz w tej chwili porwał się ze snu, chwycił szablę ojca, wstrzymał cięcie, i podając mu swoją rękę:

– Ojcze, nie warto, abys tę szablę, krwią nieprzyjaciół zbroczoną nieraz, swoją własną krwią kalał. Oto masz moją i kark mój, tysiąc śmierci chętnie za moją wiarę poniosę.

Tym pokonany ojciec posłał go nie już do więzienia w Dubnie, lecz nazad do cesarskiego dworu, zalecając tylko, aby stroju nie zmieniał, jak zmienił wiarę, aby się nie żenił, chyba z Polską lub Węgierką.

Późniejsze czyny wojenne ks. Janusza omijam.

Lecz nadto jest ważne ordynacji ostrogskiej przez niego ustanowienie, aby je milczeniem pokryć. Ta ordynacja, która potem za Augusta III tyle narobiła hałasu w kraju, datuje od ks. Janusza, przez którego ustanowiona została. Janusz ją z gniewu, jak mówiono, na brata Aleksandra i synowców uczynił, których w trzeciej już (bo po trzykroć ustanowienie przerabiał od roku 1615 do 1618 roku) ordynacji wydziedziczył i od następstwa po sobie usunął. Ordynacja obejmowała ogromne majątki dziedziczne, jako Ostróg z zamkiem, miastem i przyległościami (które to miasto ustąpił Januszowi brat Aleksander, wojewoda wołyński), miasteczko Międzyrzecz, miasto i zamek Dubno z przyległościami, zamek i miasto Stepań, zamek i miasto Konstantynów, zamek i miasto Bazyle (za czasów Sarnickiego przez księcia Bazylego Ostrogskiego założone), także zamki, miasta i klucze: Krasilów, Kuźmin, Czartowie, Supoków, Miropol, Niemilna, Zaborzyca, Cudnów, Piasek, Januszpol, Sosnów, Detkowice, Pików, Hlińsk, Wilsk, Now, Ostożek, Krasnopol, Lutowicz, Hrybowice, Lesna, Śmiłowice. Liczba wsi zawarta w tych kluczach była niezmierna, a ileż to zamczysk? Gdyż w tym kraju każde miasteczko i stolica klucza musiała mieć zameczek, na przypadek najazdów dla obrony.

Lecz nie były to wszystkie posiadłości tego bogatego domu, gdyż zamki i miasta Tarnów, Wiewiórka, Opatów, Chmielów, Procholice, Krzczonów, Glinka, Kobierzyn, Pleszów, Kowala, Zembocin, Prokocin, Mikołajowice, Czystów, Biała, Kosowie, Świterna, Miotulisko, Czestorie, Sulejów, Wołowice, Jakubowice, Rudniczek, Świdniczek, Świdnicka Wola, Długie, Nowy Dwór, także Kossów, Tetiów, Olszanica, Rokitna, Łobaczów, Petyhory, zostawały do podziału familii, nie objęte ordynacją.

Do następstwa na ordynację miał prawo z linii męskiej najstarszy. Wyznaczonym przez księcia Janusza był książę Franciszek Zasławski i jego potomstwo, lub z córki ks. Janusza zrodzenie księżęta Karol lub Dominik (jeden po drugim w przypadku bezpotomnego zejścia); gdyby zaś linia wyznaczona zupełnie wygasła, naznaczył książę Janusza męża swe córki, księcia Aleksandra Zasławskiego, wyłączając potomstwo z drugiego łoża być mogące. Dalej jeszcze w przypadku bezpotomności, naznaczył syna księcia Radziwiłła Podczaszego, z siostry swej zrodzonego i jego następców.

Książęta Zasławskie, o których tu wspomnieliśmy, byli jedną familiją z Ostrogskimi, jednego herbu, jednej dzielnicy, jak dawniej mówiono. Mylnie ich niektórzy wywodzić chcieli od Gedymina lub Olgierda, gdyż ryli ruscy. Inni to byli książęta Zasławskie, wywodzące się przez Jawnuta od Gedimina. Ci Jawnuczewicze Zasławscy, daleko wprzód, przed wygaśnięciem rodu ruskich Zasławskich, wygaśli w linii męskiej, a księstwo ich zasławskie w Mińskim dostało się w dom Chlebowiczów przez kobiety.¹⁵⁴ Ci zaś ruscy Zasławscy poszli naprzód gałęzią od pnia Ostrogskich. Bazyli bowiem, książę na Ostrogu i Zasławiu, między dwóch swoich synów rozdzielił księstwo. Pierwszy wziął Ostróg, drugi Zasław. Zasławscy książęta ciągle się Ostrogskich trzymali, a za zmianą herbu przez księcia Konstantego i oni go zmienili. Jerzy, książę Ostrogskim zwany, który Szymona Oleskowicza w r. 1456 upornie chciał na Wielkie Księstwo prowadzić, nie był Ostrogskim, ale Zasławskim. Wielu ten dom wydał mężnych rycerzy.¹⁵⁵ Janusz, książę Zasławski (1603),

¹⁵⁴ B. Paprocki, Herby..., s. 50

¹⁵⁵ K. Niesiecki[Korona Polska] t. III s. 518

został katolikiem, i w Zasławiu kościół księżom Bernardynom postawił pod tytułem Ś. Michała Archanioła w r. 1603. Był to czas, w którym pod wpływem jezuitów, unii i króla, większa część rodziny ruskich zmieniła wiarę. Aleksander, książę Zasławski, Janusza Pierwszego, ordynata ostrońskiego, o którym była mowa, córkę miał za sobą i wziął po niej ordynację ostrońską. Władysław Dominik, książę Zasławski, zmarły w r. 1655 zostawił syna Aleksandra, na którym skończyła się rodzina Zasławskich ruskich w r. 1673.

Książę Janusz, tak rozporządziwszy ordynacją, jeszcze na przypadek wygaśnięcia zupełnego rodu swego, które przeczuwał, w braku następców, opisał, iż sejmiki za potwierdzeniem sejmu miały na ordynata obierać kogo zasłużonego i dobrze urodzonego z kawalerów maltańskich, Polaka. Nie sam zakon więc nazначzył następcą i dziedzicem, ale jednego z zakonu, Polaka.

Obowiązkiem ordynata było: trwać w katolickiej wierze, nosić herb książąt ostrońskich, tytułować się ordynatem, utrzymywać zamki dla obrony Podola, opatrzone w broń i maszyny wojenne, z ludźmi na koszcie swoim, przeciw nieprzyjaciółom wiary mianowicie stając. Dawać w razie wojny trzechset konnych a trzechset pieszych. Utrzymywać całość i nierozdzielność dóbr ordynackich.

Przyszły wojny, najazdy, zaburzenia i ciężkie na Ostróg czasy; szerzył się duch buntu wśród Rusi uciśnionej, zrodzony uciskiem i nawracaniem. Oznaki tego coraz się stawały jawniejsze.¹⁵⁶

Gdy raz katolicka procesja szła z Zasławia na Ostróg do Sokala, Nalewajko, prześmiewając ten obrzęd uroczysty, naprzeciw niej swoją parodią wyprawił z Ostroga na spotkanie. Chorągwie tych szaleńców były z prześcieradeł, mniejsze z worów chłopskich, dyscypliny z ogonów lisich; ryczano i krzyczano zamiast śpiewania. Było to jeszcze za życia księcia Konstantego Bazylego; pisał o tym, użalając się, do ojca ks. Janusz; ale książę, sprzyjając Rusinom, nie ukarał ich za to. Podjęło się niebo pomsty, gdyż, jak piszą pobożni kronikarze, lasy ostrońskie, w których się ta szalona scena odbyła, zaraz potem wypaliły się zupełnie.

Później w czasie kozackich napadów buntownicy Kozacy napadli na Ostróg z Zasławia idąc; i tu bezbronnych mieszkańców sześćset wycięli. Ci, jak pisze Nathan Moskowicz, długo się kryjąc po lasach, głodem zmuszeni zostali do miasta powrócić, woląc ginąć od miecza niż z głodu.

Konstanty, brat księcia Janusza, a syn trzeci Konstantego Bazylego, sławny jest swoim życiem, pełnym snów cudownych i objawień. Piszą Janczyński i Kwiatkiewicz, iż on wprzód jeszcze pono niż Janusz, katolikiem został.

W ośmnastym roku życia miał sen, w którym widział sędziwego starca w białej szacie, z siwym włosem i długą brodą, który do niego mówił:

– Widzę, żeś rad z oglądania mnie, chociaż mojej twarzy oglądać nie jesteś godzien, bo żyjesz sprośnie i nie wedle praw boskich.

Piszą, że to cudowne widzenie wcale jednak na zmianę sposobu życia księcia nie wpływało, gdyż zapewne, jak ś. Augustyn, odkładał umiarkowanie na później i prosił Boga, aby się z zupełnym jego nawróceniem nie śpieszył. Lat dwanaście upłynęło, a książę Konstanty żył jeszcze jak wprzód.

Po dwunastu latach znowu ta sama postać pokazała mu się we śnie.

– Poznałeś mnie, Konstantynie? – rzekła.

– Poznałem – odpowiedział.

– A pókiż w złych swoich nałogach trwać będziesz, póki grzechy do grzechów dodawać? Trzy lata tylko życia ci zostanie, użyj ich na poprawę.

¹⁵⁶ M. Strykowski [Kronika polska]

Książę przełknięty oddał się modlitwom i życiu odmienił. W trzecim roku w pół postu dostał febry, a w sobotę przed kwietną niedzielą trzeci raz ukazała mu się owa postać i oznajmiła, że umrze nazajutrz o dwunastej. Stało się tak: umarł w r. 1595.

Jeden z synów Aleksandra, wojewody wołyńskiego, za zabawkę raz sobie postawił w jakimś refektarzu zakonnym *Żywoty świętych*, u d o nich jak do celu z łuku strzelił. Trafił i strzała utknęła głęboko; słowo, na którym się oparła, było: śmierć.

Umarł młodo.

Anna Alojza, księżniczka z Ostroga, Jana Karola Chodkiewicza, wojewody wileńskiego i hetmana księcia żona, była bardzo pobożną panią. Ona w r. 1624¹⁵⁷ założyła w Ostrogu Collegium Societatis Jesu wspinałe, które niegdyś pono stryj jej Janusz, książę ostrogski, kasztelan krakowski, stawić już był zamyślał. Po królewsku je wzniosła i uposażyła w celu nawracania Rusi, Tatar i Żydów ostrogskich do wiary katolickiej. Tamże przy Kolegium Jezuitów Collegium Nobilium czyli konwikt dla młodzi odnowiła. Dziś jeszcze stoją ruiny tych wspinałych budowli.

Cerkiew zamkową obróciła na katolicką kaplicę dla siebie, co już pospółstwo niesłychanie oburzyło, lecz nie dość na tym – gorliwa, ojcowskie ciało, pogrzebione w cerkwi greckiej (gdyż się utrzymał tego wyznania), z cerkwi do kościoła przenieść kazała. To wzbudziło taki tumult między ludem ruskim w Ostrogu, że zbuntowani na zamek napadli, a ona ledwie żywa ratowała się ucieczką.

Wytoczyła się sprawa: wypadł srogi na napastników wyrok; ona go jednak na ten raz roztrośniejsza, dopełnić nad nimi nie dozwoliła. W czasie głodu w r. 1638 w Ostrogu i dobrach swoich pobożna ta pani mnóstwo ubogich utrzymywała i żywiła.

Za buntów kozackich, o których jużemy wspomnieli, gdy Kolegium Jezuitów spalone zostało, wynagradzając im, drugie w Jarosławiu wzniosła. Ciało swego męża, Jana Karola Chodkiewicza, przeniosła do Ostroga z Kamieńca w czternaście miesięcy po jego śmierci i nagrobki mu liczne postawiała.¹⁵⁸ Umarła, a ciało jej w r. 1723 dopiero w części w Ostrogu pochowano.

Ciekawa jest jej spowiedź, którą Niesiecki przytacza. Pytał jej ksiądz jeden u konfesjonału.

– Jak ci imię?

– Hanna.

– Co za jedna?

– Dziewczyna.

– Skąd?

– Z Jarosławskiego Przedmieścia.

I tak ciekawość niepotrzebną świątobliwego jezuitę zawiodła.

Ustawa ordynacji księcia Janusza, w początkach święcie zachowana, dekretem w r. 1671 (dnia 21 października) w sprawie z Atanazymy Puzyną, włądykiem łuckim, o majątność Mizocz, potwierdzona. W r. 1667 zmieniono obowiązek dawania 600 żołnierza na utrzymywanie garnizonu w dubieńskim zamku, co Jan III w r. 1696 potwierdził. Po śmierci ostatniego z linii męskiej dziedzica, księcia Aleksandra, wziął Ordynacją Lubomirski; po nim puszczone ją w aministrację; rozdzielono nawet, część przed dożywociem księżnej Teofili Wiśniowieckiej zostawując.

Po niej dostała się ordynacja jej synowi, księciu Aleksandrowi Lubomirskiemu; po tym księżnie Sanguszkowej, jego siostrze; nareście spadła na jej syna księcia Sanguszkę, marszałka litewskiego nadwornego, który widząc się bezdzietnym i biorąc za pretekst upadłe już ordynacji instytucje, a razem swoje do niej prawo spadkowe po kobietach, umyślił – dziwnym sposobem – zniszczyć ją ostatecznie, rozdzielając i rozpisując jak swoją. Było to już w r. 1753, a działo się w Kolbuszowej, potem potwierdzone w Sandomierzu. Jak się tylko o

¹⁵⁷ K. Niesiecki[Korona Polska] s.692

¹⁵⁸ K. Niesiecki[Korona Polska] t.IV s.518 - 519

rozpisaniu ordynacji panowie litewscy i koronni dowiedzieli, wszyscy z wielkim krzykiem powstałi na księcia; tysiąc listów, pogroźek, rad, spadło na niego. Wojewoda krakowski i hetman w liście swym dodał nawet (d. 9 grudnia 1753 r.): „Byłbym przymuszony użyć przyzwoitych środków od manutentionem ordynacji”.

Ale książę, stały w dziwacznym przedsięwzięciu swoim, uczynił akt, którym formalnie ogromne dobra ordynackie rozpiisał krewnym i niekrewnym, proszącym i nie mającym tego w myśli. W liście, w którym się z kroku swego tłumaczył hetmanowi, pisze, że gdyby te dobra kawalerom maltańskim dostać się miały, którzy nie królowi, ale zakonowi przysięgę czynią, użyliby ich na Turków i wojnę by tylko na kraj naprowadzili.

Dziwne tłumaczenie, które nie dowodziło prawa do rozporządzenia majątkiem, chociaż z drugiej strony, uważając ordynację za niebyłą, miał do majątków prawo ks. Sanguszko, jako następca, sukcesor po kądzieli najbliższy.

Książę Janusz Sanguszko, rozpisując te dobra na wszystkich, sobie dożywocie zostawił. Dla ciekawości ogólnie tylko akt, który tyle swego czasu szumu narobił, w treści wyłożyłem.

Obowiązek dawania sześciuset ludzi na potrzebę wojenną książę na klusze rozdzielił:

„A naprzód ludzi pieszych na praesidium fortocy dubieńskiej pod władzą hetmańską konferować ma 270 klucz dubieński, klucz stepański ludzi konnych 63, klucz miropolski i wilski 33, klucz cudnowski konnych 32, klucz pikowski konnych dwudziestu, klucz bazylijski konnych 33, klucz krasilowski konnych 33, klucz ostrogski konnych 31, klucz sulżyński konnych 32, klucz lutowiejski konnych siedmiu”.

Dziś zmienione to zostało na podatek zwany ordynackim.

Majątki zaś tak książę rozpiisał:

Małachowskiemu, kanclerzowi koronnemu, połowę Ostroga, Międzyrzecz i 36 wsi.

Potockiemu, krajczemu koronnemu, Lutowież i Łokacze z dziewięcią wsiami.

Czackiemu, kasztelanowi wołyńskiemu, Świniarzyn, Bereżnicę i sześć wsi.

Grocholskiemu, sędziemu ziemskiemu brasławskiemu, dwie wsie.

Bogatce, podstolemu braclawskiemu, jedną.

Karolowi Szydłowskiemu, miecznikowi smoleńskiemu, Koźmin i siedemnaście wsi.

Fayglowi, burgrabiemu krakowskiemu, trzy wsie.

Jabłonowskiemu, cześnikowi W. Ks. L., miasto Sulżyn i ośmnaście wsi.

Romanowi jakiemuś dwie wsie.

Czartoryskim z Lubomirskimi Konstantynów i trzydzieści sześć wsi.

Księciu Antoniemu Lubomirskiemu, staroście kazimirskiemu, Miropol i trzynaście wsi, Kulczyny i trzydzieści pięć wsi.

Lubomirskiemu, staroście olsztyńskiemu, dobra Nawoje i wsi trzydzieści trzy, Wilsk z dziewięcią wsiami, osobno trzydzieści jedna wieś.

Księciu Lubomirskiemu, wojewodzie lubelskiemu, Pików i trzydzieści cztery wsie.

Krajewskiemu, skarbnikowi ciechanowskiemu, Koszków i Pęczyn wsie.

Księciu Lubomirskiemu, staroście bohusławskiemu, Cudnów, Januszpol, Krasnopol, Kamionkę, Piątkę i ośmdziesiąt dziewięć wsi.

Janowi Dzierzkowskiemu dwie wsie.

Kazimierzowi Ilińskiemu, stolnikowi nurskiemu, dwie wsie.

Ołtarzewskiemu jedną.

Scybutowi Romanowiczowi sześć wsi.

Ciesielskiemu dwie.

Sobieszczańskiemu dwie.

Bleszczyńskiemu dwie.

Księciu Stanisławowi Lubomirskiemu, podstolemu koronnemu, Dubno, Ptyczę i siedmdziesiąt wsi.

Księciu Józefowi Lubomirskiemu, podstolemu litewskiemu, Stepań, dręczne i ośmdziesiąt cztery wsi, klucz Czartoryski i sześć wsi.

Sapiezie, wojewodzie mścisławskiemu, Bazalię miasteczko i wsi trzynaście; Krasilow i wsi ośmnaście.

Wilczopolskiemu jedną wieś.

Ksaweremu Szydłowskiemu jedną.

Wiktorowi Ilińskiemu jedną.

Leszczyńskiemu, pisarzowi grodzkiemu stężejskiemu, jedną.

Małachowskiemu, staroście oświęcimskiemu, jedną.

Kazimierzowi Ilińskiemu jedną.

Józefowi Sikowskiemu dwie.

Wielopolskiemu, cześnikowi koronnemu, kamienicę w Krakowie, zwaną „Pod Baranami”.

Tak między trzydzieści kilka osób rozdzielono miast dwadzieścia cztery i wsi pięćset dziewiędziesiąt dwie. Sami Lubomirscy, już dawno bogaci, wzięli stąd jeszcze najwięcej ze wszystkich, bo czterysta cztery wsi. Ileż to rodziny zubożało się łupem tego wielkiego ostrońskiego¹⁵⁹ trupa, ile robaków na nim się wypało. Wszyscy od wojewodów aż do burgrabiego, od książąt do pana Romana brali! Lecz książę Janusz swoją hojność spokojnością opłacił. Po kolbuszowskim bankiecie wszyscy, którzy nie mieli w nim udziału, a niektórzy nawet zyskać na nim mający, poruszyli się na księcia. P. hetman wysłał generała Mokronowskiego zająć Dubno, a p. Rostkowskiego, porucznika husarów, okolice jego. Zaszły manifesta stanów, wojewody braclawskiego, złotej chorągwi husarzy pułku ordynacji ostrońskiej, hetmana wielkiego, Michała Kazimierza, księcia Radziwiłła ołyckiego, obywoteli województwa wołyńskiego z powiatami.

Pan wojewoda braclawski, Świdziński, przywołał ks. Janusza Sanguszkę mandatem na sąd sejmowy. Wyszło zaraz z tego powodu mnóstwo pism, paszkwilów i różnych urywkowych broszur;¹⁶⁰ a tak kraj cały prawie podzielił się na dwa stronnictwa – księcia i jego przeciwników. Przez tych ostatnich więcej było zajęte Dubno. Prymas jeden zdawał się z lekka popierać księcia i pisał nawet do hetmana o wystąpienie wojsk z tego miasta, ale bezskutecznie. Książę, odpowiadając na zarzuty, dał od siebie listy do pp. senatorów (16 lutego 1754), na które oni, jednogłośnie ganiąc jego postępki, odpowiedzieli. Pełno prócz tego bezimiennych snuło się pism i paszkwilów, i rad.

Książę z rzadkim umiarkowaniem trwał przy swoim i bronił się bez gniewu, ale bardzo zręcznie. Nareszcie król wyznaczył komisję na rozpatrzenie tej sprawy i ostateczne jej rozstrzygnięcie pod prezydencją Andrzeja Załuskiego, biskupa krakowskiego. Ta zjechała do Dubna, które administracją zajęto.

Oto są wyjątki z listów pisanych naówczas przez Annę Jabłonowską W. B. do podkanclerzego Sapiehy, stryja swego,¹⁶¹ które i położenie wszystkich, i zabiegi malują.

W r. 1758 pisze: „Reskrypt na ordynacją wydany wielkiego jest tu podziwienia przyczyną. Rozdwojone u wszystkich myśli, jedno w konsolacji, drugie w zmartwieniu. My takie

¹⁵⁹ Ksiądz Florian Jaroszewicz, *Matka świętych..* Kraków 1777

¹⁶⁰ Rozmowa przyjaciela z interesującym się do Ordynacji Ostrońskiej, dla powszechnej innym wiadomości opisana etc. Warszawa 1754. U pijarów. Odpowiedź na pytanie jeżeliby na dobra ostrońskie administracja uproszczona być mogła? 1754.

O ten druk sprawa była w Trybunale Piotrkowskim, a tegooż roku d. 7 grudnia, wypadł wyrok, aby je przez woźnego podarto i spalono, niszcząc wszystkie egzemplarze. August III kazał nawet instygatorowi koronnemu drukarnia opieczętować, a prefekta oddać pod Sad Prowincji Pijarskiej. Lecz się to ułagodziło. Nie mam żadnej epoki tyle pisemek ulotnych, ile z tego czasu i okoliczności. Historia ordynacji byłaby ciekawym obrazem, gdyby do niej kto przystąpił z amteriałami dostatecznymi, a nade wszystko z odwagą mówienia prawdy – bądź co bądź.

¹⁶¹ Z archiwum Sapiehów, MSS [manuscriptus]tit. Listy różne ab 1755 ad 1758.

niepomału zmyślemy, kiedy na trzyletnią dawszy Ostroga arendę za reskryptem królewskim administratorowi, teraz nie wiem, co się z nami stanie”.

Z Ostroga d. 25 czerwca 1758 r.: „Ordynacja odebrana już od wszystkich. To najdziwniejsze, że to pełnią komisarze księcia podstolego (Lubomirskiego, który brał Dubno itd.). I tę z Dubna wczoraj miałam wiadomość, że arendą wszystko puszczać zamyślają na trzy lata, ale to wszystko podstolego koronnego imieniem. Mokronowski w zamku siedzi; wartę zaś po bramach trzyma dragonia i janczarowie księcia (podstolego)”.

Ze Lwowa d. 2 sierpnia 1758 roku: „Mokronowski wczoraj z Dubna przyjechał, garnizon i zamek pod swoją komendą zamknięty zostawiwszy. Księżę podstoli koronny sprowadził był umyślnie dla postrachu Kozaków i Kałmuków, przez Wołyń teraz idących pod komendą Effremowicza, pod Dubno. I gdy pod miastem rozlokowanym obozem miał, sam z żoną pojechał dla uczestowania oraz i uskarżenia się, że fortecy Mokronowski oddać nie chce, ale nadspodziewaną odebrał odpowiedź; że jak bywał dawno w Polsce tak doskonale jest informowany, że hetman wojskiem rządzi, i gdy przyśle ordynans, to zapewne Mokronowski ustąpi z fortecy. I tak zawstydzony został responsem niespodziewanym”.

Tegoż roku d. 16 sierpnia ze Lwowa: „Z tych krajów nie mam co donieść. Jest odgłos, że podstoli koronny na przedmieściu dubieńskim złapawszy kilku garnizonowych, miał kazać przetrzepać. I tej relacji z wielu miejsc mamy już konfirmacją. Co z tego wyniknie, czas pokaże?”.

Tegoż roku 23 sierpnia: „Z Wołynia gazetę mieliśmy, że księżę podstoli przekupiwszy z garnizonu dubieńskiego żołnierzy ośmdziesiąt, a spod rejmentu królowej Jadwigi kilkunastu, wyprowadził ich z Dubna i w Równem rozlokował; tak to o pocziwych ludzi trudno, że nie tylko w wojskach austriackich i francuskich braknie, ale i w Dubnie pokazało się, że ich nie masz”.

Nareście komisja zasiadająca trwała tu, zjechawszy, do r. 1758, w którym król dnia 19 maja ją skasował, a dobra ordynatowi oddał, a ten nimi jak był postanowił, rozporządził.

Tak upadł ów sławny dom książąt Ostrogskich. Teraz Ostróg jest wielką ruiną – i wieleż to zapomnianych dziś rozsypanych gruzach i rumowiskach, przychodziły mi na pamięć te główne rysy historii miasta i książęcego domu, które zapisałem, nie wiedząc czyli one każdego zająć, tak jak mnie, potrafią. Smutny i zamyślony wyjechałem z Ostrogu, jak gdybym wracał z wielkiego smętara, i spoglądałem długo za siebie, póki mi góry nie zakryły szczątków zamczyska, bielejących na górze jak kości wielkoluda. Wkrótce nie ujrzałem ich za sobą i żyzne tylko otaczały mnie wzgórza, wśród których tu i ówdzie dymiły się rozsypane wioski i bielejące dwory.